



# ATENEUM

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVIII.

ROK XII.

TOM IV. — ZESZYT I.

Październik.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

# SPIS RZECZY.




*Druk ukończono 1 Października 1887 r.*



# Z DZIEJÓW WEWNĘTRZNYCH POLSKI

## za króla Stanisława Augusta.

Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta (1764—1794). Badania historyczne ze stanowiska ekonomicznego i administracyjnego przez Tadeusza Korzona. Wydanie Akademii Umiejętności w Krakowie. Kraków, 1884—86, tom III stron 460, tomu IV część 1-a stron 321, część 2-a stron 667 i XXXVIII.

Tom trzeci szacownego dzieła p. Korzona obejmuje finanse. Dzięki obfitym materyałom archiwalnym złożył autor drobiazgowe i dokładne sprawozdanie ze stanu i obrotu funduszów publicznych w różnych dobach panowania Stanisława Augusta; rozświetlił tę stronę działalności, bez której zbadania sądom historycznym o ostatnich czasach Rzeczypospolitéj brakło pozytywnéj podstawy.

Dzieje skarbu Króla Imci nie przynoszą osobie Stanisława Augusta, jak to oddawna wiadomo, zaszczytu; dały zaś autorowi asumpt do charakterystyki utracyusza bardzo wymownéj. Miał Poniatowski w roku 1766 dochodu do 8,674,804 zł.; w 1767 przy 7,721,254 zł. było expensy generalnéj tylko 7,383,147; pomimo tego w sumach ogólnych z pierwszego trzechlecia okazał się deficyt. Lata następne były gorsze: w r. 1770 okazało się długów 5,278,514 zł.; w 1793 — 33,515,236; ostatecznie ogół ich doszedł do 40,000,000. Zakłopotany długami utracyusz, chociaż mu Rzeczpospolita niejednokrotnie przychodziła z pomocą, nie wahał się przyjmować pieniędzy od Rosyi: w przeciągu pierwszych lat siedmiu wybrał 3,600,000 zł.; podczas sejmu grodzieńskiego obficie czerpał z kasy Sieversa. „Prócz dwóch ostatnich Stuartów z wieku XVII, żaden król — powiada p. Korzon — wśród najprzedajniejszego otoczenia, wśród największych kłopotów pieniężnych nie wyciągał ręki po cudze datki. Jedna Polska doczekała losu, że miała króla przedajnego. Stanisław

August jest oryginalném, niemal jedyném zjawiskiem tego rodzaju. Jakkolwiekby zepsutym był naród szlachecki, jakkolwiek zrujnowanym i niezdarnym mechanizm państwowy, nie uwierzymy, aby katastrofa pierwszego rozbioru mogła się dokonać tak łatwo, tak rychło pod innym królem, chociaż równie słabéj woli, ale rąk czystych. Zajmując stanowisko najwyższe, najwydatniejsze i bądź co bądź najbardziéj wpływowe, Stanisław August szerzył dokoła siebie demoralizacyę polityczną, przodując ludziom najbezecniejszym własnemi przykładami i obracał wszystkie zasoby swojego urzędu na posługi wrogiemu mocarstwu. Był więc zdrajcą i zbrodniarzem (III, 46).... Żadne względy i zasługi nie mogą zmyć Stanisławowi Augustowi téj plamy z czoła, że wszelką podłość, jakiéj od niego wrogowie kraju zażądali, spełnił, a za wszelki swój czyn haniebny wziął od nich pieniądze" (III, 92).

Straszliwości skutków działalności Stanisława Augusta zaprzeczyć nie można; godzi się jednak z większym, niż p. Korzon spokojem, źródła postępków jego nie w saméj tylko szukać niecnocie. Zdaniem naszém, sfera moralna, śród któréj wyrósł Poniatowski i stanowisko, które jako król zajął, tłómaczą pochop jego do czerpania pieniędzy ze źródeł mętnych. W stuleciu XVIII łapownikami byli w Europie niemal wszyscy, stojący na świeczniku, co sam pan Korzon zaznacza (III, 45); w Polsce natura rządu parlamentarnego dawała okazyę do przedajności całéj masie szlacheckiéj. Przekupstwo, zwane przez ojców „żydowską szablą", chlebem było u nas powszednim: szlachcic brał pieniądze od pana, magnat od króla lub dworów. Hałasowano nieraz na sejmikach i sejmach, zatarło się jednak w końcu poczucie złego w tym względzie. Gdy marszałek nadworny kor. Mniszech wyrzucał kasztelanowi brzeskiemu Abramowiczowi, że na sejmiki i ufundowanie trybunału 4000 dukatów z przyjaciołmi dostał od Francyi, — „jakby to był jaki kryminał *status*, powiada Matuszewicz (*Pam.* II, 316), od króla francuskiego, tak wielkiego, brać z miłosierdzia jego bez żadnych najmniejszych kondycyi suplement.... Rezolwowaliśmy się, byleby Francya nas chciała suplementować, brać od niéj pieniądze, nie zważając na gniewy." Stanisław August nie mógł ze współczesnéj sobie sfery wynieść odrazy do czerpania z cudzéj kieszeni tém bardziéj, że ani znany z ekwilibrystyki ojciec jego, ani wujowie Czartoryscy arcy-moralnymi nie byli. Nie dziwiłoby nas łapownictwo Poniatowskiego przed elekcyą; rozumiemy go też, gdy się zaopatrywał z funduszów rosyjskich, zostawszy królem.

Skalą etyki zwyczajnéj postępków monarchów mierzyć nie można: mieli oni i mają, niestety! moralność odrębną, ekstraordy-

naryjne udzielania sobie zasiłków powody i formy. Robi się to pod postacią usługi koleżeńskiéj, najczęściéj w celu przeprowadzenia wspólnych zamiarów politycznych;—nie dają sobie „łapówek“, lecz raczéj „subwencye.“ Taki charakter mają zasiłki, pobierane przez Stanisława Augusta od Rosyi podczas konfederacyi barskiéj, takiż podczas pamiętnego sejmu z r. 1793. Byłoż to podłością i zdradą? Byłoby jedném i drugiém, gdyby Poniatowski za pieniądze oznaczony przez imperatorową obrał kierunek; że jednak nikt dotychczas nie dowiódł, żeby przekupiony występował przeciwko Barzanom lub przystępował do Targowicy, przeto i aktu brania pieniędzy przynajmniéj zdradą nazwać nie można. Nie bronimy Poniatowskiego od zarzutu podłości raczéj ze względu na okoliczności, śród których czerpał ze szkatuły rosyjskiéj, niż dla natury żywionych przez niego zamiarów; zdrajcą nie był, bo nawet przystępując do Targowicy, mógł w dobréj wierze mniemać, że się sprzeniewierzał nie narodowi, lecz tylko stronnictwu. Różność poglądów na wartość Stanisława Augusta, jako człowieka, wynika z odmienności kryteryów: p. Korzon ocenia króla z okropnych i haniebnych skutków działalności, my zaś determinujemy moralność, uwzględniając kierujące czynami pobudki. Orzeczenie autora: Stanisław August „wszelką podłość, jakiéj od niego wrogowie kraju zażądali, spełnił, a za wszelki swój czyn haniebny wziął od nich pieniądze“ — z pozoru słuszne, w gruncie razi przesadą, samo bowiem skonstatowanie faktu subwencyi, bez udowodnienia jego wpływu na kierunek działania, do uzasadnienia sformułowanego w ten sposób sądu wystarczać, zdaniem naszém, nie może. Przesada owa radzi tém bardziéj, że i przytoczone przez p. Korzona fakty nie zawsze noszą charakter pewnika. „Musimy — powiada (III, 53) — wymienić jeszcze jednę, w porównaniu z innemi najmniejszą, ale zapewne najhaniebniejszą pozycyę: 6000 dukatów, wziętych przez Stanisława Augusta podczas akcyi rozbiorowéj z kasy wspólnéj trzech dworów, utworzonéj właśnie na przekupowanie przywódców sejmu delegacyjnego. Figuruje ta sumka w rachunku, podpisanym przez wszystkich trzech ambasadorów: Stackelberga, Rewitzkiego i Benoit; data nie jest wymieniona, tylko z brzmienia innych pozycyi domyślać się można, iż pieniądze te były płacone w końcu r. 1772 i na początku 1773. Stanisław August zrozumiał nareszcie moralną wartość takiego postępku w r. 1794, gdy odczytał w gazetach warszawskich „extrakt z dowodów autentycznych i regestrów na pensye brane od Rosyi.“ Pośpieszył zaprzeczyć, twierdząc, że w aktach kamery jego nie znaleziono nic podobnego; że dwory zwróciły mu tylko remanenta dochodów z ekonomii mohylewskiéj, malborskiéj

i samborskiéj. Zaprzeczenie to, kończy p. Korzon, nie przekonywa nas wcale, bo Stanisław August kłamał niejednokrotnie, a kamera mogła nie znaleść w swych aktach żadnéj wzmianki, gdy i w latach poprzednich datki rosyjskie nie były w rachunkach jéj zaznaczone." Dowodzenie powyższe, na domniemaniach samych oparte, nie wydaje nam się w sprawie tak ważnéj wystarczające: zastosowana w tym wypadku przez p. Korzona metoda może tylko stwierdza znane przysłowie: „kto raz skłamał, temu, choćby prawdę powiedział, nie uwierzą." Nie znajdujemy również uzasadnienia w twierdzeniu, że Stanisław August występował podczas sejmu wielkiego z ofiarami jedynie „dla wywołania pożądanego efektu"; nie godzimy się na takie definicye, jak: „niewytrwały nawet w podłości", „nosił w głębi swéj duszy moralną zgniliznę" i t. p.

Moderując surowość sądu p. Korzona, zgadzamy się na skonstatowaną przez niego lekkomyślność Stanisława Augusta, a przewrotność ludzi, którym służył za narzędzie; podzielamy opinię autora co do zasług Poniatowskiego, chociaż w stopniu skromniejszym. „Liczne dzieła świadczą, powiada (IV, 2, str. 628), że Stanisław August, o ile nie bał się utraty tronu, pragnął być użytecznym i że pragnienia jego bezowocnemi nie pozostały. Wysoko cenimy jego troskliwość o wydźwignienie ludu poddańczego z niewoli i udział jego w rozwoju sprawy włościańskiéj.... Ma też znaczną wagę jego przewodnictwo w ruchu przemysłowym, lubo nie zbogacił się z fabryk swoich, i jego życzliwe stosunki z mieszczanami, lubo znakomita ustawa miejska nie była jego dziełem. Ale najwyższą w oczach naszych cenę ma jego umysł wolny od skorupy szlacheckich przesądów, oświecony, przystępny najwyższym prądom umysłowym Europy owoczesnéj... Maluczka była liczba ludzi, którzy przynieśli płomyki światła z zachodu, a wśród téj garstki Stanisław August był jednym z najpierwszych, najzdolniejszych i najgorliwszych. Mniejsza o wieczory czwartkowe, o fawory dla Krasickiego i Trembeckiego, o opiekę nad Naruszewiczem, o zachętę dla każdego literata, o prenumeratę i rozsyłanie na prowincyę dzienników; ale pierwsze dzieło panowania — korpus kadetów był dobrodziejstwem wielkiém dla ociemniałego narodu. Dzieje umysłowości świadczą, że najtrudniéj przychodzi roznięcenie pierwszéj iskry. Tę iskrę Stanisław August zapalił. Po latach dwudziestu płonęło już duże ognisko literatury, nauki i szkolnictwa. Stanisław August nigdy go nie przygaszał, lecz zawsze podsycał. I ukazało się pokolenie sejmu czteroletniego, które przeobraziło, odrodziło Polskę i znaleźli się czcigodni obywatele, nawet bohaterowie, a ci, z Kościuszką na czele, po większéj części byli wychowańcami korpusu

kadetów. Więc niezawodnie Stanisław August był jednym z najzasłużeńszych sprawców odrodzenia narodu.“

Wiele w tém wszystkiém jest prawdy, zadużo tylko przyznano Stanisławowi Augustowi w sprawie „odrodzenia narodu.“ Czy istotnie on pierwszy iskrę światła zapalił? czy przez samo założenie korpusu kadetów aż tyle położył zasług? Zapomniał p. Korzon o inicyatywie i zabiegach ludzi z czasów Augusta III (Konarski, Załuscy, Jabłonowski); przeoczył, że Poniatowski zasiadł na tronie w téj dobie, kiedy brzask oświaty zachodniéj dobrze już wzgórza społeczne rumienił, spływać nawet zaczął do nizin. Poniatowski wyrósł w tym brzasku i nie zaćmiewał go nigdy; inicyatywy jednak w zasadniczych pracach około podniesienia oświaty nie okazał zbyt wiele. Pomysł korpusu kadetów należy do Czartoryskich, oni to bowiem włożyli go Poniatowskiemu w *pacta conventa* (Vol. leg. VII, 208). „Dnia 28 czerwca Stanisław August po mustrze milicyi swojéj nadwornéj wybrał z niéj 30 szlachty młodych i urodziwych, z których do 100 kompletowanych osobną umyślił formować kompanią kadetów. Ci w językach cudzoziemskich, geometryi, fortyfikacyi, artyleryi i exercycyach wszelkich ćwiczeni przez umyślnie do tego dobranych metrów, osobny od drugich żołnierzy stół i mieszkanie w koszarach Kazimierzowskich miéć będą, przez co wzór i początek dawno w Polszcze żądanéj szkoły rycerskiéj otwiera się, którą kiédy zechce Rzeczpospolita podług upodobania swego obmyślonym na to funduszem pomnoży“ (*Wiad. warsz.* z 29-go czerwca 1765 r.). Siebie mianował Stanisław August kapitanem korpusu, komendantem zaś brata ciotecznego, Adama Czartoryskiego, generała gwardyi pieszéj litewskiéj. Wydał Poniatowski ze swego skarbu na korpus kadetów do 1 września r. 1766 złp. 676,432; konstytucyą z tegoż roku wypłacanie po 600,000 zł. rocznie na utrzymanie 200 młodzieńców wzięła Rzeczpospolita na siebie. Warował sobie Poniatowski „rozporządzenie wszelkiego ćwiczenia *tam in militaribus, quam in civilibus*, jak do nauk, tak i do obyczajów przez przystojną młodzi szlacheckiéj edukacyę“ (*Vol. leg.* VII. 463); właściwie jednak wpływ jego ograniczał się na sporządzaniu parad, kierownikiem bowiem był książę komendant. On to napisał ogłoszony w roku 1769 *Katechizm kadecki*, z jego inicyatywy ułożyli dla wychowańców podręczniki: Fookowitz gramatykę łacińską, d’Edling geografię powszechną, Woyna przełożył mitologię Pomey’a, Jakubowski historyę grecką. Sam Czartoryski przetłómaczył Carlancasa historyę nauk wyzwolonych, we wstępie któréj bardzo charakterystycznie do młodzieży przemawiał. Z powyższego wynika, że z rachunku zasług Stanisława Augusta, o ile zaliczone zostały z okazyi szkoły kadetów, znaczną cyfrę wypada wytrącić.

Charakterystyce Stanisława Augusta w dziele p. Korzona zarzucamy brak ujęcia całości człowieka, luźność zbyt ostro rzuconych rysów, z których istotnéj fizyognomii odgadnąć trudno. Przedstawił autor dwóch ludzi: potwora moralnego i odrodziciela umysłowego narodu; rysów sprzecznych nie powiązał psychologicznėm ujęciem gruntu Stanisława Augusta i dla tego budzi w czytelniku wątpliwość, czy mogły istoty tak sprzeczne w jednéj osiąść osobie. W uwagach o Stanisławie Auguście znać w piórze p. Korzona pasyę, wbrew wymaganiu historyi, która nie znęcać się nad faktami, lecz każe je tylko konstatować i zgłębiać. Chociaż nowego materyału do osobistéj działalności Poniatowskiego dostarczył p. Korzon dużo, pomimo tego nie straciła, zdaniem naszém, wartości optymistyczna nieco, lecz subtelna i pełna prawdy psychologicznéj charakterystyka króla, wyrzeźbiona rylcem Kalinki.

Brnął w długi Stanisław August, ale za to dźwigał się skarb Rzeczypospolitéj.

Reforma Czartoryskich na sejmie konwokacyjnym przyniosła skarbowi kor. powiększenie dochodów olbrzymie: zamiast wykazanych w r. 1748 zł. p. 5,850,000, wpływało ich w pierwszém dwuleciu (1764—66) po 10,000,000; całkowity dochód korony i Litwy wynosił w tym czasie około 13 milionów rocznie. Sejm konwokacyjny zastał w skarbie koronnym gotówki zaledwo 19,000 zł., z końcem zaś owego dwulecia w obu skarbach Rzeczypospolitéj okazała się w gotowiźnie pozostałość 3½ miliona. Zawieruchy domowe w latach: 1767, 68 i dalszych, oraz klęska pierwszego rozbioru stan pomyślności finansowéj podminowały straszliwie: z końcem sejmu delegacyjnego (r. 1775) dług samego skarbu koronnego wynosił przeszło 15 milionów zł. „Stan Polski w epoce pierwszego rozbioru był, powiada p. Korzon, równie okropny pod względem finansowym, jak ekonomicznym i politycznym. Była to ruina powszechna, rozkład dawnego państwa przerażający, rozpaczliwy! Każdy, kto mógł, śpieszył się, aby porwać łup jakiś z walącego się gmachu Rzeczypospolitéj".

W okresie Rady Nieustającéj (1776—88) znowuż dochody rosną: było ich w obu skarbach Rzeczypospolitéj w latach: 1776 i 1777 po 18,000,000, w 1787 i 1788 po 21,600,000. Pomimo uszczuplenia kraju przez rozbiór, zwiększyły się dochody od 1½ do 1¾ razy w porównaniu z pierwszém dwuleciem panowania Stanisława Augusta. Pozostawał téż zawsze po zaspokojeniu wydatków znaczny remanent, który mógł być obracany na sprawy użyteczności publicznéj i wojsko.

Przeprowadzone podczas sejmu wielkiego reformy siłę podatkową państwa zdwoiły: w r. 1791 czysty dochód skarbów Rzeczypospolitéj wyniósł około 40 miljonów. Remanentu w r. 1792 okazało się w obu skarbach około 6,000,000 gotówką. „W ciągu ćwierci wieku skarb Rzeczypospolitéj zbogacił się prawie dziewięćkrotnie i doszedł do takich sum, jakich nie widział podobno żaden podskarbi, może nawet za najświetniejszych czasów dawnéj Polski". Zdaniem p. Korzona, zasoby materyalne kraju pozwalały na podwojenie jeszcze raz całéj sumy budżetowéj, mogłyby wystarczyć na wystawienie uchwalonéj przez sejm czteroletni armii stutysięcznéj, gdyby przedstawiciele narodu rozporządzali odpowiednią siłą intelektualną. Nie pozyskawszy dochodów dostatecznych, zwrócono się dla zaspokojenia potrzeb naglących do zaciągania pożyczek: słabo jednak dopisała wewnętrzna, chybiła genueńska, doszła jedynie dziesięcio-milionowa holenderska. Główną złego przyczyną był, zdaniem autora, brak w państwie instytucyi kredytowéj, któréj ważności ludzie sejmu wielkiego dostatecznie zrozumiéć nie mogli. Przez proste podatkowanie i odręczne krótko-terminowe pożyczki niepodobna było dostarczyć skarbowi zasobów, niezbędnych do stawienia czoła potężnym finansom państw ościennych.

Konfederacya targowicka i drugi rozbiór kraju przyprawiły znowu finanse o rozstrój: Kościuszkę oczekiwały wszędzie puste skrzynie skarbowe,—cały zapas gotowizny w kasach koronnych wynosił zaledwie 778,327 zł., kasę litewską zabrał generał rosyjski. Liczyć więc wypadło na same środki nadzwyczajne i ofiarność narodu. „Złoto ze skarbca krakowskiego, srebro z ołtarzy, dzwony z wież kościelnych, kir z katafalków, ołów i miedź z dachów pałacowych, w końcu zdeponowane gdziekolwiek kapitały prywatne zabierano z rozkazu rządowego. W ciągu pół-roku mniéj więcéj wyciągnięto z obszaru prawie połowicznego w porównaniu z Polską z r. 1792 przeszło 25 milionów według najmniejszéj rachuby, które warte są z pewnością stu milionów sejmu czteroletniego. I społeczeństwu téż nikt zapewne nie zarzuci braku ofiarności, gdy na liście datków ujrzy obok sreber z kredensów pańskich, pudełek i brylantów z gotowalni damskich, kilka łokci płótna zgrzebnego z wiejskiéj chałupy, lub kilka złotych złożonych przez żebraka"...

Olbrzymiéj pracy, jaką szan. autor poświęcił zbadaniu skarbowości za Stanisława Augusta, odpowiada doniosłość rezultatów naukowych, nowe w dziejach Rzeczypospolitéj odsłaniających widoki. Pomimo niedostateczności materyału do historyi skarbu litewskiego; pomimo wielu wątpliwości w kwestyach szczegółowych, rezultaty badań p. Korzona za podwalinę służyć muszą do zrozumienia

i oceny epoki Stanisława Augusta. Obfitsze materyały zmoderować mogą cyfry pojedynczych pozycyi, nie naruszą przecież metody. Nieodłączne od dzieł wielkich usterki redukują się w tym tomie do zera (1).

Olbrzymiéj objętości tom czwarty przedstawia rząd Rzeczypospolitéj i działalność machiny administracyjnéj. Część pierwsza zawiera pogląd na sądownictwo i sejmy, opis budowy komisyi skarbowych, wojskowych, jurysdykcyi marszałkowskiéj i dyrekcyi poczt, charakterystykę departamentów Rady Nieustającéj i komisyi edukacyi narodowéj; druga przedstawia działalność instytucyi z doby sejmu wielkiego: komisyi skarbowych, wojskowych i policyi obojga narodów, komisyi porządkowych cywilno-wojskowych wojewódzkich i powiatowych, konfederacyę targowicką, sejm grodzieński i rząd powstańczy z r. 1794. Szczegółowy opis bitwy Maciejowickiéj zawarł autor w dodatku, dołączył też plany: Fersena i własny.

Organizacyi sądownictwa dotknął p. Korzon pobieżnie: nie dostrzegłszy w Polsce Stanisława Augusta zamachów na bezpieczeństwo publiczne, bardzo pochlebnie wnioskuje o organach sprawiedliwości i moralności narodu. Nagromadzony do téj sprawy materyał daje autorowi możność „sprostowania powtarzanych dziś uporczywie twierdzeń o bezkarności złoczyńców w danéj Polsce, o braku sprawiedliwości, ba nawet o zuchwałém z niéj urąganiu“.

Opinie podróżników: Rulhière'a, Coxa, Biestera, Schultza dostarczają istotnie świadectw pochlebnych; nader ważne są téż spostrzeżenia p. Korzona, że w przeciągu lat trzydziestu ani jeden transport Komisyi skarbowéj nie zginął; że w głównym zakładzie karnym, w twierdzy Kamienieckiéj, skazanych więźniów z całego kraju bywało zaledwie 200,—pomimo tego sądów w rzeczonéj materyi, jako nie opartych na materyale dostatecznym, za stanowcze poczytywać nie można. Rozstrzelanie w Mińsku głośnego Michała Wołodkowicza (nie Wołłowicza, str. 17) z natury faktu i daty (nie za Stanisława Augusta, bo w r. 1760) odstąpić należy dobie saskiéj; pochlebne zaś relacye cudzoziemców moderują spominki ojczyste o faktach mniéj zaszczytnych, a dość głęboko zachodzących w cza-

---

(1) St. Poniatowski umarł nie wojewodą mazowieckim (str, 8), lecz kasztelanem krakowskim. Okęcki nie płockim (231), lecz był biskupem poznańskim; Sapieżyna nie wojewodziną (26, 28), lecz wojewodzicową mścisławską. Ponieważ autor bezskutecznie szukał informacyi o charakterze Karasia (16, 17), przypominamy przeto biografię kasztelana, skreśloną przez Bartoszewicza (*Znakomici mężowie polscy*, tom III). Zagadkowe starostwo Prosiatkowskie (52) leżało w powiecie Latyczewskim, płaciło kwarty zł. 1488, było w r. 1770 w posesyi Zamojskiego (Piotrowski. *Summaryusz królewszczyzn*, str. 38).—po mężu przeto zatrzymała je *Madame de Podolie*.

sy Stanisława Augusta. „Dziś, pisze pamiętnikarz pod r. 1781 (*Rękopism X. Bagińskiego*. Wilno 1854, str. 111), Xięstwo Litewskie nie już filuterskiéj, ale wyraźnéj złodziejskiéj doświadcza kompanii... Wielmożny koniuszy województwa wileńskiego, Benedykt Oganowski, dawniéj zawołany po różnych subseliach patron, dobrawszy do kompanii godnych także: Muśnickiego, Zułkowskiego etc. na 300 osób hultajów, cudze majątki odarł, 30 skradł, a w tym tylko roku pośledziony i do Trybunału z kolegami niektóremi zawołany... Wszyscy pokrzywdzeni zanieśli swoje krzywdy: kościoły o argenteryą i aparaty; dwory o sumy, srebra, zegarki, suknie etc.; miasta o konie, sukna, materye; wsie o woły, barany, świnie, owce, konie etc. Co straszliwszego? chrześcianki, żydówki, karaimki o gwałt sprośny, o bestyalstwo, o sodomią, o uwiezienie cudzych żon etc., czego Trybunał i słuchać nie mógł, o to wszystko herszta i jego adherentów skarżono i jaśnie dowodzono.“ Trybunał wileński (pod laską Adama Czartoryskiego) kazał Oganowskiego i Muśnickiego „do dalszéj konwikcyi“ uwięzić, innych społeczników powiesić. Pamiętnikarz intrydze tylko przypisuje zamianę Oganowskiemu szubienicy na dożywotnią w klasztorze kartuzów pokutę.

Niektóre szczegóły, dotyczące organizacyi sądownictwa, wypada sprostować. Zamiast: „sądownictwo *całe* używało zupełnéj niezależności od r. 1578, kiedy Stefan Batory, ustanawiając trybunały koronny i litewski, przelał na nie swoje najwyższe atrybucye monarsze“ (str. 3),—powinno być: *szlacheckie*, albowiem miasta odwoływały się zawsze do asesoryi. Zresztą, rok 1578 i dla niezależności sądów szlacheckich stanowczym nie jest: Litwini otrzymali trybunał dopiero na sejmie 1581, Prusy w 1585, Wołyń i Bracław 1589, a Kijów w r. 1590. Sąd sejmowy ustanowiony został nie w r. 1775 (str. 8), lecz w stuleciu XVI. Odpowiadał przed nim w r. 1655 Filip Obuchowicz za poddanie Smoleńska, 1664 Jerzy Lubomirski za obrazę majestatu i zdradę. Z okoliczności, że niejaki Stanisławski „przez lat 70 był wciąż sędzią ziemi warszawskiéj“ (str. 13), zamiast korzystnych dla sądownictwa polskiego, wypada chyba wyciągnąć wniosek o szkodliwości urzędów dożywotnich, do których właśnie należał tak długo sprawowany przez starca.

Korzystną również dla narodu opinię wynosi p. Korzon z przeglądu sejmów. Działalność władzy prawodawczéj zakłóceniu uległa w ciągu trzydziestolecia trzykroć z okazyi prądów wewnętrznych, zmierzających ku naprawie państwowéj (1764, 76, 91) i tyleż razy (1767, 73—5, 93) z przemocy sąsiadów. Rezultaty pierwszych naród uznawał za dobre i popierał; drugich wedle możności niweczył. Pomimo tylokrotnego pogwałcenia wolności obrad i sprofanowania

formalności prawnych, cześć dla instytucyi sejmowéj i konstytucyi przetrwała w narodzie bez szwanku. Wbrew opiniom pessymistów, że *Volumina legum* były zbiorem ustaw „rzadko, źle lub nigdy niewykonywanych", spostrzega p. Korzon wielką w narodzie dla prawa uległość.

Klasyfikacya sejmów nie wydaje nam się dość ścisłą: pominięto sejm Czaplica, o którego zaliczeniu do téj lub owéj grupy decydować nie chcemy; zapomniano o sejmach z r. 1782 i 1786 (sprawa Sołtyka i Dugrumowéj), z których uformować by można kategoryę odrębną, niewiele przynoszącą narodowi zaszczytu. Zauważyć téż trzeba, że skonstatowane przez p. Korzona przywiązanie do ustaw nie z samego wynikało poczucia prawności: nie mało w niém tkwiło lenistwa i nałogów konserwatywnych, o które rozbił się projekt Zamojskiego w r. 1780 i wiele usiłowań sejmu konstytucyjnego. W powoływaniu się sądów w stuleciu XVIII na statut wiślicki, wskazywaniu na „dwoje czternadziesta grzywien" dowodów czci dla prawa dopatrzéć trudno: jest to raczéj wynik braku porządnéj kodyfikacyi, objaw panującego w ustawodawstwie zamętu.

Gruntowniejsze są badania nad działaniem władz administracyjnych, szczególnie pouczające przez wykazanie potęgującego się nieustannie uzdolnienia narodu w pełnieniu służby publicznéj. Instytucye z pierwszego dwunastolecia panowania Stanisława Augusta dla zaburzeń krajowych i rozbioru rozwinąć należycie działalności nie mogły; odznaczyły się jednak, przynajmniéj ustanowiona w r. 1764 komisya skarbu koronnego, wybitną rzetelnością i usiłowaniem ustalenia pewnego w sferze swych czynności porządku. W okresie Rady Nieustającéj posiadała machina administracyjna więcéj narzędzi, rozszerzała się téż jéj działalność i nabierała z każdym rokiem dokładniejszéj rutyny; będąc jednak narzutem Rosyi, zaufania w narodzie zyskać nie mogła. W dobie sejmu wielkiego niepospolitą spostrzega p. Korzon w pracach organów administracyjnych gorliwość i postęp; na szczególne zaś wyróżnienie zasługują komisye porządkowe cywilno-wojskowe, o uzdolnieniu i sumienności ziemiaństwa świadczące chlubnie. Z wielką zabiegliwością i znajomością rzeczy wejrzał autor do głębi instytucyi; a nie poprzestając na zbadaniu ich funkcyi, zapoznał się z charakterem i uzdolnieniem ludzi przedniejszych: Twardowskiego, Moszczeńskiego, Walickiego, Piwnickiego, Rogalińskiego, Łojki, Moszyńskiego, Krajewskich, Mikorskiego, Ostaszewskiego, Andrychewicza, Łączyńskiego, Albrychta, Pęczkowskiego, Wichlińskich, Rudnickiego, Biernackiego, Deybel'a, Lehman'a, Czackiego, podskarbiego w. kor. Wessla, nadw. lit. Tyzenhauza, prezesów Komisyi Skarbowéj: Po-

nińskiego i Kossowskiego, hetmana Branickiego, jenerała Komarzewskiego itp. Wizerunki niektórych wyszły w świetle odmienném lub nowém: zasługi wyidealizowanego przez Kalinkę Komarzewskiego do sprawiedliwéj p. Korzon sprowadził miary; przechwalonego Tyzenhauza potępił za nadużycia i zaszczepienie w zarządzie skarbu litewskiego krzyczącego nieładu (1). Jedynie komisya edukacyi narodowéj czekać jeszcze musi historyka; wciągnął ją wprawdzie autor w organizm swych badań, lecz zgłębiał mimochodem i krótko. Nie należy się gorszyć akademią zamojską, że w dobie odrodzenia wszechnic: krakowskiéj i wileńskiéj „wlokła mizerny żywot bez dozoru rządowego“ (IV, I, str. 309), skoro przez pierwszy zabór odeszła do Austryi; sprostowaniu ulega uwaga, jakoby „komisya edukacyjna nie zajmowała się szkołami ludowemi“ (IV, 2, str. 205), kiedy ogłoszone w r. 1783 *Ustawy dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitej przepisane* rozdział XXII poświęcają organizacyi szkół parafialnych i potrzebę ich zakładania tłómaczą. Nieocenione za to podał p. Korzon szczegóły o szkołach ludowych w Czerskiém, o chwalebnych usiłowaniach w tym względzie komisyi porządkowych cywilno-wojskowych.

Kończy p. Korzon swe dzieło obrachunkiem sił militarnych Rzeczypospolitéj w dobie sejmu wielkiego, podczas wojny z r. 1792 i powstania 1794. Uchwaloną w początkach sejmu armią stutysięczną zredukowano do 65,000 i takiéj jednak liczby nie zdołano wystawić. W r. 1790 było wojska 56,000, w następnym przybyło niewiele. Zawiniła, zdaniem autora, komisya wojskowa przez niedopilnowanie skompletowania korpusów ludźmi i końmi, których Polska dostarczała remontyerom francuskim i pruskim. W przewidywaniu wojny, prawem z 21 kwietnia r. 1792 nakazał sejm wystawienie armii stutysięcznéj i nowy uchwalił etat. Na teatrze wojny w chwili wkroczenia Rosyan liczba wojska polskiego nie dochodziła 30,000, wzrosła późniéj przez kompletowanie dawnych korpusów rekrutami, oraz przez powołanie kantonistów do 70,000. Uchwała sejmu nie zamieniła się w czyn, armia nie dosięgła liczby stutysięcznéj, albowiem rekrutacya nie mogła być wykonaną w województwach, zajętych przez wojska rosyjskie. Pomimo tego położenie rozpaczliwém nie było: miało wojsko zapał wielki i mogło zwyciężyć, gdyby Stanisław August, mianowany przez sejm wodzem naczelnym, nie uczynił haniebnego do Targowicy akcesu. W dacie ogłoszenia powsta-

(1) Zauważymy, że Tyzenhauz nie przestał być ministrem do śmierci; Dziekoński nie 1780 (IV, 2, str. 239), lecz w r. 1785 objął podskarbstwo nadw. lit.

nia Kościuszkowskiego liczyło wojsko polskie zaledwie 26,000, przed oblężeniem Warszawy wzrosło do 72,000, w końcu doszło do 94,000.

* * *

Sam p. Korzon rezultaty rozległych swych badań zreasumował w „Zamknięciu“, które dla szerszego koła czytelników warto opublikować oddzielnie. Tyle ono zawiera spostrzeżeń trafnych, wniosków ścisłych, podniosłych uczuć, głębokiego przeświadczenia o żywotności narodu i swady, że z najświetniejszymi ustępami historyografii polskiéj walczyć może o lepsze. Nie masz w niém zapędów doktrynerskich, ani urojeń; na straży każdego uogólnienia stają fakta i cyfry.

Przyklaskujemy spostrzeżeniu, że za pierwszą i główną przyczynę upadku dawnéj Rzeczypospolitéj uważać należy wiszącą nad Polską jeszcze w połowie wieku XVIII ciemnotę, że probierzem wartości narodu w dobie ostatnich klęsk jego jest ilość okazywanego w czynach patryotyzmu. Oświata w dobie panowania Stanisława Augusta dźwigała się szybko; skala uczuć patryotycznych powolniéj, doszła jednak w końcu miary wysokiéj.

Słusznie konstatuje p. Korzon, że organizacya stanowa Rzeczypospolitéj żywszych poczuć obywatelskich we wszystkich klasach narodu w równym stopniu budzić nie mogła: mieszczanin dbał jedynie o interesa ratusza lub cechu; ksiądz widoki wyznania swego stawiał nad sprawy ogólne państwa; szlachcic, gardząc plebejami, miał się za istotę wyższą i w sobie tylko ogniskował ojczyznę. Kochał zaś kraj swój o tyle tylko, o ile mu instytucye jego zapewniały swobodę; ojczyzny bez „złotéj“ wolności pojąć nie umiał. „Wolałbym, mówił w r. 1787 Tadeusz Czacki, być niewolnikiem obcego mocarstwa, niż własnego króla“; „gdy kajdany, wkładać miane przez sukcesyę na Polaków, inaczéj niemożna zrzucić, jak być Prusakiem, Rosyaninem lub Austryakiem,—będę nim“, wołał w r. 1790 Suchorzewski, poseł kaliski. Obok konserwatystów tego pokroju, spostrzega autor zarażonych kosmopolityzmem postępowców w perukach i fraczkach, hołdujących pięknym teoryom filozoficznym lecz na sprawy kraju nieczułych. Na takiém tle psychiczném obu grup narodu pleniła się zaszczepiona przez dwuwiekowe intrygi elekcyjne i ekscesa możnowładcze choroba czepiania się cudzéj interwencyi. Najprzedniejsi magnaci szli w służbę sąsiadów; hardzi w stosunkach z własnym monarchą, buntowniczy na każde podrażnienie ambicyi, znosili w pokorze przemoc i zniewagi od obcych. Systematyczne czepianie się sąsiadów wynikało z głupoty politycznéj i braku patryotyzmu; uleganie im było następstwem zatartego

poczucia siły. Masa szlachecka, długo dotknięta martwotą i dająca się kierować takim przewódcom, dała dowody poczuć lepszych: ruchawka barska, pomimo wielu haseł niedorzecznych, była w zasadzie objawem zdrowym.

Sromota pierwszego rozbioru budzi z uśpienia uczucia i myśli; w broszurach z epoki Rady Nieustającéj a zwłaszcza w *Uwagach nad życiem Jana Zamojskiego* Staszyca żywo bije serce, głośno przemawia rozum. Przez zamknięcie szkół jezuickich, a prace Komisyi edukacyjnéj wzrasta zdrowa oświata; nędza, spowodowana szeregiem katastrof, wzmacnia energię. Okazuje się przyrost ludności o 1,26% rocznie; podnosi się produkcya rolnicza i wywóz; staje około 300 fabryk, dźwigają się miasta, ożywia się handel, po nędzy przerażającéj okazuje się obfitość monety złotéj i srebrnéj; zasobnym staje się skarb, tworzy się porządnie uzbrojona i umundurowana armia. Dokonało się w krótkim stosunkowo czasie przetworzenie Polski; z dawnéj budowy pozostały tylko nietknięte kamienie węgielne: poszanowanie osoby, własności i wolności obywatelskiéj, stary samorząd i miano Rzeczypospolitéj. Rośnie dla odbudowanéj szacunek obcych, manifestują przywiązanie swoje wchodzące w organizm Rzeczypospolitéj „narody“ i „państwa.“ Niestety! obrona zdobyczy materyalnych i moralnych nie udała się ani 1792, ani w r. 1794. Z czyjejże winy?

Powód przegranéj widzi autor w błędzie reformatorów sejmu wielkiego, zaprowadzających przedwcześnie monarchię dziedziczną; w braku człowieka czynu, niedotrzymaniu traktatu przez króla Fryderyka Wilhelma, w wybuchu wojny francusko-prusko-austryackiéj. „Tylu okropnych warunków, powiada, nie znajdziemy w żadnéj z zapisanych w historyi powszechnéj walk o niepodległość.“

Jesteśmy odmiennego zdania co do wrzekoméj nieoględności w zaprowadzeniu sukcesyi; na zrobiony z jéj tytułu sejmowi czteroletniemu zarzut doktryneryi zgodzić się trudno. Wszakże w sprawie obioru następcy za życia Stanisława Augusta odwoływano się do opinii narodu; musiano téż sukcesyą ważyć głęboko, — wprowadzono ją do ustawy majowéj w tém tylko przeświadczeniu, że cała reforma w towarzystwie skutków elekcyi byłaby błahą. I po za sukcesyą ustawa 3-go maja dawała do rokoszu powodów aż nadto: większym może hazardem było usunięcie szlachty ubogiéj od sejmikowania, stwarzało bowiem zastępy malkontentów, usprawiedliwiało hasło, z jakiém wystąpił Szczęsny.

Pomimo odmiennego zapatrywania na kwestyę sukcesyi i genezę rokoszu targowickiego, poglądowi autora na przyczyny chybionéj obrony najzupełniejszą przyznać należy słuszność. Wobec

skonstatowanego przez p. Korzona na podstawie faktów i cyfr stanu materyalnego i moralnego Polski w dobie sejmu wielkiego nie mogą się ostać wygłaszane przez szkołę historyczną krakowską dedukcye na temat własnych win, upadku cnót, braku silnego rządu i t. p. wrzekomych przyczyn ruiny. Stoi p. Korzon na przeciwległym w stosunku do szkoły krakowskiéj krańcu; rezultaty badań jego prędzéj czy późniéj wyrugować muszą z historyografii zabarwione tendencyami politycznemi poglądy. „Jeżeli społeczeństwo, powiada p. Korzon, wyszło z analizy oczyszczoném z wielu zarzutów, jakiemi je dotychczas obarczano, jestto skutkiem wydobycia z niepamięci, z kurzu archiwów i z rozgwaru sądów namiętnych działalności wielostronnéj, pochwycenia jéj w codziennych, drobnych, nieusystematyzowanych, a więc najrzetelniejszych i najszczerszych objawach.“ O wpływie użytego materyału i zastosowanéj w badaniu metody na osiągnięte rezultaty wątpić nie można; nie w saméj jednak odmienności źródeł szukać trzeba, zdaniem naszém, różnicy pomiędzy poglądami p. Korzona i szkoły krakowskiéj. Miło nam ku chlubie dziejopisarstwa naszego skonstatować szybowanie pana Korzona po nad sferą doktryn, hołdowanie wyłącznie prawdzie. Z podejrzliwością Litwina, jak sam się lubi wyrażać, przez lat ośm podpatrywał tajemnice ostatnich pokoleń Rzeczypospolitéj nie dla tego, żeby z osiągniętych spostrzeżeń kręcić bicze na umarłych i żywych; nie po to, żeby rezultatami badań stwierdzać i ku użytkowi chwili obecnéj podawać teorye polityczne, — lecz jedynie z głębokiego poczucia potrzeby szukania prawdy. Dla téj prawdy, wysnutéj drogą mozolnego a ścisłego rachunku, dzieło p. Korzona stanowi w literaturze historycznéj polskiéj *monumentum aere perennius*.

*Wł. Smoleński.*





# IDEA ORGANIZMU W BADANIACH SPOŁECZNYCH. (1)

Zostawiliśmy na sam koniec wykład poglądów Fouillé'go, współczesnego myśliciela francuzkiego, dla dwóch względów: 1° zajmuje on stanowisko odrębne w szeregu twórców społecznego organizmu, a 2° zachowuje się daleko krytyczniéj, nie zadawalnia samą analogią, lecz szuka uzupełnienia po za nią.

Fouillé rozwinął swą teoryą w dziele p. t. „*La science sociale contemporaine*", dosyć młodém, bo mającém dopiero 6 lat życia. Jego rysami znamiennemi są: żywotność, chęć ukoronowania wywodów oderwanych wnioskami praktycznemi, świadomość konsekwencyi, na które inni przedstawiciele szkoły dobrowolnie zamykają oczy.

Już to samo, że miał możność poznania braków swoich poprzedników i wsłuchania się w ocenę ich utworów, pozwoliło mu uniknąć jednostronności i skrajności. Nie jest on bezwzględnym czcicielem „społecznego organizmu".

Fouillé zawczasu określa cel, dla którego wdaje się w długie rozumowanie. Chodzi mu mianowicie o zbadanie *początku*, *natury* i *celu* społeczeństwa. Oto trzy główne momenta dociekania, określające zarazem 3 punkty porównania gromad ludzkich z pojedyńczemi ustrojami. Dowodów podobieństwa mają dostarczyć przeważnie fizyologiczna i anatomiczna strona obu szeregów zjawisk.

Pochwyciwszy zasadnicze i odróżniające cechy organizmu, Fouillé dochodzi do przekonania, że znajdują się żywcem i w społeczeństwach.

Pierwszą jest: skierowanie pracy niejednakowych części ku zachowaniu całości (*concours*), dokonywa się ono siłą dwóch warunków: *a*) podziału czynności pomiędzy narządy oraz ich specyalizacyi i *b*) współpracy członków.

---

(1) Ob. „Ateneum", zeszyt wrześniowy r. b. str. 439—461.

Drugą zaś cechą jest: odpowiednia budowa. W tym względzie autor powołuje się poprostu na Spencera, który, jak widzieliśmy, szeroko opracował podobieństwo morfologiczne. A więc i tutaj przemysł, rząd i handel utożsamione są z aparatami: odżywczym, kierowniczym i podzielnym.

Nadto Fouillé odnajduje jeszcze jeden punkt styczny, już nie za przykładem Spencera; twierdzi on, że społeczeństwa narówni z organizmami posiadają samowolę i celowość, ale nie ową dedukcyjną, metafizyczną, lecz empiryczną, uwarunkowaną koniecznością przystosowań w walce o byt. Wreszcie Fouillé dowodzi nieobecności dwóch doniosłych różnic, podnoszonych przez Spencera, Comte'a i Littre'go. Pierwszy podkreśla rozdzielność powłoki społecznéj w przeciwstawianiu do spójności ciał jednostkowych. Dwaj ostatni nie szukali wcale podobieństwa śmierci w społeczeństwach. Otóż Fouillé odpiera, że pojęcie o przestrzeni jest względném i przeto nie ma zasady poczytywać odstępy między członkami społeczeństwa za coś odmiennego od substancyi międzykomórkowéj, co się zaś tyczy trwałości gromad w czasie, to można wnet dostrzedz téż same fazy wzrostu i upadku, co i w osobnikach zwierzęcych i roślinnych.

Autor szuka również argumentów podobieństwa w dziedzinie duchowéj—brak systemu nerwowego w społeczeństwach nie zraża go, gdyż wierzy, że specyalizacya organów nerwowych nie stanowi *conditio sine qua non* życia: czucie może być wszędzie rozlane „mózgi obywateli tworzą masę nerwową narodu" (Op. cit. 108). Toć zwierzę, któremu wyjęto część mózgu, nie przestaje pozostałością jego czuć, myśléć, chciéć, a przecież téż procesy zachodzą w społeczeństwie. W ogóle Fouillé lubi ratować się doświadczeniami wiwisekcyi.

Duszy, jako samowiedzy osobowéj czyli „jaźni", niemasz w społeczeństwie.

Przechodzimy do socyologii *sensu stricto*. Osią, koło któréj obracają się świadomie, czy bezwiednie wszystkie doktryny społeczne, jest stosunek jednostki do całości—on to dał początek wszelkiéj zespólności, do niego, otwarcie mówiąc, zmierzają wszystkie tyrady socyologów do jego praw, przeszłości i przyszłości. On jest téż punktem ciężkości teoryi Fouillé'go, a celem wiadoméj analogii wykrycie najwłaściwszéj normy samoistności indywidualnéj i społecznéj. Ażeby ustrój rzeczywisty mógł nas czegokolwiek nauczyć, potrzeba ażeby podobieństwo rozciągało się i do owego stosunku części do całości. W istocie téż rozciąga się na wszystkie trzy wzmiankowane momenty.

Na naturę społeczeństwa. Że części osobnika są nieświadome a członkowie społeczeństwa obdarzeni samowiedzą—nic nie znaczy. Czynnik ten nie zmienia postaci rzeczy. Toż poczucie korzyści życia towarzyskiego może jedynie zdwoić spójność, ale nie osłabi węzłów jego.

Powtóre, co do pochodzenia grup ludzkich—i ono całkiem przypomina powstawanie organizmów, wprawdzie tu skupiają się pierwiastki bierne, tam niezależne, ale różnica to pozorna, gdyż przecież członkowie społeczeństwa nie dobrowolnie zrzekają się swobody, lecz z musu, przynagleni potrzebami życia. Z drugiéj znowu strony, takie ustroje, jak np. polipy, ujawniają także znaczną samoistność.

Wreszcie możliwy co do trzeciego punktu, zarzut, że celem pracy cząstek osobnika jest pochłaniająca je całość, a w społeczeństwach zachodzi tylko współ-działalność, autor spodziewa się obalić twierdzeniem, że w obu wypadkach interes całości idzie ręka w rękę z interesem cząstek.

Z tego wszystkiego widać, że autor obawia się, by jego analogia nie wyzuła społeczeństwa z własnowolności, nie uczyniła go czémś bierném—i dla tego kładzie wszędzie nacisk na żywioł samowiedzy. W ten sposób stwarza on organizm nowy, ulepszony „umówny“ (*l'organisme contractuel*). We wszystkich spojeniach jest pewna doza swobody, czyli świadomego zobowiązania się; z czasem współczynnik ten wzmaga się, a oparta na nim całkowicie budowa społeczna urasta do ideału nauki politycznéj,

Pozostaje atoli czynnik biernéj organizacyi, odpowiada prawu całkowania u Spencera. Jak go z pojęciem dobrowolnych ustępstw pogodzić? Bardzo łatwo—rozumie się dla Fouillé'go. Dajmy na to, że narządy ciała naszego, serce, żołądek, płuca nie mają żadnego poczucia roli, którą spełniają, posłuszne jedynie żelaznym prawom i że nagle we względzie tym zostają oświecone, zaczynają pojmować konieczność swéj pracy—czyż wskutek tego rozejdą się, zbuntują jeden przeciw drugiemu? Bynajmniéj, przekonają się tylko, że są sobie wzajemnie pożyteczni, że się wzajemnie utrzymują przy życiu i jeszcze zgodniéj i gorliwiéj wezmą się do dzieła. Oto na placu miejskim krząta się po ciemku kupa ludzi, zajęci są czémś bardzo, popychają się, przewracają, przeszkadzają—w tém na scenę pada światło—i cóż się stanie? ruchy pracujących nabiorą harmonii, a robota zorganizuje się ku ogólnemu pożytkowi.

Tak tedy, organizm to *sui generis*—i postępu nie wstrzymuje i nie zadaje kłamu analogii społeczeństwa z organizmem zwierzęcym. Ztąd wyprowadza Fouillé ważne wyniki dla najbliżéj zaintere-

sowanych nauk, jak polityka. Nie zadawalnia się on misyą, jaką powierza społecznemu rozumowi Spencer, misyą równoważnika, regulatora rozmaitych prądów życia zespólnego. Znany „nihilizm administracyjny“ brytańskiego mędrca, hołdujący godłu „minimum rządu“, nie zjednywa sobie współczucia u Fouillé'go. Żąda on od państwa czegoś więcéj: czynu, inicyatywy i propagandy. Zwierciadło, odbijające biernie dążenia społeczne, nie wystarcza, potrzeba steru kierującego nawą ku celom wyższym; potrzeba władzy, któréj by się wszyscy poddali, złożonego systemu nerwowego z wpływowém ogniskiem, wolą i samorzutnością, mózgu (1).

Na stosunku siły kierowniczéj do potrzebujących jéj jednostek buduje Fouillé hierarchiczną klasyfikacyą społeczeństw. Na szczeblu najniższym stoją zaledwie zogniskowane, gdzie całość żyje raczéj dla części, niż odwrotnie, na wyższych zaś gromady, w których zapanowała pewna równowaga pomiędzy siłą odśrodkową i dośrodkową. Kategorya ta składa się z 4-ch szeregów, ukazujących łagodne stopniowanie w imię dewizy *„natura non facit saltus“*.

Pierwszy to typ skupień pół-dzikich małoześrodkowanych, drugi wyobraża walkę indywidualizmu z kolektywnością, czyli mięszaninę despotyzmu z anarchią; w trzecim państwo przeważa nad osobistością,—wreszcie ostatni jest wcieleniem syntezy obu pierwiastków jest zatém prawdziwym „ustrojem umównym“.

Fouillé marzy o zastosowaniu zasady „umowności“ do wszystkich gałęzi prawa, czyli nie tylko do państwowości. Szczególnego wyglądu nabiera przez to idea sprawiedliwości. Przestępca sam wyznaczałby sobie karę, tak jak praktykowało się w Atenach. Myśliciel francuski łudzi się, że era ta zapanuje kiedyś, albowiem rzeczywista sankcya tam tylko istnieje, gdzie wszyscy są związani układem, gdzie więc sprawca złego, świadom wyrządzonéj krzywdy, „uchwala“ karę, więcéj nawet, domaga się jéj i sam ją na sobie wykonywa.

Inne konsekwencye pomijamy—pomijamy ogólno-filozoficzne, a zwłaszcza etyczne, a to dlatego iż pojęcie organizmu coraz rzadziéj tam wchodzi w grę, coraz słabiéj daje się słyszéć wpośród terminów czysto społecznych—aż w końcu zapytujemy: co ono robiło w systemacie i gdzie się podziało.

Ale nie tylko wierzchołki teoryi takie wrażenie sprawiają. Sam pień jéj jakoś bez idei ustroju łatwo obejść się może i innym rdzeniem, zapełniony, mógłby do tych samych doprowadzić wniosków. Zastąpmy „organizm“ „mechanizmem“ a przekonamy się o tém.

(1) Rozdział: Consequences politiques de l'organisme social, p. 128—145.

Skoro raz Fouillé przyjął za aksyomat, że obdarzenie komórek *samowiedzą* nie psuje w niczem analogii z organizmem—wszystko stało się możebném, choćby w istocie było najniemożliwszém. Cóż za dziw, że ustrój społeczny staje się ugodowym, skoro jego komórki mają świadomość swych czynów i rozumieją cel ich. Ale czy z takich bytów złożone ciało—mamy prawo nazwać organizmem?

Mógłbym rozumować w ten sposób. Społeczeństwo jest *maszyną*; sprężyny i koła pracują dla wspólnego dobra. Nagle cudem jakimś nabierają samowiedzy—cóż się wówczas stanie, czy powstaną przeciw sobie? Bynajmniéj—zdwoją, potroją gorliwość i harmonią. I oto gotowa „maszyna umówna“ jako model społeczeństwa.

## III.

Istnieje jeszcze jedna grupa badań społecznych, w któréj idea ustroju odgrywa ważną rolę. Mówimy o owych rozrzuconych teoryach naukowych, poświęconych tylko jednemu z działów socyologii, noszących cechę mniéj ogólną ale jednocześnie, lub może właśnie dla tego, stojących bliżéj praktycznego życia i wreszcie nierzadko przechodzących w normy i prawa. Taką jest dziedzina zagadnień politycznych, taką jest gałąź stosunków ekonomicznych i wreszcie czysto prawnych,—wszystkie widziane ze stanowiska prawodawstwa i reformy.

Przedmiotem dociekań socyologicznych są urządzenia społeczne, prawa ich rozwoju oraz stosunku, wypływającego z następstwa i współistnienia. Ponieważ celem ostatecznym zabiegów ludzkich jest ulepszenie warunków bytu, przeto i w zakresie socyologii prawidła, które powinny kierować rozwojem instytucyi są najważniejszemi dla praktyki i dla nauki. Sposób użycia idei organizmu, o jakim mamy mówić, ma właśnie taką doniosłość żywotną. Tu już nie rozprawia się filozoficznie *de omnibus rebus et quibusdam aliis*, ale się czyni poważną próbę nadania życiu kierowniczéj busoli. Podczas gdy całe społeczeństwo, rozpatrywane jako osobnik, jest pojęciem teoretyczném, oderwaném, podczas gdy państwo szkoły organicznéj polityków również niewyraźnie się zarysowuje, chociaż znacznie bliżéj styka się z realnemi ziemskiemi interesami: kategorya doktryn i myślicieli w mowie będących zaleca się dążeniem bardziéj skromném, ścieśnioném ale i praktyczném. Nie dbają oni o to co stanowi ramię społeczności, a co piętę, nie silą się na wyszukiwanie rysów podobieństwa z pojedyńczemi organizmami, nie pytają na czém polega istota gromad ludzkich,—ale poprostu chcą ży-

ciu publicznemu w głównych jego stronach oszczędzić pośliznięć i błędów.

A błędów takich napłodził wiek ubiegły i początek bieżącego huk. Ruchy rewolucyjne stworzyły budowle, które w przeważnéj części szybko runęły. Gmachy wzniesione przez radykalizm były wątłe, jak domki z kart, i nie wytrzymały podmuchów rozmaitych restauracyi, reakcyi, pozwalając zapanować dawnemu porządkowi rzeczy. Niepowodzenia te zwróciły pilniejszą uwagę poważnych uczonych i publicystów, którzy zapragnęli nałożyć kiełzna ślepemu nowatorstwu, powołując się na „ciągłość“ (*continuité*) urządzeń państwowych; stąd powstała nauka, iż społeczeństwo i państwo nie są wytworami mechaniki, w których możnaby bezkarnie przetasowywać składowe części, wprowadzać najdowolniejsze zmiany, nie są warsztatami rękodzielniczemi, w których każdéj chwili można wszystko przerabiać, niszczyć, na nowo lepić itd. Innemi słowy zaczęto osłabiać nadmierne ku racyonalizmowi zaufanie, przeciwstawiając mu *organiczną* naturę instytucyi. „Instytucye rodzą się, ale nie fabrykują, to nie wytwór świadomie-dowolnego, ograniczonego rozumu, lecz związane są z prawami wszelkiego *organicznego* powstawania i wzrostu“—tak sformułował zasadę szkoły E. Kuntze w dziele „Punkt zwrotny w umiejętności prawnéj“. Nie są one rezultatem zwróconéj w pewnym kierunku pozytywnéj działalności prawodawczéj, ale zjawiają się samorodnie, z samych potrzeb zespolnego bytu. Rozwijają się organicznie, w zależności od otaczających czynników, nie dają się przenosić na grunt nieodpowiedni, nie łatwo się aklimatyzują, a przeniesione często schną, więdną lub wyradzają się.

Wpływ tego poglądu odbił się najpierw na zasadach prawodawstwa czysto politycznego.

W organiczném pojmowaniu instytucyi dominują dwie cechy znamienne: jedna broni ciągłości, nieprzerywalności ich, druga podkreśla organiczną spójnię z otoczeniem. Ta ostatnia acz bezwiednie, aczkolwiek nie w postaci porównania biologicznego, przecierała zdawien dawna niby nić czerwona z najgłośniejszych teoryi państwowych. Dowiódł tego cytatami znakomity profesor wiedeński, Karol Menger (1), który ze szczególném zamiłowaniem szpera w klasycznych dziełach. Przekonywa on nas, że praojcowie nauki społecznéj, Plato i Arystoteles uznawali już, „że wszelkie badania polityczne winny opierać się nie na czczych teoryach, lecz na historyi.“ Również znacząco o przedmiocie tym odzywa się Macchia-

(1) Dr. Carl Meuyer. Untersuchungen ueber die Methode der Socialwissenschaften etc. Leipzig 1883. pag. 187—194. Poglądy jego wyłożyliśmy w „Prawdzie“ z r. 1885.

velli, Bodin, Bacon, bazylejski uczony, H. Stupanres, wydawca dzieł Macchiavellego. Wszyscy oni głoszą względność instytucyi, ich zależność od warunków miejsca i wymagają od prawodawcy, by koniecznie liczył się z właściwościami miejsca i czasu.

Drugi rys organicznego na urządzenia poglądu rozpada się ze swéj strony na dwa momenty: jednym jest teorya niedostrzegalnego powstawania instytucyi, bijąca głównie na to, iż zjawiają się samorodnie, dojrzewają bardzo stopniowo i niepochwytnie dla oczów ludzkich, jako téż niezależnie od jego twórczości prawodawczéj, — drugi zaś stanowi pewnego rodzaju wniosek wypływający z poprzedniego i polega na wierze, iż umysł ludzki jest nadto słabym i niedołężnym, by mógł te dzieci bezwiednéj natury celowo przekształcać; że chcąc je poprawić, zazwyczaj tylko psuje. Oba te twierdzenia przemówiły w nauce znacznie późniéj.

Pierwszym znakomitszym ich obrońcą, pierwszym, który całkiem świadomie i nader energicznie obwoływał organiczność form społeczno-politycznych, był anglik Burke. Żaden z poprzedników jego, ani Necher, ani Montesquieu, wpływu nie wywarli, albowiem nikt z taką siłą nie uderzył o ideę powyższą, jak syn ziemi, która tém właśnie różniła się od innych państw, i tém szczyciła, że bez widocznego współudziału projektów prawodawczych, bez mozołów gabinetowych posiadała dobre urządzenia. Burke właśnie wskazywał na to nieznaczne, organiczne tworzenie się instytucyi angielskich, na ich niewzruszoną podwalinę dziejową i pysznił się w imieniu rodaków wyższością ich nad pragmatyzmem Francuzów i namiętnością stwarzania nowych kształtów li tylko przy pomocy oderwanych kombinacyi rozumu. W swych „Myślach o rewolucyi we Francyi" Burke wysławiając Wielką kartę, powiada: „Konstytucya nasza trzymała się niezmiennie polityki bronienia naszych swobód, jako przekazanych nam dziedzicom od przodków naszych... Polityka ta wypływa, zdaniem mojém, z głębokiéj refleksyi, albo raczéj stanowi owoc nieświadoméj przyrody, która jest mądrością *bez refleksyi i wyższą od niéj*" (1).

Anglia jest krajem klasycznym prawa zwyczajowego *(jus morum)*, po dziś dzień cierpi ona na brak kodyfikacyi ustaw i wywody Burke'go trafnie charakteryzują jéj dorobek prawny, — niemniéj przeto, dzięki jéj politycznemu samolubstwu i wyłączności, zapatrywania głośnego publicysty nie przedostały się do Europy z mocą, jakiéj należałoby się spodziewać, lecz rozeszły się przyodziane w no-

---

(1) Reflections on the Revolution in France. 1792, p. 58 i następne.

wą szatę i na nowym gruncie zaledwie w lat kilkadziesiąt potém, mianowicie w pismach słynnego badacza niemieckiego Savigny'ego oraz jego kontynuatorów: Eichhorna i Niebuhra. Duża téż doza zasługi w ruchu anti-pragmatycznym przypada na Hugona Grotiusa, a zwłaszcza na prace jego z zakresu historyi prawa. Skierowawszy wzrok na prawo zwyczajowe, jako na podstawę ukształtowanych i ostatecznie sformułowanych prawodawstw i wnikając w genezę jego, doszli oni do przekonania, że prawo jest wytworem pierwotnym, bezwiednym, podobnie jak język, obyczaje, sztuka i inne strony życia — tak mniéj więcéj streszcza Savigny'ego Stahl. Nie zawdzięcza ono swego istnienia mądrości i przezorności władz państwowych, ale rodzi się samo, jako wyraz niepochwytnéj, nieświadoméj, wyższéj mądrości, którą umysł nasz daremnie chciałby przedrzeźniać. Dla tych przyczyn siać prawo, hodować je sztucznie, to jest drogą racyonalizmu, jest takimże nonsensem, jak przerabiać mowę. Rozum nie jest zdolnym do tego rodzaju dzieł — nie należy mu ufać ani uważać go za sprawcę instytucyi— a kto ufa, popełnia błąd gruby. Prawodawca nie jest niczém więcéj, jak wyrazicielem pojęć prawnych, stworzonych przez samę konieczność dziejową.

Przełożone na język praktyki—wiemy już, co tezy te oznaczają,—w języku badań domagają się od uczonych dokładnego obznajmienia się z historyą tych form, które zamierzają przeinaczać.

Oto kierunek ogólny. Wycisnął on swą pieczęć na wszystkich dziedzinach nauk społecznych. Dużo zyskała przez to nauka rządzenia, nie mało inne gałęzie prawa, najwięcéj jednak wiedza ekonomiczna, dla któréj z poglądem organicznym nastała nieledwie nowa era i epoka rozkwitu. Mnóstwo pisarzów rzuca się na historyą urządzeń i pojęć gospodarczych, by w niéj szukali tła i fundamentu do swych pomysłów. Do tych należą: Jacob, Baumstark, Schön, Genz, Adam Schmittener, Justus Moser, Fr. Moeser, Fischer, Sartorius, Goerres, Adam Müller, Haller, List, Gervinus, Dahlman, Roscher i wielu, wielu innych. Jakkolwiek ich zasady metodologiczne nie rozpowszechniły się pod nazwą „organicznych" lecz „historycznych, to jednakże liczne miejsca a bardziéj jeszcze sam duch szkoły świadczą dowodnie, iż pojęcia z dziedziny fizyologii wywarły na nich wpływ niemały. Oto określenie Schmittenera: „Der geschichtlich-*organischen* Methode handle es sich um Aufdeckung des Gesetzes der *organischen* Entwickelung der Menschheit." Gervinus porównywa politykę z *fizyologią*, lub raczéj tą jéj częścią, która wyłania się osobno, jako historya życia. Charakterystyczną definicyą Kuntzego przytoczyliśmy wyżéj — i t. d.

Kwestya powstawania form społecznych rozpatrywaną była i jest bardzo często samoistnie, jako oddzielne zagadnienie naukowe i niezależnie zupełnie od sprawy ich dalszego rozwoju. Interesuje ona nie tylko socyologów, ale także psychologów i antropologów, przybierając częściéj charakter teoretyczny, filozoficzny, niż praktyczny. Nauka bada ogólne zasady tworzenia się urządzeń, by z nich wyciągnąć wskazówkę dla życia, ale równocześnie ślęczy rozciekawiona nad pewnemi kardynalnemi formami, np. gospodarstwa społecznego, które panują wszędzie i od czasów niepamiętnych, jak pieniądze, rynki, konkurencya i t. p. W tych wypadkach konkretnych pogląd organiczny wyrzekł także swoje słowo, ale co wystarczyło dla zwalczenia pragmatyzmu, tego nie dosyć było dla naukowéj ścisłości. Można było wiedzieć, że urządzenia powstawały nie drogą nadawczą, a nie miéć pojęcia jak powstały np. pieniądze lub handel. Były to tylko puste ramy *negatywnego określenia*, które należało wypełnić wydatnym wizerunkiem. Lukę tę stara się zapchać wspomniany Menger na kilku wyczerpująco przedstawionych przykładach, za co zjednał już sobie wysokie uznanie w piśmiennictwie specyalném. Nie możemy tu ich przytaczać *in extenso*, a w skróceniu straciłyby wartość, gdyż nie chcemy zbyt długo zatrzymywać uwagi czytelnika, natomiast odsyłamy go do samego dzieła, które w znacznéj części zagadnieniu temu jest poświęcone.

Menger nie do wszystkich form stosuje genezę organiczną, gdzie-niegdzie odnajduje racyonalistyczną w myśl następującego prawidła: instytucye, zaspokajające potrzebę jednostek, rodzą się i dojrzewają organicznie, przechodząc proces, który nazwać by można *generatio spontanea*; te zaś, które mają na celu społeczeństwo, w specyficzném tego wyrazu znaczeniu wychodzą z inicyatywy prawodawcy. Zdaje nam się, że reguła ta trafia w istotny stan rzeczy, a w każdym razie ocenia należycie poglądy Burke'go, Savigny'ego i wszystkich przedstawicieli kierunku.

Na tém kończymy przegląd kierunków.

Jak pierwszemu tak i temu działowi poświęcamy mniéj uwagi, a to dlatego, iż wiedza przyrodnicza nie starła się tam poważnie ze społeczną i mało znana nie mogła wytoczyć całego swojego arsenału. Powtóre, zakres środkowy, zabarwiony prawdziwą biologią, do pewnego stopnia ogarnia swoich sąsiadów, do których się ma poniekąd, jak całość do części, z tą jednak różnicą, że części te: „organiczna szkoła prawa publicznego“ i „historyczno-organiczne szkoły prawodawstwa“ ujrzały światło dzienne nieco wcześniéj, wryły się w naukę potężnie, zostawiły w niéj ślady niezatarte, że prawdopodobnie istniéć będą w tradycyi wiedzy długo, pomimo że

nowa socyologia, rozszerzając stopniowo swój rozległy program, dziedzinę prawa państwowego i zasadę prawodawstwa ubezwłasnowolni z czasem i weźmie pod swoję kuratelę.

---

Okazuje się tedy, że panowanie analogii organicznéj w naukach społecznych jest potężném, jak na dziś niemal że wszechwładném. Przybiera ona tam najróżnorodniejsze postaci, przechodzi rozmaite stopnie od zupełnego utożsamienia do ułamków, w których tylko pewna strona bytu wspólnego, pewne jego procesy lub właściwości porównywane są z pojedyńczemi wyjawami życia organicznego, jak to ma miejsce w teoryach, któreśmy streścili na początku i na końcu.

Nastręcza się teraz pytanie, czy idea ustrojowości usprawiedliwia tę wiarę, jaką w niéj pokładają socyologowie; jeśli usprawiedliwia, to w jakiéj mierze i która zatém ze znanych nam grup najbardziéj zgodną jest z wymogami nauki pod względem metodologicznym, objaśnia najwierniéj istotę rozpoznawanych przez się zjawisk pod względem filozoficznym i okazała się najpłodniejszą pod względem praktycznym?

Przedewszystkiém wypada zauważyć, że uciekać się do analogii za faktami lepiéj zgłębionemi i bliżéj nam znajomemi, znaczy podpisywać sobie świadectwo ubóstwa. W rzeczy saméj, nauki społeczne jakkolwiek posiadają zadziwiającą bogatą literaturę i narodzinami swemi sięgają najodleglejszych czasów, to jednakże z powijaków dedukcyi i oderwanego rozumowania wyszły nie bardzo dawno temu. Bodźcem do pracy wspartéj faktami i obserwacyą był dla nich powszechny zwrot ku dociekaniu empirycznemu, a zwłaszcza te niezliczone potrzeby, których świadomość zbudziła się w Europie pod wpływem ruchawek społecznych końca ubiegłego i pierwszéj połowy bieżącego stulecia, Przedtém ani myśléć było o jakiémkolwiek rozstrząsaniu form rządu, społeczeństwu obojętnemi były sprawy ekonomiczne, nie kłopotano się reformami w sferze prawa prywatnego. Skoro jednak dziedziny te pozbyły się skuwającego je paraliżu, stało się niemożliwém wrócić do pierwiastkowéj nieczynności, do dawnéj spokojnéj o los niedbałości, a nadto z dniem każdym wyłaniały się coraz to nowe zagadki, praktyki i teorye.

Ale stała się rzecz niespodziana. Niezwykle zawiły i złożony system zjawisk społecznych nie poddawał się łatwo badawczym umysłom. Prócz tego dla zrozumienia za mało posiadano doświadczenia i wprawy, słowem zadanie było nad siły i środki. Oto dla czego zaczęto zwracać się z prośbą o pomoc do nauk przyrodni-

czych i czerpać z nich pojęcia będące w kursie i dla wszystkich dostępne. Uczeni łudzili się nadzieją, że nazwawszy państwo lub społeczeństwo „organizmem“, dowiódłszy, że analogia podobna ma pewne pozory prawdy, już tém samém przezwyciężą wszystkie trudności. Jak dalece odczuwano potrzebę ułatwienia i uproszczenia problematów, widać już stąd, że używano analogii i pod innemi formami. Brano ją np. z mechaniki. Według Saint-Simona i Fouriera, stany socyalne uwarunkowane są czynnikami mechanicznemi, jak ciążenie i przyciąganie. Post, głośny socyolog, wprowadza do doktryny swojéj teoryą atomów, które podporządkowuje jakimś prawom mechanicznym. W nauce państwowéj odkrywamy toż samo. Zachariae próbuje zastosować prawa mechaniki do skupień politycznych, w których odróżnia siłę odśrodkową i dośrodkową. Supiński a także rosyjski uczony Stronin dowodzą, że budowa społeczeństwa jest piramidalną, przyczém rządzi się jakiemiś zasadami mechanicznemi, które jednakże dla nas w téj chwili są obojętne.

Oczywiście więc uczeni czepiali się wszystkiego, czego użyczyć mogły inne gałęzi wiedzy, by rozjaśnić tajemnicę życia społecznego. Z mechaniką rychło się pożegnali, ponieważ jéj zjawiska zamało przypominają fakta społeczne, kipiące życiem, pełne ruchu, zależne w znacznéj części od woli ludzi i wcale a wcale nie spętane prawidłowością, prostotą i sztywnością świata nieorganicznego. Na dobitek klasyfikacya nauk Comte'a wykazała bliskie pokrewieństwo świata organicznego z „nadorganicznym“ czyli społecznym i tém ostatecznie odarła mechanikę z wpływu. Teraz już wszyscy zwrócili tęskne oblicza ku biologii.

Nawiasem mówiąc, zyskała na tém niemało biologia i wogóle niesłychanie zacieśniły się węzły obu umiejętności. Myśliciele jednogłośnie wołali, że bez obznajmienia się ze zdobyczami nauki o życiu nic się w badaniach socyologicznych nie da osiągnąć. Źródła téj predylekcyi należy szukać właściwie w filozofii Augusta Comte'a, w usiłowaniach krytyczniejszych jego zwolenników; oni to bowiem, idąc śladem mistrza, z całą jasnością wykazali, jak ścisły związek zachodzi między pojawami jednostkowego, a zjawiskami zbiorowego życia, a to przez wykrycie ogniw pośrednich, mianowicie gromadnych zwierząt. Od społeczeństw pszczół, mrówek i t. p. przeszli niepostrzeżenie do agregatów ludzkich; i oto obcując tak wiele wyłącznie z obydwoma szeregami faktów, poczęli stopniowo zapominać, że bądź-co-bądź między nimi przepływa głęboka rzeka różnic, rzeka, któréj nie przejdzie zdrowa logika, i bez ceremonii przenosić prawa biologii na terytoryum socyologii. Swoję cząstkę winy dołożyła też teorya Darwina; entuzyazmem, jaki wywołała,

i nowemi podporami, jakie dzięki jéj przybyły monizmowi. Wreszcie wszystkie filozofemata, w których kiełkowała ewolucya, jak monadologia Leibnitza, filozofia natury Schellinga, dały potrosze pochop do ustawienia jednostek i skupień w jedną hierarchią.

Samo się rozumie, że najmniéj z biologii zapożyczyła pierwsza i ostatnia grupa pisarzów. Ci kierowali się najpierwotniejszém pojęciem o procesach życiowych i brali te, które miały najlepszy pokup. W każdym razie na równi z biologami *ex cathedra* stanowią owę wydatną w naszym przedmiocie szkołę.

Atoli wszyscy ci, co za przykładem Comte'a uznali świat zjawisk społeczny za dalszy ciąg organicznego, nadużywają po większéj części odziedziczonych po nim poglądów. Zapominają, że podług mistrza, prawa życia nie są prawami społeczeństw, pierwsze spoczywają zapewne na dnie drugich, lecz ich bynajmniéj nie wyczerpują, stanowią one tylko podkład ogólny, na którym wznosi się olbrzymia budowa *specyficznych* praw zespólności. Innemi słowy, gdyby chciéć arytmetycznie określić stosunek jednych do drugich wypadłoby, że prawa społeczne równają się sumie praw życia *plus* coś jeszcze. Lecz właśnie to „coś" jest całkiém odmienném, nowém, a pomimo to niejednokrotnie pomijaném przez socyologów, jak Spencer, który przecież sam nazywa społeczeństwo „stworzeniem nadorganiczném", jak Lilienfeld, który w tomie 5-m „Myśli o socyalnéj nauce przyszłości" (1) nawet słyszéć nie chce o ojcowstwie Comte'a i wszelkiego wpływu pokrewieństwa socyologii z biologią się wypiera.

Lecz na to odeprzéć by można: ta kategorya pisarzów, która pracuje nad zgłębieniem zagadnień państwowych, podziału władz, form rządu i t. p. drogą upodobnienia ich sprawom organizmu, nie wychowywała się pod wpływem pozytywizmu francuskiego — ją chyba o nadużycia metod naukowych pomawiać nie można?

Przeciwnie. Nadługo przed Comte'em—w samym brzasku krytyki poważnéj, sprawdzającéj wszystko na kamieniu probierczym logiki—wiadomém było, że do dwóch różnych światów zjawisk niepodobna stosować jednego i tego samego klucza. Ażeby miéć prawo i zasadę przenoszenia interpretacyi z jednego rodzaju pojawów za drugi, trzeba wprzód albo dowieść, że są identyczne, a przynajmniéj nie typowo, lecz indywidualnie odmienne (nie *quoad genus* lecz *quoad species)*, albo też... z góry zrezygnować ze ścisłości i konsekwencyi. Ale skoro tylko między dwiema zainteresowanemi dziedzinami daje się uczuć różnica istotna, suponująca takąż róż-

(1) Gedanken ueber die Socialwissenschaft der Zukunft. V B. Einleitung.

nicę w najbardziéj zasadniczych rysach, lub chociażby tylko w jednym rysie — już dla analogii miejsca nie ma. A między organizmem i społecznością istnieje, jak to zobaczymy i jak już poniekąd w każdym poszczególnym dziale widzieliśmy, cała otchłań *rdzennych* różnic.

Lecz możnaby i na to odeprzéć — analogia nie jest wynalazkiem dzisiejszym, jest starą, jak sama myśl w naukowe formy ujęta. Posługiwano się nią już dawniéj, jako środkiem metodologicznym, np. w kwestyi zamieszkalności innych planet?

Tak, to prawda, ale jak tego dowiedli Reid, Bain, jak wykazały zresztą rezultaty, dawała ona jedynie prawdopodobieństwo, ale nigdy pewność. Może więc być bezpiecznym środkiem *wykładu*, lecz nie sposobem badania. Oto, zdaniem naszém, jedyna odpowiedź, jaka rozstrzygać winna nasze zagadnienie, i zarazem zasada, jaką się mierzy najczęściéj słuszność wszelkiéj, a specyalnie naszéj analogii i zrodzonych przez nią teoryi. Wszyscy myśliciele, o których była mowa wyżéj, mniéj lub więcéj urokowi jéj podpadli,—w sensie środka wyjaśniającego, wykładowego, użyli jéj tylko prawnicy szkoły Savigny, Burke— i ekonomiści historyczni. To téż oni najmniéj zgrzeszyli względem naukowéj trzeźwości.

Potępiwszy *à priori* analogią, musimy teraz sąd swój usprawiedliwić i dowieść, że między państwem lub społeczeństwem, a jednostkowym ustrojem w rzeczy saméj wznosi się cała nieprzebyta góra różnic.

Znamienną w wysokim stopniu jest okoliczność, że sami chorążowie sojuszu bratniego socyologii z biologią, postąpiwszy na drodze jego urzeczywistnienia dwa kroki naprzód, robią jeden wstecz i każdy argument *pro* otaczają całym konwojem zastrzeżeń, omówień, warunków. Jakkolwiek koniec końców zupełnie potwierdzają zdanie Adama Smitha: „Analogia, dająca jednym pisarzom pochop do zręcznych i dowcipnych porównań, u innych awansuje na kamień węgielny, koło którego obraca się wszystko“,—to jednakże nie mają tyle cywilnéj odwagi, by gromadzić naciągania jedno na drugie, bez widocznych wyrzutów sumienia.

Mógłbym nawet powiedzićć, że oni to właśnie najtrafniéj te różnice sformułowali. Dotyczy to osobliwie Spencera, a ponieważ braki, jakie on sam w analogii dostrzega, stanowią znakomitą część ogólnéj liczby zarzutów, jakie jéj uczynić można, przeto do pomocy użyjemy własnéj względem siebie surowości Spencera.

Szereg oskarżeń poprzedzimy ogólną uwagą, psychologicznie objaśniającą błąd. Społeczeństwo jest tak wielkim labiryntem zjawisk i zdarzeń, że wzrokiem fizycznym ogarnąć go niepodobna,—

podoła tu tylko wyobraźnia i oderwane władze człowieka, które też hulają na koszt prawdy, co sił stanie. Społeczeństwo, jako takie, jest abstrakcyą, organizm konkretem; bez syntetycznych, twórczych procesów myślenia nie będzie pierwszego, dla drugiego są one zbyteczne. Oto pierwsze źródło nadużyć i pierwsza zasadnicza różnica. Organizm ma pewną formę widzialną, określoną postać, społeczeństwo—nie. Nadto kształty organizmu uwarunkowane są pewnemi mechanicznemi i fizyologicznemi prawami, muszą zbliżać się do pewnego, ściśle określonego typu; społeczeństwo zaś jest dowolnym, dalekim od stałości, konglomeratem takichże dowolnych jednostek. Nie jest ono skrępowane żadnemi rozmiarami, może każdéj chwili zmniejszać się lub zwiększać i jako *całość* abstrakcyjna, złożona z części konkretnych, wielu prawom fizycznym podlegać nie może, — nie jest ciałem nieprzenikliwém, mającém punkt ciężkości i t. d. Słowem wszystko, co rozum odnosi do zjawisk dotykalnych i namacalnych, do społeczeństwa stosować się nie może. Dlategoż też uważamy za zbyteczne naśladować pewnych uczonych (Karjejew) i rozwodzić się szczegółowo nad każdą istniejącą w organizmie, a obcą społeczeństwu, jako takiemu—oznaką. Gdy różnica logiczna raz ustaloną została — wszystkich jéj wyników łatwo się dorozumiéć. Nie będziemy się też zatrzymywali nad niemożliwością śmierci społeczeństwa, nad faktami, że związek między komórkami rzeczywistego organizmu jest materyalny, między członkami gromad—duchowy, że tamte oddzielone są substancyą, te powietrzem, o tém mówić uważamy za bezcelowe; byłaby to nieusprawiedliwiona strata czasu, nie mogąca już spotęgować oczywistości różnic fizycznych między organizmem a społeczeństwem.

Pomimo to jednak wspomniani przez nas socyologowie dopatrywali się w ciałach społecznych rozmaitszych zewnętrznych form, organów realnych i t. d. Głowa figuruje we wszystkich odcieniach analogii—to jeszcze można jako tako usprawiedliwić, również serce lub ręce, któremi są, wedle Spencera, urządzenia militarne. Ale ten sam Spencer wynajduje w społeczeństwie nerwy w postaci dróg żelaznych i telegrafów, tak, iż nasuwa się ciekawe pytanie, z czém porównałby arterye, weny, nerwy i cały wogóle zagmatwany aparat funkcyonującego w zwierzęciu „ministeryum dróg i komunikacyi", gdyby pisał w zeszłém stuleciu? A nie zapominajmy, że autorowie tych dziwacznych pomysłów, którym nawet tak mistrzowski wykład, jak Spencera, nie może nadać pozorów prawdopodobieństwa, wierzą w jakąś realną analogią, że tych cudownych zaiste podobieństw nie nazywają po imieniu, lecz „realną tożsamością." Lilienfeld wszystko, co się odznacza zawiłością i nieokreślonemi kształta-

mi, lubi identyfikować z organizmem, wynikło ztąd, że jedna z duchowych stron prawdziwego społeczeństwa sama przez się stworzyła ustrój, czyli że można by tyle napłodzić z jednego skupienia ludzi organizmów, z ilu punktów widzenia można je postrzegać. Takim „realnym organizmem" jest według niego *chrystyanizm*. Nie brak w nim głowy, czyli ogniska działalności duchowéj w osobie Chrystusa, są i narządy, dogmaty, są nawet czynności fizyologiczne, a mianowicie wiara, miłość i nadzieja i inne, choćby drobniejsze właściwości „realnego ustroju." Téj cudacznéj robocie poświęcony jest cały tom piąty, tak, iż myśli o socyalnéj nauce przyszłości zeszły w końcu na system teologiczny, który z pojęciem „socyalności" ma niezmiernie mało wspólnego. Godne uwagi, że ten sam Lilienfeld nieco wcześniéj żarliwie powstawał przeciw tym podobnym sztukom magicznym, czego dowody znajdujemy w pierwszym tomie tego samego dzieła i z wyraźnym sarkazmem przytaczał (za Bluntschli'm zdaje się) nazwisko jakiegoś namiętnego szermierza analogii, który na ciele społecznem znalazł jakoby *pępek*. Ale pępek ten wobec pomysłowości samego szydercy wcale nieszczególnie razi. Nie chcemy przez to powiedziéć, że odkrył on inne, jeszcze bardziéj „sekretne" części ciała, lecz że nie cofa się przed wyszukiwaniem najnieprawdopodobniejszych funkcyi. A jednak autor ten znalazł gorących wielbicieli. Dosyć napomknąć, że znakomity geograf etnolog i historyozof niemiecki, Fryderyk Hellwald, w swéj „*Culturgeschichte*" wbrew niezmiernemu swemu realizmowi, nieledwie brutalności, wróży jego teoryi znakomite jutro. Baerenbach, popularny znawca współczesnego piśmiennictwa socyologicznego, wynosi pod niebiosa rodaka swego Schaefflego i pada przed nim na twarz, choć doprawdy myśliciel ten częstokroć dorównywa Lilienfeldowi, co mu rozumie się nie przeszkadza łudzić się w „Zarysie encyklopedycznym" (1), że „zdołał uniknąć niebezpieczeństw analogii: zatarcia różnic i nienaukowéj alegoryki."

Ale może społeczeństwo, nie mając zewnętrznych, fizycznych cech, niezbędnych dla utworzenia pojęcia organizmu, posiada pomimo to takie wewnętrzne, quasi-fizyologiczne i psychologiczne rysy, jakie zawierają organizmy, że zatém stanowi, jak tego chcą bardziéj umiarkowani i powściągliwi stronnicy, organizm uduchowiony, *sui generis*, fantastyczny?

Postaramy się wykazać, że nie.

Przedewszystkiém ustrój naturalny, jak go dziś większość jeszcze rozumié, to indywiduum, osobnik. Działające w nim siły

---

(1) Inaczéj: „Bau und Leben des Socialen Körpers." Przedmowa, str. VII.

składają się na pewną jedność, która stanowi rys zasadniczy wszystkich tworów organicznych, acz nie w jednakowym stopniu; rozwija się według ewolucyonizmu w miarę odbiegania od typów pierwotnych, a w świecie zwierzęcym przechodzi w tak zwaną „duszę“, i zarazem skupia się w pewném ognisku tak z czasem wydatnie, że wedle nowszych hypotez, nie obalonych dotąd, ma wyraźne umiejscowione siedlisko, specyalny organ, czyli mózg. Zbytecznie dowodzić, że budowa społeczna nic podobnego ani morfologicznie, ani dynamicznie nie przedstawia. Skupienia ludzkie swojéj „jaźni“ nie mają, ich „ja“ to łączna świadomość wszystkich jednostek, gdy tym czasem w ustroju rzeczywistym komórki są czemś zupełnie bezmyślném, głuchym i ślepym proletaryatem biernie zachowującym się wobec rozkazów monarchy-despoty, jakim jest duch, unoszący się nad niemi jako coś wyższego, niezależnego i odrębnego.

Dopatrywać się czegoś podobnego w społeczeństwie, *bez widocznéj, apriorystycznéj tendencyi*—zakrawa *na absurd*: członkowie społeczeństwa *wszyscy zarówno* obdarzeni są, jeżeli nie *in esse* to *in posse* wolą, czuciem i rozumem, a zatém w zasadzie równouprawnieni. Mogą być wprawdzie dzisiaj niewolnikami i wydawać się bezdusznemi tkankami, lecz jutro uszlachetnić się i przedostać do samego centrum duchowego. Mogą każdéj chwili utworzyć nowy, osobny związek dusz, podobnie jak ich uprzywilejowani współbracia—stracić nagle swoje wyjątkowe położenie i spaść do poziomu prostych śmiertelników. Tego rodzaju metamorfozy w organizmach mogłaby wynaleść chyba tylko fantazya owidyuszowa. Ręka nie stanie się nigdy narządem kierowniczym, komórka pięty nie będzie nigdy współzawodniczyć z komórką mózgowia, ani naodwrót.

Dusza organizmów jest wytworem saméj natury. Przypuszczalna dusza społeczeństwa jest po prostu uogólnieniem, zsumowaniem, zebraniem w jedno oddzielnych wzajemnie się wyłączających świadomości indywidualnych.

W ostatnich czasach szczególnie wzmogła się skłonność wynajdywania w grupach społecznych dusz. Hołdują jéj zwłaszcza profesorowie berlińscy Lazarus i Steindthal, wydawcy „Czasopisma dla psychologii ludów i językoznawstwa“ (1), potomkowie duchowi Herbarta a zwłaszcza Lindner, zamyślający stworzyć prawdziwą psychologią społeczeństwa (2). Z prób tych nawet Schaeffle się nie cieszy, „...albowiem po za indywiduami działający i unoszący się w przestrzeni bez wszelkiego podścieliska materyalnego duch—jest

(1) „Zeitschrift für Völkerpsychologie und Sprachkunde“.
(2) „Ideen zur Psychologie der Gesellschaft“. Wiedeń 1871.

po prostu nie do pomyślenia". Tak samo wyraża się mniéj więcéj Fouillé z powodu zapatrywań Haeckla, Hartmanna, Renana, Espinasa i innych. Czyż potrzeba więcéj?

Wypada przeto, że społeczeństwa upodabniać nie można ani do organizmu zwyczajnego, ani... nadzwyczajnego. W najlepszym razie dopatrywać się można analogii pod pewnemi względami tylko, lecz analogia częściowa nie jest jeszcze całkowitą, a ta ostatnia daleką jeszcze od „homologii. Jakkolwiek bądź, nic do poważnych wniosków nie upoważnia. *Comparaison*—mówi przysłowie francuskie, *n'est pas raison.*

Ze stanowiska zdrowéj celowości, analogia nasza również krytyki nie wytrzymuje. Probierzem jéj praktycznym jest pytanie: czy rozjaśniła ona ciemne ścieżki nowéj umiejętności promieniami nauki dojrzalszéj, bardziéj wytrawnéj i bogatszéj w doświadczenie i zdobycze. Otóż z roli takiego „cicerona" względem badań społecznych, biologia wcale wywiązać się nie mogła, albowiem sama jeszcze chodzi w wielu kwestyach po omacku.

Wśród odmętu pytań, jakie wypadało rozstrzygać nauce o życiu, i masy celów, do których dążyła—niewątpliwie najważniejszą z punktu widzenia filozofii i korzyści praktycznéj, była i jest teorya życia organicznego. Bada ona istotę ustroju, jego układ, funkcye, prawa jego normalnego i patologicznego stanu, jego rozwoju i wyradzania się. Otóż zachodzi pytanie: czy biologia wniknęła w tajniki jestestwa organicznego? Nie narażając się na zarzuty przyrodników, śmiemy odpowiedzićć przecząco. Mimo olbrzymie postępy poczynione w ostatniem stuleciu, lub może właśnie dzięki im doszła ona do Sokratesowego wniosku, że wié bardzo mało. Widnieje to nietyle z wyznań, ile ze sprzeczności i niezgód w poglądach na najistotniejszą, zasadniczą sprawę: co to jest organizm?

Rozumić się, że nie ma tu mowy o metafizycznéj stronie zagadki lecz genetycznéj, anatomicznéj. Dopókąd przyrodnicy nie doszli do zdumiewającego odkrycia, że wszystkie ciała ożywione składają się z bardziéj prostych i małych, niemniéj przeto również zorganizowanych jednostek, uważano organizm za coś bezwzględnie i bezsprzecznie jednego. Ale z chwilą, gdy wyśledzono obecność i przeznaczenie komórek, pogląd ów zaczyna się widocznie chwiać. Współczesna zaś histologia podaje już za pewnik, że ustroje najpierwotniejsze były właśnie takiemi komórkami a od nich drogą rozmnażania się i odpowiedniego grupowania pochodzą bardziéj złożone i rozwinięte. Pozostało atoli nierozstrzygniętém, o ile te współczynniki doskonalszych tworów zachowały, lub utraciły swoją zaczątkową samoistność, a przecież od tego zależy definicya or-

ganizmu. Różni naturaliści podają nam rozmaite stopnie téj samoistności lub téż odwrotnie, zależności.

Słynny fizyolog niedawno zmarły, Klaudyusz Bernard, zowie związek spajający komórki, federacyą, co oznaczałoby, iż komórki pozostały bytami niezależnemi. „Indywiduum zoologiczne jest tylko federacyą istot pierwotnych, rozwijających się każda na swój rachunek“.

Virchow twierdzi, że ciało ludzkie, zwierzęce, lub roślinne można porównać chyba z urządzeniami społecznemi, w których żywe i samodzielne twory wchodzą z sobą w bliższy stosunek, czyli z rodziną lub państwem. Określenie to uwzględnia niezawisłość komórek, ale nie wyklucza hierarchii, lub hegemonii.

Wagner upatruje w rozwoju organizmów coś w rodzaju procesu dyalektycznego, polegającego na tém, że z początku ukazują się pojedyncze ustroje, w następstwie stają się społecznemi i wreszcie dochodzą ponownie do jedności, ale już bardziéj złożonéj. Tu więc mamy wszystkie szczeble naraz.

Do poglądu Virchowa zbliżają się teorye Espinasa, głośnego choć młodego autora „Społeczeństw zwierzęcych“ i Periera, autora „Kolonii zwierzęcych“. Obadwaj jednak używają naszéj analogii we wprost odwrotnym kierunku. W połączeniu z tém przepysznie wyglądała by teorya Lilienfelda: wówczas „społeczeństwo byłoby organizmem“ albowiem „organizm jest społeczeństwem“.

Entuzyasta Ernest Haeckel tak się zapalił do teoryi powstawania ustrojów ze zróżnicowanych komórek, iż przeniósł ją żywcem na grunt psychologiczny i utrzymuje że i „dusza jest połączeniem komórek, rozumié się—duchowych“. Dziwna ta teza mało harmonizuje z nieostygłym jeszcze jego materyalizmem. Z dzieła „Dusze komórkowe i duchowe komórki“ wypada, iż każda komórka będąc osobnym organizmem, posiada własną duszę, ze związku ich powstaje ogólna dusza, na pierwszy rzut oka integralna, ale w istocie sumaryczna. Znamiennćm jest téż dla nas, że podług niego, ustroje są to „społeczeństwa ucywilizowane“.

Z przytoczonych, często dosłownie, określeń widać, że pojęcie organizmu przebywa wprawdzie doniosłą zmianę, ale jaki ostatecznie motyl z téj poczwarki się rozwinie—niewiadomo. Faktem jest, że moment najważniejszy dla socyologii, oś, naokoło któréj obracają się wszystkie jéj zagadnienia, to jest wzajemny stosunek jednostki do skupienia, nawet nie zaczyna się ustalać. Kiepski więc interes zrobiła socyologia, czerpiąc mądrość z biologii, tak obfitéj jeszcze w fantasmagorye. Ułożyła ona równanie, w którém jedna niewiadoma, w danym wypadku, społeczeństwo, ma być określona przez drugą: organizm; kręci się więc w błędném kole X-ów.

Dążeniem zasadniczém saméj nauki społecznéj a przedewszystkiém tych, co wprowadzają pojęcie organizmu w formułę społeczeństwa, lub państwa, jest unormować tak, lub inaczéj stosunek wzajemny części do całości, pod względem politycznym, ekonomicznym i prawnym. Wszystkie inne przedmioty, jak prawa rozwoju tych agregatów, warunki ich dobrobytu nie są, właściwie mówiąc, niczém inném, jeno pojedyńczemi momentami, lub ogniwami owego zagadnienia uniwersalnego. Z rozplątaniem tego węzła gordyjskiego, zniknie mnóstwo, jeśli nie wszystkie inne, wątpliwości mnóstwo kwestyi etycznych, umysłowych, historyozoficznych—rozstrzygnie się, albowiem jasną jest rzeczą, że od stanowiska jednostki w społeczeństwie, lub państwie zależy bezwarunkowo cała sfera życia ucywilizowanego człowieka. Wszystkie pragnienia, marzenia ideały i cele obywatela co do urzeczywistnienia swego zawisły od jego położenia socyalno-politycznego; władza społeczeństwa i państwa rządzą bezpośrednio, lub pośrednio wszystkiemi gałęziami naszego życia. Naczelny ten problemat, powiadamy, przewija się przez całe dzieje i całą literaturę klasycznego i nowszego świata. Napotykamy go już w wyrazistych formach w pismach Platona i Arystotelesa o państwie, w utopiach Pytagoresa, nawet u poetów z odcieniem politycznym, jak Dante i Milton, w mrzonkach Saint-Simona i Fouriera, aż do dnia dzisiejszego. Cała nieogarniona jak ocean, dziedzina prawa, wyłączając zaledwie jakieś drobne bardzo specyalne przedmioty, nabiera téj lub innéj barwy, nasiąka tą lub inną ideą przewodnią—stosownie do tego, z jakiéj zasady: z jakiéj postaci układu społecznego, lub państwowego została wyprowadzoną. Cała filozofia prawa, czy ją wyobraża Kant, czy Hobbes, Puffendorf, czy Locke, Proudhon, czy Rousseau, Montesquieu, czy De Maistre, *musi* otrzymać swój koloryt od myśli fundamentalnéj, od tego poglądu, jaki wyrobił sobie dany uczony, lub myśliciel na posłannictwo i rolę społeczeństwa, lub państwa wobec potrzeb i interesów jednostki, jego dobra materyalnego, moralnego i umysłowego.

Owóż do tego samego kresu zmierzają wszystkie prawie przejrzane przez nas doktryny, z tą różnicą, że w tych przeważa żywioł ekonomiczny (jak u Schaëffle'go), u innych polityczny, jak u Spencera i Fouillé, etyczno-religijny u Lilienfelda, albo państwowo-prawny jak w szkole Krausego. Czy celu swego, zasięgnąwszy rady biologii, dopięli? Tylko ci, którzy mało dbając o uzasadnienie analogii, i nie pragnąc bynajmniéj z jéj naciągań korzystać, użyli poprostu pojęcia organizmu, abstrakcyjnego, czysto-fikcyjnego, jako *desideratum* lecz nie jako *factum*. Reszta, to jest oligarchowie współczesnéj socyologii spudłowali; z jednego stanowiska wyszedłszy, każdy z nich

dobiegł do innéj mety. Więcéj powiemy—nawet z jednego założenia nie wyszli. Tym sposobem i punkt wyjścia był nie ten sam u wszystkich, albowiem, jak widzieliśmy, każdy co innego sądził o organizmie, i drogi były różne, albowiem czém u jednego są kości (Schaeffle) tém u innego nerwy (Spencer) itd. W braku zatém wszelkiéj jedności, o pomyślnym rezultacie mowy być nie może. Schaeffle uczy, że jednostka to fikcya, a tylko całość, czyli ustrój jest istotą realną, że więc indywiduum tyle ma racyi bytu, o ile istnieje dla całości. Jest-to zupełna negacya indywidualizmu na korzyść zbiorowości (kolektywności), zwłaszcza na polu stosunków ekonomicznych. Tutaj jak i na Lilienfeldzie odbiła się cywilizacya germańska: kult powagi, broniony zwykle przez niemieckich uczonych i ideologia wrodzona, nie pozwalająca prześlepiać interesów mas i sprawiedliwszego podziału pracy i dóbr. Spencer wysuwa na pierwszy plan fakt, że społeczeństwo jest skupieniem „dyskretném", podzielném, że przeto jednostka tyleż znaczy co i ogół, jeśli nie więcéj. Baczne oko dojrzy tu łatwo i „wielką kartę" i „Habeas-Corpus-Act" i szkołę manchesterską, jedném słowem wszystkie cechy znamienne angielskiego ustroju państwowo-społecznego. Fouillé łączy nadzwyczaj umiejętnie wymaganie idywidualizmu i umowności dobrowolnéj z jednéj strony z interesami i wymaganiami całości, z drugiéj, ale tylko w czasie tj. w rozwoju historycznym. Stanem pożądanym zaś jest całkowite zastąpienie przymusu i despotyzmu świadomém i dobrze zrozumianém posłuszeństwem. Mimowoli przypomina się „Contrat social" Rousseau'a, krótko mówiąc „*quot capita—tot mentes*", co głowa to rozum. Ostatecznie zaś ton zasadniczemu poglądowi nadaje nie sposób pojmowania organizmu, lecz wpływy miejscowéj kultury, tradycyi i otaczającéj atmosfery.

Tak tedy, filary nauki społecznéj, nagromadziwszy moc danych spostrzeżeń, rdzennych kwestyi socyologii nie rozstrzygnęli— i rozumie się los ten dzielą z niemi zagadnienia pochodne, zapełniające nieprzejrzany zakres dociekania bytu gromadnego.

Ostatecznie więc powołanie idei organicznéj w życiu zbiorowém moglibyśmy sformułować w ten sposób. Jest ona pożyteczną, jako uplastyczniający wybieg, jako środek wykładowy. Wówczas bowiem do gotowéj treści przykrawa się tylko sukienki z idei organizmu, która zatém bez szkody dla porównywanych stron może być dowolnie przekształcaną i nawet paczoną. Ahrens i mędrcy szkoły Burke'go ułożyli najpierw system, a późniéj upodobnili go do organizmów, nie dbając, czy będzie fantastyczny, czy prawdziwy. Przeciwnie Bluntschli i socyologowie *par excellence* do pojęcia o ustrojowości dopasowali społeczeństwo: wiemy już, że na tém łożu Prokru-

sta nie tęgo ono wyszło. W tych więc razach analogia z organizmem jest dobrodziejstwem Danaów, przecenionym konceptem, prędzéj szkodliwym, niż pożytecznym.

Socyologia sama jest jeszcze wielkiém dzieckiem, wprawdzie rokującém znakomite nadzieje, ale dotąd stawiającém krzywe kroki i chodzącém po omacku. Nie mając pretensyi do zbogacenia jéj jakiemikolwiek nabytkami, pragnęliśmy jedynie zaznajomić czytelnika z modnym w niéj prądem, bo przy téj sposobności mogliśmy odsłonić i duży kawał jéj przestrzeni. Zastrzegamy się jednak przeciw możliwym zarzutom godzenia się na wnioski etyczne, jakie wyciągnąć by się dały dla przyszłości z téj reszty racyi, jaką przyznaliśmy analogii. Społeczeństwo rozważane ze stanowiska faktów a społeczeństwo ze stanowiska moralnych pożądań, to dwie różne dziedziny. Nam szło jedynie o pierwszą.

*Napoleon Hirszband.*





# BOBYLE.

(OBRAZ Z ŻYCIA BEZROLNYCH).

## IV.

Przy odgłosach dzwonów cerkiewnych, dolatujących z sąsiednich siół na powitanie niedzieli, Taras z Antinem podążali do domu. Dokoła nich obszary niezmierzone, poprzerzynane smugami jarzyn dojrzewających i ugorów czarnych, świeżo poruszonych pługiem, u góry sklepienie czyste i błękitne, wilgocią nocną spłókane, a na drodze gliniastéj, zbiegającéj ku jarowi, oni dwaj w świtach brunatnych i w butach dużych, niezgrabnych, do żon i dzieci śpieszący. Przed nimi wieś Wilszanka o dwustu kominach, dymiących kędzierzawym warkoczem prosto w niebo, rozbudzona już; za nimi dwór upowity w zielony płaszcz topoli i kasztanów, uśpiony jeszcze. Beczały owce, gnane w pole śród kurzawy szaréj, gęgały gęsi i kwakały kaczki na stawach, piały koguty, rozlegały się grube głosy mężczyzn i cienkie kobiét, gdy Taras z Antinem dochodzili do swoich domostw.

Otóż i „szary koniec“ wsi, siedziba bobylów, kołowrotem od rolnych odgrodzona, a oto i chałupy ich. Nim wstąpili pod strzechę, okiem obrzucili swoje mienie marne. Stało pięć małych chat, jedne zagrodników, drugie chałupników. Ci drudzy nie mieli nawet grzędy pod warzywo, musieli wynajmować szczupły kęs roli od gospodarzy, za odrobek. Wszystkie rozproszone były po skłonie jaru. Wyżéj uczepione, niby gniazdko jaskółcze, do gliniastego, czerwonego urwiska — Musija, cokolwiek niżéj — Antina, a daléj o kilkadziesiąt kroków od tych dwóch, również na stoczystości wądołu, wisiała chałupa Tarasa z sadem wiśniowym z tyłu, przynętą wilg, i z błyszczącą szybą stawu naprzedzie. Ojciec jego zbudował

ją z drobnych kawałków drzewa, dopasowując mozolnie jedno do drugiego. W tym kraju jarów, rozłogów niezmierzonych, zakończonych na widnokręgu mogiłami i bezleśnym, przyroda najhojniéj darzy gliną tubylców. W połączeniu z próchnicą jest ona rękojmią bytu równie pana, jak chłopa. Jednemu płodzi pszenicę złotodajną, drugiemu zapewnia chléb powszedni z żyta. Ojcu Tarasa służyła za budulec. Oblepił nią chatę zewnątrz i wewnątrz i był wolny od muzyki, którą mu wiatr stepowy, wpadający w przelocie do jaru, mógłby sprawiać, uwziąwszy się torować sobie drogę w świat poprzez szpary i dziury. Dwiema nędznemi szybkami wdzierały się szczupłe wiązki promieni słonecznych, zimowych. Letnie, zbyt dumne ze źródliska swego, tarczy oślepiającéj, co środkiem sklepienia modrego ze wschodu na zachód szybowała, nie zaglądały tamtędy, chyba rankiem lub wieczorem na krótko. Za to spływały obficie na strzechę słomianą, gdzie kota, czatującego na wilgi, ogrzewały, lub jaką szmatę praną suszyły. Tuż koło chałupy zielenił się kartoflanym liściem, głowiastą kapustą i konopiami marny kawał ziemi, jedyna własność rolna Tarasa. Po za stawem otwierał się żłobiasty jar, wysłany szmaragdowym kobiercem łąk gospodarzy majętnych. Spojrzał Taras na tę zieleń trawy soczystéj, przypomniał sobie krowę, jałówkę, konia i dwa woły, spuściznę ojcowską, które rok temu sprzedać musiał, a fala niespokojnego uczucia zawiści, zmieszanéj z pożądaniem, zakłóciła jego duszę. Antin skrzypnął drzwiami swéj chałupy i znikł w niéj. Przez szybę stłuczoną wymknął się podniesiony głos męża, lecz zalał go potok słów żoninych. „Zrzędzi Antin na Horpynę, czemu szczawiu nie zgotowała — pomyślił Taras. — Oj, zwybredniał ci chłopiec na niedogryzkach pańskich....“ Wstąpił na podwórze oplecione łozą. Na przyzbie siedziała jego matka, stara Oksana, dawna sługa dworska, pomarszczona, wyschła i zżółkła. Sterczała pod ścianą, drżąca i otulona w siermięgę szarą, ciepłą, pomimo gorąca pory żniw. Trzęsła ją zimnica obezwładniająca i uporczywa. U jéj kolan, na rozesłanéj białéj płachcie, czołgało się półroczne młodsze wnuczę. Zmartwiałą i zcierpłą twarz staréj rozpromieniał bolesno-radosny uśmiech na widok drobnéj Oksanki. Dziecko miało czaszkę prawie nagą jeszcze, opatrzoną na potylicy kilku rzadkiemi kosmykami żółtawemi. Wciąż ślina mu ciekła z ustek niedołężnych. Zaciskało piąstki, kurczyło różowe stópki lub rączkami usiłowało przybliżyć do twarzy swe nóżki. Było ciche i smutne, gotowe co chwila zapłakać. Starszy wnuk, czteroletni Todorek, o białowłoséj połyskliwéj główce, z brzuchem opchanym ziemniakami, o nogach i rękach barwy sagana miedzianego, okopconego nieco, w koszulinie po kolana — naśladował

dojenie krowy: szczypał za brzuch psa, wyrywającego się mu na powitanie Tarasa. Stara siedziała na przyzbie, jak przykuta, rada, że ją promienie przedpołudniowe ogrzewały. Czuła niemoc słodką, póki spoczywała pod ścianą, a wrogiem byłby ten, ktoby jéj kazał powstać i jąć się roboty, błogosławiłaby zaś tego, coby ją w spokoju zostawił.

Ta stara zawsze Tarasowi przypominała przeszłość. Za młodu chodziła do dworu służyć. Od października do kwietnia zarabiała czternaście rubli lub dostawała zboża odpowiednią ilość, czasem w podarunku starą odzież. Jéj Matwij, a ojciec Tarasa, ruszał w świat „czumakować.“ Parą swych wołów, wprzężonych do maży, przewoził towary do odległych miast, docierając niejednokrotnie portów nadmorskich. Tłukł się po drogach, raz mknących równiną, to znów jarem, stromo, ku górze. Z nieba często słońce spuszczało nań promienie swe palące, od których pot toczył się gradem z czoła i wysychało w gardle. Nieraz go gwałtowny wiatr stepowy smagał. Wytchnienie sobie wynajdywał przy kurhanach, u ognisk wolarzy, lub po wądołach, zacisznych i wilgotnych, pod gołem niebem. Gdy tak ścigając zarobek, razem z towarzyszami zwędrował za lato wszerz i wzdłuż obszary równin i swą mażą parokonną przewiózł moc płodów pracy ludzkiéj, wracał do domu ogorzały, hardy, niezależny, nieposkromiony—z pieniędzmi. Życie takie wiódł przez kilkadziesiąt lat. Co zarobił na czumactwie, częścią przepił i przejadł z towarzyszami, częścią w domu. Pewnéj wiosny gotował się swoim zwyczajem w drogę, a Oksana wiedziona nieświadomą obawą, do któréj upoważniała ją zimowa choroba Matwija, odciągała go od podróży.

— Zostań, Matwiju, doma!... Stary jesteś... Chorowałeś niedawno... Po co masz niemłode kości zanosić w cudze strony?...

— Milcz, babo! Muszę... Już żórawie zrywają się na podniebiu, wołają mnie w step.

I siwy już, z twarzą pokrytą siecią pajęczą zmarszczek, z oczyma strzelającemi z podełba, z brodą spływającą na piersi i z lulką w zębach, krzątał się koło swéj maży, pokaszliwając.

— Oj, pamiętaj-że ty, stary dyable, nie położ gdzie kości w polu.

— Szczekaj, szczekaj, wiedźmo, aż nie wyszczekasz!... Jaki bies kazał ci zatruwać moje myśli wesołe? Mnie, ot, jasno się robi w duszy, jak sobie przypomnę swoje lata młode, burłackie... Ej, bywałoż, bywało... wszelkiego dobrego — złéj i dobréj przygody! Gdzie Humań, Bałta, Hajsyn, Tulczyn, a Kiszeniew? Wszędzie człek bywał ta karbowańce zbierał...

— Aha, zbierał! ta nie wszystko do domu przynosił, bo pił!

— Pił, powiadasz?.. Jużci! Nie wzdragał się człek czarki, to cóż?.. Za swoje pił — nie za cudze!.. Pamiętam, raz nasza „wałka“ stanęła w Kodemie... Oj, toć to było, byłoż! Ale co tam tobie, staréj wiedźmie, gadać? Nie zrozumiesz, zwyczajnie baba....

Na świętego Eliasza cała wałka czumacka wróciła, prócz niego. Został w stepie, pod kopcem. Towarzyszom poruczył oddać parę wołów dla syna, Tarasa, i powtórzyć napomnienie, dane w godzinie zgonu.

— A cóż ja biédna teraz pocznę — zawodziła Oksana — a kędyż ja teraz się obrócę?.. Oj, biédnaż ja, biédna, biédna! Mojego męża, gołąbka, nie ma! Oj, ziemię mokrą on teraz gryzie i orzeł szary na mogile jego siaduje! Oj, Bożeż mój, Boże! oj sierotaż ja teraz nędzna na moję starość gorzką! Oj, czemuż ja wpierw w ziemię się nie zapadła?

Taras jeszcze w téj chwili pamięta dobrze, co stary ogorzały czumak rzekł, pokłoniwszy się obrazom, wiszącym w kącie: „Opowiem wam, matko Oksano, i tobie, Tarasie, jak nasz stary Matwij ostatnie godziny spędził i co mi kazał powtórzyć. Słuchajcie i zważcie! Już między Korsuniem a Bałtą Matwij niedomagał. Zadyszka go chwyciła za piersi. Giął się stary powoli ku ziemi, aż naraz pod Humaniem i zupełnie osłabł. „Wybiła moja ostatnia godzina — powiada—posłużcie mi, bracia, jak chrześcianom przystało.“ A dyszał, że aż strach, tak ciężko. Człek jest grzeszny, nosi na duszy nie jednę winę, trzebaż było ulżyć, a tu kołem step głuchy, księdza, jak wiatru w polu, napróżnobyś szukał. Otóż ja mu sprawiłem ostatnią posługę, ja z niego i spowiedź wziąłem i modlitwy zmówiłem. Obmyliśmy go w krynicy, włożyliśmy na jego ciało białe gzło, zasypaliśmy ziemią, z modlitwą taj na kopcu wiechę wetknęliśmy z kawałkiem krasnéj kitajki... Toć to nasz stary krzyż czumacki. Bies pop! nie chciał duszy matwijowéj rozgrzeszyć, gdyśmy do niego w Humaniu przyszli, nie chciał przyjąć odemnie wyspowiadanych jego grzechów. „Co wy tu będziecie zmieniać porządek zakonu! — powiada. — Trzeba było sprowadzić kogo ze sług bożych! Oj, nauczę ja was! zmienię ja wasz zwyczaj! Jak dusza tego nieboszczyka z waszéj winy pójdzie na męki piekielne, nauczycie się szanować prawo boże!“ „Ojcze!—powiadam—toć dawniéj tego nie bywało! Zawsześmy tak robili i dobrze było!“ „Aha, dobrze!—powiada—dla was dobrze! Otóż nic, dość już!“ Dobyłem z zanadrza kitajki ślicznéj pięć łokci, com to już na jarmarku w Bałcie kupił.... Pokazałem, pokłoniłem się do ziemi — zgodził się....

Cały ten obraz zgonu ojca i rozpaczy matki ozwał się w pamięci Tarasa na widok wątłéj Oksany, a w ślad za nim i wyrazy

przestrogi Matwijowéj: „W krótce prawda zaświta po naszych siołach, wolność nam dadzą i ziemię, naszą żywicielkę. Upomnij się synu o to, co tobie należy. Stój mocno przy swojém, bo skrzywdzą. „Omętrom“ mów: tu mój dziad orał, siał ta krwawym potém skiby oblewał, nim łan pański nie połknął tych zagonów naszych i nie staliśmy się, ot, bobylami. Zaczną cię zbijać, a „omętrom“ głowy bałamucić, może nawet ich serca skłonią dla siebie, tak że będą pana się trzymać, a tobie nie uwierzą. Zbierz starców, co dawne czasy pomną, niech świadczą i krzyczcie razem—nieprawda“!..

— Cóż, matko, trzęsie cię? — pytał Taras Oksany.

— Oj, tak, luby, trzęsie... Bodaj ją niemoc!.. Biedna ja sierocina...

— Poczekaj, nuż nasz doktór przyjedzie!

— Głupi dumaniem bogaty!—machnęła ręką. Nie przyjedzie!.. Czego ma jechać? Och, och!.. i plecy bolą, i piersi, i w nogach słabo... świat zbrzydł!..

Otworzył drzwi i wszedł. Sień cztery kroki wszerz i pięć wzdłuż poprzedzała izbę i była pod ostrym kątem strzechą słomianą przykryta. Woń chlewa i kurnika unosiła się tam, po kątach zużyty statek gospodarski leżał zapomniany. Drzwi od sieni do izby stały otworem. Na szerokość—ściany jéj odległe były od siebie o cztery kroki, na długość—o ośm, pułap zaś, bez wspinania się na palcach, możnaby ręką pomacać. Ten świat szeroki, co roztaczał się dokoła wsi całéj i zagrody Tarasowéj, zaglądał do chałupy tylko przez trzy, o czterech drobnych szybkach, okienka przez dwa wyrznięte w dłuższéj ścianie, od południa, i przez jedno—w krótszéj, od wschodu. Z pierwszych widniały załomy jaru, zawalone wsią, przez ostatnie—wyrwa czerwono-gliniasta, stworzona potokami deszczowemi. Przy ścianie ślepéj, północnéj, bliżéj pieca stał tapczan staréj, trawionéj zimnicą Oksany, daléj, z węzgłowiem w kącie — Fedosi, a tuż zaraz — kołyska małéj Oksanki. Pod oknem wschodniém sypiała Hanna, piętnastoletnia siostra Tarasa z Todorkiem. Ode drzwi, wzdłuż południowéj ściany, wyciągnęła się ława, a przy niéj, prawie pośrodku izby, stał stół. Nad oknami, pod samym pułapem, wisiały obrazy świętych, przysłoniętych nabożnie białym, o brzegach wyszywanych ręcznikiem. Nad ławą i tapczanami tynk i pobiała plecami były powycierane. Przy drzwiach wspinały się po ścianie ku pułapowi w równych odstępach półki, obarczone garnkami, miskami i łyżkami. Ciasno tam było i duszno. Te sześć osób, będąc jednocześnie w izbie, nie mogły się ruszać, nie potrącając siebie wzajemnie. W czasie gotowania obiadu stałą woń przypalonych garnków, czosnku (spożywanego w tym kraju równie

chciwie, jak przez żydów), dziegciu i nasyconéj potem odzieży tłumił dym dławiący ze słomy, użytéj na paliwo. Okna otwierano, lecz zawsze czuć było spaleniznę. W zimie powietrze zatruwało, prócz sześciu oddechów, kilka kur zamkniętych pod piecem. Latem Taras sypiał we dworze, a Fedosia z Hanną w sieni, gdzie przewiew snadniejszy bywał i dwie osoby mniéj mogły zepsuć powietrze.

Gdy próg od izby przekroczył, kura spłoszona, łopocąc skrzydłami, frunęła mu nad głową do sieni, zostawiwszy po sobie pod piecem jajko świeżo zniesione.

— A sio! Bodaj cię jastrząb!...

Piec zimny jeszcze, smutno, mysz popielata przemknęła po podłodze gliniastéj, skorupą błota zaschłego przykrytéj, i znikła w norze.

— Gdzie Fedosia?—pytał matkę, wyszedłszy z chaty.

— Poszła kartofli nakopać... Pewno wraca już... Och, och!..

— A Hanna?—zagadnął znów starą, nachylony nad Oksanką, do któréj pociesznie twarz wykrzywiał, głaszcząc nagą główkę dziecka.

— Pasie hen w jarze.

Obszedł podwórze. Pogładził białe włosy Todorka, wyjął z zanadrza największą gruszkę i dał mu ją, mówiąc: jédz, synku! A synek pląsał z radości, aż mu się odwijała koszulka na brzuszku. Droczył siostrzyczkę podarunkiem, a ona jęła płakać. Skarciwszy malca, szedł Taras do obórki słomianéj. Na jego przywitanie cielę zabeczało, wysuwając biały, wilgotny nos i żując kilka źdźbeł trawy. Todorek, spożywszy gruszkę trzepał kijem szczątki znoszonego buta, w śmiecisku znalezionego. Kurzu narobił i wyobrażał sobie, że żyto młóci.

— Co robisz, obiboku jeden?

— Żyto młócę!

— Komu?

— Panu.

— Głupiś! Czemuż nie sobie?

— Bo ja bobyl!—krzyczał malec roztropnie.

— Chodźmy po wiśnie, synku!

— Oj, to, to... dobrze, tatku! — zawołało dziecko, tupocąc radośnie.

Szli do sadu, z kilkunastu drzewek złożonego. Tam zrzadka czerwieniły się ostatnie wiśnie, przeświecające w promieniach słońca, śród gałęzi i liści, skakały wilgi, ukazując swe podbrzusza żółte i pogwizdując wesoło. Pierzchły za nadejściem ludzi i poleciały do dworu. Z nieba zalanego światłem płynęło gorąco, znój osiadł na

trawie i liściach, okradzionych z obfitéj nocnéj rosy. Drzémało wszystko suche, zapylone, ciemnozielone, stare.

— Chodźmy do matuli, synku!

— Do matuli i do Hanny! One hen, hen...

Poszli nad staw, spuszczając się skłonem jaru. Ojciec bez siermięgi, kołysząc barkami i trzęsąc szarawarami, stąpał szeroko, synek podniósłszy koszulinę aż do pępka, dreptał koło niego niedołężnie nożynami brudnemi, niknąc w trawie, z główką białowłosą, w którą słońce raziło. Plusk wody dochodził ze stawu. Na jednym jego brzegu kąpały się gęsi, na drugim parobki, pacholęta i dzieci. Gęsto było w wodzie od ich ciał. Ruszały się i przewalały tułowia krótkie i długie, barwy brudno-czerwonéj. Nic, tylko splot nóg i rąk, plusk, rosprysk piany, śmiechy i wrzaski. Widząc to, Taras przypomniał sobie staw we dworze rozlany szeroko i długo. Kąpiąc się nieraz sam śród sitowia, spozierał na przeciwległy brzeg. Pod dębami świeciły śnieżnéj białości ciała paniczów lub panienek, a o kroków kilkaset daléj czerwieniły się ogorzałe od pięt do czupryny dzieci chłopskie.

— Co ty robisz, cielę!—krzyknął na Todorka, który zagrzany przykładem innych, podjąwszy aż do ramion koszulkę, kroczył coraz daléj w wodę.

Rozległ się odgłos razu wymierzonego dłonią ojca, a potém płacz malca.

Między stawem a sadem wiśniowym leżały wąskie grzędy Harnych, wzięte w uścisk z jednéj strony przez zagon Antina, a z drugiéj przez łąki gospodarzy. Zarosłe były ziemniakami o ciemnozielonych pomarszczonych liściach, kapustą, czosnkiem, słonecznikiem, ogórkami i dynią. Fedosia wyrywała krzaki kartofli, obejmując każdy za czuprynę zieloną, trzęsła, a czarna tłusta ziemia osypywała się i świeciły białe grona bulwek. Rozszarpawszy je, wrzucała do fartucha, razem z ogórkami i ćwikłą, a potém z Todorkiem uczepionym rączką do spódnicy jéj perkalowéj, naglona przez męża złaknionego do pośpiechu, szła obiad gotować. Na miedzy pod dębem siedziała Hanna ubrana odświętnie, wiotka, o drobnéj smagłéj i opalonéj twarzy, z bławatkami we włosach, ubogich. Miała na sobie spódnicę i kaftan z czerwono-pstrego perkalu. Łydki jéj o barwie miedzianéj i stopy o twardéj brudnéj podeszwie tonęły w trawie, rękami szorstkiemi robiła plecionkę z mietlicy. Patrzała na kąpielowe zabawy chłopców i wywnętrzała się pieśnią, opiewającą jakąś przygodę miłosną. Krowa z jałówką skubała trawę, porykując tęsknie do cielęcia, zostającego w oborze, koń gryzł starannie zioła, poskakując spętany.

— Pilnuj, dziewucho, dobrze — przestrzegał brat siostrę — bo oberwiesz, jeśli bydlę w szkodę ludzką pójdzie!

Oto i całe swe mienie obejrzał Taras. Będąc u siebie, czuł coś podobnego, jak jego dziedzic, gdy okiem ogarniał swe obszary, rozległe na tysiące włók, i folwarki. Przyjemnie mu było, że miał swą strzechę, krowę, jałówkę, konia, cielę, psa Burka, oborę słomianą i osoby, które go panem swym znały. We dworze on musiał być posłusznym, a tutaj—jego słuchano.

Słońce ze środka sklepienia raziło dokuczliwie, powietrze stało znieruchomione i tchnące żarem. Mężowie drzémali po chatach lub wiedli rozmowy leniwe, żony zaś snuły się koło pieców, pilnując garnków. Na podwórzu Tarasa synek jego z Motrunką Antina i dziećmi innych bobylów, młodsze w koszulach tylko, starsze w spódniczkach czerwonych, bawiły się w wesele, śpiewając piskliwie pieśni obrzędowe. Gdy ostatnie kłęby dymu uleciały kominem, a w piecu czarna zwęglona słoma została, na stole Harnych ukazała się strawa. Zapachniał barszcz w misie, pampuszki z czosnkiem, ziemniaki i kasza. Na podwórzach rozległy się nawoływania matek. Dzieci ruszyły na obiad. Zasiadła rodzina do stołu. Taras, Fedosia, Hanna i Todorek jedli z jednéj misy łyżkami drewnianemi, a stara Oksana samotnie. Siedziała na rogu stołu, naprzeciw obrazów, a ręce jéj drżały i usta, część strawy połykała, część zaś z niedołęstwa wypuszczała. Jedli, dużo chleba razowego używając. Łapczywie wciągali barszcz gorący, z czego powstawał łoskot, właściwy pompom ssącym wodę, zwany „siorbaniem“. Todorek wylewał pokarm na siebie, pies oblizywał, a on go po łbie łyżką uderzał i potém daléj jadł. Oksanka zołzowata i blada, byle czego płakała, karcona wciąż przez matkę. Rozmawiali mało. Powstając od stołu, powtarzali sobie: „posililiśmy się, chwalić Boga“! wstrząsani czkawką. W żołądkach osiadało, a z gąb wypadała woń czosnku.

Długo Taras potém wylegiwał trawę pod wiśnią, nim go nareszcie Antin nie obudził.

— Albo co? — pytał, drapiąc się w plecy.

— Chodźmy na wieś!

— Co tam na wsi?

— A co tutaj, pod wiśnią? Mało we dworze śpisz? Chodźmy na czarkę.

— Chyba...

I powlekli się na wieś. Minęli kołowrot, oddzielający siedzibę zagrodników-bobylów od gospodarzy rolnych. Wszyscy wylegli na ulicę. Starce zgrzybiali w czystéj bieliźnie siedzieli na przyzbach po dwóch, po trzech, ćmiąc lulki i spluwając często. Wiedli rozmowę powolną, urywaną, w któréj wciąż słychać było czcze na-

gromadzenie wyrazów, jakby konanie myśli, w rodzaju tych: „niby to ono tak, jak ów powiadał, aż tu ci ot jak". Ociężalsza część młodzieży grała w karty, leżąc w cieniu na trawie, plecami do góry. Dziegciem wiało od rozgrzanych butów. Po płotach bujały dziewczęta w jaskrawych strojach, wyrzucając ze ściśniętych krtani swe pieśni smętne, tu chórem, tam w sadzie, samotnie. Koło nich snuły się gromady chłopców śmielszych i wesołego nastroju. Po za płotem z wierzbiny, przy chacie najbogatszego gospodarza, stały dziewczęta w zbitéj gromadzie. Większość z nich o drobnych twarzach, o wąskich biodrach. Bose były, opalone przy pracy polowéj, niektóre z wieńcami bławatków we włosach. Jadły ziarna słonecznika, wyłuszczając olejodajne siemię, a pustemi tarczami ciskały w chłopców. Jedni ryhotali, drudzy dęli w ochrypłe fujarki, inni odwdzięczali się im za to uwagami nieprzystojnemi.

— Ej że, chłopcy, połechtajmy dziewuchy! Co mają pomiatać nami?

— Hu, hu, hu, połechtajmy!..

Zgraja parobków przesadza płot. Pisk i skomlenie napastowanych... Na środku szerokiéj ulicy leżały trzy kłody sosnowe, czekające oddawna topora. Siedziało na nich kilkunastu chłopów, jedni okrak, drudzy zwyczajnie. Brody czarne i rude, postrzygane lub zupełnie zgolone, lulki w zębach, twarze zapadłe, obciągnięte skórą grubą i zmarszczoną od troski, ręce zrogowaciałe. Przed nimi stał zastęp żon. Niektóre z niemowlętami przy piersiach. Były zwiędłe przedwcześnie. Tamci wiedli powolnie rozmowy o żniwach i innych czynnościach gospodarczych, a te obracały niestrudzenie językami w gębach, bawiąc się plotkami. Opowiadały sobie stłumionym głosem dziwy jakieś. Jedna z nich szczególnie przykuła do siebie oczy i uszy innych. „Téj nocy nie bywałe rzeczy działy się z Romanem Dribnym. Swoim zwyczajem o północy, gdy wieś spała, poszedł do téj tam nad jarem Ustimii. Niegodziwa to dziewczyna! Wydarła męża żonie".

— To wina starych, że go zmusili wziąć nie miłowaną!—krzyczeli mężowie z kłody.

— Aha, swój swego broni!—ozywały się chórem.

„Poszedł ją obwieś pieścić całą noc."

— Gdybyż była hożą przynajmniéj—przerywały, miotane oburzeniem.

„Już dotykał jéj, nagle go dreszcz przerażenia zdjął. Zwykle pałająca, teraz była zimna, jak lód, i oczy miała szeroko otwarte. Objęła Dribnego za szyję, aż mu kręgi chrupnęły. Wpiła się weń i jakoś strasznie dziwnie mruczała. Krew mu do serca zbiegała.

„Puszczaj mię! — mówi — tyś upiór!“ Nie puszcza, tylko go mocniéj ciśnie do swego ciała chłodnego i ciągle mruczy. Pasował się z nią godzinę całą, zwlókł z tapczana, usiłował ręce rozpleść—trudno. Nareszcie rozplótł na progu sieni, i drżący, drętwiejącemi nogami zmyka. Kur pieje, on zmyka, a za plecy omal coś go nie schwyci. Chce do swéj chaty, a siła jakaś pcha go do jaru, tego, co prowadzi pod step. Na dzień się zbierało, gdy z gorączką w ciele, oprzytomniał siedzący pod stogiem. Wolarze, co tam nocowali, pytali go później, czego, jak szalony, całą noc biegał? Nic. Tylko ramionami zżymał“.

— Dobrze mu tak!—powtarzały kobiety.

— Dobry Bóg pokarał za żonę!.. Hoża taka... Nie jeden by pozazdrościł mu! Nie, psubrat za inną ladaszczą i szpetną szaleje, noce całe z nią spędza. Otumaniła go czarownica!

Część chłopców, ściągnięta opowieścią, słuchała. Byli między nimi, co pamiętali onegdajszą bójkę swą nocną z Dribnym. Podsłuchał, jak trzech zawadyaków, rozgrzanych upałem lipcowym, rzucając ostatnie snopy na stértę, powzięli onegdajszego wieczoru plugawy zamiar względem jego żony. Nie tykał jéj, lecz strzegł zazdrośnie. Nie poszedł więc téj nocy do Ustimii, ale czatował. Późniéj plecy obijboków były w robocie, tańczył koło nich z drągiem.

Gdzieindziéj znów, na korycie starem, wywróconém dnem do góry, któryś z chłopców położył deskę. Na jednym jéj końcu stawały po kolei dziewczęta, na drugim parobki i huśtano się. Spódnice fruwały, naszyjniki paciorkowe pobrzękiwały. Gdy deska, wstrząśnięta gwałtownie, strącała którą z nich na trawę, chłopcy głośnym wybuchali śmiechem. Tymczasem nad wsią wisiało niebo błękitniejące na wschodzie, zatopione światłem jaskrawem na zachodzie, piały koguty, kwakały kaczki. Taras z Antinem szli środkiem ulicy wprost ku karczmie Ickowéj. Mijając chłopów, siedzących na kłodach i gromadę kobiet paplających, mówili im „dzień dobry“, otrzymując przez zęby wyrzucone „witaj“. W ślad za nimi goniły pogardliwe uwagi od „sług pańskich“. Była w nich uraza do Tarasa za nocne zasadzki na nieletnich rabusiów owocowych i za okaleczenia świń szkodnych. Karczma stała w połowie ulicy, duża, odrapana, plugawa, wiecznie oblężona wozami podróżujących żydów, cuchnąca kozą. Matowemi szybami patrzała na dwór, ukryty za zielenią drzew, a czarną paszczę otwartych drzwi wyszczerzała na wieś. Gdy który chłop przechodził tamtędy, paszcza ta magnetycznie pociągała go, a potém połykała. Znikał w ciemnościach sieni, „śmierdzącéj żydem“, późniéj w szynkowni, gdzie wraz z mieniem podlegał powolnemu wysysaniu. Święto napędzało dużo ludu. Kie-

liszki wychylano sowicie. Karczmarz rad daje, bo na podwórzach gospodarskich piętrzą się żółte stérty. Grosz znojnie zdobyty ściekał do jego kieszeni, a na głowę nieraz spadały razy. Nic to! Posiwiał w Wilszance, kilku córkom, wydanym za szynkarzy, ssących soki innych wsi, dał po kilkaset rubli posagu i po zegarku złotym.

Gorzałka tryska z antałków do „ćwiartek", stół mokry, ściany wstrząsa śmiech chłopów, żyd zahukany, zasypany klątwami, gradem pogróżek. Najwięcéj słychać Dribnego. Założywszy w tył pod siermięgę ręce, stanął nad szynkwasem i „prawdę" żydom prawił:

— Czy dużo w tym tygodniu z brata naszego skóry zdarliście?—pytał ze złowrogim żarem w oku.

— Po co nam drzéć? My z waszéj łaski żyjemy...

— Oj, żyjecie, bodaj was niemoc! Krew naszą spijacie!

— Zwyczajnie, żyd!—wykrzykiwali inni.

— Białorękie!—syknął ktoś przez zęby, patrząc na postrojone córki Icka.

Żyd nadskakuje, głaska jedwabném słówkiem, łasi się do zawadjaki, nazywając go wciąż „panem Dribnym." Ten macha rękami i świtą, tupie, trzęsąc szarawarami. Dusząca woń gorzałki, machorki i siarki obciąża powietrze. Głowy strzyżone się chwieją na karkach, oczy osowiałe mrugają, osiadają w żołądkach pampuszki, śląc oddechy, nasycone czosnkiem niedotrawionym. Wygrażają językiem skołowaciałym. Antin o długim tułowiu na krótkich nogach, podochocony, prawił coś o dworze, o psiéj służbie, klął, że musi wracać rychło. Taras, zwykle posępny po kilku „ćwiartkach" wódki, milczał. Starosta, człowieczek szczupły, z żółtą ociekłą twarzą i czarnym kosmykiem włosów na brodzie, chwiejąc się na nogach niepewnych, bełkotał językiem zdrętwiałym.

— Jabym ich, gadów, gdzie pieprz rośnie!..

Antin z Tarasem wyszli, bo czas było do domu wracać.

— Ej, bobyle, bobyle! — drwiono. — Poczekajcie!

— Widzisz? psia smycz! Poszli!..

— Bo pan gwizdnął....

— He, he, he!

— Ej, Harny!—wołał Dribny.— A przyjm-no mię tam w sadzie uczciwie, gdy przyjdę!...

— Przyjdź, nie zlęknę się!

— Antin! zaczekaj, nie spóźnisz się na łakocie pańskie! Wypijmy jeszcze po ćwiartce!

Ruszali do siebie krokiem niepewnym. Za sobą zostawili karczmę, Icka i Dribnego w kłótni ze starostą. Ten mu rzekł, że idzie do jego żony na noc, obecni wybuchnęli śmiechem. Obrażony wy-

rzucił grad obelg, wszczęła się bójka. Naczelnik wsi, pchnięty, zatoczył się na ziemię, przypominając napastnikowi, że jest nietykalny, jako starosta. Zachodnią stronę nieba krwawa powódź zalała, zolbrzymiała tarcza słońca szybko zapadała za ziemię. Z konającemi blaskami gwiazdy dziennéj święto dogorywało. Taras i Antin podążali do siebie krokiem ludzi, zapędzających kaczki, a naprzeciw wracała trzoda owiec bekliwa, zatopiona ostatniemi promieniami i kurzem.

— Patrzcie no ich, jak nażgani!

— Przywołajcie żonki, niech wam pomogą zajść!

Przed karczmą długo jeszcze jeden z chłopów, jak w zaklętem kole, zataczał się, klnąc siebie, żonę i żyda.

## V.

Białe płachty mgły wisiały nad trawą, powietrze syte było wilgoci i zmierzch zalał jar, gdy wracali tamtędy Taras z Antinem, zboczywszy nieco, żeby chmiel z głowy wywietrzał. Po czarnéj topieli stawu ślizgały się rozproszone promienie zorzy wieczornéj, żaby rechtały, krzyk spłoszony wrzasnął w przelocie, biała sylwetka bociana samotnika zaświeciła w trawie. Z cieniów i bladych oparów, z po za łagodnych załomów jaru dochodziło szeplenienie ochrypłéj fujarki, sapanie pasących się wołów, parskanie koni i nawoływania ludzi czuwających.

Szli senni, z trwogą, na myśl bury, spodziewanéj od pana za spóźnienie się. Jar został z tyłu. Na wschodzie, w ciemno-sinéj dali, na skraju ziemi stanął duży, rumiany krąg księżyca. Ciepły oddech zbóż powiał, zajęczała kuropatwa, przepiórki się wabiły.

— Psia służba! — klął lokaj.

— Wolałbyś z żoną spać, hę? — pytał Taras.

Och, i on wolałby! Zazdrościł w téj chwili Dribnemu Ustimii.

Przed sobą mieli ciemną kupę drzew — dwór. Wszedłszy na dziedziniec, przemykali każdy w swą stronę, spoglądając trwożnie na pałac, z uczuciem przestępców, gryzionych wyrzutami sumienia.

Taras wrócił do sadu. Z ciężką głową, z szumem w uszach, przesuwał się pod drzewami, szukając małych złodziejów. Nikogo nie zdybał. Wilgotno, świeżo było tu i cicho, tylko górą powietrze przepływało poprzez liście i konary, rodząc poszmer lekki. Koniki polne strzykały. Legł przy swéj budzie, przytulając rozgrzane ciało do zroszonéj trawy. Drzémał już, a grusze z jabłoniami rozpostarły nad nim gałęzie o czarnéj korze i niebo patrzało litościwie gwiazdami wybladłemi. Wtém Kuba zawołał na niego:

— Wstawajcie, Tarasie! Pan kazał czatować na dzieci ze wsi.

— Bodaj cię niemoc z panem.....

Czuwali, nic nie mówiąc do siebie. O północy od strony stawu szelest doleciał i szept. Pięciu chłopaków, liczących od dziesięciu do trzynastu lat, największych urwisów, wdarło się do sadu. Taras niedaleko wału sypiał i kilka razy już złapał ich przedzierających się tamtędy. Chytrzy zostawili koszule i szarawarki na swoim brzegu i, nieodziani, wbród przebyli najpłytszą wodę. Szli do grusz, najsmaczniejszych, najulubieńszych w pałacu. Młodszy brat Ustimii ledwie objął pień rękami i pięty przytknął do kory, gotów sunąć w górę, gdy Taras schwycił go za łokcie. Spadły razy. Jęk malca i klaskanie dłoni bijącéj budziły echa ogrodu. Inni zmykali. Z płaczem wskakiwali do wody, żegnani gradem gałęzi suchych. Hałas spłoszył kilka dzikich kaczek, żerujących w oczerecie; Kuba ze strzelby ekonomskiéj dał strzał w ich czarne sylwetki, zmykające w świetle księżyca. Ocknęły się białe stada gęsi chłopskich, zadrzémane na brzegu przeciwległym, i z krzykiem poleciały na wodę. Przed chatą, na wzgórzu, po tamtéj stronie, kogoś czkawka wstrząsała.

— Ha, zbóje! psia swora, liżąca nogi pańskie! Do dzieci strzelać? do ludzi, jak do kaczek? Na cztéry wiatry was ze wsi, psubraty!

To Dribny, opuściwszy na chwilę Ustimią, klął, wygrażając pięścią, oblany blaskiem księżyca.

Nad drugim brzegiem stawu, przy folwarku, koło młyna wodnego, kogoś bito. Powtarzał błagalnie: „dalibóg, nie będę, puść!“

To młynarz, zbudzony strzałem, karcił żonę, zdybaną na przekradaniu się do dworu. Szła ze wsi do oficyny, gdzie guwerner mieszkał.

Takie zajścia z dziatwą powtarzały się częściéj, w miarę dojrzewania owoców. Za to co niedziela na wsi Taras był bardziéj lżony przez Dribnego i innych od „legawców pańskich.“

Z ostatnim liściem, zerwanym z drzew wiatrem październikowym, Taras opuszczał sad. Po obrachunku wracał do chałupy, by, nie doczekawszy wiosny, spożyć cały zarobek w gronie pięciogębéj rodziny.

Podczas gdy Taras corok na wiosnę kopał w sadzie, dźwigał konwie z wodą, gracował aleje ogrodu, nosił włoszczyznę w koszu do kuchni, latem uznojone ciało chłodził na wilgotnéj trawie i noce trawił na czuwaniu nad całością dobra pańskiego; w pałacu dojrzewali panicze i panny. Jednym potrzeba było nauki szkolnéj, a drugim—mężów. Antin, froterując podłogi, nieraz słyszał bardzo ożywione, namiętne sprzeczki pomiędzy panem, panią i ich córkami.

Rozwiązywali jedno z zawiłych zagadnień swojego żywota, dokąd wyjeżdżać na zimę? nad Wisłę, do stolicy kraju, czy nad Dniepr, do stolicy prowincyi? Nie wiele z tego rozumiał lokaj, chłop grubéj myśli. U stołu toczył się dalszy ciąg rozmowy, ponawianéj przez kilka dni. Pani zaciętą żywiła nieprzyjaźń dla miast, steku brudów, blichtru obłudnego; pan naodwrót — bronił. Antin stał ze ścierką na ramieniu, z rękoma na krzyż, z ustami na oścież, z okiem wlepioném w stół i talerze. Dla dzieci koniecznie muszą do stolicy wyjechać. Tam rodzimy duch, rodzima mowa, swój żywioł! Trzeba je tam skąpać, niech w nie, jak w gąbkę, wsiąknie. Nic nie pojmował z tego Antin.

— Wszystko to prawda, ale zawsze jabym wolała wieś!

Pan wyliczał zalety życia miejskiego. Teatr, dzienniki, wystawy, koncerty, *bale*... Bale? Zapewne — dla córek. Targowisko przecie.

— Zresztą daj ty mi święty spokój z twą obroną! Powiedziałam, że jedziemy, to dość!

Aha, więc jadą! Zrozumiał.

Hałas powstania od stołu. Sprzątnął żwawo, dojadł niedogryzki w kredensie, a potém ruszył do kuchni. Tam Musij z Kubą próbowali swych sił. Borykali się. Kurz wisiał w powietrzu, zydle wywrócone padały, drżały naczynia na stole. Sapali, charcząc. Nadeptali łapę psu, zaskowytał. Taras patrzał na to poważnie, pękając. Garderobiana zagrzewała Kubę, przypominając, że przegra. Runęli, najprzód Musij, a na niego Kuba.

— A co? Dawaj ćwiartkę tytoniu!

— Ej, chłopcy, rzućcie błazeństwa! — rzekł Antin, wchodząc. — Wiecie, co wam powiem?

— No?

— Państwo wyjeżdżają na zimę do Warszawy!

Cała służba była w kuchni. Bardzo a bardzo to im się nie podobało. Po co? po jakiego dyabła jechać? Albo im w pałacu, w majątku źle? Nie mają czego jeść? Mało Taras pomidorów i owoców wyhodował, a ochmistrzyni kurcząt? Żaden z nich, mając tyle ziemi, nie ruszyłby się z niéj, nie poszedłby za góry i morza. Widać natura pańska inna, niż chłopska. Panowie dziwne miewają zachcianki. Trudno ich pojąć! Oni wszystko inaczéj robią, niż nasz brat. Jedzą dłużéj, smakując, bo czasu mają wiele i łakoci, śpią dłużéj, oddają nawet z siebie to, co ciału niepotrzebne — dłużéj.... Spacerują. Nasz brat nie zna tego, dalipan! Ta wieść tak ich poruszyła, że nieprędko uspokoić się mogli. Żółć ich zalała, sypali wciąż dowcipami. Jakaś siła pobudzała ich języki do ustawicznego

ruchu. Żal i smutek niewytłómaczony ściskał im serca. Mieli wielką ochotę oprzéć się zamiarowi pana, obmotać ramionami swemi koła powozu, gdy ci wsiądą już. Sprychy miałyby migotać, koła się toczyć, a ci białolicy zmykać im z przed oczu? Po co? Żeby dwór pustki zaległy! Przywykli, żeby codzień im „kapitułę wycierano“, było przed kim kark zginać, czém napaść zawiść staruszkę.

Pewnego dnia, gdy Musij z Tarasem i Kubą otrząsali gruszę, któréj ulęgałki dziedzic darował im, Antin dostrzegł w gabinecie pańskim nieznanego sobie żyda. Zaciekawiła go ich rozmowa. Czas herbaty wieczornéj nadszedł. Znosił przybory do stołu powoli, żeby módz częściéj z kredensu do jadalni przez gabinet przechodzić i łapać słowa. Stawiał szklanki, krajał bułki, układał ciasto na tacy, ociągając się. Ciągle coś znajdował do poprawienia koło samowara, żeby tylko być blisko drzwi od gabinetu. Chwilami rozmowa stawała się tak cichą, że aż Antina jątrzyła. „Kiedym cię, trutniu, postawił tu, to mrzyj, bodaj cię niemoc!“—mruczał do samowara. „A ty, szklanko panienki, czego tak krzywo stoisz? Stać mi prosto!“ Pan tymczasem leżał na sofie, z dobrodusznością szlachecką na twarzy, i słuchał żyda. Nie! Na dziesięć lat nie mógł puścić w dzierżawę, tylko na ośm. Po ukończonéj edukacyi dzieci, sam potrzebuje wytwarzać pszenicę. Jakoś niewygodnie dla żyda na ośm lat! Za mało czasu do nabicia kieszeni. Trudno! Znajdzie się dzierżawca, co na te warunki przystanie! Po co inny? Szkoda innemu pozwolić ssać ziemię i z drogi żelaznéj korzystać! To już lepiéj on. Daléj umowa i sprzeczka przy zawieraniu jéj, a potém cisza zgody i zgrzytanie pióra. „Eee! tu dziedzic ma wpuścić żyda pod samo żebro chłopom!—myśli sobie Antin. Nowy kaprys! Nasz brat zębami i nogami trzymałby się roli. Czaszkę rozpłatałby temu, coby śmiał mu pług lub kosę wyrwać z ręku. Znać pana! Zbrzydło mu nawet okiem czasem rzucić na gospodarstwo, spojrzéć, jak tam ludzie się roją na polu i klepisku.“

— Niech pan i sad wypuści w arendę!

— Komu? tobie?

— Nie mnie! Szwagrowi mojemu. On panu dobry da dochód...

— Obaczymy, pomyślę...

Grusza szumiała, wstrząsana przez Kubę, zielony grad ulęgałek tłukł ziemię. Fedosia z żoną Musija zagarniały je do fartuchów, czasem Kuba sypnął niemi na plecy kobiét, żartem. Todorek z malcem Musija, zamiast zbierać, opychali się. Antin wymknąwszy się, zabiegł tam, żeby zbyć ciężaru pochwyconéj wiadomości o nowym zamiarze pana. Teraz już mniéj gadali. Wydzierżawienie majątku pociągało zmiany w ich położeniu. Już nie będą pańskiéj łaski pro-

sić, lecz żyda „chrystobójcy.“ Dostaną drugiego żyda na utrapienie swe: jeden na wsi w gorzałce więził ich grosz, drugi przy orce, żniwie i młócce obetnie nieraz. Przy panu jeszcze choć trochę pożywić się można, żyd krwiożerca i na złamaną szpilkę nie da ci niczego. Taras najwięcéj uczuł, Antin, Musij — ci i nadal we dworze zostaną na lato, gdy państwo wrócą, bo lach bez lokaja i kucharza kroku nie stąpiłby, ale on? Jeśli sad żyd wynajmie, on połowę, a może i cały straci zarobek. Pan pewno nie odmówi słomy na opał, ale żyd parch nieraz i na niéj skrzywdzi, gdy się ją będzie brać pod niebytność pana w pałacu.

— Nie wyżyje długo ten chrystobójca pod bokiem brata naszego — zakończyli rozmowę. Pot chrześciański zgryzie parszywą skórę, a krew, spijana przy pługu, kosie i cepie, kolek mu napędzi!

Z ciężkim worem gruszek na plecach, z żoną i synkiem szedł Taras do chałupy. Spotykani po drodze ludzie wilszańscy dowiadywali się o postanowieniu pana, potrząsając głowami i ciskając na dwór wejrzenia gniewne. Całą wieś obleciała wieść o wydzierżawieniu majątku żydowi. Przyjęto ją z klątwą na ustach.

— Nie wyżyje długo parch obok nas! — powtarzali sobie.

(D. n.) *Zygmunt Pietkiewicz (Komar).*





# PRZEMYSŁ WŁOŚCIAŃSKI.

## TEORYA KWESTYI, JÉJ STAN I WIDOKI U NAS.

W rozwoju ekonomicznym społeczeństwa naszego ujawniać się zaczęły w ostatnich czasach coraz częściéj i wyraźniéj pewne zjawiska ujemne, które o tyle smutniejszemi nazwane być muszą, że dotyczą pozycyi naszego gospodarstwa narodowego, poczytywanéj zazwyczaj za najtrwalszą i najsilniejszą, — mianowicie chłopskiéj własności ziemskiéj. Nieznany dotąd ruch wychodźczy ludności włościańskiéj obecnie w niektórych okolicach kraju coraz częściéj zdarzać się poczyna i z powiatów nadgranicznych gubernii płockiéj i kaliskiéj, z kowieńskiéj Żmudzi wychodzą liczni emigranci do Ameryki, zachęcani przez agentów towarzystw przewozowych niemieckich, którzy nie szczędzą barw, by jak najponętniéj tę ziemię obiecaną przedstawić; pamiętnym jest także ów ruch emigracyjny z gminy Niekłań w Koneckiém, gdzie na wieść o rozdawnictwie gruntów w gubernii tomskiéj, naraz kilkuset włościan porzuca miejsce rodzinne i przybywa do Warszawy, domagając się środków na dalszą podróż. Nadto, ktokolwiek przygląda się bacznie życiu ekonomicznemu naszego ludu, zauważyć musiał przytrafiające się coraz częściéj licytacye osad włościańskich za długi żydowskie, straszne zadłużenie chłopów u lichwiarzy, wzrost proletaryatu wiejskiego. Ruch parcelacyjny, który przed kilku jeszcze laty rozpoczął się był na wielką skalę i zdawał się zapowiadać ważne przeobrażenia w układzie ogólnym naszych stosunków agrarnych, obecnie osłabł znacznie. Zewsząd, słowem, widzimy znamiona, zwiastujące pewne obniżenie stanu ekonomicznego najliczniejszéj u nas warstwy narodu. Klasa, któréj byt zdawał się być zabezpieczonym lepiéj i trwaléj niż jakiejkolwiekbądź innéj, stan—który chętnie zwaliśmy uprzywilejowanym i faworyzowanym—jest zagrożony dzisiaj w najistotniejszéj swéj społeczno-ekonomicznéj podstawie.

Nie będziemy rozpisywać się w tém miejscu o doniosłości téj sprawy dla społeczeństwa naszego. O jednym tylko fakcie napomknąć sobie pozwolimy: statystyka poucza, iż imigracya niemiecka do Królestwa wciąż wzrasta, a proces ten pozostaje w stosunku prostym do obniżenia dobrobytu ekonomicznego włościanina polskiego, który w warunkach sprzyjających stałby się jedynym nabywcą ziemi polskiéj.

Środki i sposoby zaradzenia złemu mogą być liczne, i mniéj lub więcéj skuteczne. Tu nad jednym z nich zatrzymamy się bliżéj, nie chcąc mu przecież dawać pierwszeństwa przed innymi, ani nie przeceniając znaczenia, jakie miéć może.

Jest mianowicie gałąź pewna produkcyi, którą dziś można nazwać upośledzoną zarówno w teoryi ekonomicznéj jak i w praktyce życiowéj. Formy wytwórczości, wysunięte przez wiek XIX na plan pierwszy w gospodarce narodów, a olbrzymie i okazałe swoją postawą zewnętrzną, zasłoniły téż sobą całkowicie skromne a stare gałęzi pracy. I o ile więcéj pochłania dzisiaj uwagę uczonych ekonomistów i ogółu ludności przemysł wielki, koleje żelazne, górnictwo, maszyny i wynalazki,—o tyle mniéj jéj pozostaje dla drobnych form produkcyi, przechowanych i piastowanych po dziś dzień po skromnych warsztatach rzemieślniczych i ubogich chałupach chłopskich. Nauka dzisiejsza skłonną jest do wydawania wyroków potępiających o wszystkiém, co nie jest nowożytném, tegoczesném. Traktuje ona te formy dawniejsze tylko jako zabytki minionéj epoki, jako pozostałości archaiczne zdolne zaciekawić chyba tylko archeologów-ekonomicznych; zaprzecza im w zasadzie wszelkiéj racyi, a więc i prawa do bytu. Jeśli istnieją jeszcze, to—według doktryny powyższéj, tylko skutkiem zbyt powolnéj ewolucyi ekonomicznéj; ale upadek ich jest nieuniknionym,—jedynie kwestyą czasu. Skoro więc te formy dawne produkcyi upaść i zniknąć muszą, wszelkie sztuczne podtrzymywanie i popieranie jest opóźnianiem prawidłowego rozwoju, zaporą postępu bezowocną, a więc i szkodliwą.

A jednak—wbrew tym bezwzględnym wyrokom—mrówcza praca milionów nie tylko trwa jeszcze w swéj staréj postaci, ale—jak to zobaczymy poniżéj—nawet w krajach, w których rozwój ekonomiczny wkroczył najwcześniéj na drogę ewolucyi kapitalistycznéj, stale acz powoli rośnie, domagając się uwzględnienia i poparcia państwa dla swoich potrzeb i interesów. W społeczeństwach zaś, gdzie rozwój według typu kapitalistycznego nie znajduje dla siebie najkonieczniejszych warunków, drobna forma produkcyi trwać jeszcze może wieki całe, a dalsza jéj ewolucya wejść może na drogę

całkiem odmienną, której dziś określić ściśle niepodobna. I jeśli w tych sprawach ewolucyi społecznéj wolno przejawiać nasze uczucia subiektywne, wolno cieszyć się lub smucić, to zaiste szczęście, jakie ma dać ludzkości kapitalizm, nie jest znów tak ponętnem i niewątpliwém, by opłakiwać z góry niemożliwość powstania i rozwoju téj formy ekonomicznéj u któregoś z narodów.

I nasze społeczeństwo także—upośledzone skądinąd—upatrywało potężny środek podźwignięcia się swego w rozwoju handlu i przemysłu fabrycznego. Marzyliśmy o podboju rynków wschodnich i widzieliśmy już w wyobraźni, jak towary polskie powoli krok za krokiem zdobywają olbrzymie przestrzenie, otworem dla nich stojące. Dzisiaj jednak przyznać potrzeba, iż nadzieje te zawiodły nas niemiłosiernie. Nie tylko nie podbiliśmy rynków wschodnich, na których przez wieki obfite mieliśmy zbierać żniwo, lecz przeciwnie przestrzeń już zdobyta wymyka się z rąk naszych i wymykać się będzie z dniem każdym coraz więcéj, w miarę rozwoju przemysłu w Cesarstwie. Zwłaszcza, iż nieuniknionéj téj ewolucyi naturalnéj przyjść mogą w pomoc środki i sposoby już zupełnie świadomie i celowo przeciw przemysłowi naszemu wymierzone.

Natomiast—znowu wbrew wspomnianéj teoryi—ze zdumieniem spostrzegamy, że na naszych własnych rynkach krajowych znajdują pokup coraz większy najróżnorodniejsze wyroby przemysłu chłopskiego, pochodzące z okolic, w których przemysł ten zdołał rozwinąć się należycie i gdzie znajduje poparcie i opiekę racyonalną z góry, tj. przedewszystkiém z gubernii wielkorosyjskich. Wyroby te kupujemy, począwszy od płócien jarosławskich, rolet słomianych, pochodzących z jakichś chat riazańskich, lub zabawek dziecinnych, wyrabianych przez włościan kostromskich,—a kończąc na wyrobach fabryk tytoniu petersburskich, świecach newskich, samowarach tulskich, wojłokach, dywanach kaukaskich i nawet... słoninie i mące krupczatce.

Wobec tego kwestya przemysłu włościańskiego nabiera wielkiéj doniosłości dla równowagi naszego budżetu gospodarczego. Jaką bowiem może mieć racyą ekonomiczną importowanie przedmiotów, które tak samo dobrze w kraju u siebie możemy wyrabiać! A jeśli z tego ogólnego punktu widzenia zejdziemy na stanowisko interesów „klasowych“ włościaństwa, to przekonamy się, że ów przemysł drobny stanowi dziś już—czy też dziś jeszcze—pozycyą niepoślednią w gospodarstwie domowém wielu włościan polskich; że część znaczna ludu tą właśnie drogą usiłuje pokryć niedobory gospodarstwa rolnego, ze szczupłości gruntów lub innych przyczyn pochodzące.

Zdaje się, że przyczyny te powinny nas przekonać o ważności téj formy produkcyi. Rzeczą teoryi jest—zbadać jéj istotę, rozpatrzyć widoki na przyszłość, wskazać środki rozwoju i powodzenia. Poczém już powstać muszą kwestye praktyczne co do podniesienia technicznéj strony przemysłu włościańskiego, wyrobienia takiéj organizacyi przemysłowo-handlowéj, która odpowiadając interesom ekonomicznym kraju, zapewniałaby zarazem ludowi pracującemu możliwe maximum pożytku i korzyści. Tym to kwestyom kilka uwag poświęcić zamierzamy.

## I. **Teorya kwestyi**.

Forma przemysłu, którą praktykują chłopi-rolnicy u nas i gdzieindziéj, w zwykłych podręcznikach ekonomii nie ma dla siebie nazwy odrębnéj. Włączają ją zazwyczaj wespół z innemi—pokrewnemi z nią wprawdzie pod niejednym względem formami—pod miano ogólne *przemysłu drobnego*, albo téż *przemysłu domowego.* Z nazw zaś i terminów lokalnych, używanych, w niektórych krajach, najbardziéj zbliżone i odpowiednie są to francuski: „*industrie buissonnière*“, oraz rosyjski „*kustarnyj promysieł*“ (1).

Za podstawę klasyfikacyi form produkcyi przyjmują zwykle ich cechę zewnętrzną, i przedewszystkiém rozmiar: w przeciwstawieniu więc do przemysłu fabrycznego, prowadzonego na wielką skalę, przy wielkim nakładzie kapitału, przy zastosowaniu maszyn i o szerokim podziale pracy, *przemysł drobny* odznacza się mniejszemi rozmiarami warsztatu, mniejszym stosunkowo udziałem kapitału w produkcyi, maszyn i sił roboczych, wreszcie mniéj rozgałęzionym podziałem pracy. Są to cechy wspólne wszystkim formom produkcyi drobnéj i dotyczą zewnętrznéj, technicznéj strony procesu wytwórczego. Pozatém istnieją jednak pomiędzy niemi znaczne różnice co do organizacyi wewnętrznéj, ustosunkowania różnych czynników produkcyi, miejsca pracy itd.

W rękodzielnictwie istnieje już zupełne oddzielenie czynników produkcyi—tak zwane zróżniczkowanie,— co właśnie zbliża tę formę do przemysłu kapitalistycznego, czyniąc z niéj ogniwo przejściowe pomiędzy nim a produkcyą drobną. „Zróżniczkowanie“ polega na tém, że przedstawicielami różnych czynników produkcyi są

---

(1) „Kust“ po rosyjsku znaczy to samo co „buisson“—krzak. Nazwa ta z francuskiego też przełożoną została. Pochodzenie zaś jéj objaśniają podobieństwem przemysłu włościańskiego do krzaka, który z ziemi nieznacznie wyrasta, rozgałęzia się we wsze strony, nie wznosząc się jednak nigdy do większéj wysokości.

różne osoby: właściciel kapitału, t. j. materyału surowego, narzędzi pracy oraz środków pieniężnych, stanowiących płacę roboczą,—sam nie pracuje, a często nawet zarząd i administracyą przedsiębiorstwa powierza urzędnikom płatnym, nie zainteresowanym osobiście w produkcyi. Robotnik zaś, pozbawiony własności, wnosi do przedsiębiorstwa tylko pracę rąk swoich. Taki właśnie typ organizacyi stanowi cechę istotną tej formy produkcyi, którą dziś kapitalistyczną—albo wprost kapitalizmem — ochrzcono.

Częściowo typ ten istnieje już nawet w rzemiośle i w tak zwanym przemyśle domowym (ang. *domestic system*). Materyał surowy, narzędzia, warsztat, są własnością majstra lub przedsiębiorcy, a czeladnik daje tylko pracę. W przemyśle zaś domowym robotnik pracuje wprawdzie własnemi narzędziami u siebie w domu, ale do udziału w przedsiębiorstwie przypuszczonym nie jest, bo obrabia materyał dostarczony mu przez fabrykanta i temu też gotowy wyrób oddaje. Tkacz biorący np. pewną ilość przędzy do domu dla obrobienia jej na rzecz przemysłowca, tak samo jest zależnym od tego ostatniego, jak robotnik fabryczny od fabrykanta. Wszelkie fluktuacye zachodzące na rynku wpływają na stopę jego zarobków, w czasie kryzysów pozostaje całkiem bez pracy. To tylko zachodzi podobieństwo między przemysłem domowym a włościańskim, iż w obu miejscem roboty jest dom własny robotnika: ale też na tej zewnętrznej zresztą właściwości podobieństwo się kończy.

We wszystkich tych wypadkach pracujący nie ponoszą żadnego ryzyka, nie biorą udziału w zyskach, a wynagrodzenie ich, określone z góry, normuje się według praw ogólnych, rządzących stopą płacy roboczej. Zależność ich od przedsiębiorcy jest zupełną, samodzielność ekonomiczną żadną.

Całkiem odmienny typ organizacyi przemysłowej przedstawia przemysł włościański. W nim bowiem zróżniczkowania czynników produkcyi niema; przedstawicielem wszystkich ich trzech, t. j. sił przyrodzonych, pracy i kapitału, jest ta sama osoba wytwórcy. On jeden ponosi ryzyko przedsiębiorstwa. Zysk tu nie jest oddzielony od płacy roboczej, a więc i przeciwieństwa żadnego między temi kategoryami dochodów nie ma. Jest-to różnica nader ważna, zwłaszcza ze względu na przyszły rozwój tych różnych form. W gałęziach produkcyi, w których różniczkowanie czynników już istnieje, postępować musi coraz dalej, aż do zupełnego ich oddzielenia. W nich więc mamy istotnie formę przejściową, kryjącą w sobie pierwiastki, które rozwinąwszy się w całej konsekwencyi, stopniowo przeobrazić mogą zupełnie zewnętrzną postać organizacyi. Strącając z jednej strony drobnych przedsiębiorców na stanowisko pro-

stych robotników najemnych, a zeŚrodkowując z drugiéj narzędzia w coraz to większe całości, prowadzi ta forma prostą drogą do kapitalizmu, za zarodek którego może być poczytywaną.

Inném jest stanowisko producenta w przemyśle włościańskim i o wiele korzystniejszém. Wynika to popierwsze z tego, że przemysł nie jest nigdy głównéın zajęciem włościanina, lecz raczéj dodatkiem tylko do pracy rolniczéj, do którego ucieka się wieśniak w celu powiększenia dochodu swego, o ile sama gospodarka rolna na opędzenie potrzeb mu nie wystarcza. Poświęca on przemysłowi tylko czas wolny od robót rolniczych, przedewszystkiém więc miesiące zimowe, w czasie których gospodarstwo rolne go nie pochłania. Ma więc w ten sposób punkt oparcia, którego brak rzemieślnikowi, lub robotnikowi fabrycznemu; jest o wiele więcéj samodzielnym, niezależnym w swych czynnościach, może łatwiéj przejść od jednéj gałęzi przemysłu do drugiéj. Oprócz tego ziemia go trzyma na miejscu, niechętnie oddala się z domu, a nawet wyszedłszy na zarobki, wyczekuje tylko sposobności powrócenia do domu. To téż skutkiem téj odrębności warunków w przemyśle włościańskim zachodzą nieraz zjawiska wprost przeciwne kapitalizacyi, która ma miejsce w innych formach produkcyi. Zamiast skupiania przemysłu odbywa się tu nieraz rozdrabnianie jego, całkiém analogicznie z tém, co zdarza się często w zakresie stosunków agrarnych. Snać ziemia wyciska piętno sobie właściwe na wszystkich objawach ekonomicznych, w związku z nią pozostających. Fakt ten został zauważony niejednokrotnie tam, gdzie badania przemysłu włościańskiego objęły okres czasu dłuższy, pozwalający poznać przebieg rozwoju procesów w nim zachodzących. Przytaczamy tu dla przykładu niektóre fakty z dziejów téj formy produkcyi w Rosyi, ponieważ, jak wiadomo, ten rodzaj przemysłu jest w niéj bardzo rozwinięty i ponieważ zebrano tam bogaty materyał statystyczny, ułatwiający dokładne jego zbadanie. Ztamtąd téż przykładów dla wyjaśnienia tego ciekawego zjawiska zaczerpnąć możemy.

W wielu miejscowościach i wśród najróżnorodniejszych gałęzi przemysłu zauważono ostatniemi czasy wzrost ilości ogólnéj warsztatów pojedyńczych, odbywający się równolegle ze zmniejszeniem przeciętnéj ilości robotników pracujących w każdym z nich. Wielkie zakłady, urządzane poprzednio przez przedsiębiorców, rozdrabniały się na mniejsze a liczniejsze, pierwotny zaś fabryczny charakter produkcyi przekształcił się stopniowo na ściśle ludowy. Z wielu przykładów wyjaśniających ciekawe to zjawisko, tak sprzeczne z ogólno-przyjętą dziś teoryą, przytaczamy tu niektóre.

We wsi Ligaczowie założył był około r. 1850 niejaki Zinin fabrykę mebli, w której pracowało około 70 robotników. Włościanie okoliczni chodzili chętnie na robotę, często się zmieniając. Kiedy jednak około 500 osób przeszło przez fabrykę, zaczęły powstawać małe zakłady tego rodzaju po chatach. Fabryka ta upada, liczba robotników w niéj ciągle się zmniejsza, a przemysł przenosi się z niéj do izb chłopskich (1).

W 1858 chłop ze wsi Klonowa, wróciwszy do domu z Moskwy, gdzie pracował w fabryce kapeluszy, założył u siebie wielki warsztat, w którym było zajętych początkowo 70 robotników. Ci jednak, gdy ponauczali się robót i poznali całą fabrykacyą, rzucali warsztat i powracali do domów. Dziś w 16 wsiach okolicznych jest około 70 warsztatów i więcéj niż połowa ludności oddaje się przemysłowi temu po własnych chatach. Z początku pracowali na rzecz pierwotnego przedsiębiorcy, ale późniéj znaleźli drogi odpowiednie i dziś cały towar swój wprost odwożą sami do Moskwy.

Przed 40—50 laty we wsiach Jełchówce, Rachmanowie powstawały duże kuźnie, urządzone na sposób małych zakładów fabrycznych. Liczyły one wtedy przeciętnie po 18 robotników każda. Ale i kowale także, ponauczawszy się rzemiosła, wyzwalali się z pod opieki majstrów i zaczęli prowadzić przedsiębiorstwo na własne ryzyko. Początkowo wynajmowali kuźnie od właścicieli, ale następnie pobudowali własne zakłady, łącząc się w towarzystwa wytwórcze („artiele“) po 14—18 ludzi. Dziś w téj okolicy trudni się kowalstwem około 2400 osób. W jednéj wsi Jełchówce istnieje 25 stowarzyszeń kowalskich, które liczą razem 400 stowarzyszonych kowali (2).

Ten ostatni przykład jest szczególnie pouczający, bo pokazuje nam, że drobni wytwórcy drogą świadomego zespolenia sił swoich mogą osiągnąć korzyści połączone z produkcyą wielką, obchodząc się przytém bez opieki kapitalisty.

Fakty te — a jest ich sporo — przekonywają, że przy sprzyjających warunkach i w pewnych gałęziach produkcyi drobna forma przemysłu włościańskiego wychodzi zwycięsko z walki z kapitałem i przemysłem fabrycznym. Ekonomiści, wolni od uprzedzeń teoretycznych, badający rzecz tę na gruncie, dochodzą téż często do konkluzyi wręcz sprzecznych z ogólnie przyjętém dziś mniemaniem.

„Nawet pomimo niższości zarobku w przemyśle domowym — czytamy w „Zbiorze wiadomości statystycznych o przemyśle wło-

(1) Przemysł gubernii moskiewskiej przez A. Isajewa. T. I, str. 76.

(2) Trudy komisii po izsliedowaniju kustarnych promysłów. Zeszyt IV.

ściańskim" (1) — chłop przekłada pracę w chacie nad fabryczną. Pracując u siebie, nie rozłącza się z rodziną, jada u siebie, sypia w domu. Gdy zajdzie jaki wypadek domowy lub w gospodarstwie, głowa rodziny i gospodarz jest tuż na miejscu, gotów do porady, rozkazu i t. d. Przyzwyczajony do życia wiejskiego chłop nasz nie może znieść surowych prawideł życia fabrycznego, które wyznaczają człowiekowi rolę automatycznéj cząstki, jakiéjś olbrzymiéj maszyny; nie może oswoić się z myślą, iż on — osoba wolna—nie ma prawa opóźnić się o pięć minut po dzwonku fabrycznym, że nie może pozostać w domu dzień lub dwa, gdy mu żona choruje lub gdy tego wymagają potrzeby jego gospodarstwa, że nie może wyjść z zakładu dla zobaczenia się z dziećmi, które przyszły go odwiédzić..." To téż, jeśli idzie na fabrykę, to z utajoną myślą prędkiego nauczenia się sposobów produkcyi, by późniéj w swéj chacie własne przedsiębiorstwo założyć, albo téż w połączeniu wolném z innymi robotnikami daléj go prowadzić. Ideałem dlań jest połączenie przemysłu z rolnictwem, a nadewszystko praca swobodna, wolna od despotyzmu kapitalistycznego. To téż niektórzy ekonomiści, uogólniając fakty podobne, posuwają się nawet do twierdzenia—zdaniem naszém nieco optymistycznego — że forma gospodarstwa ludowego w Rosyi posiada widoki na przyszłość o wiele korzystniejsze niż kapitalizm. „Gdyby rząd i społeczeństwo — czytamy u jednego z nich (2) — obdarzyły drobny przemysł choć niewielką cząsteczką téj opieki, jaką otaczają dziś produkcyą fabryczną; gdyby zwłaszcza pomyślano o środkach, mogących ulepszyć położenie agrarne włościan-przemysłowców, wtedy *zniknęłyby wkrótce bez śladu istniejące dziś u nas zaczątki formy kapitalistycznéj*. Większość tych pracowników, którzy obecnie wskutek niepewnego położenia swego, jako rolnicy, nie odważają się na prowadzenie przedsiębiorstwa na własne ryzyko, wtedy z największą pewnością rzuciliby cudze warsztaty i stali się samodzielnymi producentami. Mielibyśmy ciekawy przykład „dekapitalizacyi" produkcyi. I zapewne stanie się to w przyszłości, ponieważ nie widzimy dotąd żadnéj przyczyny, dla któréj małe przedsiębiorstwa nie miałyby wytrzymać konkurencyi z fabryką. Przeciwnie okazuje się, że zależność włościan od kapitału tak jest nieznaczną, iż ten ostatni stosować się musi do ich potrzeb i wymagań: przez miesiące letnie, w czasie robót polnych tysiące fabryk zawiesza czynności. A jednocześnie często téż spostrzegać

(1) Sbornik statisticzeskich swiedienij po moskowskoj gubernii (str. 57—58).

(2) W dziele p. t. „Rozwój kapitalizmu w Rosyi" pióra utalentowanego ekonomisty, ukrywającego się już dawno pod literami W. W. (str. 79, 114).

się daje jak ta forma drobnéj przemysłowości włościańskiéj przekształca się powoli w stadyum wyższe produkcyi zbiorowéj. W wielu gałęziach dziś już istnieją wcale pokaźne zaczątki organizacyi przemysłowéj na wielką skalę na podstawie zasady stowarzyszenia, kooperacyi ludowéj...."

Wprawdzie zjawiska powyższe zachodzą wśród ludu, który w wysokim stopniu rozwinął w sobie ducha przedsiębiorczego, zachowując zarazem skłonność nieprzepartą do wszelkich form produkcyi zbiorowéj (1). Nie przesądzając jednak kwestyi o przyszłym rozwoju form ekonomicznych, który od licznych i złożonych, a zatém trudnych do przewidzenia czynników zależy,—widzimy w przykładach tych dowód niezbity, że samo teoretyczne wyrokowanie o znaczeniu téj lub innéj formy gospodarczéj do błędnych wniosków prowadzić może. Niezależnie od tego, czy owa „dekapitalizacya" na szerszą rozwinie się skalę, wiele znaczy, iż proces ten nie tylko logicznie pomyślanym być może, ale gdzieniegdzie faktycznie się odbywa. W interesującéj nas tutaj dziedzinie stosunków, możność ta warunkuje się przedewszystkiém niezależnością producenta w przemyśle włościańskim. Chłop-przemysłowiec, mający różne źródła dochodu, jest téż mniéj zależnym od każdego z nich pojedyńczo, niż robotnik fabryczny lub rzemieślnik. Gdy ten zmuszony jest do sprzedania swéj siły roboczéj na rynku pracy pod groźbą śmierci głodowéj, będąc pozbawiony możności oddziaływania na wysokość swéj płacy — to pierwszy jest o wiele swobodniejszym w swych czynnościach: może wycofać czasowo towar swój z rynku, może przez to regulować poniekąd jego cenę.

Ogólnie przyjęte więc twierdzenie o koniecznym upadku przemysłu drobnego w walce z fabrycznym, modyfikować należy o tyle, iż wyjątkiem z reguły ogólnéj jest w pewnéj mierze przemysł włościański, znajdujący się, jak widzimy, w warunkach zupełnie odmiennych od innych form produkcyi drobnéj. Lecz gdyby nawet przyjąć twierdzenie powyższe w całości, to łatwo dowieść, iż owa wyższość nie jest tak bezwzględną i ogólną, że nie zawsze i nie wszędzie objawiać się może.

Głównym powodem, skutkiem którego przemysł fabryczny pobija w walce konkurencyjnéj rzemiosła i przemysł domowy, są to

---

(1) Gdy wypadkowo zbiorą dla jakiéjś roboty tłum włóczęgów, wyrobników z najrozmaitszych okolic Wielkorosyi pochodzących, tacy nawet po dwóch, trzech godzinach kłótni, szumu, gwaru—uorganizują prawidłową „artiel", która następnie robotę prowadzi wspólnie w największym ładzie i karności. Tak silnym jest duch asocyacyjny tego ludu.

niektóre techniczne jego właściwości, a w pierwszym rzędzie dwa czynniki: maszyny i podział pracy. Zastąpienie pracy ludzkiéj przez maszyny daje w rezultacie ogromną oszczędność w czasie i wydatkach, podnosi intensywność produkcyi. Wiadomo zaś z teoryi, że jeśli w ciągu tego samego czasu roboczego przy pewnym sposobie produkcyi wytworzyć można, dajmy na to, 100 przedmiotów, a przy innym dwieście, — to koszt produkcyi każdego z tych drugich będzie dwa razy mniejszy (+ mały ułamek, wyrażający cenę materyału, którego zużyto w tym wypadku dwa razy więcéj). One téż na rynku ogólnym stanowić będą o cenie wszystkich wyrobów, a producent pierwszych zmuszony będzie do sprzedawania towarów swoich ze stratą. Rezultaty równie pomyślne dla przemysłu wielkiego wynikają daléj z podziału pracy, który w nim łatwiéj może być zastosowany, z powodu skupienia w jednym warsztacie licznych sił roboczych. Skutkiem podziału pracy jest podniesienie ogólnéj jéj wytwórczości, przez przyśpieszenie samego procesu produkcyi. Wreszcie produkcya na wielką skalę korzysta ze wszelkich dogodności pracy zbiorowéj (pewna ilość ludzi—ogólnie mówiąc — gdy pracuje razem, przedstawia siłę wytwórczą większą od sumy sił pojedyńczych), z zakupu hurtowego, oszczędza na budynkach (łatwiéj i taniéj zbudować można jeden zakład wielki niż 10 małych téj saméj objętości), posiada wreszcie i inne korzyści pomniejsze, trudniéj dostępne dla drobnego przemysłowca.

Te są przyczyny, dające dziś wyższość ekonomiczną produkcyi wielkiéj. Jednakże czynniki, zapewniające powodzenie przemysłowi wielkiemu, nie są absolutnie niedostępne dla przemysłu drobnego, a przynajmniéj nie wszystkie i nie w jednakowym stopniu. Tak np. w niektórych gałęziach podział pracy napotkać można w produkcyi drobnéj, w takiéj saméj niemal rozciągłości, jak i w wielkiéj. W niektórych okolicach Szwajcaryi, gdzie ludność zajmuje się wyrabianiem zegarków, produkcya ta rozpada się blisko na sto odrębnych czynności: każda rodzina, pracująca w tym przemyśle, wykonywa jednę z nich, a osobni są robotnicy do składania całości. Spotykamy tu znowu przykład uspołecznienia pracy w drobnym przemyśle, t. j. zogniskowania licznych jednostek, osobno pracujących, drogą świadoméj, dobrowolnéj kooperacyi. Powstaje forma przemysłu jednocząca w sobie zalety produkcyi kapitalistycznéj z niezależnością drobnéj, pozostawiająca robotnika w domu wśród rodziny.

W Liége, w fabrykacyi broni i strzelb, najbardziéj renomowanych i w świecie całym znanych firm, wyrobem trudnią się drobni przemysłowcy, dzieląc się robotą: jedni robią kurki, inni zamki, inni

znów lufy itd. Fabryka właściwa tylko zbiera i składa te części. To samo ma miejsce przy fabrykacyi broni w Szwecyi, która to gałąź jest również całkowicie w ręku drobnych przemysłowców.

Tyle co do podziału pracy. Ale przemysł drobny na tém nie poprzestał. Zdobywszy dla siebie jeden z czynników, które w walce zapewniały pierwszeństwo jego przeciwnikowi, zapragnął téż przyswoić sobie i inne. Pole zastosowania maszyn w przemyśle drobnym rośnie z dniem każdym. Rozpoczęto od mniejszych i tańszych. Przy wyrobie zegarków, broni, w drukarniach, litografiach, w krawiectwie i przędzalnictwie przemysłowcy drobni posługują się maszynami do potrzeb ich rzemiosła przystosowanemi. W okolicach Bielefeldu znajduje się do 1000 maszyn do szycia po chatach chłopskich; w Brandeburgu włościanki szyją rękawiczki na maszynach; dla wszelkich czynności szewctwa i ślusarstwa zostały wynalezione małe i tanie maszyny, które coraz więcéj są udoskonalane.

Nie koniec na tém: drobny przemysł zdobywa już dzisiaj siłę, o któréj myślano dotąd, że wyłącznie w fabrykach wielkich może znaleść zastosowanie—siłę wielkich motorów mechanicznych. Motory, wprawiane w ruch wodą lub gazem i których siła jest wystarczającą dla potrzeb zwykłego warsztatu rzemieślniczego lub włościańskiego, funkcyonują już dawno. Motor H. Dufort'a może być ustawiony na każdym stole, a cena jego wynosi 120 franków (1). W Prusach w r. 1875 liczono już 400 czynnych małych maszyn kalorycznych, których siła nie przechodzi $1/_{12}$—2 koni (2). Wynalazek Eriksona i ulepszenia przez niego wprowadzone okazały w tym względzie wielką przysługę. Obecnie w Niemczech liczą około 10.000 motorów gazowych, używanych przez stolarzy, tokarzy, nożowników itd. A nowych i lepszych wynalazków spodziewają się obecnie od elektrotechniki. W miastach zaś i miejscowościach, gdzie drobni przemysłowcy skupieni są w większéj ilości, zastosowano dla nich siłę wielkich motorów parowych. W Birminghamie np. istnieją transmisye przeprowadzone od maszyn parowych do mieszkań prywatnych, wynajmowanych przez rzemieślników. W Coventry, w pośród malowniczo rozrzuconych na znacznéj przestrzeni wesołych domków, znajduje się duży budynek mieszczący maszynę, od któréj przeprowadzono pasy, łączące ją z warsztatami tkackiemi w domkach. To samo w Sheffieldzie: lokator przy wynajmowaniu mieszkania opłaca téż siłę pary, z któréj będzie mógł korzystać. W No-

(1) Trudy komisii po izsliedowaniju kustarnawo promysła. Zeszyt I-szy, str. 80.
(2) Orłow. Znaczenie ekonomiczne maszyn, str. 106.

rymberdze zarząd miasta urządził podobny zakład dla rzemieślników i odnajmuje im mieszkania po zniżonéj cenie. Ciekawém jest także bardzo spożytkowanie siły prądu rzeki Renu w Szafuzie, która, za pomocą odpowiednio urządzonego systemu tam, roznosi się po mieście do drobnych warsztatów rzemieślniczych.

Przykładów analogicznych moglibyśmy przytoczyć wiele jeszcze. Wszędzie, gdziekolwiek konkurencya fabryczna zmusiła drobnych przemysłowców do energicznego poszukiwania środków zaradczych, dążyli oni zupełnie racyonalnie do przyswojenia sobie tych właśnie środków, które czynią dla nich przemysł fabryczny groźnym. I jak widzimy, usiłowania te częstokroć powiodły się znakomicie. Chociaż jednak konkurencya okazała się w wielu razach możliwą dla produkcyi drobnéj na tém samém polu, które zdawało się być przeznaczoném wyłącznie dla przemysłu fabrycznego, to jednak właściwą jéj sferę stanowić będą zawsze te głównie gałęzi produkcyi, w których zastosowanie pracy maszynowéj dla téj lub innéj przyczyny nie jest możliwém. Są to naprzykład roboty w których gatunek materyału potrzebuje obrobienia ręką ludzką; gdzie wymagany jest pewien smak artystyczny, nie możliwy w wyrobach fabrycznych, albo ścisłość lub piękność, granicząca już ze sztuką. Te to gałęzi stanowią *par excellence* dziedzinę rzemiosła i w nich pierwszeństwo mieć będzie zawsze robota ręczna. Do takich także zaliczyć można koszykarstwo, rzeźby i snycerstwo, wyroby z rogu, kości słoniowéj, kwiaciarstwo, wyroby z perłowéj macicy, zabawki, liczne wyroby galanteryjne, wymagające drobiazgowego i kunsztownego wykończenia, co do których nabywca nie dba o cenę, byle zadawalniały jego upodobania estetyczne. Odwrotnie znów są wyroby tak proste i łatwe do zrobienia, iż produkcya fabryczna opłacałaby się chyba na skalę olbrzymią i przy pokupie na świat cały: one też także stanowią wyłączną dziedzinę przemysłu drobnego (łyżki drewniane, patyczki do zapałek, garnki proste, koszyki).

Oprócz tego pamiętać należy jeszcze, że przemysł fabryczny dla powstania i rozwoju potrzebuje całego szeregu warunków społecznych, które nie zawsze i nie wszędzie znaleść się mogą. Sama wyższość techniczno-ekonomiczna téj formy nie jest jeszcze przyczyną wystarczającą dla jéj rozpowszechnienia po całym świecie. Przeciwnie, im bardziéj jest ona rozwiniętą w jednym kraju, tém trudniejszém staje się jéj powstanie w sąsiednich, bo rynki zbytu już są zagarnięte, braknie wolnych sił roboczych a nadprodukcya zjawiskiem zwykłém, peryodycznie się powtarzającém. Gdzie więc rynki zewnętrzne są ograniczone, gdzie ludność robocza nie przedstawia materyału podatnego do kapitalizmu, wskutek tego np., iż po-

siada ziemię na własność, tam kwitnąć i rozwijać się mogą gałęzi przemysłu drobnego nawet w sferach najbardziéj z natury mniéj właściwych produkcyi fabrycznéj.

Dość, iż wskutek licznych przyczyn, które wyłuszczyliśmy powyżéj, przemysł drobny dzisiaj istnieje i rozwija się we wszystkich niemal krajach Europy, nie wyłączając nawet klasycznéj ziemi kapitalistycznéj—Anglii. Dotąd w królestwie Zjednoczoném następujące fabrykacye stanowią przeważnie albo wyłącznie dziedzinę produkcyi drobnéj: krawiectwo, szewctwo, rękawicznictwo, pończosznictwo, tkactwo materyi kosztownych z jedwabiu, wełny; piekarstwo, stolarstwo, rymarstwo, garncarstwo, kowalstwo i ślusarstwo, wyrabianie zegarów, narzędzi optycznych, wyroby z kości słoniowéj, perłowéj macicy, ze słomy; koszykarstwo, sieciarstwo itd.

Według Haushofera przypada mieszkańców:

| | na 1 rzemieślnika | na 1 robotnika fabryczn. | | na 1 rzemieślnika | na 1 robotnika fabryczn. |
|---|---|---|---|---|---|
| w Anglii | 16 | — 8,3 | w Norwegii | 55 | — 155 |
| Austryi | 31 | — 53,5 | Portugalii | 50 | — 161 |
| Bawaryi | 13,1 | — 39,4 | Prusach | 16,1 | — 26,1 |
| Belgii | 13,6 | — 17 | Saksonii | 17 | — 14,4 |
| Badenie | 14,5 | — 29 | Szwecyi | 48 | — 110 |
| Danii | 26,6 | — 94 | Szwajcaryi | 21 | — 15,8 |
| Hessenie | 14,5 | — 37,8 | Rosyi | 63 | — 120 |
| Holandyi | 17,7 | — 32 | Włoszech | 22,1 | — 61 |
| Francyi | 14,7 | — 25,1 | Würtembergu | 15,1 | — 23,9 |

w Europie na jednego rzemieślnika 23,7, na jednego robotnika fabrycznego 30,5.

Poprzestając na tych danych ogólnych dla Europy, przytoczymy tylko dla bliżéj nas obchodzących państw sąsiednich bardziéj szczegółowe cyfry.

W Niemczech, według szczegółowych obliczeń statystycznych, dokonanych w 1882 roku, ogólna ilość osób pracujących w przemyśle domowym (*Hausindustrie*—która obejmuje przemysł domowy, włościański i rzemieślniczy według naszéj terminologii) wynosiła:

| | |
|---|---|
| pracodawców . . . . . . . . . | 544.980 |
| robotników . . . . . . . . . . | 476.080. |

W statystyce całą tę ludność podzielono na dwadzieścia grup zawodowych. Otóż z téj liczby w ośmiu zaledwie grupach nie było przedstawicieli przemysłu drobnego (mianowicie w grupach: handel, ubezpieczenia, komunikacye wodne i lądowe,—jak to z natury rzeczy wypada; zaś słabo jest on przedstawiany w grupach: ogrodownictwo, hutnictwo, kopalnie soli, farbiarstwo, budownictwo). Natomiast przeważa ogromnie przemysł drobny nad produkcyą fabryczną w następujących gałęziach, w których na 100 zakładów wytwórczych było domowych:

| | | | |
|---|---|---|---|
| przędzalnie jedwabiu | 95,2 | szmuklerstwo | 82,1 |
| pończosznictwo | 92 | przędzalnictwo bawełniane | 81,5 |
| tkactwo jedwabiu | 86,2 | hafciarstwo i wyroby szydełkowe | 80,5 |
| tkactwo bawełniane | 82,6 | wyrób szelek, krawatów, rękawiczek | 75,9 |
| ciągnienie nici ze złota i srebra | 82,5 | wyrób gorsetów | 72,5. |

Że to są wszystko istotnie gałęzi przemysłu drobnego, pokazuje przeciętna cyfra robotników, przypadająca na 1 zakład wytwórczy. Wynosiła ona mianowicie najczęściéj 1,4—1,6 do 2. Tylko w gałęziach, stanowiących już poniekąd ogniwo przejściowe do przemysłu fabrycznego, przeciętna ta wznosi się nieco wyżéj, a mianowicie:

| | | |
|---|---|---|
| w fabrykach fortepianów | 5,4 | robotników na 1 zakład |
| „ farbiarniach | 5,1 | „ „ „ |
| „ fabrykach instrumentów matem. i fizycz. | 4,3 | „ „ „ |
| „ ślusarstwie | 4,3 | „ „ „ |

Głównem siedliskiem terytoryalném przemysłu ludowego są w Niemczech okolice dotykające granicy Czech, Saksonia, Bawarya, Turyngia i na zachodzie: okolice Düsseldorfu i Akwisgranu, oraz Alzacya i Lotaryngia. Z poszczególnych zaś gałęzi przemysłu najbardziéj są rozpowszechnione: pończosznictwo (w okręgach: Zwickau, Lipsk, Sachsen-Weimar), płóciennictwo (w okr. Bautzen, Erfurt, Lignica, Schaunburg-Lippe), jedwabnictwo (Düsseldorf, Aachen), tkaniny wełniane i bawełniane (Reuss, górna Frankonia, dolna Alzacya), wyroby z tektury i papier-maché (w księstwie Sachsen-Meiningen), wyroby z porcelany (w okolic. Schwarzburga), puszkarstwo (w ks. Sachsen-Koburg-Gotha), rzeźby drzewne i wyroby ze słomy (w Lotaryngii), szewctwo (Schwarzwald), wyroby żelazne i nożownictwo (Düsseldorf) itd.

Okolice polskie, wchodzące w skład państwa niemieckiego, zajmują pod względem rozwoju przemysłu domowego jedno z miejsc ostatnich. Pośrednio, okoliczność ta może być dowodem, iż przemysł drobny nie jest bynajmniéj cechą zacofanéj kultury ekonomicznéj, skoro istnieje on przedewszystkiém w tych samych okolicach, w których kwitnie także przemysł fabryczny, dzieląc się z nim ogólném polem produkcyi. Tak, podczas gdy w przemysłowych okręgach niemieckich na każde 1000 ludności przypada zatrudnionych w przemyśle domowym osób:

| | |
|---|---|
| w okręgu Zwickau | 80 |
| „ Bautzen | 73 |
| „ Düsseldorf | 45 |
| „ Reuss | 32 |
| „ Berlin | 30 |

to w okręgach polskich cyfra ta wynosiła:

| | |
|---|---|
| Opole (Szląsk górny) . . . . . . . . . . . | 4,5 |
| Poznań . . . . . . . . . . . . . . . . . | 2,2 |
| Bydgoszcz . . . . . . . . . . . . . . . | 1.7 |
| Gombin . . . . . . . . . . . . . . . . . | 1,3 |
| Kwidzyn (*Marienwerder* . . . . . . . . . . | 0,9 (1). |

W *Rosyi* przemysł włościański stanowi jedną z najgłówniejszych (drugą z kolei po rolnictwie) pozycyi gospodarstwa narodowego. Zajmuje się nim około 7 milionów osób, a wartość ogólna produkcyi rocznéj wynosi w przybliżeniu 1500 milionów rubli. Jest to cyfra mało co mniejsza od wartości produkcyi rolnéj państwa, a przewyższająca znacznie produkcyą przemysłu fabrycznego: ten ostatni mianowicie zatrudnia tylko 900,000 robotników. Chłopi przemysłowcy (tak zwąni „kustari") zarabiają przemysłem swoim około 400 milionów rubli, przyjmując jako zarobek przeciętny 53 ruble na osobę—cyfrę nader umiarkowaną. W gubernii moskiewskiéj liczą warsztatów włościańskich 62.164, w których pracuje 141,329 osób. Wartość produkcyi wynosi 37½ milionów rubli. W sumie téj zarobek włościan stanowi 7½ milionów (20%) a reszta idzie na pokrycie materyału, za koszta produkcyi, zyski handlowe pośredników i t. d. (2).

Z gałęzi poszczególnych zatrudnia koronkarstwo 16.073 kobiet, produkujących wartości na sumę 700.000 rubli rocznie. Wyroby jedwabne zajmują w téj gubern: 6.452 warsztaty, a wartość produkcyi wynosi 6.452.000 rubli. Przędzalnictwem trudni się w całéj Rosyi około 6 mil. osób, a wartość produkcyi stanowi około 50 milionów rubli. Samo wyliczenie nazw różnych kategoryi przemysłu włościańskiego rosyjskiego zajęłoby nam tu stronic kilka. Przytoczymy tylko najważniejsze ze względu na wartość produkcyi i najwięcéj rozpowszechnione. Są to: wyroby z lnu i konopi; tkactwo wełniane, bawełniane, jedwabne; wyrób dywanów; pończosznictwo, rękawicznictwo, koronkarstwo; wyrób mebli, kół, sani, wozów, wiader, koryt, beczek itd., zabawki, fajki, ramki, rzeźby i wyroby ze skóry: rymarstwo, szewctwo, rękawicznictwo (w 158 wioskach gubernii moskiewskiéj pracuje 3030 włościanek dla najlepszych firm rękawiczniczych w Moskwie); wyroby z rogu, grzebienie, łyżki, guziki i szczotki; wyroby z miedzi, samowary, broń; lustra, zegary, wyroby ze srebra i złota; nożownictwo, ślusarstwo, kowalstwo i wyrób harmonik i narzędzi muzycznych; malarstwo, czapnictwo, kapeluszni-

---

(1) „Die Hausindustrie im Deutschen Reiche" v. Carl Strauss. (w Jahrbücher f. Nationalökonomie u. Statistik Conrad'a. 1887. Zeszyt 14-ty).

(2) Sbornik statisticzeskich swiedienij po Moskowskoj gubernii. Tom VII. Zeszyt 3-ci, 1879.

ctwo, tokarstwo i t. d. i t. d. W wykazie przemysłu gubernii moskiewskiéj znajdujemy 65 grup głównych, obejmujących całe szeregi wyrobów jednogatunkowych.

Na tém kończymy nasz krótki zarys teoryi ogólnéj przemysłu ludowego, oraz przedstawienie stanu téj gałęzi w krajach ościennych. Sądzimy, iż upoważnieni jesteśmy dostatecznie, na mocy faktów wyżéj przytoczonych, do wyciągnięcia wniosku, że ta forma produkcyjna stanowić może w każdym kraju potężne źródło bogactwa narodowego, zajmujące miejsce pierwszorzędne w ogólnym budżecie gospodarczym, że należycie skierowana i poparta podnieść musi znakomicie siły produkcyjne społeczeństwa. U nas zaś — powtórzmy to raz jeszcze—wobec niepewnych widoków na przyszłość produkcyi wielkiéj, a zwłaszcza wobec grożącego włościanom obniżenia dobrobytu ekonomicznego—kwestya podniesienia lub zaszczepienia téj gałęzi produkcyi stanowi dzisiaj jedno z ważniejszych zadań naszéj cywilizacyjnéj pracy wewnętrznéj. Nim jednak przejdziemy do rozpatrzenia środków, za pomocą których można w tym kierunku działać, postaramy się przedstawić — o ile nam materyały na to pozwolą — stan téj gałęzi produkcyi w kraju naszym obecnie.

## II. **Przemysł ludowy w Królestwie Polskiém.**

„Gdzie się podziały ludne miasta owe, które niegdyś kwitnęły w Polsce; gdzie przemysł, który ożywiał i ubogacał kraj cały i gdzie owa obyczajność i nauki, z których kiedyś Polacy słynęli w Europie; gdzie potęga, przed którą drżały najstraszniejsze narody świata.... i czemuż tam. gdzie ongi w ludnych miastach i wsiach panowało życie, wesołość i dostatek, dziś czołga się smutek, nędza i śmierć wybladła.... dlaczego Polska, ten kraj hojnie uposażony we wszystkie potrzeby do wygodnego życia, obfitujący z dostatkiem w najważniejsze źródła bogactw natury; kraj, którego klimat, posada, charakter mieszkańców, zgoła wszystko zdaje się uprzątać wszelkie zawady do szczęścia i zbytku, przez kilka wieków tak zniszczał, znikczemniał i chylił się do upadku....“

Temi słowy zaczyna Wawrzyniec Surowiecki studyum swoje „O upadku przemysłu i miast w Polsce“ (1). I w istocie w żadnéj może dziedzinie życia społecznego upadek i cofnięcie się kultury narodowéj nie były tak znaczne jak w sferze naszéj wewnętrznéj pracy produkcyjnéj. Dziś ze zdumieniem odczytujemy w uniwersałach poborowych XV i XVI w. długie spisy cechów rzemieślni-

(1) Str. 7, 8, 20, wyd. Turowskiego. Kraków 1861.

czych, szeregi nazw, oznaczających różne zajęcia przemysłowe ludności naszych miast i wiosek w téj epoce. Liczni rybacy, młynarze, kowale, pilarze, folusznicy, stępiarze, młynarze wietrzni, papiernicy, rudnicy, saletrnicy, hutnicy, płókarze kopalni, dziegciarze, smolarze, popielarze, smelcarze, prasołowie, furmani, węglarze, rymarze, sukiennicy, tkacze, garncarze, bednarze i t. d. siedzieli gęsto po całym kraju. W miastach zaś i osadach samych nazw różnych kategoryi rzemieślników naliczyć można około 90 (*). Gdyby nie dokumenty historyczne, trudńoby było nieraz uwierzyć, że w wielu lichych dziś mieścinach istniały podówczas liczne i różnorodne żywioły téj „ludności pracowitéj." Mizerny dziś Sochaczew liczył w XVI wieku 22 cechy rzemieślnicze, Brześć kujawski miał 115 rzemieślników różnych nazw, Rogoźno 68, Konin 37, Pyzdry 182, Pacanów 80, Stobnica 65, Stanisławów mazowiecki 263, Warka — dziś około 70 biédnych chałup licząca — miała wtedy domów 236 i 122 rzemieślników, Ostrów domów 447 (dziś 93) i 200 rzemieślników, Przasnysz domów 689, rzemieślników 399 i t d. i t. d. Ulice, przedmieścia, zamczyska i rozwaliny gmachów publicznych ogromnego niegdyś Sandomierza, Lublina, Gniezna, Kruszwicy, Wielunia, Sieradza, Brzezin, Wiskitek, Szremu, Konina, Łomży, Wizny, Rajgrodu, Goniądza, Drohiczyna, Mielnika, Bydgoszczy i wielu innych leżą teraz opodal zagrzebane w ogrodach, wygonach i w polach, a odkryte przypadkiem głęboko w ziemi bruki i piwnice same jeszcze świadczą o dawnéj rozległości miast tych (1).

Obok ludnych i rojących się ludnością rzemieślniczą miast istniał po wsiach przemysł, skierowany przeważnie ku wydobywaniu i przerabianiu płodów naturalnych. Saletrznicy, hutnicy, węglarze, rudnicy i t. d. posuwali się krok za krokiem w coraz głębsze okolice ziemi rodzinnéj, eksploatując jéj bogactwa przyrodzone. Przemysł drzewny, pędzenie smoły, dziegciu, wypalanie wapna, wreszcie kamieniarstwo i garncarstwo zatrudniały wiele rąk wśród ludności wiejskiéj, a obok tego po chatach kmiecych pracowały niewiasty nad tkactwem i przędzalnictwem. Wsie Kańczuga pod Przeworskiem, Świątniki i Zielone pod Krakowem słynęły z wyrobów pięknéj zbroi. Słynne były także garnki z Iłży, spławiane Wisłą przez Gdańsk do Szwecyi. Gliniany pod Sandomierzem, Ćmielów i Wólka Bałtowska, Daleszyce i Miedziana góra w Kieleckiém

(*) Tyle wylicza p. A. Makowiecki w cennéj swéj książce p. t. „Przemysł i rzemiosła u nas za dawnych czasów" (Warszawa 1876) str. 56. Dziełko to jest najlepszą, choć krótką, historyą rzemiosł w kraju naszym.

(1) Surowiecki str. 105—113.

także chlubiły się swojemi wyrobami garncarskiemi; Kazanów w Radomskiém słynął z wyrobu trzewików dla włościanek; Goszczyn z wyrobów sitarskich, Gielniów z osełek do ostrzenia; często wsi całe zajmowały się pewną gałęzią produkcyi, jak np. Świątniki — ślusarstwem i t. d. i t. d.

Wyroby nasze w epoce rozkwitu życia przemysłowego, w XV i XVI wiekach, wytrzymywały zwycięsko konkurencyą z zagranicznymi; sukna wieluńskie i kościańskie znajdowały odbyt po za krajem, a pozostałe dotąd po skarbcach, zbiorach starożytności i gmachach dzieła ówczesnych cieśli, malarzy, stolarzy, ślusarzy, kowali, złotników, zbrojarzy, rzeźbiarzy, jubilerów, hafciarzy i t. d., jak są dowodem wysokiego stopnia doskonałości wszystkich tych gałęzi przemysłu, tak też stąd, że się wszędzie we wszystkich zakątkach kraju znajdują wnosić można, iż powszechnie w nim były rozkrzewione. Obok dzieł, dowodzących zdolnych rąk pracownika, widać zawsze poważny a niekiedy wysoko wykształcony smak, z dokładnością wielką w budowie, rzeźbie, pędzlu, w sztuce złocenia; w odwiecznych naczyniach, sprzętach, ubiorach i portretach znajdują się wzory wytwórczości, jakaby dziś z największą trudnością ledwie mogłaby być naśladowaną (1).

Dość tych wzmianek i przykładów, by się przekonać, że ludność kraju naszego rozwijała swe siły produkcyjne również pomyślnie i gospodarnie jak w krajach sąsiednich. Przyczyn upadku przemysłu i rzemiosł szczegółowo w tém miejscu rozpatrywać nie będziemy. Kryją się one w tych warunkach społeczno-politycznych, w których przez trzy ubiegłe wieki żyć była zmuszoną pracująca ludność Polski. Wojny zewnętrzne, nieład i anarchia w kraju, brak swobody, ciężka zależność warstw pracujących od szlachty, to są główne czynniki, które w ciągu dwóch ostatnich wieków naszego życia politycznego sprowadziły upadek naszéj kultury wewnętrznéj, cywilizacyi ekonomicznéj. Pierwiastki pracy, oszczędności, wytrwałości, — wszystkie słowem cechy charakteru, właściwe ludom oddawającym się spokojnéj i prawidłowéj pracy przemysłowéj, a które u nas tak świetnie rozwijać się poczęły—zniszczone zostały do szczętu, bo stany miejski i kmiecy, pozbawione praw obywatelskich, w poniżeniu i pogardzie, spadały na coraz niższe szczeble kultury materyalnéj i duchowéj.

W tém też szukać należy przyczyny smutnego dziś dla nas zjawiska, że tuż za granicami dawnéj Rzeczypospolitéj—czy to w kierunku wschodnim czy zachodnim — ludność objawia dziś o wiele

(1) Surowiecki str. 105—113.

więcéj uzdolnień przemysłowych, więcéj ducha przedsiębiorczego i sprytu przemysłowego, więcéj wreszcie zdolności do pracy zbiorowéj niż u nas.

Cech tych i właściwości w charakterze dzisiaj nie mamy, bo jesteśmy potomkami tych kilkunastu pokoleń narodu, których część jedna zajęta była wyłącznie prawie ciągłą obroną z mieczem w ręku olbrzymich przestrzeni państwa od chciwych i dzikich sąsiadów, a druga pracowała coraz mniéj i gorzéj, gdyż nic jéj nie skłaniało do podnoszenia intensywności swojéj pracy, z owoców któréj nie była pewną korzystać. W wiekach XV i XVI, kiedy warunki polityczne sprzyjały temu, znajdujemy w kraju stan kwitnący rzemiosł i przemysłu; ze zmianą zaś takowych rozpoczyna się upadek przemysłu, przez trzy blisko wieki trwający.

Mimo to jednak wiele faktów pojedyńczych dowodzi, że dziś nawet, pomimo wiekowego poniżenia, chłop polski objawia nieraz zdolności wybitne, które należycie pielęgnowane, mogą nam zdobyć powtórnie wśród narodów europejskich stanowisko, które utraciliśmy. W pismach peryodycznych, w korespondencyach prowincyonalnych, często napotkać można wzmianki o zręczności i uzdolnieniu włościan do pewnych robót. P. Makowiecki w swéj pracy o przemyśle włościańskim (1) wspomina np. o pewnym włościaninie ze wsi Płoskie, w pow. lubelskim, który na wystawie w Lublinie pokazywał młynek zbożowy własnego pomysłu; o innéj znów włościance ze wsi Koziegłowy pod Jasną górą, wyrabiającéj ze słomy kapelusze zgrabne i ładne. Na wystawie rolniczo-przemysłowéj w Warszawie w r. 1885 kowal z pod Płońska (Franciszek Radecki) przedstawił młocarnię ręczną także swojego pomysłu, za którą dostał medal w nagrodę. Rzeźby z drzewa robione przez włościan, często bez żadnych narzędzi a tylko prostym kozikiem, zdradzają w nich nieraz zdolności wybitne do robót tego rodzaju: wyroby chłopców wiejskich z Podzamcza (siedlec.) zwracały powszechną uwagę na téj wystawie, również jak i figura Pana Jezusa wyrzeźbiona po rocznéj nauce przez Michała Wojtanowskiego z Nowéj wsi w ks. Poznańskiém. Bardzo udatne rzeźby drzewne widzieliśmy także na Kurpiach w okolicach Myszyńca. Przed 30-stu laty w Skępem, w Lipnoskiem, nieuczony wcale wieśniak, nawet bez ulepszo-

---

(1) Przemysł drobny w Królestwie Polskiém przez Al. Makowieckiego. Warszawa 1879. — Książeczka ta oraz artykuł tegoż autora o przemyśle drobnym, umieszczony w tomie V Encyklopedyi Rolniczéj, są to jedyne prace w tym przedmiocie, pisane przez kompetentnego znawcę; zawierają one wiele ciekawych spostrzeżeń i cennych wskazówek, na które też często powoływać się nam przyjdzie.

nych narzędzi, rzezał z drzewa doskonałe figurki, które były rozchwytywane w okolicy.

Sukna, płótna, wełniaki na spódnice, fartuchy, a zwłaszcza szale czyli tak zwane „dywany“, robione przez kurpianki w pow. ostrołęckim, zadowolnić mogą najwybredniejsze wymagania tak pod względem trwałości i mocy, jakotéż co do barw, charakterystycznych i pięknych deseni, świadczących o wyrobionym smaku. Wyroby te nie ustępują w niczém rosyjskim, a jednak w kraju mały zbyt mają, podczas kiedy płótna jarosławskie np. sprzedają się u nas z rokiem każdym coraz więcéj. Słusznie mówią o kurpiu, że „wszystko umié.“ Jest to bowiem okolica naszego kraju, w któréj lud najróżnorodniejszych ima się zajęć i we wszystkich celuje: począwszy od tkanin, sukna, płótna, a kończąc na drobnych wyrobach z drzewa, fajkach, łyżkach, pudełkach i wyrobach z bursztynu. Podziwiać często przychodzi pomysłowość tych samouków wiejskich, którzy sami bez niczyjéj pomocy i wskazówek bardzo nieraz udatne wyrabiają przedmioty.

Nader pochlebne odezwy czytać można było w pismach o uczennicach szkoły koronkarstwa, założonéj niedawno w Gromadzicach, w powiecie opatowskim; o tkaninach włościanek z powiatu władysławowskiego, z okolic Skrzeszewa pod Sokołowem, o wyrobach kobiét z powiatów Piotrkowskiego i Będzińskiego, które odznaczają się szczególném uzdolnieniem i estetycznym smakiem (1); to samo także o wyrobach tkackich z Sulejowa (powiat opoczyński). Szlachcianki powiatów zachodnich gubernii siedleckiéj wyrabiają wełnianki i płócienka na suknie kobiece wysokiéj doskonałości i o ładnym doborze barw. Zwłaszcza w parafiach Paprockiéj, Zbuczyńskiéj, Przesmyckiéj i daléj za Bug ku Knyszynowi wszystkie części odzieży obojéj płci, z wyjątkiem obuwia i nakrycia na głowę, wyrabiane są w domu i z materyałów domowych (2).

Z tego względu ciekawą i pouczającą była wystawa warszawska w 1885 roku, na któréj zgromadzono w osobnym budynku okazy przemysłu włościańskiego z wielu okolic kraju. Oprócz wzmiankowanych już rzeźb drzewnych z Podzamcza, zwracały tam na siebie szczególną uwagę okazy płótna, tkaniny cienkie ze lnu i wełny, spódnice, zapaski, fartuchy, ręczniki, kilimy albo pstróchy i t. d. z powiatu władysławowskiego gub. suwalskiéj; płótna, obrusy, serwety, ręczniki, dywany, sukno siwe na sukmany z okolic Skrzeszewa pod Sokołowem, z Kawęczyna (pow. garwoliński), z Rzeczniowa

(1) Stanisław Łoza. Przemysł drobny w Królestwie Polskiém. Dodatek do Przeglądu Tygod. 1686. N. 6, str. 117. — (2) Łoza, l. c. str. 119.

(pow. iłżecki), z Kluczewska pod Włoszczową, z Kromołowa (kiel., wspaniała chusta biała wełniana), z Gór Otoka, pow. tureckiego, z Rzeczycy, Lipin, Krzemienicy, Księżowoli pow. rawskiego; czepki i denka z Polanówki pow. puławskiego, ze Szczekarkowa; hafty z pod Skalbmierza ze wsi Jurkowa. Wreszcie z innych wyrobów odznaczone tam były: wyroby powroźnicze w Pilicy (medal bronzowy), chustki wełniane z Pabianic (medal bron.), wyroby koszykarskie z Zastowa nad Wisłą w lubelskiém, z Kluczewska, ze Skierniewic; szczotki z Sycewa, wyroby rymarskie z Wojsławic (lubel.), szewckie z Prażki (kalis.), pługi, kłódki, noże i t. d. z pod Pułtuska, kapelusze z łyka z Błędowa i z powiatu grójeckiego, wreszcie wyroby garncarskie, bednarskie, zduńskie, kapelusze filcowe, koronki, czepki, podkowy, zaprzęgi i t. d. (1).

Kilkomilionowa ludność włościańska kraju naszego zaspakaja produkcyą domową niemal wszystkie potrzeby swoje, a że wyroby te po większéj części wiele jeszcze pozostawiają do życzenia, że rzadko i wyjątkowo wychodzą po za obręb wioski, w któréj powstały, jest to już skutek braku wszelkiego poparcia z góry. Widzimy jednak z przykładów tych, że działalność, skierowana ku podniesieniu przemysłu ludowego u nas, punkt oparcia łatwo znaleść może.

Przed trzema laty sekcya drobnego przemysłu, istniejąca przy oddziale Warszawskiego Towarzystwa popierania handlu i przemysłu, wyznaczyła z łona swego specyalną delegacyą dla zajęcia się sprawą przemysłu włościańskiego w kraju naszym (2). Postanowiono rozpocząć czynności od zebrania wiadomości o stanie téj gałęzi produkcyi u nas. Ku temu celowi sporządzono odpowiedni kwestyonaryusz (3), który rozesłano w ilości 1000 z górą egzemplarzy do obywateli ziemskich, proboszczów, osób znanych na prowincyi z dobréj woli i zajęcia się sprawami społecznemi we wszystkich

(1) Na wystawie téj udzielono medale srebrne: szkole w Podzamczu i szkołom koronkarstwa w Gromadzicach (opatow.) i w Skalbmierzu.

(2) Delegacyą tę wybrano na posiedzeniu 13 czerwca 1884 roku, zapraszając do niéj pp. Zygm. Fudakowskiego, Al. Głowackiego, J. Górskiego, Tad. Kowalskiego, Alek. Makowieckiego, Fr. Olszewskiego, Woj. hr. Poletyłłę, Stan. Przystańskiego, St. Skarzyńskiego, Kar. Stelmasiewicza, Edw. Sułkowskiego, Wł. hr. Walewskiego. Komisya ta wybrała na przewodniczącego p. Makowieckiego, na sekretarza p. Olszewskiego i podzieliła się na dwie sekcye: jedna z nich miała się zająć zebraniem danych statystycznych o stanie przemysłu drobnego w kraju, druga opracowaniem stanu tegoż zagranicą. Późniéj w marcu 1885 r. powiększono skład komisyi przez zaproszenie pp. Roztropowicza, Boguskiego, hr. Jezierskiego, E. Meyera i Garczyńskiego, a to z powodu, że z osób poprzednio zaproszonych, niektóre dotąd nie zaszczyciły jeszcze ani jednego zgromadzenia komisyi swoją obecnością.

(3) Kwestyonaryusz ten ułożony został według następującego szematu:

powiatach królestwa, do redakcyi pism itd. Na tę ilość otrzymano ogółem dotąd 129 odpowiedzi: z gub. Kaliskiéj 13, z Kieleckiéj 14, Lubelskiéj 11, Łomżyńskiéj 17, Piotrkowskiéj 19, Płockiéj 9, Radomskiéj 11, Siedleckiéj 11, Suwalskiéj 6 i z Warszawskiéj 18. Nie otrzymano wcale odpowiedzi z powiatów: Radzymińskiego, Górnokalwaryjskiego, Grójeckiego, Kaliskiego, Słupeckiego, Łódzkiego, Brzezińskiego, Jędrzejowskiego, Lubelskiego, Janowskiego, Biłgorajskiego, Hrubieszowskiego, Bialskiego, Radzyńskiego, Łukowskiego, Lipnowskiego, Przasnyskiego, Kolnieńskiego, Kalwaryjskiego, Wyłkowyskiego.

Materyał tak zebrany jest dotąd jedyném prawie źródłem, na podstawie którego można choć w ogólnych zarysach naszkicować obraz stanu przemysłu ludowego w kraju naszym. Uzupełniamy go jeszcze przez dane zawarte we wspominanych wyżéj pracach p. Aleksandra Makowieckiego, w niektórych „Pamiatnych knižkach“ gubernii królestwa polskiego, oraz zebrane z korespondencyi umieszczanych po pismach peryodycznie i z własnych naszych spostrzeżeń.

Gałęzie przemysłu praktykowane przez włościan naszych dadzą się rozklasyfikować według szematu następującego:

---

„W powiecie N. w następujących miejscowościach zajmują się mieszkańcy przemysłem drobnym, inaczéj zwanym domowym:

1. Wyroby tkackie, ręczne, jak wełniane, płótna, koronki, czapki, powrozy itd.

2. ze skóry, jak kożuchy, pasy, zaprzęgi, obuwie itp.

3. z drzewa, jak bednarskie, koszykarskie, tokarskie, rzeźbiarskie, sprzęty domowe i gospodarskie, gonty, zabawki dziecinne, cybuchy, maty itp.

4. z gliny,—jak miski, garnki, fajki, zabawki, doniczki, kafle itp.

5. z metału jak kłódki, zamki, zasuwki, noże, osie, siekiery, łyżki blaszane.

6. z kamienia i marmuru, jak kamienie młyńskie, nagrobki, przyciski, popielniczki, figury gipsowe itp.

7. z nabiału—sery, gomułki itp. w większym zakresie produkowane.

8. Kaszarstwo, pszczelnictwo, jedwabnictwo i hodowla ryb.

| Wyrób czego. | Zajmuje się osób. | Ilość warsztatów. | Wartość produkcyi. | Jak dawno istnieje przemysł. | Czy produkcya się zwiększa czy zmiejsza biorąc pod uwagę ostatnich lat kilka. |
|---|---|---|---|---|---|
| | | | | | |

Oprócz tych odpowiedzi pożądanemi byłyby odpowiedzi na pytania następujące:

1. Jakie są przyczyny, iż w powiecie X rozwinęły się tego rodzaju przemysły? Czy powodem tego jest obfitość materyału surowego, jak len, wiklina, glinka, marmur, odpowiedni rodzaj drzewa itp.? czy z powodu potrzeb mieszkańców? czy zbyt do fabryk większych? czy sprzedaż na zewnątrz powiatu na jarmarkach i jakich mianowicie? czy materyał surowy producenci kupują i gdzie, czy téż go sami sobie przygotowują jak np. skóry? Jaka jest historya rozwoju tego przemysłu w danych okolicach?

2. Czy przemysłem drobnym zajmują się mieszkańcy przez rok cały, czy tylko przez jego część?

Dział I-szy: obejmie przemysł przerabiający płody kopalne: *a)* garncarstwo, kamieniarstwo, bursztyn, torf itd. *b)* *metalowe* (kowalstwo, ślusarstwo itd.).

Dział II-gi: przemysł przerabiający płody roślinne: *a)* wyrób krochmalu, kaszarstwo itd.; *b)* przemysł drzewny z koszykarstwem, wyrobami ze słomy itd.

Dział III-ci: przemysł przerabiający płody zwierzęce: *a)* wyroby z nabiału; *b)* wyroby ze skóry (garbarstwo, rymarstwo, szewctwo); *c)* wyroby z kości, rogu, szczeciny i innych odpadków zwierzęcych.

Wreszcie stworzymy osobny.

Dział IV: przędzalnictwo, tkactwo, oraz wyroby służące za odzież, a także powroźnictwo, sieciarstwo, hafciarstwo, koronkarstwo itd.

Według tego szematu przedstawimy tu krótki wykaz miejscowości naszego kraju, które za głośne ogniska przemysłu uważać można:

Dział I. Wyroby z kruszców i metali.

1. *Garncarstwo*—jest jedną z najbardziéj rozpowszechnionych wśród ludu gałęzi przemysłu, oddawna datującą. Słynne były nie-

---

3. Czy osoby, trudniące się danym przemysłem, wyrabiają całe przedmioty tak jak idą na sprzedaż? czy téż tylko części danego przedmiotu? a jeśli tylko części, to jakie i gdzie one są sprzedawane?

4. Czy pracownicy ograniczają się tylko na pomocy rodziny, czy téż utrzymują robotników bądź stałych bądź przychodnich? Jaką rolę odegrywa w tém praca kobieca?

5. Jakim sposobem trudniący się przemysłem wiejskim dochodzą do wykształcenia fachowego: czy przez terminowanie? czy przez szkoły? i czy niema w danéj miejscowości wyróżniających się samouków?

6. Czy sprzedażą produktów zajmują się wprost sami wytwórcy, czy téż sprzedaż odbywa się za pomocą pośredników handlowych? a także czy towary wyrabiane są na zamówienie, czy téż na ryzyko producenta?

7. Dlaczego przemysł drobny przestał się rozwijać lub upada? Czy wskutek wyczerpania materyału surowego, czy z powodu dowozu odnośnych wyrobów z fabryk lub z zagranicy? czy dla obniżenia się wartości wyrobu? czy wskutek tego, że przestano żądać wyrobu? czy z braku kapitału obrotowego, kredytu, czy téż dla innych przyczyn?

8. Jakie rodzaje przemysłu drobnego wiejskiego mogłyby się w powiecie rozwinąć i dlaczego, tj. czy dla zapewnionego zbytu? czy z powodu obfitości materyałów surowych? czy na mocy wyłącznéj zdatności mieszkańców do pewnego zajęcia? lub téż dla innych przyczyn?

9. Coby należało zrobić, aby podnieść lub wprowadzić przemysł drobny wiejski w powiecie? i czy znajdują się w okolicy osoby, które nawet z pewną ofiarnością w naturze (dom, ogród itd.) zechciałyby przyjść w pomoc rozwojowi drobnego przemysłu?

10. Czy w danéj miejscowości pomiędzy ludnością zajmującą się drobnym przemysłem nie przejawiają się dążności do stowarzyszenia się bądź w celu zapewnienia sobie kapitału obrotowego, bądź dla zakupu materyału surowego, bądź dla udogodnień sprzedaży towarów itp.

gdyś wyroby w Iłży, Ćmielowie, Denkowie. Z miejscowości, w których dziś na większą skalę jest praktykowane, przytaczamy: Cegłów (warsz.), Mińsk (w.), Rejowiec (chełms.), Jacki, Lipowiec (zamojs.), Pawłów, Tarłów, Lubartów, Firlej (lubartows.), Iłża (rad.), Dębowa góra, Wolanów, Dąbrowa (opocz.), Ćmielów, Łagów, Denków, Gliniany (opatows.), Misków, Rzuchów, Gromadzice, Łagów, Staszów, Iłża, Jedlnia (kozienic.), Przasnysz, Sierpc, Ciechanów (płockie), Pierzchnica, Korczyn, Szydłów (pińczows.) Barczew (sierad.), Bodzentyn, Charłupia, Odrowąż, Mroczków (kiel.), Stawiszyn (wyrobów garncarskich 1800 rubli (1) ), Sopoćkinie (aug.), Rudy pniewskie (pułtus.), Sławków (będzińs.), Trzebyczki, Tucznobaby, Łozian, Okradzionów (będz.), Nowa-wieś, Kłobucko, Wąsosz (częst.), Piecki, Kańkowo, Kempisty, Brok (ostrows.), Widawa, Szczerców (łaski), Burzenin (sierad.), Gombin, Skierniewice, Czersk, Stanisławów, Okuniew, Wawer, Kawęczyn, Czaplowizna (warsz.), Koło, Koźminek, Ozorków, Burzenin (kalis.); Wieluń, Łask; Daleszyce, Krajno, Miedziana Góra, Sławków (kiel.).

2. *Kaflarstwem* trudnią się w następujących miejscowościach: Kazimierzów (miński), Denków (opatows.), Staszów (sand.), Świerczynek (płocki), Dąbrowa, Siewierz, Czeladź (będz.), Nowe Miasto (raws.), Sejny, Nur (ostrows.), Działoszyce (olk.).

3. *Wyrób kamieni młyńskich*: Witanki (siedl.), Sendeski (zamoj.), Majdan kasztelański (zam.), Suchedniów (kiel.), Zawisty nadbrzeżne (ostr.), Żarnów (opocz.), Kunów (opat.) (nadgrobki, popielniczki, przyciski); wyrobem różnych drobiazgów z marmuru, kolumn, nagrobków i w ogóle kamieniarstwem w okolicach Chęcin, Włoszczowy, Baranowa, Słupcy w kieleckiem; nagrobki z piaskowca wyrabiane są w Józefowie ordynackim (p. zamojś.).

4. *Ceglarstwo* należy także do gałęzi dość rozpowszechnionych u nas; *główne punkty* tego przemysłu są to: Hieronimów (iłż.), Szewce, Morzyce, wyrób cegieł i dachówek (nieszawski).

5. Z innych gałęzi przemysłu, przetwarzającego płody kopalne, wspomnijmy jeszcze o *wyrobach z bursztynu* w Ostrołęce na Kurpiach, *wyrobie osełek* w Drzewicy i Gielniowie w opoczyńskiem; wreszcie *piece do wypalania wapna* są w Kielcach, Białogonie, Zanoszach (kiel.), Burzeninie (sieradz.), Młodzianach (konecki). *Zdunów* siedliska główne znajdują się: w Hołubli (siedl.), Gródku (sokoł.), Bierdzierzu, Ryczywole (kozienic.), Szklarach, Sławkowie, Skale (olkuski), Łubkach (płocki), Babiaku (wieluńs.); oraz *kopalnie torfu*,

---

(1). Pamiatnaja knižka gubernii Kaliskiej 1882, Str. 178—183. Przemysł wiejski w gubernii.

prowadzone na małą skalę przez włościan w różnych okolicach kraju. W powiatach łęczyckim, słupeckim i konińskim wydobyto w r. 1885 około 63.000 półkubicznych sążni torfu.

6. Zwracając się do wyrobów *metalowych*, prócz licznych rzemieślników, kowali, ślusarzy, stelmachów — ludność włościańska uprawia ten przemysł w następujących miejscowościach: Wola Korytnicka, Łochów (*nożownicy*); Baczków—siedl. (*siekiery*);—gm. Przysucha (opocz.), Ojców, Jerzmanowice, Żarnowiec— w olkuskim, Suchedniów w kieleckim; Złoczew, Charłupia mała w sieradzkim, z pod Pułtuska (*kłódki, zamki, noże*); — *łyżki kute pobielane* w Mroczkowie (kiel.), Dobraninkach (piotrk.), Przedbórz nad Pilicą;—*gwoździarstwo* w Kamiennéj (kiel.), Bodzechowie (opat.), Daraczewie, Niekłaniu i Bliżynie (konecki); — *kowalstwo* w Bolendach, Skarżynie, Rosochatem (ostrows.), Mińsk (warsz.), Pawłów (rad.), w powiecie łęczyckim; — *wyrób osi* w Kaszewicach (piotrk.), Kiełpińcu (sokołows.); — *blacharstwo* w Bogoryi (sand.); — *ślusarstwo* w Połańcu (sand.).

(*D. n.*) *Adam Zakrzewski.*





# PO UPADKU
# BOLESŁAWA ŚMIAŁEGO.

---

Prawie cała usilność naszych historyków dzisiejszych skierowaną jest ku wyszukiwaniu i umiejętnemu wydawaniu nowych materyałów źródłowych do dziejów Polski, a praca konstrukcyjna stoi na dalszym planie, pozostawiona przyszłości. Ktoby bowiem zamierzał do tego rodzaju pracy przystąpić, zniewolony jest liczyć się z przypuszczeniem, że zaledwie do końca ją przywiedzie, a już nowo-odkryte źródło rezultat jego badań niedostatecznym, błędnym i zbyt wcześnie przestarzałym uczyni.

Bezwątpienia, że ten przeważający kierunek studyów budzić winien w każdym lubowniku prawdy historycznéj najpiękniejszą otuchę, ale z drugiéj strony pozostawia on z konieczności na uboczu najdawniejszą epokę naszego rozwoju historycznego, ponieważ do jéj poznania odkryć nowe świadectwa źródłowe chyba nie ma żadnéj lub niemal żadnéj nadziei i prawdopodobnie trzeba będzie nazawsze poprzestać na tém, co już jest znane i mniéj więcéj wszystkim przystępne. Skąpy to niezawodnie materyał i nie tylko skąpy lecz często bałamutny i zawiły, ale właśnie dlatego wymaga tém wszechstronniejszego zgłębienia i wyzyskania, jeżeli te najdawniejsze czasy dziejów mają się kiedyś odsłonić oczom naszym więcéj, niż nam to dotychczas jest daném.

Obecnie zaś nietylko dotkliwy daje się uczuwać brak ogólnego przedstawienia téj całéj bohaterskiéj epoki naszych dziejów w dziele odpowiadającém bodaj w przybliżeniu postępowi studyów historycznych i uwzględniającém najnowsze ich rezultaty (1), ale

---

(1) Wiadomo mi, że jeden z najwybitniejszych historyków krakowskich przygotowuje wydanie dzieła, mającego zastąpić całkiem już niedostateczne pierwsze tomy „Dziejów Polski“ J. Szujskiego. Cieszyłbym się, gdyby niniejsza praca bodaj maleńką była pomocą dla autora oczekiwanéj książki.

co gorsza, bardzo znaczna część najpoważniejszych badań nad tym okresem polskiéj historyi jest własnością nie polskiéj lecz niemieckiéj literatury, z któréj ciągle jeszcze pełną dłonią czerpać zmuszeni jesteśmy (1). Że taki stan rzeczy ujmę czyni naszéj narodowéj miłości własnéj—w tym razie całkiém słusznéj—to może jeszcze strata najmniejsza, ale że takie rozproszenie wyników najświeższych i najgruntowniejszych badań po najrozmaitszych książkach i wydawnictwach polskich i niemieckich stanowi ogromną niewygodę i utrudnia znajomość dziejów tego okresu — łatwém jest do zrozumienia. A nareszcie powiedzmy, że nie braknie na tém polu kwestyi, które z lekka tylko dotąd były dotykane i które tłómaczono sobie dowolnie, stosownie do potrzeby, bez ścisłego rozbioru źródeł.

W studyum mojém o upadku Bolesława Śmiałego podjąłem staranie, aby w części przynajmniéj przyczynić się do usunięcia tych niedostatków, a śledząc za przyczynami katastrofy, jaka w Polsce zaszła w r. 1079, zniewolony byłem zająć się źródłowo i dokładnie całém panowaniem Bolesława II. O słuszności lub prawdopodobieństwie rezultatów téj pracy nie moją rzeczą wyrokować, lecz mogę się w każdym razie uważać tą pracą powołanym i przysposobionym do przedsięwzięcia studyum nad historyą najbliższego po upadku Bolesława Śmiałego dziesiątka lat. W rozprawce niniejszéj nie obejmę całego panowania Władysława Hermana ale tylko pierwszą jego połowę, dlatego, że ona jest jak gdyby epilogiem rządów Śmiałego, że w niéj przeważają jeszcze te czynniki i prądy, które działały za czasów Bolesława; po r. 1090 spostrzegać się daje—według mego zdania — nowy zwrot w toku naszych dziejów: monarchowie polscy, bo oni i teraz nadają kierunek w zewnętrznéj polityce, zwracają uwagę swą przedewszystkiém na północ, w podboju i ścisłém połączeniu z Polską Pomorza upatrują główne swoje zadanie, a dynastyczne spory, łączące się z tendencyami możnowładztwa, które zdołało nareszcie ugruntować faktycznie swój wpływ i niezależniejsze stanowisko wobec władzy książęcéj, przygotowują podział Polski na dzielnice, dokonany po śmierci Bolesława Krzywoustego.

---

(1) Wymieniam tylko ważniejsze: 1) Wilh. v. Giesebrecht. Geschichte der Deutschen Kaiserzeit, dotąd 5 tomów. 2) Max Büdinger. Ein Buch ungarischer Geschichte 1058 — 1100. 3) H. Zeissberg: *a)* Miseco, der erste christliche Beherrscher der Polen (Archiv für Kunde österr. Geschichtsquellen t. 38); *b)* Über die Zusammenkunft Kaiser Ottos III, mit Herzog Bolesław v. Polen (Zeitschr. f. oesterr. Gymnasien 1867); *c)* Kriege Kaiser Heinrichs II mit Bolesław I v. Polen (Sitzungsberichte der k. k. Akad. d. Wissenschaften t. 57); *d)* Die oeffentliche Meinung im XI Jahrh. über Deutschlands Politik gegen Polen (Zeitschrift für oesterr. Gymnasien 1868).

Zanim wszakże przystąpimy do właściwéj pracy, wypada nam najprzód uprzytomnić sobie, jakie to kwestye sporne lub mimochodem tylko dotykane nasuwają się w pierwszéj połowie panowania Władysława Hermana?

Oto na wstępie czeka rozstrzygnięcia pytanie: jakie zajął stanowisko wobec dokonanego w Polsce koło r. 1080 przewrotu węgierski król Władysław? Bolesław Śmiały dopóki rządził Polską, zostawał w najściślejszém przymierzu z narodowém stronnictwem węgierskiém, reprezentowaném w tych czasach przez królów Gejzę i brata, a zarazem następcę jego, Władysława, który w r. 1077 objął tron węgierski, mając to do zawdzięczenia w wysokim stopniu naszemu królowi. Z nim zresztą łączył go—tak się przynajmniéj zdawało — wspólny interes obrony przeciw uzurpacyom niemieckim i czeskim. Do Węgier téż schronił się wygnany z Polski Bolesław, licząc niezawodnie na pomoc Władysława. Tymczasem jéj nie otrzymał i umarł na obczyźnie, a syn jego Mieszek wrócił do Polski dopiéro w r. 1086, powołany przez stryja. Jakżeż to zatém wytłómaczyć, że Władysław węgierski omieszkał udzielić pomocy do przywrócenia tronu Bolesławowi Śmiałemu, o którego się opierał i w którego panowaniu, zdawałoby się, upatrywać musiał gwarancyą własnego bezpieczeństwa. Nad rozwiązaniem tego pytania dotychczas nie zastanawiano się bliżéj.

W związku z tém pozostaje druga kwestya: wojna węgiersko-polska za Władysława Hermana. Wspomina o niéj kronikarz Thwrocz, lecz jego wzmianki nie poddano dotąd wyczerpującemu rozbiorowi, posługując się nią całkiém dowolnie, jak komu było wygodnie. Trzebaby zatém zbadać najpierw wiarogodność téj wzmianki, przekonać się, czy nie pozostaje w związku z jaką wzmianką w inném źródle, trzebaby jéj wyznaczyć, jeżeli to możliwe, nie na podstawie dowolnéj kombinacyi ale samego źródła, miejsce chronologiczne i wtedy dopiéro wyjaśnić związek tego faktu z innemi.

Stosunek Polski do Czech, to dalsze pytanie. Pod tym względem ma się do czynienia przedewszystkiém z koronacyą księcia czeskiego Wratysława na króla czeskiego i polskiego, jakotéż ze sfałszowanym przywilejem biskupstwa praskiego, potwierdzonym przez Henryka IV a wcielającym do dyecezyi praskiéj i znaczną część terytoryum polskiego. Na tym punkcie chodzić nam będzie głównie o pragmatyczny związek tych faktów z innemi.

Łącznie z powyższym punktem przyjdzie zastanowić się nad tém, jakie było stanowisko Władysława Hermana wobec toczącego się sporu o inwestyturę, a to tém więcéj, że nasi historycy najnowsi tak upadek Bolesława Śmiałego jak i wypadki następnego lat dzie-

siątka tłómaczyć chcą zachodnio-europejskiemi prądami i wciągają Polskę gwałtem do wybitnego udziału w tym ruchu kościelno-religijnym.

Nakoniec przyjrzymy się wewnętrznym Polski dziejom za rządów Władysława Hermana, aby się przekonać, o ile nadziejom, jakie możnowładztwo w strąceniu z tronu Bolesława Śmiałego pokładało, odpowiedział istotny skutek.

---

## 1. Stanowisko Władysława węgierskiego wobec przewrotu dokonanego w Polsce koło r. 1080.

Uchodził z Polski Bolesław Śmiały, chroniąc się z synem Mieszkiem do Węgier, w nadziei, że tu znajdzie nietylko bezpieczny przytułek lecz i gorliwe poparcie od węgierskiego monarchy, Władysława. Bo przecież Władysław, mając do walczenia z pokonanym niedawno temu przy pomocy Bolesława Salomonem, który jednak nie zrzekł się swoich pretensyi i ciągle jak mógł wichrzył, przytém zagrożony nieprzyjaźnią szwagra Salomonowego, Henryka IV-go, i sprzymierzeńca jego, czeskiego księcia Wratysława,—nie gdzieindziéj, jak tylko w Polsce mógł szukać sojusznika i miał go rzeczywiście w Bolesławie, a stracił go, gdy przeciwna Bolesławowi w Polsce partya górę wzięła i brata jego Władysława Hermana w miejsce wygnanego na tron wyniosła. Istotnie, gdy Władysław węgierski usłyszał, że Bolesław do jego przybył kraju — opowiada kronikarz polski (1) — cieszył się, że ujrzy swego przyjaciela i przyjął go nie jak cudzodziemca lub gościa, nie jak równy równego, lecz tak, jak to z obowiązku przynależy żołnierzowi przyjmować swego zwierzchnika, księciu swego króla lub królowi cesarza. Bolesław nazywał Władyslawa swoim królem, a Władysław przyznawał, że przez niego królem został. Bolesław zaś, chociaż wygnaniec, dumnie występował wobec Władysława, który śpiesząc na powitanie, zsiadł z konia, podczas gdy Bolesław chełpił się, że jemu nie przystoi oddawać Władysławowi, którego u siebie w Polsce wychował a potém królem w Węgrzech uczynił, takich zaszczytów jak równemu sobie, lecz wypada mu przywitać go, jak poddanego sobie księcia, t. j. siedząc na koniu. A chociaż to bolesném było Władysławowi, jednak i nadal życzliwym się okazywał dla Bolesława; za to Węgrzy głęboko uczuli dumę króla polskiego i znienawidzili Bolesława, a to sprowadziło na niego, jak twierdzą, szybszą śmierć.

---

(1) Kronika Galla, ks. I, roz. 28 w Monum. Poloniae Bielowskiego t. I, str. 423.

Naturalnie, że powyższe opowiadanie kronikarza o spotkaniu się naszego Bolesława z Władysławem węgierskim traktować należy jako anegdotę rozpowszechnioną i powtarzaną w Polsce za czasów Galla. Ale wiadomo, że tego rodzaju anegdoty historyczne, i dziś jeszcze nie rzadkie, streszczają i charakteryzują, zazwyczaj w opowieści, któréj strona anegdotyczna jest najczęściéj wątpliwéj wiarogodności, dosadnie i prawdziwie sytuacyą polityczną, jaka w tym razie musiała istnieć przez czas dłuższy między pozbawionym obecnie tronu monarchą polskim a królem węgierskim. To też opowiadanie Galla o owém spotkaniu się monarchów może co do samego szczegółu ich powitania mniéj lub więcéj mijać się z prawdą — na czém nam zresztą tutaj nie bardzo zależy, — ale z drugiéj strony dostarcza bardzo cennych wskazówek do wyświecenia stosunku między Polską a Węgrami, odkąd w tych ostatnich stronnictwo narodowe, poparte przez Bolesława, uzyskało przewagę i Gejza a po nim Władysław zasiadł na tronie, aż dopóki stosunek ten przez wygnanie z Polski Bolesława zmienionym nie został.

Wyniosłe zachowanie się naszego Bolesława wobec węgierskiego władcy, prawie jak gdyby wobec polskiego wasala, z pewnością nie po raz pierwszy miało miejsce dopiéro w chwili nieszczęścia, jakie Bolesława dotknęło; owszem, ze słów Galla możemy wysnuć więcéj niż prawdopodobny wniosek, że Bolesław Śmiały czując — dopóki panował — swoję potęgę, świadom tego, że węgierski Władysław jemu przedewszystkiém tron zawdzięcza i o Polskę z konieczności opierać się musi, występował w roli niemal zwierzchnika, a przynajmniéj możnego opiekuna Węgier, podnosił może nieraz pretensye i żądania, które pełnéj samodzielności państwa i monarchy węgierskiego rażąco się sprzeciwiały, a to wszystko trzeba było cierpliwie znosić, bo tak potężnemu panu i znakomitemu wojownikowi narażać się wśród okoliczności i tak już bardzo trudnych, byłoby zbyt niebezpieczném. Więc w zgodzie i niezamąconéj przyjaźni żyli z sobą aż do katastrofy Bolesława.

Ale to skrępowanie zupełnéj niezawisłości, ta wyższość i niemal zwierzchnictwo Bolesława nad Węgrami, dokuczać musiały nieznośnie Władysławowi, którego system polityczny, zręcznie przestrzegany przez cały ciąg jego szczęśliwych rządów, polegał właśnie na zdobyciu i utrzymywaniu jak największéj swobody i samodzielności państwu węgierskiemu. W wirze ówczesnych walk kościelnych i politycznych nie traci Władysław nigdy równowagi i zawsze

umić sobie zapewnić niezawisłość (1). Nagabywany przez stolicę apostolską, aby zerwał z cesarstwem a wszedł w związek polityczny z papiestwem w myśl znanych dążności Grzegorza VII, nie dał się ani na chwilę uwieść. Ani niemiecki król, ani rzymski papież zwierzchnikiem nie miał być Węgier. Swoją drogą nikt nie był w sprawach religijnych troskliwszym, nikt pobożniejszym nad niego, nikt stalszą nie odznaczał się wiernością dla prawowitych następców św. Piotra, o ile naturalnie nie stawało to w kolizyi z jego systemem i interesem politycznym. Ale to nie przeszkadzało mu dać przytułek jednemu z najgorliwszych zwolenników antypapy (Klemensa III-go), biskupowi praskiemu Gebhardowi (Jaromirowi), gdy tenże popadł w rozterkę z bratem swoim Wratysławem (2). U Władysława węgierskiego znalazł również gościnę syn Wratysława, Brzetysław z 2000 wychodźców czeskich, chociaż i on do tego samego co Gebhard zaliczał się obozu (3). A nawet z samym Henrykiem IV wchodzić w porozumienie nie wahał się Władysław, gdy tylko sądził, że to jest zgodne z jego interesem politycznym (4).

Jeszcze tylko polska przewaga stała na przeszkodzie całkowitemu osiągnięciu pożądanego celu: nieograniczonéj swobody i niezawisłości węgierskiego państwa. A im bardziéj rosła potęga Bolesława, im bliższém zdawało się spełnienie zamiaru, do którego król nasz zdążał: stworzenie olbrzymiego zachodnio-słowiańskiego państwa, tém więcéj wzmagały się obawy Władysława przed takim sąsiadem, tém wyraźniéj zarysowywało się mogące stąd i dla Węgier wyniknąć niebezpieczeństwo, bo w jarzmie węgierskiém żyła mnoga dość ludność słowiańska, która już znała Piastów i pod ich berłem snadniéj by bezwątpienia chciała zostawać, niż pod berłem władzców obcego sobie, najezdczego plemienia.

Rozwiały się obawy, znikło niebezpieczeństwo z téj strony z chwilą upadku Bolesława Śmiałego, a monarcha węgierski nie zaniedbał sposobności, aby ciążącą dotychczas już na swojém ramieniu dłoń polskiego króla usunąć. Przyjął gościnnie wygnańca, pamiętny udzielonego sobie niegdyś w Polsce przytułku, ale pomagać mu do odzyskania władzy, odrestaurowania potęgi i przeprowadzenia wielkich zamysłów — o tém wcale nie myślał. Że przez to pozbywa się silnego sprzymierzeńca przeciw uroszczeniom Niemiec

---

(1) Stefczyk: Upadek Bolesława Śmiałego w Ateneum r. 1885, styczeń str. 81 (odbitki str. 20); Büdinger: Ein Buch ungar. Gesch. str. 64 i n. — (2) Kosmasa kronika II pod r. 1090 w Fontes rer. Bohem. II, 122; Palacky: Gesch. v. Böhmen I, 321; Büdinger l. c. str. 78. — (3) Kronika Kosmasa II w Font. rer. Boh. II, 130 i nast.; Palacky l. c. 326; Büdinger l. c. — (4) Bernoldi Annales pod r. 1092, Monum. Germaniae Ss. 1, V, str. 453.

i nieprzyjaźni Czechów, nie wielka-to była wśród danych okoliczności strata. Henryk IV sam był niepewnym swego losu i swéj władzy i ani marzyć o tém nie mógł, żeby niemiecką hegemonią nad zewnętrznemi państwami przywracać. Przez znaczną część poddanych sobie książąt państwa odsądzony od władzy (na sejmie w Forchheim r. 1077) (1), ponownie klątwą kościelną obarczony (w roku 1080) (2), rozpoczynał dopiero właśnie ciężką a długą walkę z swoimi rywalami: papieżem i wybranym na króla niemieckiego w Forchheim Rudolfem. Zajęcie neutralnego stanowiska wśród tych zapasów już wystarczało, aby zachować Węgrom niezawisłość a w najgorszym razie można było podać rękę nieprzyjaciołom Henryka, którzyby ją skwapliwie niezawodnie przyjęli. Gdyby zaś czeski Wratysław ośmielił się zaczepnie przeciw Władysławowi wystąpić, to Węgry stać było teraz na odparcie takiego wroga a ostatecznie nie brakłoby Władysławowi sprzymierzeńców i to najlepszych, bo między domowymi Wratysława nieprzyjaciółmi, między jego braćmi.

Spodziewana w Węgrzech pomoc zawiodła zatém Bolesława, państwa swego nie ujrzał już więcéj i jako tułacz wśród obcych śmierć rychłą znalazł, prawdopodobnie w Ossyaku. Władysław zaś zatrzymał u siebie i troskliwie wychowywał syna Bolesławowego, młodego Mieszka, którym mógł nowemu władzcy polskiemu i Czechom grozić, gdyby się przeciw niemu zwrócić ośmielili.

## 2. **Wyprawa Władysława węgierskiego do Polski.**

O stosunkach między nowym księciem polskim, Władysławem, a jego imiennikiem królem węgierskim dwie tylko w źródłach mamy uwagi godne wzmianki: jednę w kronice węgierskiéj Thwrocza, drugą w polskiéj kronice Galla.

Thwrocz donosi (3), że Władysław wkroczył do Polski i obległ Kraków, który po trzech miesiącach z braku żywności poddał się

(1) Giesebrecht: Gesch. d. deutsch. Kaiserzeit III, 431—434 (wyd. IV).— (2) Giesebrecht III, 491—498. — (3) Dla ułatwienia czytelnikowi zrozumienia dalszego wywodu przytaczam odnośny ustęp kroniki Thwrocza, ks. II, roz. 58 (Schwandtner: Scriptores rer. Hungar. I, 133) dosłownie: „Deinde irruit in Poloniam. Poloni vero contra ipsum venientes pugnauerunt, sed Hungari iuuante Deo victoriam habuerunt. Exinde Hungari castrum Krokow tribus mensibus obsederunt. Interim obsessi et obsidentes coeperunt egere. Rex autem et principes petierunt ab omnibus Hungaris noctis silentio, ut portaret unusquisque ocream solam, de terra plenam, quod et factum est. Fecerunt autem ante castrum montem magnum de terra illa; quem desuper cum farina cooperuerunt. Videntes autem obsessi, quod obsidentes abundarent victualibus et quod diu possent manere ante castrum, arcem cum uniuersis regi tradiderunt et pacem ad voluntatem regis ordinauerunt seu composuerunt. At inde transiuit in Bohemiam et multos captiuos de Bohemis duxerunt impune in Hungariam. Et sic rex victoriosissimus ad propria rediit cum gaudio.“

i pokój z królem zawarł a Władysław poszedł stąd do Czech i wielu jeńców z sobą do Węgier wprowadził.

Gallus zaś opowiadając o buncie Zbigniewa podaje (1) że Władysław Herman i Sieciech wezwali na pomoc przeciw Wrocławianom Władysława, króla węgierskiego, i Brzetysława, księcia czeskiego, co przyniosło im więcéj wstydu i szkody niż zaszczytu i pożytku. Bo król Władysław byłby związanego Sieciecha uwiózł z sobą do Węgier, gdyby Sieciech na swoje szczęście nie był zdołał umknąć z małym Bolesławem.

Co się tyczy wersyi Thwrocza o wojnie węgiersko-polskiéj, to w okresie między upadkiem naszego Bolesława Śmiałego a śmiercią węgierskiego Władysława nie ma prawie roku, pod którymby ją różni historycy nie umieszczali. Najwięcéj zwolenników liczy opinia, po raz pierwszy przez Kromera z powątpiewaniem, a stanowczo przez Katonę w jego krytycznéj historyi Węgier wypowiedziana (2) a łącząca tę wojnę z powrotem Mieszka, syna Bolesławowego, do Polski. Gdy zaś powrót Mieszka, jak z roczników polskich dowiadujemy się, nastąpił w r. 1086, więc i wojna ta miałaby miejsce, według téj opinii, koło roku wymienionego. Zdaniu temu hołduje Roepell i najnowsi historycy polscy. Nie wdając się na razie w polemikę ani z tą ani z jakąkolwiek inną opinią, zajmiemy się tylko samym rozbiorem źródeł, z których wiadomość o tych stosunkach węgiersko-polskich czerpiemy, aby się przekonać o ile przekazane nam wzmianki są wiarogodne, czy między jedną a drugą nie istnieje związek i czy nie da się ze źródeł samych oznaczyć daty, pod którą najprawdopodobniéj należy umieścić fakt podany przez Thwrocza.

Przy pobieżném nawet przeczytaniu jego opisu owéj wyprawy króla węgierskiego do Polski uderzyć musi każdego pośpiech i niedokładność, jakie ten ustęp charakteryzują. Warto, między innemi, zwrócić uwagę na niekonsekwencyą między zdaniem: „Interim obsessi *et obsidentes* coeperunt egere“ — a zdaniem znajdującém się parę wierszy niżéj: „Videntes autem obsessi, quod obsidentes abundarent victualibus etc.“ Albo znowu: „At inde *transiuit* in Bohemiam et multos captiuos de Bohemia *duxerunt* impune in Hungariam.“ Już te usterki uprawniają sceptyczny pogląd na wiarogodność opowiadania Thwrocza, tém więcéj, skoroć jego kronika jest dla XI-o

---

(1) Gallus II, roz. 4, Mon. Pol. I 432: „Unde multum Wladislavus indignatus et Setheus ira nimis inflammatus, Wladislavum Ungariae regem et Brethislavum Bohemiae ducem in auxilium sibi contra Wrathislavienses mandaverunt unde plus dedecoris et dampni quam honoris et proficui habuerunt. Nam Setheum rex Wladislavus vinctum secum in Ungariam transportasset, ni pro salute cum parvulo Boleslavo transfugisset.“ — (2) Katona: Historia critica regum Hungariae stirpis Arpad. II. 412 i n.

wieku źródłem tak póżném i to źródłem, z którém, jak wiadomo, w bardzo wielu wypadkach z podobną jak przy Długoszu obchodzić się trzeba oględnością.

Do jakiego stopnia mętnemi są wiadomości kronikarza tego o czasach, któremi się zajmujemy, świadczy następujący zaraz rozdział 59-ty kroniki (1), stanowiący chaotyczną mieszaninę szczegółów, z których każdy ma pewien związek z historyczną prawdą, lecz w téj formie, jak je nam Thwrocz podaje, opierając się zresztą na legendzie o św. Władysławie (2) i tylko dodatkami od siebie rozszerzając znalezione tam wiadomości, są to rażące bajki (3). Mówi mianowicie kronikarz o posłach, którzy z Francyi, Hiszpanii, Brytanii i Anglii mieli przybyć do Władysława węgierskiego z prośbą, aby stanął na czele wyprawy jako kierownik wojska Chrystusowego, ruszającego na wojnę przeciw Saracenom dla odebrania grobu św. Władysław zgodził się na propozycyą i zaprosił téż do współudziału w wyprawie téj Konrada, księcia czeskiego, syna Ottona. Właśnie jednak wtedy krewniak Konrada, Świętopełk (Swatoplug) odebrał mu podstępnie tron, zająwszy niespodzianie wśród nocnéj ciszy Pragę. Konrad przybył więc do Węgier, szukając pomocy u Władysława, który mu jéj rzeczywiście udzielił, udał się w pochód przeciw Czechom, lecz na granicy kraju czeskiego ciężko zachorował. Wezwał więc do siebie przez posłów syna swego Kolomana, który poróżniwszy się z ojcem w sprawie następstwa tronu, w Polsce przebywał. Poczém Władysław rozporządził tronem i umarł. O poselstwie z zachodniéj Europy do króla Władysława nic skądinąd nie wiemy, ani téż o tém, żeby mu kiedykolwiek kierownictwo w wyprawie ofiarowano, bo piewsze tłumy krzyżowców, ruszających do ziemi św. bez żadnego zresztą wodza, zgromadziły się dopiero z końcem r. 1095 (4), podczas gdy Władysław nie żył już od sierpnia tegoż roku (5). Opowiadanie o wyprawie jego na Czechy (w roku śmierci 1095) składa się z samych niemożliwości, jakkolwiek zaczepia o rzeczywiste fakta historyczne, które jednak kiedyindziéj

---

(1) U Schvandtnera (Script. rer. Hung. I) str. 133 i n.—(2) Legenda St. Ladislai regis Hungariae (w Endlichera. Rer. Hung. monum. Arpad. pars I, Scriptores, 240 i n.) — (3) Na bałamutność i pochodzenie tych wiadomości zwraca uwagę Büdinger: Ein Buch ung. Gesch. str. 81 przyp. 3. Łatwo téż pojąć, że autor owéj Legendy (przyp. poprzedni) żyjący w czasie najbardziéj ożywionego ruchu krucyat nie mógł przypuścić i wyobrazić sobie, żeby św. Władysław nie myślał o oswobodzeniu grobu św.—i udarował nas swoją kombinacyą o udziale Władysława w wyprawach krzyżowych—może opierając się na jakiéj błędnéj tradycyi ustnéj. — (4) Kugler: Geschichte der Kreuzzüge (w zbiorze Wilh. Onckena: Allgem. Geschichte in Einzeldarstellungen) str. 15—30. — (5) Thwrocz ks. II, roz. 59, u Schwandtnera I, 134; Büdinger: Ein Buch ung. Gesch. 94.

i wśród innych okoliczności się działy a które Thwrocz spaja i objaśnia dowolnie. Otton, o którym kronikarz wspomina, nie miał wcale syna imieniem Konrada (1), lecz miał brata, który był wprawdzie księciem czeskim i panował w Pradze ale całkiem spokojnie przez kilka tylko miesięcy a umarł już w r. 1092 (2) więc w r. 1095 nie mógł być wyganianym przez Świętopełka i szukać w Węgrzech pomocy. Świętopełk był zaś właśnie synem Ottona i opanował istotnie Pragę (3), stało się to jednak dopiero w kilka lat po śmierci ks. Brzetysława, który umarł w r. 1100. Pomocy w Węgrzech szukał jeden z książąt czeskich, był nim Brzetysław syn Wratysława, działo się to jednak już w r. 1091 (4). Widoczna z tego, iż autor tych opowieści „dosłyszał z lekka, że gdzieś dzwonią lecz nie wie, w którym kościele“ i czyni w pośpiechu wielce niefortunne domysły.

Przekonawszy się w ten sposób jak dalece na wiarogodność Thwrocza nie możemy się spuścić, wróćmy do poprzedniego rozdziału jego kroniki, gdzie już w samym tekście opowiadania znaleźliśmy uderzające usterki. Oczywiście, wobec tego byłoby naszém życzeniem w jakikolwiek sposób skontrolować, czy ta opowieść o wojnie polsko-węgierskiéj i następującéj w związku z nią wojnie węgiersko-czeskiéj nie jest równie bałamutną i przekręconą.

W źródłach czeskich bezpośredniéj w tym kierunku nie znajdziemy pomocy; nic tam nie słychać o wojnie z węgierskim Władysławem. Inaczéj ma się rzecz z naszym Gallem, z którego dotyczący ustęp na początku niniejszego rozdziału przytoczyłem. Gallowi wierzyć musimy całkowicie, dopóki nie znajdziemy wyraźnego dowodu, że mija się z prawdą. Tylko że, niestety, Gallus zwyczajem swoim jest nadzwyczajnie zwięzłym i zwłaszcza w tym ustępie, gdzie mówi o wyprawie króla węgierskiego Władysława do Polski, tak zwięzłym, iż do pewnego stopnia staje się niejasnym, co niezawodnie było powodem, że Boguchwał, chcąc go w swéj kronice w tém miejscu komentować, jeszcze bardziéj sprawę zaciemnił i zawikłał (5) a Długosz całkiem wzmiankę tę pominął. Z pierwotnego źródła, tj. kroniki Galla, dowiedzieliśmy się zatém, że Władysław węgierski podjął do Polski wyprawę, czyniąc zadość wezwaniu księcia polskiego i wojewody Sieciecha; przybywał więc zrazu w ich interesie, aby im pomódz przeciw buntownikom. Tymczasem Władysław Herman i Sieciech zamiast odnieść stąd pożytek narazili się na upokorzenie i straty, bo król węgierski zwrócił się przeciw nim

(1) Palacky: Gesch. v. Böhmen I, 329 i n. — (2) Kosmas kron. w Fontes rer. Boh. 132; Palacky l. c. 334. — (3) Kosmas w Font. rer. Boh. 153 i n.; Palacky l. c. 355. — (4) Zob. wyżéj str. 82 niniejszéj rozprawy. — (5) Kronika wielkop. w Mon. Pol. II 492.

a mianowicie Sieciecha uwięził i zamierzał z sobą do Węgier uprowadzić, od czego Sieciech jedynie ucieczką się uratował. Ten nagły zwrot w stosunku Władysława węgierskiego do stronnictw w Polsce z sobą walczących jest w swych powodach niewytłomaczonym lecz nie mniéj niewątpliwym.

Ważne są oprócz tego dla nas następujące jeszcze momenta:

Najprzód ta okoliczność, że i wojna, o któréj Gallus mówi, donosząc zarazem o udziale w niéj Władysława węgierskiego, obracała się około oblężenia miasta, tylko nie Krakowa lecz Wrocławia, aż wreszcie Władysław, który pierwotnie był sprzymierzeńcem Sieciecha i księcia polskiego a nieprzyjacielem Wrocławian, przerzucił się na przeciwną stronę—a więc musiało przyjść do porozumienia się między nim a rokoszanami w Wrocławiu; to tylko oczywisty, logiczny wniosek, wysnuty ze słów Galla, którym fałszu nie jesteśmy w możności zarzucić.

Zapytajmy teraz, kiedy miał miejsce fakt przez Galla opowiedziany. Datę możemy z dość wielkiém prawdopodobieństwem oznaczyć w następujący sposób. W drugiéj części I-o rozdz. II-éj księgi (1) rozpoczyna Gallus opis wojen z Pomorzanami za Władysława Hermana i podaje wiadomość o walném zwycięstwie Polaków nad Pomorzanami, których gród zmuszony był poddać się a wskutek tego Pomorze—chociaż na krótko—zostało opanowaném. Stało się to w dzień święta Wniebowzięcia (15-o sierpnia). Rok zwycięstwa podany jest w naszych rocznikach, bo nie podlega wątpliwości, że zwycięstwo nad Pomorzanami przez Galla wspomniane jest tém samém, którego pamięć i roczniki nasze podają potomności, notując wiadomości o niém pod r. 1091 (2). W dalszym ciągu opowiadania o wojnach pomorskich (w następnym rozdziale) donosi Gallus o nieroztrzygniętéj bitwie między Pomorzanami a Polakami pod Drezdenkiem (?, Drzu) (3) w wigilią kwietniéj niedzieli a zatém już roku następnego (1092) i o oblężeniu Nakła koło św. Michała (rozdz. III). Gdy zaś na tém przerywa Gallus opis wojen z Pomorzanami a późniéj kilkakrotnie o nich wspomina, lecz już ze współudziałem pogodzonego z ojcem Zbigniewa, a natomiast w rozdziale IV podaje historyą buntu Zbigniewa, przeciw któremu właśnie Sieciech i Władysław Herman wezwali na pomoc króla węgierskiego,—stąd z wszelkiém prawdopodobieństwem datę buntu a zarazem i wyprawy króla Władysława do Polski możemy położyć na r. 1093; w każdym razie

(1) Gallus II, roz. 1. M. P. I. 429. — (2) Rocznik kapit. krak. Mon. Pol. II 796; Roczn. świętokrzyski dawny, M. P. II. 773. Rocz. Sędziwoja, M. P. II, 874. — (3) Gallus II, roz. 2, M. P. I. 430.

zdarzenia te rozgrywały się nie wcześniéj jak z końcem r. 1092 i nie wiele późniéj jak w r. 1093 (1).

Gallus jednak opowiada w owym ustępie, że Władysław Herman i Sieciech wezwali przeciw Wrocławianom na pomoc nietylko króla węgierskiego lecz także Brzetysława księcia czeskiego. Niema bynajmniéj konieczności słowa jego tłómaczyć w ten sposób, jakoby obu władzców *równocześnie* na pomoc wzywano. Trudno sobie nawet wyobrazić, żeby przeciw zbuntowanym zewsząd naraz z zagranicy ściągano posiłki a gdy Gallus najprzód wymienia Władysława węgierskiego a potém czeskiego Brzetysława, więc bez naciągania rozumiéć to możemy w ten sposób, że najprzód pierwszy przybył z posiłkami, ale gdy jego pomoc zawiodła, owszem przeciw samemu Sieciechowi i księciu polskiemu się zwróciła, wówczas dopiero ułożono się z Brzetysławem. Tém bardziéj wskazaną jest taka interpretacya owego ustępu kroniki, że wynika niezawodnie ze źródeł naszych i obcych, iż Brzetysław w początkach buntu był w zmowie z Czechami i nawet zbrojno przeciw księciu polskiemu wystąpił.

Już sama kronika Galla wystarczyłaby na poparcie tego twierdzenia. Kronikarz opowiadając o wychodztwie Polaków chroniących się przed prześladowaniami Sieciecha, powiada (2), że zbiegowie ci za radą Brzetysława księcia czeskiego zgromadzili się w Czechach i że dając się powodować chytrości Czechów, najęli sobie kilku ludzi, którzy wykradli Zbigniewa, naturalnego syna Władysława Hermana z klasztoru, aby go na czele buntu postawić. A kilka wierszy niżéj, wspomniawszy o liście rokoszan do Magnusa, wrocławskiego kasztelana, czyni Gallus uwagę: „A do tego wszystkiego podszczuwał książę czeski, który chętnie siał niezgodę między Polakami.“ Gallus świadczy wreszcie pośrednio, że dwór polski oskarżał wprost rokoszan o konszachty z Czechami i sprowadzenie ich do Polski przeciw księciu i Sieciechowi, bo oto na oświadczenia wyprawionych przez dwór polski do Wrocławia posłów, odpowiadają rokoszanie, że nie oni ojczyznę wydali na łup Czechom lub innym

---

(1) Z tego powodu niemożliwą jest kombinacya dra Smolki w szkicu „Gniazdo Tęczyńskich“ (Szkice hist. ser. II, 28—31), według któréj miałoby do zgody przyjść już w r. 1092; taka kombinacya zmusza Smolkę przemieniać Brzetysława na Wratysława (który zmiera w styczniu 1092) wbrew kilkakrotnemu i stanowczemu wyrażeniu się Galla, a czyni to autor szkicu dlatego, żeby słowa Galla: „Wladislaum Ungariae regem et Brethislavum Bohemiae ducem in auxilium sibi contra Wratislavienses mandaverunt“ wyjaśnić jako powrót Brzetysława z Węgier, gdzie jak wiemy przebywał, do Czech. — (2) Mon. Pol. I, 431: „Brethislavi ducis consilio in Bohemia congregantur (fugitivi). Sicque Bohemorum calliditate quosdam pretio conduxerunt etc.“ A niżéj: Et hoc totum dux Bohemicus suggerebat.

narodom, lecz że tylko przyjęli syna swego pana i jego zbiegów etc. (1). Skoro zatem odpierają zarzut, iż zdradzili ojczyznę Czechom, więc zarzut taki musiał im być czyniony i musiał mieć podstawę w najeździe Czechów—a może i Pomorzan—na Polskę.

Zajrzyjmy zaś do kroniki czeskiéj a znajdziemy tu zupełne potwierdzenie wniosku ze słów polskiego kronikarza wyciągniętego. Kosmas opowiada (2), że w r. 1093 nastąpił straszliwy najazd Brzetysława na Szląsk, powtórzony parokrotnie a skierowany przeciw Władysławowi, na którym chciał książe czeski wymusić zapłacenie zaległego za Szląsk na rzecz Czechów trybutu, ustanowionego za czasów Kazimierza I a faktycznie bez wątpienia zniesionego przez Bolesława Śmiałego.

Przy takiém ułożeniu się stosunków zewnętrznych, łatwo pojąć dlaczego rząd polski szukał u węgierskiego Władysława pomocy, boć naturalnie trudno był dwóm nieprzyjaciołom naraz samemu podołać: i bunt zgnębić i Brzetysława odeprzéć. Kiedy zaś i ta pomoc zawiodła a rokoszanie wytrwale się trzymali, nie było innéj rady jak pogodzić się z księciem czeskim i szukać u niego pośrednictwa lub poparcia, w celu stłumienia buntu. Jakoż czytamy w dalszym ciągu u Kosmasa, że pod tymże rokiem książę polski Władysław przystał nareszcie na zapłacenie Brzetysławowi dwuletniego trybutu, zobowiązując się uiszczać go i nadal a zarazem grody szląskie ciągnące się aż do Kladzkiéj prowincyi oddano synowi Władysława, małemu Bolesławowi, naturalnie pod czyjąś opieką. Zgadza się i z tém poniekąd Gallus, gdy opowiada, że rokosz zakończył się pojednaniem, doprowadzoném do skutku przy sposobności konsekracyi nowego kościoła gnieźnieńskiego, poczém nastąpił podział państwa między synów Władysława (3); Szląsk zatém mógł się dostać wtedy Bolesławowi, jak to zresztą istotnie niżéj sam Gallus dwukrotnie stwierdza (4).

Powyższa kombinacya pozostaje—jak każdy przyzna—w najzupełniejszéj zgodzie z wiarogodnemi źródłami, które w ten sposób najpiękniéj się uzupełniają, nigdzie nie stając z sobą w sprzeczności.

A gdy się teraz znów wrócimy do kroniki Thwrocza i zechcemy się przekonać, na kiedy téż bodaj w przybliżeniu da się z saméj kroniki téj oznaczyć data owéj wyprawy węgiersko-polskiéj, to dojdziemy do następującego rezultatu. W rozdziale 57-ym (II, ks.) opi-

---

(1) M. Pol. I, 432: Ad haec Wratislavienses unanimiter responderunt, non se patriam Bohemicis vel alienis nationibus tradidisse etc. — (2) Kosmasa Kron. ks. II, w Font. rer. Boh. II, 137. — (3) Gallus, ks. II, roz. 5 i 7. w Mon. Pol. I. 433 i n. — (4) Gallus, ks. II, roz. 8 i 13, M. P. I, 434 i 436.

suje kronikarz drugi najazd Kumanów, który dotknął Węgry w roku 1091 (*). Skoro zaś w następnym rozdziale (58-m) opowiada Thwrocz najprzód o wyprawie przeciw Rusinom, w celu ukarania ich za związek z Kumanami, a przechodząc do opisu wyprawy polskiéj, mówi: „Deinde irruit in Poloniam“, widoczna zatém, iż stało się to, według informacyi kronikarza, już po roku 1091, t. j. w tym samym czasie, kiedy według Galla następuje wezwanie Władysława węgierskiego na pomoc przeciw Wrocławianom. W zgodzie z tém pozostaje także zakończenie 58 rozdziału krótką wzmiankę o walce Władysława z Czechami.

Miałażby zatém, wobec takiéj zgodności tylu szczegółów, napotkanych we wszystkich trzech źródłach niezależnych od siebie, stać na przeszkodzie związaniu z sobą tak doskonale się uzupełniających wzmianek, ta jedna okoliczność, że Thwrocz — źródło najpóźniejsze—wymienia Kraków, jako gród oblężony, w miejsce Wrocławia, o którym mówi Gallus? — i możeż to jedno zmuszać nas do przypuszczania drugiéj wyprawy węgierskiéj do Polski, wbrew wielu wykazanym szczegółom i bez koniecznéj skądinąd potrzeby? Pomyłka w nazwie grodu, przez Thwrocza popełniona, nikogo z pewnością nie zdziwi, kto przypomni sobie bodaj tylko ów przytoczony wyżéj ustęp o udziale Władysława w wyprawach krzyżowych i związkach z nieżyjącymi wówczas książętami czeskimi i wypadkami, o których wiemy pozytywnie, że nie wtedy i nie w takich okolicznościach miały miejsce. Nieznane źródło, z którego czerpie Thwrocz wiadomość o węgierskiéj wyprawie do Polski, wspominało niezawodnie o oblężeniu przez Węgrów polskiego grodu bez oznaczenia jego nazwy, jak to się często w różnych kronikach i dokumentach z tych czasów dzieje, a że Kraków był grodem najbliższym Węgier i u nich najgłośniejszym, że Thwrocz nie znając okoliczności, wśród jakich podjętą była ta wyprawa, nie umiał sobie wyobrazić, jakby Władysław mógł w pochodzie swoim pominąć Kraków a inny gród oblegać, stąd widocznie domyślił się nazwy — i tym razem całkiem niefortunnie.

Takim jest rezultat krytycznego rozbioru źródeł odnoszących się do podjętéj przez węgierskiego króla, Władysława, wyprawy do Polski (1).

---

(*) Datę tego najazdu Kumanów na Węgry za króla Władysława możemy stąd dokładnie oznaczyć, że wiadomą jest data wyprawy Władysława do Kroacyi w roku 1091, a tutaj usłyszał on — według zgodnego świadectwa źródeł węgierskich — o najeździe Kumanów; por. Büdinger str. 80, przyp. 1, i str. 123 i nast. — (1) Pomysł połączenia z sobą wzmianek Galla i Thwrocza, tyczących się węgierskiéj wyprawy do Polski, jest własnością Büdingera (Ein Buch ung. Gesch. 80 i 81), który wszakże ani żadnych na to dowodów

Gdyby wszakże w kwestyach ściśle naukowych ale wątpliwych miało roztrzygać w miejsce krytycznéj analizy źródłowéj powszechne głosowanie lub aklamacya, to daleko więcéj byłoby uprawnionėm inne zdanie, że mianowicie wyprawa owa, z przebiegiem podanym wiernie przez kronikę Thwrocza, miała miejsce koło r. 1086. „Prawie powszechna bowiem zgoda na to—argumentuje prof. A. Lewicki w swéj rozprawie „Wratysław II czeski królem polskim“ (1)— iż wojnę tę prowadził Władysław węgierski w interesie wygnańca polskiego, syna Bolesławowego Mieszka; a ponieważ Władysław był zwycięzcą i w pokoju przeprowadził to, co zamierzał: wynika stąd, że powrót Mieszka do ojczyzny, poświadczony nam niewątpliwie przez źródła polskie, nastąpił właśnie skutkiem owego pokoju, w którym go musiano zastrzedz jako warunek. Jeżeli tak, to Mieszko musiał powrócić nie długo, a może nawet bezpośrednio po owym pokoju, tymczasem zaś roczniki polskie podają jako datę jego powrotu r. 1086.“ Metodzie powyższego wywodu nic nie podobna zarzucić prócz premisy, która, według mego widzenia rzeczy, wielce chroma. Powszechna bowiem zgoda sama przez się nie może uzasadniać założenia, z którego się przy dowodzie naukowym wychodzi, a byłaby chlubną i pożądaną wówczas tylko, gdyby znajdowała punkt oparcia w źródłach historycznych, bodaj w jedném jedyném; a oto nie pyta się prof. Lewicki i tego nikt twierdzić nie może. Owszem, przeciwnie: źródła przedstawiają powrót Mieszka, jako dobrowolne odwołanie go z Węgier przez stryja jego Władysława, nigdzie nie dając podstawy do domysłu nawet, żeby to odwołanie było wojną węgierską wymuszone. Roczniki nasze zapisują pod r. 1086 powrót Mieszka w krótkich słowach: „Mesco (filius Bolezlai secundi) de Hungaria rediit“ (2) — a Gallus tak opowiada: „Ipse nimirum puer coaetaneos omnes et Ungaros et Polonos honestis moribus et pulcritudine superabat, omniumque mentes in se futuri spe dominii signis evidentibus provocabat; unde placuit patruo suo Wladislavo duci puerum in Poloniam sinistro alite revocare eumque Ruthena puella fatis invidentibus uxorare.“ (3). Połączenie zdania

---

nie przytacza, ani wniosków co do przebiegu nie czyni. To było niezawodnie powodem, że A. Lewicki w rozprawie „Wratysław II czeski królem polskim“ nazywa tę kombinacyą dowolną (str. 26, przyp. 1). Na autorstwie pomysłu nie zależy mi, ponieważ hołduję zasadzie wyznawanéj przez poważnych uczonych, że w nauce chodzi nie tyle o oryginalność pomysłów, lecz raczéj o ich uzasadnienie. — (1) Sprawozdanie dyrekcyi c. k. gimnazyum w Przemyślu za rok szk. 1876 (lub odbitka) str. 26 i n. — (2) Rocznik kapit. krakowski i rocznik krótki pod r. 1086 Mon. Pol. II, 796; Rocz. Sędziwoja pod r. 1086 M. P. II, 874; tylko Rocz. świętokrzyski podaje i ten szczegół i inne błędnie pod r. 1088 M. Pol. III, 68. (3) Gallus, ks. I. rozdział 29, Mon. Pol, I, str. 423 i następne.

drugiego z pierwszém przez „unde“ i słowo „placuit“ w każdym razie wskazują wyraźniéj na dobrowolne odwołanie Mieszka z Węgier do Polski niż na to, jakoby i Gallus, któremu w tym wypadku najsłuszniéj i najniewątpliwiéj należy się w chórze historyków godność przewodniczącego, także się przyłączał do powszechnéj zgody.

Na takiéj więc premisie oparte odtworzenie historycznéj przeszłości nie wiele z pewnością wzbudzi zaufania w swą prawdziwość, a wnioski wysnute z takiego założenia nie większą od niego będą posiadać wartość.

## 3. Stanowisko Polski wobec Czech i sporu o inwestyturę w pierwszéj połowie rządów Władysława Hermana.

Najważniejszą monografią o stosunkach czesko-polskich w pierwszéj połowie rządów Władysława Hermana jest właśnie wymieniona już rozprawa prof. Lewickiego. W dwóch pierwszych rozdziałach téj pracy zajmuje się autor źródłowém stwierdzeniem obu najwybitniejszych faktów w tych czesko-polskich stosunkach, t. j. wyniesienia Wratysława na króla polskiego i zatwierdzenia przywileju biskupstwa praskiego. W III-m rozdziale stara się fakta te przywieść w pragmatyczny związek z innemi, t. j. wyłuszczyć powody i następstwa.

Samo źródłowe stwierdzenie obu wspomnianych szczegółów nie pozostawia już po rozprawie prof. Lewickiego nic do życzenia (1); przedstawienie jednak pragmatycznego związku uważać należy — według mego przekonania — za chybione.

Stosunki czesko-polskie w ciągu pierwszéj połowy panowania Władysława Hermana obracają się w rozprawie prof. Lewickiego około sporu o inwestyturę. Że upadek Bolesława Śmiałego był w niezawodnym związku z owymi prądami, jakie poruszały wówczas zachód cały, w to autor święcie wierzy, ponieważ takie jest powszechne zdanie (2)—i wyprowadza „naturalny stąd wniosek, iż ten, co po nim tron objął, Władysław Herman, tak w kraju oprzéć się musiał zrazu na stronnictwie przeciwném—inaczéj bowiem uległby był temu samemu co brat losowi, — jakotéż w stosunkach do zachodu

(1) Podstawa zresztą do tego wywodu wziętą jest z historyków niemieckich; mianowicie Giesebrecht wskazał niezbicie na arcyb. Wesilo, jako na autora listów stwierdzających prawdziwość opowiadania Kosmasa o koronacyi Wratysława na polskiego także króla, a Dümmler i Zeissberg wykazali, że zatwierdzony na synodzie w Moguncyi 1086 r. przywiléj biskupstwa praskiego był sfałszowanym. Dowody historyków niemieckich zestawia i uzupełnia prof. Lewicki. — (2) Lewicki: Wratysław II czeski królem pol. str. 23.

i tych wszystkich, którzy w olbrzymiéj walce ówczesnéj udział brali, przynajmniéj z samego początku panowania swego wręcz przeciwnemi postępował drogami. Władysław musiał tedy z początku należyć do obozu cesarskiego.“ Jako stronnik cesarza przeżył w przyjaźni z nim i jego sprzymierzeńcem, Wratysławem czeskim, aż mniéj więcéj do roku 1086. Około tego bowiem czasu zawzięty przeciwnik cesarza, król węgierski — opowiada daléj prof. Lewicki — podjął wyprawę do Polski, aby zmusić naszego księcia, w zawartym po zwycięskiéj wojnie pokoju, do odstąpienia sprawy cesarza i wsparcia go (Władysława węgierskiego) w wojnie przeciw Czechom. Obojętnemi oczami nie mógł na to patrzyć cesarz i użył przeciw księciu polskiemu represaliów następujących. Na synodzie w Moguncyi w r. 1086 zgodził się Henryk IV na przyznanie wiernemu sprzymierzeńcowi swemu, Wratysławowi czeskiemu, tytułu króla nietylko czeskiego ale i polskiego. Jakoż rzeczywiście 15 czerwca nastąpiła koronacya Wratysława w Pradze na króla czeskiego i polskiego, a za pośrednictwem arcybiskupa mogunckiego Wesilo wyjednał Wratysław uznanie nowéj godności swojéj także ze strony antypapy Klemensa, który się pierwotnie opierał temu. Na tymże synodzie mogunckim brat Wratysława, biskup praski Jaromir (Gebhard) uzyskał, za wstawieniem się Wratysława i Wesilona, od Henryka IV-go zatwierdzenie sfałszowanego przez siebie przywileju, rzekomo pochodzącego z czasu biskupstwa św. Wojciecha. Na podstawie tego dokumentu miały być wcielone do dyecezyi praskiéj prócz właściwych Czech: Morawy, część Łużyc, Szląsk, ziemia krakowska aż po Bug i Styr i północno-zachodnie Węgry. To zatwierdzenie przywileju biskupstwa praskiego łączy się ściśle z aktem wyniesienia Wratysława na króla polskiego i jest zamachem na niezawisłość i całość Polski. Ze strony cesarza były te praktyki mogunckie represaliami przeciw Władysławowi węgierskiemu i naszemu, ze strony księcia czeskiego krokiem ku ziszczeniu jego wielkosłowiańskich tendencyi, które żyły w zachodniéj Słowiańszczyźnie od czasów Samona, a których wyrazem za Wratysława, jeszcze przed jego koronacyą na króla polskiego i czeskiego, były—zdaniem prof. Lewickiego — usiłowania, aby wskrzesić protegowaną przez niego liturgią słowiańską (1). Skoro jednak cesarz nie mógł szczerze myśléć o poparciu Wratysława w faktycznem przeprowadzeniu jego planów, a dwór polski zręcznym zwrotem umiał odzyskać przyjaźń cesarską, skrzywił się tak dobry dotychczas stosunek między Czechami a Niemcami, Wratysław począł się nawet z nieprzyjaciołmi Henryka porozumiewać i nie spełniwszy swoich zamiarów umarł.

(1) Lewicki l. c. str. 29.

Już z poprzednio roztrzęśniętych kwestyi wynika, że w zapatrywaniu powyższém, używającém dotąd ogólnego wzięcia, znaczne trzeba poczynić modyfikacye. Co mniemać najprzód o wojnie węgiersko-polskiéj, która stanowi podstawę kombinacyi owéj, wyłuszczyłem w poprzednim rozdziale, a kto na mój wywód się zgadza, tém samém odrzuca również podane przez prof. Lewickiego zestawienie faktów pojedyńczych w ogólną całość. Powtóre, znając oględność króla węgierskiego w polityce zewnętrznéj, niepodobna przypuścić — dopóki źródła wyraźnie i niewątpliwie na to nie wskazują — tak zaczepnego wobec obozu cesarskiego działania, jakiém byłoby podejmowanie wojny z Polską, aby nakłonić ją do zerwania z cesarską partyą, a przyłączenia się do przeciwnego, papieskiego stronnictwa. Monarcha węgierski doskonale zresztą pamiętał o tém niezawodnie, że na sprzymierzeńca, którego się tylko wojną skłoni do zmiany polityki, nie bardzo będzie można liczyć — i takich najsłuszniejszych refleksyi, burzących wewnętrzne prawdopodobieństwo owéj kombinacyi, dałoby się wiele więcéj przytoczyć, a właśnie tylko w wewnętrznėm prawdopodobieństwie swojém miała ta kombinacya znaleść swe uzasadnienie.

Jakież dowody—zapytamy się daléj — przytacza autor na umotywowanie twierdzenia, że nasz Władysław należał do obozu cesarskiego i cesarskiéj trzymał się klamki. Jeden dowód już znamy: Jest nim gołosłowna „zgoda powszechna“ na to, jakoby upadek Bolesława Śmiałego pozostawał w niezawodnym związku z prądami poruszającemi zachodnią Europę, stąd bowiem logiczny wniosek možnaby wyciągnąć, że Władysław Herman oprzéć się musiał na przeciwném stronnictwie i w wewnętrznéj i w zewnętrznéj swéj polityce. Ośmieliłem się w powszechną na tym punkcie harmonią wprowadzić dysonans, występując w obronie daleko posuniętego indyferentyzmu polskiego społeczeństwa i monarchy wobec kościelno-reltgijnego ruchu, który w ostatnich latach panowania Bolesława Śmiałego doprowadził do wielkiéj i krwawéj walki w zachodniéj Europie (1). Na poparcie odmiennego przekonania mojego przytoczyłem cały szereg dowodów, poddając zarazem dokładnéj krytyce źródłowéj pogląd historyków, tłómaczących katastrofę Bolesława Śmiałego kościelno-religijnemi motywami. Dla przychylających się do mojego zapatrywania, które ponownie tutaj rozwijać i powtarzać raz już wypowiedziane argumenta byłoby zbytecz-

(1) W rozprawie: „Upadek Bolesława Śmiałego“ rozdz. II (Ateneum z r. 1885 za styczeń). Tu wykazałem jaką drogą wytworzyła się owa opinia powszechna o związku ścisłym między upadkiem Bolesława a sporem o inwestyturę.

ném, — odmiennym będzie wniosek, dający się wysnuć z historyi upadku Bolesława Śmiałego, a w każdym razie nie dostarczy on dowodu na udział Władysława Hermana w sporze o inwestyturę i nie będzie świadczył o politycznéj przyjaźni między cesarzem i jego stronnictwem a dworem polskim.

W pokrewieństwie Władysława Hermana z Wratysławem nie upatruje sam prof. Lewicki dowodu, iżby książę polski zaliczał się do partyi cesarskiéj równie jak książę czeski, skoro Wratysław i Bolesław byli także krewnymi (szwagrami), co im nie przeszkadzało jednak przeciwnych trzymać się obozów.

Cóż zatém przemawia jeszcze za przyjaźnią między Polską a cesarstwem. Oto znów wojna węgiersko-polska. „Czy podobna przypuścić, iżby do téj wojny było przyszło, gdyby obaj monarchowie w sprawie, około któréj obracały się podówczas wszystkie polityczne stosunki Europy, po jednéj stali stronie?“—pyta autor (str. 24), stwierdzając cokolwiek niżéj, że o stosunkach Władysława Hermana z cesarstwem do r. 1086, prócz powyższych zdarzeń, zgoła żadnych świadectw nie mamy, z czego dla mnie najprostszym wydaje się wniosek, iż przyjaźń między Polską a stronnictwem cesarskiém była tyle warta, co te dowody. Inaczéj wyglądał zażyły stosunek przyjaźni między Wratysławem a Henrykiem IV i temu nikt nie zaprzeczy, bo jest mnóstwem źródeł stwierdzony. Ale skąd w stosunkach tych z Niemcami i wogóle z partyą cesarską stawiać na równi Czechy i Polskę, gdy ani jedno z długiego szeregu niemieckich źródeł — nie wspominając już nawet o polskich — najmniejszéj nie czyni wzmianki o działalności naszego księcia w obozie cesarskim? A kto wśród zażartéj walki, która Henryka o mało tronu nie pozbawiła, milczał i nie niósł pomocnéj dłoni, nie mógł się zwać przyjacielem cesarskim. Żebyć przynajmniéj była jaka podstawa do twierdzenia, iż Władysław Herman nie Grzegorza VIII lecz antypapę Klemensa III uznawał prawowitym następcą św. Piotra? Mniemał tak Bielowski, lecz on sądził, że ma istotną podstawę do tego w liście, który, według jego przekonania, miał pisać Władysław Herman do Klemensa, wstawiając się za królewskim tytułem czeskiego Wratysława. Nikt obecnie nie wątpi, że kto inny, nie nasz książę, był autorem listu, mianowicie Wesilo, arcybiskup moguncki, ale wrażenie wniosków z pomyłki Bielowskiego wysnutych jeszcze się nie zatarło (1).

---

(1) Ów list, rzekomo od Władysława Hermana w istocie zaś od Wesilona pochodzący, umieścił Bielowski w I tomie Mon. Pol. str. 374 i n. Na poprzednich kartach (372 i 3) spotykamy list Lamberta, biskupa krakowskiego do Wratysława. W liście tym, który

A chociażbyśmy, usuwając na bok zupełnie kościelno-religijną stronę sporu o inwestyturę, wzięli pod uwagę same polityczne stostosunki w tym czasie, to z antagonizmu Bolesława Śmiałego wobec Czech, a tém samem wobec sprzymierzonych z Czechami Niemiec nie mamy potrzeby ani racyi wysnuwać dla jego następcy wniosku, iż on, jako opierający się na stronnictwie, które zwaliło z tronu Bolesława Śmiałego, musiał być przyjacielem i Czechów i Niemców. Jakąkolwiek bowiem była polityka Władysława Hermana i jego doradców, niepodobna przypuszczać żeby była bezrozumną, żeby książę pochodzący z rodzinnéj polskiéj Piastów dynastyi, posiadający tak mądrego i bystrego, jak Sieciech, doradcę, nie wiedział o tém, ku czemu zmierza Wratysław i jaki cel ma jego z cesarstwem przyjaźń, żeby z témi dążeniami księcia czeskiego nie liczył się lub nawet łączył się owszem z Wratysławem węzłem przyjaźni politycznéj. Przeciwnie wszelkie okoliczności wskazują na to, że dwór polski od samego początku obrał drogę pośrednią: najściślejszéj neutralności. Zaczepna wobec Czechów polityka skończyła się odstraszającą katastrofą, więc zaniechano teraz wszystkiego, coby księcia czeskiego i króla niemieckiego drażnić mogło. Lecz z drugiéj strony przeszłość Wratysława i jego ciągłe zabiegi ku szkodzie Polski, ku odebraniu jéj samoistności politycznéj zmierzające, nie pozwalały żadnemu monarsze Piastowskiemu, na jakiémkolwiek opierałby się wewnętrzném stronnictwie, z chwilą kiedy na tronie zasiadł łączyć się związkami politycznéj przyjaźni z czyhającym na jego

---

był pisany między r. 1086 a 1089 — nie zaś jak Bielowski podaje między 1079—1082 — prosi Lambert Wratysława w swoim i arcybiskupa kolońskiego imieniu o udzielenie posłowi swemu eskorty dla przeprowadzenia go do Kolonii. Wprawdzie ówczesny arcybiskup koloński, Siegwin, otrzymał katedrę od Henryka IV i z nim trzymał (Giesebrecht: Gesch. d. deutsch. Kaiserzeit t. III, 476, wyd. IV), ale kto przeczyta uważnie list Lamberta do niego pisany, nie będzie wątpił, że nie o polityczne sprawy tu chodziło. Sam prof. Lewicki tak niezawodnie sądzi, skoro na list ten nie powołuje się. Wystarcza zauważyć, że gdyby Lambert z polecenia księcia swego w sprawach politycznych porozumiewał się z Siegwinem — byłby się odwołał na to w prośbie swéj do Wratysława, boć to byłoby najlepszém jéj poparciem. Stosunki między biskupstwem krakowskiém a arcybiskupem kolońskim, całkiem prywatnéj natury, pochodziły niezawodnie z czasów królowéj Ryksy, która była dobrodziejką klasztorów i kościołów w Kolonii i koło Kolonii (por. Zapis Ryksy kościołowi kolońskiemu św. Urszuli, Mon. Pol. I, 324 i n.; daléj nadanie Ryksy dla klasztoru w Brunwiler M. P. I, 333 i n.; nakoniec opowiadanie mnicha brunwilerskiego o założeniu klasztoru w Brunwiler, Mon. Pol. I, str. 335—357). Gdy syn jéj Kazimierz I Odnowiciel przeprowadzał reorganizacyą kościoła w Polsce i szczególnie mnożył klasztory (Gallus I, rozd. 21, M. Pol. I, 418), szukał niezawodnie pomocy w swéj restauracyjnéj pracy u obcych, przyczém z pewnością matka jego Ryksa pośredniczyła i według wszelkiego prawdopodobieństwa, wtedy biskupstwo krakowskie weszło w stosunki trwałe z arcybiskupstwem kolońskiém.

zgubę sąsiadem. Więc neutralność, rezerwa i pogotowie w razie zaczepki ze strony Wratysława były najodpowiedniejszą drogą postępowania dla dworu polskiego, a że wszystkie szczegóły znane, jakotéż milczenie źródeł w ten właśnie sposób najłatwiéj się tłómaczą, więc i pogląd taki zdaje się miéć najwięcéj za sobą słuszności.

Niezbyt téż długo potrzebował Władysław Herman czekać na nowe wymowne dowody, do czego zmierza polityka czeskiego Wratysława i co się ukrywa po za jego gorliwemi objawami przyjaźni dla Niemiec. Że pod ciosami swoich potężnych wrogów nie upadł Henryk IV, miał do zawdzięczenia głównie poparciu ze strony księcia czeskiego, którego imię stało się głośném, a powaga wysoko wzrosła we wszystkich zakątkach Niemiec. „Z drżeniem wspominano w Szwabii spustoszenia, które jego zastępy w kraju rozsiały. Niejednokrotnie Sasi także stawali z nimi do walki i oni najlepiéj wiedzieli, ilu ich poległo pod czeskimi mieczami. W niejednym kościele i klasztorze niemieckim czczono znów Wratysława, jako najwspaniałomyślniejszego dobroczyńcę, wzór książęcéj szczodrobliwości" (1). Już całe lata służył tak wiernie Henrykowi IV Wratysław II, a kiedy cesarz z pomocą jego doczekał szczęśliwéj chwili, w któréj najgroźniejszy wróg jego, Grzegorz VII, na wygnaniu życie zakończył, rozumiał książę czeski, że nadeszła dla niego pora, w któréj stanowczo domagać się powinien nagrody za oddane przysługi. Był już dość stary, stęskniony ujrzéć spełnionym cel swoich życzeń i trudów, a wiedział dobrze, iż niebezpiecznie byłoby zwlekać żądanie dowodów wdzięczności od niemieckiego króla aż do tego czasu, kiedyby Henryk wszystkich pokonał przeciwników, całą władzę i potęgę odzyskał i na pomoc sprzymierzeńca czeskiego nie potrzebował się oglądać, zwłaszcza, gdyby ją miał okupić poświęceniem pewnéj części interesów niemieckich. Z mistrzowską zręcznością i przebiegłością obrał i pochwycił téż istotnie Wratysław sposobność do kategorycznego wystąpienia z żądaniami od siebie wobec Henryka IV. W lecie 1085 zdawało się, że cesarz ostatecznie stłumił rokosz i stał się panem całych Niemiec. W mniemaniu, że już żadnego nie potrzebuje się lękać nieprzyjaciela, rozpuścił wojsko i w Saksonii przebywał. W tém niespodzianie wybuchło tu we wrześniu gwałtowne powstanie, na którego czele stanął wiarołomny margrabia miśnieński Ekbert. Wśród szybko szerzącego się buntu musiał Henryk czémprędzéj uciekać i przybył do Bawaryi. Ale i tutaj zastał partyą Welfów coraz bardziéj wzrastającą, w Regensburgu oblężony ledwie zdołał umknąć, rokoszanie wnet górą

(1) Giesebrecht, III, str. 618 i następne.

byli, Ekbert uzbroił już nowe wojsko i w porozumieniu z Welfem i Szwabami przygotowywał na koniec czerwca r. 1086 walną wyprawę na Henryka, mając przedewszystkiém na oku podkopanie i zniweczenie władzy jego w zachodnich także prowincyach państwa. Gdy tak odstępstwo od cesarza na wielką skalę się szerzyło, a nieprzyjaciele gorączkowo się zbroili, łatwo pojąć, że Henryk za wszelką cenę musiał się starać o zachowanie dla siebie przyjaźni i pomocy księcia czeskiego. To téż teraz posypały się na Wratysława łaski i nagrody, jak z rogu obfitości. Na synodzie w Moguncyi—w czasie wielkiego postu r. 1086—otrzymał godność czeskiego i polskiego króla, tudzież zatwierdzenie sfałszowanego przywileju dla biskupstwa praskiego. Wkrótce zaś potém margrabstwo miśnieńskie, odebrane Ekbertowi, jemu się dostało. Wspólnie podjęto więc akcyą wojenną przeciw rokoszanom i podczas gdy Henryk z wojskiem, ściągniętém z okolic nadreńskich, staczał z Ekbertem i Welfem walną bitwę pod Pleichfeld, opanowywał Wratysław markę miśnieńską (1).

Jawnie w ten sposób zaczepiony książę polski musiał już teraz porzucić dotychczasowe neutralne stanowisko, a do obrony się gotować. Pomocną rękę podawał mu węgierski król Władysław. I on był zagrożony nowym zwrotem wypadków. Zatwierdzony w Moguncyi przywilej zagarniał dla dyecezyi praskiéj także prowincyą Wag, która była częścią państwa węgierskiego (2). Nowo kreowa-

---

(1) Giesebrecht III, 612 — 623. Szczegółowe uprzytomnienie sobie sytuacyi politycznéj w Niemczech z końcem r. 1085 a początkiem 1086 zupełnie wystarcza—jak każdy przyzna — na wytłómaczenie praktyk mogunckich i usuwa potrzebę tworzenia nowych kombinacyi, domyślania się nowych zdarzeń bez jakiego takiego uzasadnienia ich w źródłach historycznych. Wogóle można zauważyć, że jest wprawdzie dążność u naszych historyków najdawniejszego okresu dziejów polskich przedstawiać je w łączności z dziejami zachodu, czyni się to wszakże w ten sposób, że spostrzeżone tam w ciągu pewnego szeregu lat ogólne prądy przenosi się żywcem do nas i nie wnikając w ich rozwój i nawet warunki powstania, usiłuje się w ich świetle widzieć pojedyńcze zdarzenia naszéj historyi. — (2) Prof. Lewicki opierając się na przywileju w Moguncyi 1086 ponownie zatwierdzonym, orzeka, iż prowincya Wag, leżąca po drugiéj stronie grzbietu Karpat nad górnym biegiem rzeki Wagi należała w pierwszych latach panowania Władysława Hermana do Polski, równie jak i na wschodzie Ruś Czerwona po główny dział wodny między Bugiem a Styrem. Zbyt dowolną wydaje mi się rzeczą wyciągać z przywileju, który wyszczególnione kraje uważa jako należące *w czasach Wojciecha św.* do praskiéj dyecezyi, tego rodzaju jak prof. Lewicki konkluzye; dziwném nawet byłoby, gdyby fałszerze tego dokumentu właśnie współczesne sobie granice Polski brali za te same, jakie dyecezya praska posiadać miała—według przywileju—za św. Wojciecha. Możnaby wreszcie przystać na zdanie prof. Lewickiego, gdyby bodaj o jednéj z prowincyi przez niego Polsce Władysława Hermana anektowanych było coś wiarogodnego słychać, bądź o jéj przyłączeniu, bądź oderwaniu od Polski. Tymczasem da się stwierdzić tylko to, że Bolesław

ny król wdzierać się więc począł w ziemie słowiańskie swoich sąsiadów, — a czyby wielkie zachodnio słowiańskie państwo powstało pod egidą Piastów czy Przemyślidów, to dla Węgier małą stanowiło różnicę, a jednakie niebezpieczeństwo, które bądź-co-bądź uchylić należało. Zbliżyli się zatém ku sobie wspólnym powodowani interesem obaj Władysławowie i zawarli z sobą przymierze, którego pierwszym owocem był powrót syna Bolesława Śmiałego, Mieszka, do Polski na znak, że zaczepiony dwór Polski nawiązuje z niedawną przeszłością, wrócić jest gotów na drogę, po której kroczył Bolesław Śmiały. A chociaż on celu nie dopiął, to żyje jeszcze syn jego, tradycyi ojca reprezentant, losu jego wspólnik i przyszły mściciel. Nie poprzestano na saméj manifestacyi, przysposabiał się niezawodnie nasz książę do wojny, któréj można się było spodziewać, a Władysław węgierski wchodził znów w związki z nieprzyjaciołmi cesarza i Wratysława, przyrzekał książętom niemieckim na sejmie ich w Spirze 1 sierpnia 1087 r. przysłać na pomoc 20,000 jazdy (1). Sam Wratysław nie byłby naturalnie w możności podołać polsko-węgierskiemu sojuszowi i na urzeczywistnienie swych planów liczyć mógł tylko w razie czynnego poparcia ze strony Henryka IV.

Tymczasem wszakże zaszła niespodziewana zmiana w stosunku cesarza do monarchy czeskiego. Kiedy Henryk w jesieni 1087 r. wtargnął z wojskiem do Saksonii, upokorzył się przed nim margrabia Ekbert, a za to cesarz zwrócił mu jego kraje, przedewszystkiém więc markę miśnieńską, którą niedawno przyznał księciu czeskiemu. Wprawdzie zawiódł się Henryk i teraz na Ekbercie, który już następnego dnia sprzeniewierzył się, — ale to samowolne rozporządzanie Miśnią do żywego dotknęło Wratysława i dało mu poznać, że cesarz łatwo umie zmieniać przyjaciół i łaskę swą cofać. Począł więc na niego narzekać, a nawet szczerze czy dla pogróżki z Sasami w porozumienie wchodził (2). W tymże r. 1087 zginął w awanturniczéj wyprawie na czele Kumanów do państwa greckiego szwagier Henryka IV Salomon (3), zwalony niegdyś z węgierskiego tronu przez narodowe stronnictwo i Bolesława Śmiałego; tém samém usuwał się jeden z ważniejszych powodów nieprzyjaźni między węgier-

Śmiały obejmując tron nie posiadał tych krajów, że w r. 1087 Ruś Czerwona po Bug i Styr do Polski wcale nie należy, również nic nie słychać o oderwaniu się od Polski prowincyi Wag, o któréj wiemy wkrótce, że do Węgier należy. — (1) Bernoldi Annales pod r. 1087, Monum. Germ. Ss. V, 446; Giesebrecht III, str. 622; Büdinger str. 76. — (2) List arc. moguнck. Wesilo do Wratysława, Mon. Pol. I, 364 i n. (u Bielow. mylnie autor i adresat podany); Giesebrecht III, str. 624. — (3) Bernoldi Annales pod r. 1087, Mon. Germ. Ss. V, str. 446; Thwrocz ks. II, rozd. 56; u Schwandtnera I, str. 130 i n.; Büdinger str. 74; Giesebrecht str. 622 i następne.

skim Władysławem a cesarzem, którzy w parę lat potém zbliżają się ku sobie, tak, że w święto Bożego Narodzenia 1092 r. miało nawet przyjść do udaremnionego przez bawarskiego księcia zjazdu i porozumienia się Władysława z Henrykiem IV (1). Śmierć Salomona podała również wkrótce naszemu Władysławowi sposobność zbliżenia się ku cesarzowi, skoro tenże popadł w rozbrat z Wratysławem. Władysław Herman był od początku r. 1086 wdowcem (2) a że po Salomonie węgierskim także pozostała wdowa Zofia-Judyta, siostra Henryka IV, więc starał się o nią nasz książę, prawdopodobnie za inicyatywą św. Ottona, późniejszego biskupa bamberskiego i apostoła Pomorza (3). Istotnie zgodził się na to cesarz, jakkolwiek dopiero po długiéj rozwadze i naradzie z książętami państwa, bo zdawał sobie sprawę, że jeszcze bardziéj zrazi sobie przez to Wratysława. Ale już teraz nie bardzo dbał o jego pomoc. Z początkiem r. 1088 pogodził się bowiem znowu Ekbert z cesarzem i wspierał go jakiś czas energicznie w stłumieniu powstania; w kwietniu umarł jeden z filarów rokoszu, Burchard, biskup halberstadzki a wówczas coraz to nowi wrogowie Henryka szukali z nim zgody i pojednania. Zbuntował się wprawdzie raz jeszcze Ekbert lecz nie był to już rokosz niebezpieczny: Ekbert nie znalazł dostatecznego poparcia i zginął w roku 1090 (4).

Nakoniec i w domu własnym w obec nowych kłopotów znalazł się Wratysław: odnowił się między nim a jego bratem, Gebhardem (Jaromirem) biskupem praskim, antagonizm, Wratysław zniósł postanowienie synodu mogunckiego co do połączenia dyecezyi praskiéj i morawskiéj (5) a Gebhard rozdrażniony szukał—jak już wiemy (ob. str. 82)—schronienia i interwencyi w Węgrzech u Władysława. W rozterkę popadł także Wratysław z swym synem Brzetysławem, który z 2000 Czechów opuścił ojczyznę i także do Węgier się przeniósł (por. str. 82) a tak Władysław węgierski miał teraz możność, w danym razie zaszachować Wratysława, zamącić mu spokój i podkopać stanowisko we własnym jego kraju.

---

(1) Bernoldi Annales pod r, 1092 M. Ger. Ss. V, 453, Büdinger str. 78. — (2) Gallus II, roz. 1. Mon. Pol. I. 428 i n.; Rocznik kapit. krak. i Roczn. krótki pod r. 1086, Mon. Pol. II, 796. Rocznik świętokrzyski dawny pod r. 1086 Mon. Pol. II. 773, Rocznik świętokrzyski błędnie pod r. 1088, Mon. Pol. III, 68. O urodzinach Bolesława Krzywoustego i śmierci jego matki Judyty napisał Bielowski rozprawę w Przewodniku naukowym i literackim z r. 1872. — (3) Herbordi Vita Ottonis wyraźnie to twierdzi Mon. Pol. II, 126 i n.; drugi zaś żywociarz św. Ottona, Ebbo donosi tylko o przybyciu Ottona z Zofią-Judytą na dwór polski, Mon. Pol. II, 32; por. Lewickiego rozprawę str. 33. — (4) Giesebrecht, III, 625—631. — (5) Kosmasa kron. II, w Font. rer. Boh. II, 122; Palacky: Gesch. von Böhmen. I, 321.

Smutne były ostatnie lata i dni życia Wratysława. Gdy myślą w swą przeszłość się cofnął, widział jak zmiennym fortuna jego kołem się toczyła. Obejmując tron czeski, marzył o wielkiéj dla siebie i państwa swego przyszłości i planom swoim dalekie zakreślał mety. Stanął mu w drodze polski rywal Bolesław Śmiały: pokonać go i osamotnić udało się zrazu księciu czeskiemu, lecz wkrótce Bolesław na wierzch się wydobył, zgromadził w swoich ręku olbrzymią potęgę, zgniótł kilkakrotnie Wratysława, samoistnemu bytowi jego państwa zagroził, królem się koronował—ale runął nagle z téj wysokości a władzcy czeskiemu pierwszeństwa w Słowiańszczyźnie ustąpił. Odtąd rośnie sława Wratysława w świecie, imię jego staje się jedném z najgłośniejszych, plany jego zdają się być coraz bliższemi spełnienia, już otrzymuje królewską koronę jako zwierzchnik nie tylko Czech lecz i Polski. I on jednak łudził się sądząc, że jest u kresu,—umarł tém, czém był w dniu wstąpienia na tron czeski, bogatszy chyba o jeden ale marny tytuł króla.

W pięć lat po koronacyi zszedł ze świata Bolesław Śmiały, w niespełna sześć lat po takimże akcie wyniesienia na godność królewską podążył za swym rywalem polskim czeski Wratysław.

## 4. Stronnictwa i walki wewnętrzne.

Jedyném źródłem historyczném dla wewnętrznych dziejów Polski po upadku Bolesława Śmiałego jest kronika Galla, którego opowiadanie musimy sobie przypomnieć i raz jeszcze powtórzyć w wierném streszczeniu (1).

Po śmierci Bolesława i innych braci jego sam Władysław sprawował rządy nad całą Polską. Dowódzcą wojska był wówczas wojewoda Sieciech, mąż urodziwy, szlachetnego pochodzenia i mądry, lecz przytém zaślepiony chciwością, która go wiodła do okrucieństw i nadużyć. Przy lada sposobności sprzedawał lub wypędzał niechętnych sobie a parweniuszom dawał przed szlachtą pierwszeństwo.

To téż wielu z saméj obawy opuszczało kraj, gromadząc się za namową księcia czeskiego Brzetysława w Czechach. Zbiegowie ci wydostawszy z klasztoru w Saksonii naturalnego syna Władysława, Zbigniewa, porozumieli się z kasztelanem wrocławskim Magnusem, który przyjął wychodźców i Zbigniewa do swego grodu. Żądającym

(1) Gallus ks. II, główne rozdziały: 4, 5, 7, 8 i 16 prócz drobniejszych wzmianek w innych.

wyjaśnienia z tego powodu posłom księcia polskiego i Sieciecha odpowiedzieli rokoszanie, że księcia i prawowitego syna jego, Bolesława, będą słuchali, lecz sprzeciwią się Sieciechowi i jego knowaniom. Gdy wezwana przeciw Wrocławianom pomoc czeska i węgierska zamiast pożytku szkodę i wstyd tylko przyniosła a Wrocławianie walecznie się bronili, pogodził się Władysław ze Zbigniewem, za syna go uznając. Ale Sieciech, wymknąwszy się z rąk króla węgierskiego, umiał zręcznie przeciągnąć na swoję stronę wielu zwolenników Zbigniewa, który teraz z Wrocławia zbiegł do Kruszwicy, tutaj przez ojca oblegany, staczał z nim niepomyślne walki, poddał mu się wreszcie i przesiedział jakiś czas w więzieniu w zamku Sieciecha, aż za pośrednictwem biskupów i panów polskich przywrócony został do łaski. Kiedy jednak niebawem Zbigniew, wyprawiony wraz z Bolesławem przeciw Pomorzanom, wrócił się z drogi, niewiadomo czemu, ojciec domyślając się czegoś, podzielił między synów państwo, sam zatrzymując w swoich ręku główne grody. Nagabywany zaś przez magnatów pytaniami, którego z dwóch synów uważa za godnego panowania a tém samém za swego następcę, dał wymijającą odpowiedź, rozporządzając zarazem, aby po jego śmierci Zbigniew otrzymał oprócz tego, co obecnie posiada, nadto Mazowsze, a Bolesław zajął Wrocław, Kraków i Sandomierz, najważniejsze grody polskie. Gdyby między braćmi powstała niezgoda, miał być ten wydziedziczonym, ktoby się z zewnętrznymi nieprzyjaciołmi na zgubę ojczyzny łączył.

Przez jakiś czas spokojniéj było w kraju, Bolesław się rozwijał na pełnego nadziei młodzieńca. O Sieciechu wszakże opowiadano, że zdradę knuje przeciw synom książęcym, skoro w zamkach im przydzielonych osadza urzędników swego rodu lub niskiego pochodzenia i podjudza ich do nieposłuszeństwa wobec książęcych synów. Bracia zobowiązali się zatém pod przysięgą udzielać sobie wzajemnie pomocy, w razie gdyby który z nich wystawiony był przez Sieciecha na niebezpieczeństwo. Jakoż zdarzyło się, że Władysław polecił synowi swemu Bolesławowi, z powodu rzeczywistego czy urojonego najazdu Czechów, wyruszyć na oznaczone miejsce i przyzwać swych kasztelanów do siebie. Opiekun jego Wojsław nie wziął jednak w wyprawie téj udziału. Stąd wysnuto wniosek, że Wojsław wiedzieć musi o zdradzie przygotowanéj przez Sieciecha, który zmierza do usunięcia Piastów z tronu polskiego i przywłaszczenia go sobie i swemu rodowi. Wezwano zatém na pomoc Zbigniewa i do Wrocławia się schroniono, gdzie obaj bracia przedstawili grożące im niebezpieczeństwo i najgorętsze znaleźli w mieszkańcach poparcie. Przybywającego do grodu Wojsława nie przyjęto i zbroj-

nie wyruszono przeciw ojcu. Pod Żarnowcem stanęli naprzeciw siebie ojciec i synowie, domagający się usunięcia Sieciecha. Aby uniknąć tak niemoralnéj walki bratobójczéj, przystał na to Władysław, poczém oblężono Sieciecha w grodzie jego imieniem nazwanym, chcąc wojewodę wygnać z kraju. W czasie oblężenia umknął jednak Władysław z obozu synów potajemnie wśród ciemności nocy do grodu Sieciechowskiego a oburzeni tém magnaci, otaczający synów książęcych, szaleństwem czyn księcia nazwali i uradzili, by Bolesław zajął Sandomierz i Kraków a Zbigniew Płock. Ubiegł jednak Zbigniewa ojciec, lecz potém przez synów oblężony zdecydował się za pośrednictwem arcybiskupa Marcina oddalić od siebie Sieciecha i z kraju go wypędzić. Wrócił późniéj jeszcze do Polski wojewoda, lecz nigdy już władzy nie odzyskał, bo Władysław nie ustanawiał żadnego przybocznego ministra, lecz sam się aż do śmierci trudnił gorliwie sprawami państwa lub wyręczał kasztelanami, których prowincye zwiedzał.

Wszyscy nowsi i najnowsi historycy, kreśląc dzieje Polski w tych czasach, ściśle trzymają się powyższego opowiadania, nietylko nie zmieniając żadnego z szczegółów przez kronikarza podanych, lecz stawiając je nawet w takiem samém, jak i on, świetle. Tak mianowicie Roepell tłómaczy prawie dosłownie odnośne ustępy kroniki, nic od siebie nie dodając ani téż ujmując (1). Stanisław Smolka, który wewnętrznym dziejom Polski za Władysława Hermana poświęcił III-ci rozdział szkicu swego „Gniazdo Tęczyńskich“, stara się wprawdzie opowiadaniu swemu nadać formę barwniejszą, żywszą i popularniejszą, jako więcéj odpowiednią historycznemu szkicowi w stylu Szajnochy, lecz w treści swego przedstawienia zdarzeń w niczém nie odstępuje od Galla, a tylko usiłując go jak najdokładniéj wyzyskać, czyni nadto na podstawie dwóch zwrotów przez Galla użytych domysł o miłosnym stosunku między Sieciechem a żoną Władysława, królową Zofią-Judytą (2). W dziele zaś swojém „Mieszko Stary i jego wiek“ rozwija (na str. 176 i 177) przypuszczenie o możliwym udziale Sieciecha w rokoszu przeciw Bolesławowi Śmiałemu.

Co do opisanych przez Galla szczegółów przebiegu wewnętrznych walk za Władysława Hermana, nie ma najmniejszego powodu powątpiewać o ich prawdziwości, mając do czynienia z opowiadaniem świadka naocznego i więcéj niż nie jeden z dzisiejszych histo-

(1) R. Roepell: Dzieje Polski do XIV stulecia (w tłómaczeniu polskiem Przyborowskiego) I, 207—209 i 214—216. — (2) Drukowany był szkic ten najprzód w fejletonach „Czasu“ następnie w „Szkicach historycznych“ serya II.

ryków dbającego o prawdomówność. Ale czy hasła, pod któremi, według podania Galla, walczyły z sobą stronnictwa, streszczają rzeczywiste przyczyny walk wewnętrznych, czy zwłaszcza zarzuty czynione przez rokoszan Sieciechowi i jego partyi można uważać za słuszne i prawdziwe, czyby raczéj nie należało domyślać się poza tém ukrytych dążności, które zasłaniały się tylko płaszczykiem obrony zagrożonych przez zdradliwego Sieciecha praw Piastów do tronu polskiego?

Gallus pisał kronikę swoję, szczególniéj drugą jéj księgę, w celu apoteozy uwielbianego przez siebie księcia Bolesława, który w swych dziecięcych i młodzieńczych latach bierze wraz ze Zbigniewem udział w rokoszu przeciw Sieciechowi i ojcu swemu i walczy z nimi. Aby postępowanie bohatera swego usprawiedliwić, nie omieszkał Gallus oczywiście przytoczyć wszystkich motywów, jakimi sami rokoszanie starali się nadać postępowaniu swemu pozory słuszności; możemy być przekonani, że zebrane przez Galla argumenta dla uzasadnienia oskarżeń na Sieciecha rzucanych wyczerpują mniéj więcéj wszystko, na co w ogóle wrogie wojewodzie stronnictwo wskazać mogło, jako na dowód zbrodniczych jego zamiarów. Zważmy teraz, że rekryminacye te wychodzą jedynie z ust nienawidzących Sieciecha magnatów jako-téż trzymającego z nimi Zbigniewa, który ich sprawę łącząc z swoją, spodziewał się usunąć niepożądane dla siebie następstwa swego nieprawowitego pochodzenia. Nader ważną jest daléj ta okoliczność, że sam Gallus nie jest zdecydowanym, czy wierzyć lub nie wierzyć podnoszonym przez rokoszan podejrzeniom i podaje takowe jako tylko rozgłaszane wieści, zastrzegając się, że nie wié, jak o tém ma sądzić (1). Co więcéj, przyjmując zarzuty te, przeciw Sieciechowi skierowane, za zgodne z prawdą, popada się w sprzeczności, których niepodobna sobie wytłómaczyć. Że Bolesław dawał się powodować wpływowi tych zarzutów, to rzecz najmniéj dziwna, boć to było dziecko liczące w czasie tych zaburzeń wewnętrznych koło dziesięciu lat. Jak sobie jednak wytłómaczyć postępowanie Władysława Hermana, gdy się przypuści, że oskarżenia przeciwników Sieciecha nie były czczemi, rozmyślnie rozpuszczanemi podejrzeniami? Nikomu przecież więcéj niż Władysławowi Hermanowi nie mogło na tém zależéć, żeby tron polski utrzymać w ręku Piastów, żeby go jedynemu, prawowitemu i uko-

---

(1) Tak np. w rozdz. 16 (ks. II-éj) M. P. I. 437 powiada: Interea namque Zetheus multas, *ut ferumt* ipsis pueris insidias praetendebat“ etc.; albo niżéj: „Contigit autem, nescio vel calliditate vel rei veritate“ etc.—i opowiada o poleceniu daném przez Władysława synowi, aby najazd Czechów odparł.

chanemu synowi Bolesławowi przekazać. On tymczasem obdarza Sieciecha niezłomném przywiązaniem i zupełném zaufaniem. Możnaby jeszcze pojąć; iż przez czas jakiś udawało się wojewodzie zręcznie usuwać wszelkie przeciw sobie podejrzenia i utrzymywać księcia w błędzie, ale kiedy głośne rozchodzić się poczęły wieści o knutéj przez Sieciecha przeciw Piastom zdradzie, musiał książe baczne zwrócić oko na postępowanie swego ministra. Gdy zaś zmuszony był oddalić od siebie Sieciecha i dostał się w otoczenie swych synów i ich stronników, nie zaniedbali oni bezwątpienia użyć wszelkich sposobów, aby go przekonać o podstępności i przeniewierczości Sieciecha a swoje opozycyjne stanowisko usprawiedliwić. Mimo to jednak nie zdołali obalić w nim ufności do wojewody, przeciwnie może ją własném zachowaniem się utrwalili do tego stopnia, że Władysław na ucieczkę nawet odważył się z obozu synów do grodu Sieciecha, byle z pod ich przewagi, dokuczliwéj mu widocznie, oswobodzić się. W związku z wojewodą musiał więc widziéć większą gwarancyą zachowania Piastom i synowi swemu praw monarszych, niż gdyby słuchał rokoszan i szedł za ich wskazówkami. Inaczéj szaleném byłoby postępowanie Władysława i za takie je rzeczywiście z swego punktu widzenia buntownicy okrzyczeli, udając zgorszenie, że ojciec synów poświęca dla zdradzieckiego wojewody. Zapytajmy wszakże, czy przytoczone przez Galla dowody słuszności podejrzeń, na Sieciecha rzucanych, są bodaj w części wystarczające, żeby taki, jak rokoszanie wydać wyrok na Władysława Hermana? Przekonał się potém Bolesław, gdy doszedł do samopoznania, że ojciec gorąco go kochał i dlatego przez całe swe życie czcił pobożnie jego pamięć.

W każdym razie, dla zrozumienia powodu wewnętrznych zamieszek i walk stronnictw za Władysława Hermana, nie ma konieczności ani potrzeby uciekać się do posądzania Sieciecha o tak bardzo ambitne i zdradzieckie zamiary, jakie przypisywali mu jego przeciwnicy a które zresztą nie są wstanie zasłonić istotnych tendencyi rokoszan jako téż stosunku ich do władzy książęcéj. Upadek Bolesława Śmiałego powitali możnowładzcy polscy jako krwawo wywalczone zwycięstwo, uwalniające ich z pod jarzma książęcego absolutyzmu, a mające im zapewnić udział w rządach państwa, zwiększyć ich wpływ i władzę a przez to coraz wyżéj podnosić ich społeczne i ekonomiczne stanowisko. Rząd polski musiał téż w pierwszych latach po katastrofie przybrać formę arystokratyczną, nowy książę ulegał niezawodnie otaczającym go panom. Łatwo sobie jednak wyobrazić, że tak nagła zmiana wywołała różnego rodzaju starcia, ponieważ magnaci nie mieli jeszcze dosyć doświadczenia,

poczucia wspólności i zgody między sobą, nie mieli jeszcze wyrobionych zdolności ogarniania interesów całego państwa, w którego prowincyach nie wygasła dotąd pamięć odrębności, chociaż już w wysokim stopniu straciła na sile. W takich więc warunkach, gdy zdania i wole się krzyżowały, gdy dogadzając jednym drugich sobie narażano, szerzyło się—jakto zawsze dzieje się w podobnych okolicznościach—zamieszanie i nieład. Patrząc na to, przekonywał się ks. Władysław coraz dowodniéj, że przez związek swój ze zwycięskimi rokoszanami bardzo niepewnym falom powierzył los państwa i tron Piastów. W najbliższém jego otoczeniu powstała zatém myśl i dążenie, aby dla zapobieżenia rosnącym wśród nowego rządu rozterkom i widocznemu upadkowi państwa rozstrzeloną władzę napowrót skupić, organa rządowe jedną ożywić wolą. Sam książę nie byłby podołał takiemu zadaniu. Nie brakło i jemu w wielu wypadkach energii i roztropności, ale wobec żywiołów, z któremi się miało do czynienia, trzeba było więcéj, niż on posiadał, wytrwałego hartu, inicyatywy i bezwzględności. Lecz znalazł się między panami mąż w całéj pełni takiemi ozdobiony przymiotami a dosyć ambitny, żeby iść wbrew stronnictwu możnowładczemu, gdy tylko spodziewał się tym sposobem ponad niém stanąć. Podjął on się ująć w karby wybujałe pretensye i dążności magnatów i zjednawszy sobie nieograniczone zaufanie monarchy, otrzymał naczelne dowództwo nad wojskiem a przez to zdobył sobie przeważający wpływ na całą wewnętrzną administracyą państwa. Od tego czasu obsadzał urzędowe godności bądź to krewnymi swoimi, na których poparcie i wierność mógł liczyć, bądź ludźmi znanego sobie usposobienia, szczególniéj z ludu pochodzącymi, po części własną zasługą i zdolnościami, po części łaską książęcą i wojewody wyniesionymi na wybitne stanowiska.

Spostrzegli się wreszcie panowie, że Sieciech im grunt z pod nóg usuwa i spycha ich w położenie podobne temu, w jakiém się znajdowali przed upadkiem Bolesława Śmiałego. Ale teraz dosyć już upewnił się Sieciech w kierunku swéj polityki i dostatecznie umocnił w stanowisku, więc na sarkania i opozycyą odpowiadał surowemi karami, więził opornych lub z kraju wyganiał a reszta bądź to obawą zdjęta przed takimże losem dobrowolnie porzucała godności zajmowane i za granicą szukała przytułku, bądź w uległości w obec Sieciecha widziała jedyny dla siebie sposób ratunku.

O sobie i rodzie swoim nie zapomniał Sieciech pod innym także względem. Nie bardzo wprawdzie zasługują na wiarę podejrzenia na niego przez zawistnych mu rzucane, jakoby potężny wojewoda miał skryte żywić zamiary pozbawienia Piastów tronu polskie-

go, aby go na swoję przenieść rodzinę, lecz to jest niewątpliwém, że olbrzymia fortuna w rękach rodu Sięciechowskiego skupiona w XII i następnych stuleciach rozrosła się przedewszystkiém w tych właśnie czasach wielkości i nieograniczonego wpływu wojewody i ministra książęcego; Władysław Herman hojnie mu wynagradzał zapewne oddane sobie przysługi (1). Byłto jednak dla panów jeden więcéj powód do nienawiści ku Sieciechowi.

Spory już tymczasem zastęp emigrantów przebywał za granicą Polski. Wszystko prawie do Czech zdążało, bo o tém wiedziano dobrze, iż w nikim pochopniejszego nie znajdą sprzymierzeńca. Nie pierwszy to raz zresztą tutaj szukali punktu oparcia przeciw swemu rządowi. Lecz nie dość było mieć po swojéj stronie czeską pomoc chodziło również o pozyskanie w kraju jak najliczniejszego stronnictwa w pośród rycerstwa i ludu. Trzeba się było w tym celu do popularnego odwołać hasła. Wydobyto więc z klasztoru w Saksonii Zbigniewa i ogłoszono się obrońcami dziedzictwa Piastów przed podstępnemi knowaniami Sieciecha. Pozyskano przedewszystkiém kasztelana wrocławskiego Magnusa, który wahał się zrazu wejść w związki z rokoszanami—bo nie mógł przewidzieć, jaki koniec weźmie walka—ale że sam pewnie niechętnie znosił przewagę Sieciecha, więc ostatecznie stanął po stronie rokoszan a z nim magnaci i rycerstwo szląskie. Stąd przeniósł się pożar buntu do Wielkopolski, gdzie jego ogniskiem była Kruszwica. Domowa wojna zawrzała. Czémprędzéj wyzyskał ją dla siebie czeski Brzetysław i w kilkakrotnych napadach straszliwie spustoszył Szląsk, chcąc zmusić księcia polskiego do płacenia trybutu, ustanowionego za Brzetysława I (2). Znamy już dalszy przebieg walki. Najlepiéj wyszedł na niéj książę czeski, bo prócz bogatych łupów, jakie z pewnością uwiózł z Polski, wymusił istotnie na Władysławie Hermanie zapłacenie Czechom trybutu za Szląsk za ubiegłe dwa lata i zobowiązanie uiszczania go na przyszłość. Dla rokoszan jednak zakończyła się wojna nie całkiem pomyślnym wynikiem, bo małą to dla nich było pociechą, że Zbigniew za syna został uznany, kiedy Sieciech pozostał na swojém stanowisku, owszem, przez pokonanie przeciwników wzmocnionym się uczuł.

Nie minęło jednak to starcie bez pewnéj dla możnowładców korzyści. Wynieśli z niego przedewszystkiém cenne doświadczenie,

(1) O wielkim majątku Sieciecha świadczą liczne a hojne fundacye, jakie czynił u schyłku życia swego (Zob. Smolki; „Gniazdo Tęczyńskich“ w II seryi Szkiców historycznych“ str. 37 i 38). O majątku krewniaka, jego Wojsława zob. Smolki: „Mieszko Stary i jego wiek“ str. 75 i n. — (2) Zob. wyżej str. 89.

że hasło, pod którém stanęli do walki z Sieciechem nader skutecznym jest dla nich środkiem do pociągnięcia za sobą wielkiéj części społeczeństwa. Wystąpili pozornie w obronie praw Piasta, na którym ciążyła plama nieprawego pochodzenia, a mimo to silne znaleźli w kraju poparcie; cóż dopiéro, gdyby wciągnęli w grę interes prawowitego syna i następcy tronu, młodziuchnego Bolesława! Przypuszczać téż należy, iż otwarty im został swobodny powrót do kraju.

W każdym razie rozwinęła się teraz zawzięta rywalizacya między wpływem magnatów a stronnictwem Sieciecha, a książę Władysław, chcąc okazaniem synom swoim przychylności usunąć powód podejrzeń przeciw sobie i Sieciechowi, podzielił między nich państwo, najważniejsze tylko grody i naczelne rządy sobie pozostawiając. Naturalnie, że nie zapobiegł przez to antagonizmowi magnatów do Sieciecha i reprezentowanego przezeń systemu rządzenia. Niespokojny Zbigniew gotów był zawsze dać posłuch rozsiewanym przez malkontentów wieściom i podszeptom, oskarżającym Sieciecha o skryte zamysły, a nad dziecięcym umysłem Bolesława łatwo było zapanować i użyć go za narzędzie. Owszem, dokonany podział państwa otwierał właśnie drogę do zabiegów i współubiegań się o wpływ na Zbigniewa, a opiekę nad małoletnim Bolesławem, przez których, jako dzierżących część władzy, dużo można było uzyskać i zdziałać. Sieciech również dobrze pojął niebezpieczeństwa, mogące stąd wyniknąć tak dla niego, jak władzy książęcéj. Starał się zatém w prowincyach, synom książęcym przydzielonych, osadzać na ważnych stanowiskach ludzi zaufanych i pewnych, zwłaszcza więc swych krewnych, i oni to mieli zadanie powstrzymywać Zbigniewa i Bolesława od takich kroków, które, naturalnie, nie samowolnie lecz z namowy panów chcieliby czynić wbrew interesom i życzeniom Sieciecha (1).

Niezmiernie kłuło to w oczy magnatów—i po kilku latach przyszło znowu do wybuchu. Gdy Władysław polecił Bolesławowi odeprzéć najazd Czechów i w tym celu udać się na oznaczone miejsce, gdzie się mieli zgromadzić kasztelanowie ziem przydzielonych Bo-

---

(1) Gallus II, rozd. 16, Mon. Pol. I, 437. Czytając w Gallu historyą tych starć wewnętrznych, nie można ani na chwilę zapominać, że Bolesław był wówczas dzieckiem mniéj więcéj dziesięcioletniém, więc oczywiście postępowania jego i narzekań nie należy liczyć na karb jego własnéj refleksyi i niekrępowanéj woli, ale raczéj uważać za pochodzące z inicyatywy magnatów, pod których wpływ się dostał. O Zbigniewie to samo, choć w mniejszym stopniu, da się powiedzieć. Był on nie więcéj jak o kilka lat starszym od Bolesława, skoro w czasie pierwszego rokoszu znajdował się w klasztorze saskim na nauce (Gallus II, rozd. 4; Mon. Pol. I, str. 431).

lesławowi, wysnuli otaczający go panowie z nieobecności Wojsława, Bolesławowego opiekuna, nie wiadomo o ile uzasadniony wniosek, że Sieciech widocznie przygotował zamach na młodego księcia. Znowu Wrocław był punktem oparcia rokoszu, którego rezultat pomyślniejszym był teraz dla magnatów. Wprawdzie Władysław wszystkiemi siłami trzymał się Sieciecha, nie dając widocznie wiary wszelkim przeciw niemu rozsiewanym wieściom i podejrzeniom, lecz dla spokoju państwa widział się ostatecznie spowodowanym poświęcić wojewodę, oddalić go od swego boku i skazać na opuszczenie kraju. Starał się jednak z drugiéj strony sprawami państwa samoistnie zawiadywać. Atoli nie obeszło się oczywiście bez tego, żeby w wielu razach nie był zmuszony zasięgać rady i pomocy panów (1), którzy więc do pewnego stopnia osiągnęli cel swój, a następca Władysława, Bolesław Krzyw usty był zniewolony rachować się ze zdobyczami, jakie możnowładztwo w zakresie swego udziału w rządach państwa i wpływu na księcia po długich zapasach i rozlicznych przejściach, poczyniło.

O tyle, zdaniem mojém, należałoby wprowadzić modyfikacye i uzupełnienia w przekazane przez Galla przedstawienie wewnętrznych naszych dziejów za Władysława Hermana.

## OGÓLNY POGLĄD.

Po źródłowém roztrząśnieniu szczegółów, ogarniając myślą całość historyi polskiéj w pierwszéj połowie panowania Władysława Hermana, odnosimy to wrażenie, że katastrofa upadku Bolesława Śmiałego, chociaż była jednym z krytycznych punktów w rozwoju naszych dziejów, nie była jednak w stanie sprowadzić w nim mimo swéj gwałtowności *nagłego* zwrotu i pchnąć społeczeństwo polskie odrazu na nowe tory. W każdym kierunku dopatrujemy się i teraz jeszcze, za Władysława Hermana, ścisłéj łączności z temi czynnikami i prądami, jakich przewagę widzieliśmy za Bolesława Śmiałego.

Na polu zewnętrznych, politycznych stosunków Polski przewleka się rywalizacya z Czechami o pierwszeństwo w zachodniéj Słowiańszczyźnie po za katastrofę upadku potężnego króla polskiego, jako silne aczkolwiek coraz bardziéj niknące echo. Tylko że Polska przechodzi obecnie w stanowisko odporne wobec Czech, a równocześnie Węgry, uginające się przedtém przed polską przewagą, ale zmuszone o nią się opierać, trwają i nadal w sojuszu z Pol-

(1) Gallus II, rozdz. 21, Mon. Pol. I, 443.

ską, lecz zręcznie korzystają z wewnętrznych w monarchii piastowskiéj zamieszek i przewrotów, odzyskują zupełną w swéj polityce swobodę i nawet dzięki rozumowi króla Władysława, a jeszcze więcéj szczęśliwemu składowi ogólno-europejskich stosunków, stają się niejako panami sytuacyi na wschodzie Europy. Widać już jednak wyraźne oznaki słabnięcia tych dotąd górujących prądów w zewnętrznéj polityce polskiéj. Nawet do krwawego starcia z Wratysławem nie przychodzi; we wszystkich rachubach zawiedziony, pojmuje on nakoniec, że za niedościgłemi gonił celami. Powtarzające się i późniéj jeszcze sąsiedzkie zatargi i wojny nie przybierają takiego charakteru i takich rozmiarów, jak za naszego Bolesława Śmiałego i za czeskiego Wratysława. W inną stronę zwraca Polska coraz bardziéj i wyłączniéj swoję uwagę. Kiedy za Bolesława ograniczała się na odpieraniu tylko najazdów pomorskich, teraz, około połowy panowania Władysława Hermana wszczyna zaczepną z Pomorzanami walkę, zmierzając ku stanowczemu wcieleniu ich kraju do Polski. Dążność ta coraz silniéj się manifestuje, punkt ciężkości zewnętrznéj polityki polskiéj coraz bardziéj w tę przechyla się stronę, a druga połowa rządów Władysława Hermana nosi w tym właśnie zakresie zewnętrznéj polityki odmienne od pierwszéj piętno, wiąże się ściśléj z dziejami Krzywoustego niż Śmiałego, bo za Krzywoustego polityka ta pomorska szczytu niejako dosięga.

Całkiem analogiczne objawy spotykamy w rozwoju naszych wewnętrznych stosunków za Władysława Hermana. I tu około połowy okresu jego rządów dokonywa się zwrot powolny, jakiego jeden raptowny cios nie był w możności sprowadzić. Udało się wprawdzie możnowładztwu obalić absolutny tron Bolesława Śmiałego, lecz nie udało się odrazu uchwycić w swe ręce wytrąconéj z rąk jego władzy. Wrócił nawet absolutyzm podobny zupełnie do dawnego, pomimo, że sam książę wcale charakterem swoim nie był usposobiony na autokratę; skoro jednak on nim być nie umiał, musiał się kto inny znaleść — i znalazł w Sieciechu. Jeszcze cały lat szereg uczyli się magnaci wyszukiwać rozmaitych dróg i sposobów do przeprowadzenia pożądanych zmian, przekonywali się wśród bolesnych doświadczeń, jak wiele na ich zgodzie i ściśléj między sobą łączności zależy. W powstaniu Zbigniewa upadli dlatego, bo zręczny Sieciech umiał rozbić — jak donosi kronikarz (1) — stronnictwo rokoszan. „Wróciwszy bowiem z Wielkopolski, dokąd się schronił, znęcał ku sobie chytrze przywódców obietnicami i podarunkami i tak powoli na swoję stronę ich przeciągał.“ Nie powtórzyło się

(1) Gallus II, rozdz. 4, Mon. Pol. I, 432.

to w drugiém powstaniu, i tu przed zwartą opozycyą musiał ustąpić i Sieciech i Władysław.

Charakterystycznym i doniosłym jest wśród tych zapasów wewnętrznych drugi także moment, który wypada silnie zaznaczyć. Szukali magnaci już za Bolesława Śmiałego pomocy i poparcia w swych zabiegach, przeciw władzy książęcéj skierowanych, u nieprzyjaciół zewnętrznych, mianowicie zaś u Czechów. Pod ich księcia orędownictwo uciekali się i teraz, w buncie Zbigniewa. Lecz był-to miecz obosieczny, który przeciw nim się zwrócił późniéj i zniewolił ich do porzucenia takiéj broni. Za narzędzie bowiem jedynie używali ich Czesi, aby polskiego wroga zgnębić i osłabić, a spustoszenia, jakie najazdami swymi w krajach polskich szerzyli, obmierziły społeczeństwu polskiemu takie sojusze z obcymi książętami. W przedziale między pierwszym a drugim rokoszem dał Władysław Herman magnatom taką naukę i wskazówkę: „Gdyby obaj synowie moi nie postępowali sobie uczciwie, ten, który się łączyć będzie z obcemi narodami i sprowadzać je będzie na zgubę państwa, niechaj pozbawiony władzy, wyzutym zostanie z dziedzictwa.“ A to rozporządzenie znalazło odgłos w przekonaniu całego społeczeństwa. Już w czasie drugiego powstania nie można stwierdzić związku rokoszan z ościennemi państwami, a kiedy Zbigniew do walki z bratem swoim się zerwał i za granicą szukał pomocy, oburzenie tylko przeciw sobie wywołał (1) i przyśpieszył swój koniec. Nauczyli się wreszcie magnaci jednéj jeszcze rzeczy. Dynastyczne rosterki znakomicie im posłużyły do podniesienia ich wpływu i ułatwiły zwycięstwo, jakie odnieśli. Podział państwa między synów przez Władysława dokonany nastręczył im sposobności do trzymania w szachu książęcéj władzy, a to, co po Krzywoustym wewnątrz działo się Polski, wzięło swój początek teraz, za Władysława Hermana. Od tego to czasu narzucili się panowie ambitnym książętom panującego rodu na rozjemców niejako i sprzymierzeńców, ilekroć przyszło między nimi do sporu i zatargów.

Dzieje Polski za Bolesława Krzywoustego i jego następców stają się zrozumiałe dopiéro po wyjaśnieniu katastrofy Bolesława Śmiałego i najbliższych po jego upadku zdarzeń.

---

(1) Gallus II, rozdz. 35, Mon. Pol. I, 451. Opowiedziawszy w poprzednich i tym rozdziale o związkach Zbigniewa z zewnętrznymi nieprzyjaciołmi Polski, mówi Gallus daléj: „Unde cuncti Poloniae sapientes indignati, ad odium Zbignei ex amicitia sunt redacti, sic ad invicem inquientes, de tali consilium capientes etc.“—a zaznaczywszy przyszły, smutny Zbigniewa koniec, tak woła: „Unde posteri sibi caveant vel praesentes, ne sint in regno pares socii dissidentes.“

*Franciszek Stefczyk.*



# Ryszard Wincenty Berwiński.

RYS BIOGRAFICZNO-KRYTYCZNY.

---

III.

W każdym utworze pisarskim, naukowym czy literackim, forma, język, zawsze ważną gra rolę; bo zabytki literatury nietylko są pomnikami myśli i uczuć danego narodu, ale zarazem pomnikami jego języka. A nawet niebezzasadnie ze stanu tego języka krytyka wnioskować ma prawo o wzroście nietylko twórczości literackiéj, ale i o wzroście lub upadku samego narodu. Tą drogą poszanowania lub zaniedbania języka i same narody idą do postępu lub upadku, a nawet do zatraty języka, która jest ostateczną śmiercią narodu.

Z powyższych uwag wyprowadzić należy wniosek nietylko potrzeby poszanowania czystości języka, ale i potrzeby zastanawiania się nad wartością języka i stylu w poszczególnych utworach pisarskich, nad koniecznością starannego oceniania stosunku języka do myśli, wypowiadanych przez autorów,—a co zatém idzie: pielęgnowania ze świadomością naukową, poprawności, swojskości i piękności mowy.

Krytyka nasza bieżąca spełnia ten swój święty obowiązek jak najniedbaléj, albo raczéj, prawie go zupełnie spełniać już nie chce, skoro wszelkie odezwanie się w téj treści uważamy za rzecz niestosowną, za scholastyczne drobiazgi, któremi posiłkować się zwykli ludzie tępego umysłu, co nic lepszego (tak!) nie mają do powiedzenia. Jeszcze niekiedy uchodzi nadmienić półsłówkiem o poprawności językowéj, ale o stronie estetycznéj milczymy od lat wielu; a jeśli jaki śmiałek odważy się o tém mówić, a co gorsza, jak np. p. Biegeleisen, całe studya pisać, to inni krytycy tak go wynicują i ośmieszą, że biednemu pracownikowi odpadnie na drugi raz ochota wdawania się w tak mozolną a tak niewdzięczną robotę.

A tymczasem, jeżeli kiedy, to dziś, gdy poważniejsza nauka zaczyna ściśle i metodycznie badać język, dziś mianowicie czas jest obejrzéć się przecie, zarzucić te bengalskie ognie czczéj frazeologii krytycznéj i w ocenianiu wartości pism literackich należy starannie rozbierać wartość języka tj. nietylko jego stronę leksykologiczną i gramatyczną, ale w utworach literatury pięknéj i stronę estetyczną; a tém bardziéj, jeżeli ten utwór będzie poetycznym, a zwłaszcza lirycznym. Sfera uczuć, w jakiéj krążyć zwykła liryka, podatniejsza jest do muzyki, która kombinacyą i falowaniem tonów łatwiéj odzwierciedlić może falowanie i przemienność uczuć ludzkich; a potrzeba już wielkiego mistrzowstwa języka, potrzeba czegoś więcéj nad zwykłe gramatycznie-poprawne wyrażanie myśli swoich, by tę potęgę uczuć, tę grę namiętności, zapału, uniesień, boleści, radości ludzkich, dostępnie sercu naszemu wypowiedziéć. Stąd tedy znajomość estetyki języka staje się tu koniecznością.

Estetyka ta nie jest czémś sztucznem, scholastycznem, jak wielu, niestety, dziś mniema, ale na równie przyrodzonych podwalinach lingwistycznych spoczywa, jak używanie odpowiednich fleksyi, sposobów rodzajowania, czasowania itd. Oparta na wieczystych prawach logiki językowéj, estetyczność ta rodzi się pod twórczém natchnieniem pierwszorzędnych mistrzów słowa,—takich Kochanowskich, Krasickich, Mickiewiczów itd. Zdobycze ich przyswajają sobie talenta pomniejsze, które naprzód w drodze naśladownictwa przetwarzają zdobyte już zwroty i sposoby ozdobniejszego wypowiadania myśli i uczuć, a z kolei sami zdobywają się na podobnąż ornamentykę językową.

Chcąc tedy osądzić: o ile który pisarz, a zwłaszcza poeta, jest oryginalnym lub naśladowczym, niezależnie od zasadniczych pomysłów, w których to naśladownictwo głównie się przebija, trzeba badać język,—i to nie tylko tego języka poprawność, ale i ozdobność.

Tą drogą jedynie dojść możemy do celu prawdziwie naukowego, tą téż drogą i my starać się będziemy oceniać stanowisko Berwińskiego w poezyi naszéj. Nim wszakże, do rozbioru tego przystąpimy, zróbmy uwagę ogólną o naturze jego twórczości i jéj indywidualnych cechach.

U każdego poety, a przeważnie u poety liryka, pierwotna myśl rodzi się całkowita, lubo spowita jeszcze w embryonie, dopiéro pod wpływem wyobraźni czy gry uczuć poety rozrasta się myśl ta, nabiera kształtów bardziéj widomych, wykończonych, które wypowiedziane słowem stanowić powinny przedewszystkiém *obraz*, skoro mają prawo należenia do poezyi.

Jeżeli drgnienia serca podporządkowane są władzom myślenia poety, wyłania się myśl jasna, prosta, dostępna i zrozumiała dla samego twórcy, jak i dla jego czytelników; przeciwnie zaś, jeżeli gra uczuć i namiętności góruje nad wskazówką dróg rozumowych i myślenia człowieka, lubo rodzi się najszczytniejsza potęga liryzmu,—ale w tych warunkach bardzo trudno jest zachować zgodność formy, słowa, z treścią samą, tj. z wibracyą uczuć. Stąd pierwsi—poeci refleksyjni, wypisują bez żadnego wysilenia (jak np. Syrokomla w Dęborogu) całe karty, arkusze, rozdziały całe bez żadnéj stylowéj poprawki; innym zaś poetom, przy przemagającém uczuciu, wypadało zmieniać, przerabiać, stylizować, bo poeta zawsze niezadowolony z wypowiedzianego słowa, mimowolnie szukał w języku coraz nowych zwrotów, obrazów, zestawień, porównań itd., by myśl swoję odpowiednio wypowiedziéć. Stądto liczne autografy przekonywają, że i pierwszorzędnym gieniuszom wypadało niekiedy, jak żakom szkolnym, mozolne robić poprawki i przeróbki stylowe.

U Berwińskiego spotykamy objawy i piérwszego i drugiego odcienia twórczości. Niektóre ustępy, te mianowicie, które dostatecznie dojrzały w umyśle i w sercu, wyskoczyły z pod pióra, jak Minerwa z głowy Jowisza—całe, jednolite, piękne. Takie są wiersze: *Moja gwiazda*, *Moje słońce, Piosnka wygnańca* i inne. Drugie licznym ulegały przeróbkom. Z tych ostatnich, jedne zyskały bardzo wiele na przerobieniu, tak dalece, że czytelnik, ogarniając całość artystyczną wiersza, nie domyśla się wcale mozołu stylizacyi. Taki jest przedewszystkiém wiersz p. t. *Na wysokości Tatrów* (którego pierwotny tytuł był *Góral na szczycie Tatrów*): trzy razy go poeta przepisywał, dopisywał i poprawiał, aż wreszcie wyszła owa prześliczna forma uznanéj piękności, tak że liczne antologie poetyczne chętnie go zamieszczały w swoich zbiorach. Do przerobionych należą również *Wspomnienia*, które w ostatecznéj redakcyi mają wprawdzie szczegóły pierwszorzędnéj piękności, ale baczny czytelnik, nawet nie mający, jak ja, brulionów jego, dostrzega łatwo, że utwór to niejednolity i stylizowany. Wiersz, p. t. *Pierwsze zbudzenie* (z datą 1 listopada 1838) na przerobieniu bardzo wiele zyskał,—sam nawet początek wiersza przekonywa nas o tém. W druku czytamy:

„Byłaś dla mnie *snem serca*, pod twemi skrzydłami,
Zasnąwszy pośród ludzi, śniłem z aniołami".

w pierwszéj zaś redakcyi: „Byłaś dla mnie *aniołem*" itd., co niedość jasno myśl poety wypowiada, gdyż tam obrazuje autor cały szereg objawów pierwotnéj miłości.

Większym daleko przeróbkom ulegały ustępy w tomiku drugim zawarte, jak *W Częstochowie* (który w Przeglądzie Nauk 1843. N. 23, nazwano *Odpust*), nie tylko że przerabiał ten ustęp poeta, ale w zbiorze poezyi dodał czternaście ostatnich wierszy. *Ubogim w duchu* (w N. 3 Przegl. Nauk 1843 na str. 171 nazwano *Modlitwa*) mniejszym, bo tylko synonimicznym uległ przeróbkom. Największym zaś zmianom, skracaniom i stylizowaniu uległ wiersz, p. t. *Ostatnia spowiedź*. W wydaniu jego brukselskiém w porównaniu z warszawskiém mamy cały ustęp na str. 129 i 130 t. II dodany, od słów „Znam Cyncynatów“ do końca ustępu, tj. do słów: „Mistrzów balowych, rycerzy podwiązek“. Również wstawiona jest cała stronica 134, któréj brak w „Przeg. Naukowym“. Natomiast w warszawskiém wydaniu znajduje się dwuwiersz:

„I ja, o hańbo, tak upadłem nisko,
Że z nieszczęść własnych roblę pośmiewisko“.

W ogólności, przeróbki tak całych ustępów, jak i pojedyńczych zwrotów, przyczyniły się wiele do ozdobienia lub do poprawności stylu; jak np. w warszawskiém wydaniu czytamy: „A gdy na pracy uczciwie wiek stéra, *Żyjąc* spokojnie, spokojnie umiera“. W brukselskiem zaś wydaniu: „*Jak żył* spokojnie, spokojnie umiera“, co oczywiście jest właściwsze.

Jeżeli do powyższych uwag dodamy to, cośmy wyżéj mówili o rozpoczętych utworach rękopiśmiennych, jeżeli zwrócimy uwagę na ostatni wiersz jego do siostry pisany: to będziemy mieli mniéj więcéj jasny obraz genezy jego twórczości.

Styl Berwińskiego w obu tomikach poezyi, lubo niejednolity, w ogólności jest poprawny, a w niektórych ustępach celuje wzorową swojskością i energią słowa polskiego oraz zwrotami mało za jego czasów używanemi, które jednak do klasycznéj polszczyzny należą (np. naród „*chleba* nie był *głodny*“). Spotykamy wszakże i wyjątki od tych wzorowych zwrotów mowy, w kształcie barbaryzmów i prowincyonalizmów. Np. „Upadłszy na twarz całował to błoto. W którém *nie widzi* wielu, *tylko* złoto (II, 69)“; „niechaj księża świętych nadstawiają *słuchów*, zm. uszu (I, 69). „Używa wyrazu *perki* zm. ziemniaki, *taterka*, zm. gryka i inne. Częściéj z rozmysłem używa zwrotów i wyrażeń archaicznych, jako resztek dawniejszego nałogu, podczas układu powieści ludowych; np. śmiertelne *czechło*, zm. okrycie, całun (II, 70); „wracam do rzeczy *spachaczem*“ zm. wstecz (I, 82); „A kiedym czoło w świętą przybrał dumę, I wzgardą płacił *złe ludzie* i losy“ (II, 28); „Młodsza siostra Parnasu starszych muz *dziewięci* (I, 51) itd. Do ujemnych również stron języka B-go należy wynaturzanie fleksyi gramatycznych, niekiedy dla rymów, a niekie-

dy i w śródku wiersza, np. „I przysięgała wobec *niebiosów* (I, 75), A sny jéj żeglujące po niebios *przestworzu*“ (I, 48); służba *sypła* się, zm. sypnęła się (I, 41). Oczytanie się w Krasińskim ujemnie wpłynęło na styl naszego poety pod względem używania takich np. neologizmów: „ubiegłe lata *rozśpiewam*“ (II, 110); „czemuż jak dąb wyniosły, dumny *wniebowzbiciem* (I, 15); „ziemię *rozdźwięczę* i niebo *roznucę*“ (I, 54).

Ale główną cechą jego stylu, lekkomyślne nadużywanie praw języka znamionującą, są dość liczne a niewłaściwe wyrazy złożone. Niektóre z nich tylko szczęśliwie zastosowane jako plastycznie rzecz określające epitety. Np. uciekam „pomiędzy puszcze palm *zielonowłose* (I, 55); „owi *swiatobórcy*... miłosnych nieszczęść wyjęczają żale (II, 10);“ *złotostrojna* głowa matrony (II, 4).“ Więcéj jest takich wyrazów, co są wprost dowolną fantazyą bez wyraźnego celu, a często wbrew wsszelkiéj logice ukutych. Np. „Jakieś dziwne plemię Istot umarłych i *umarło-żywych*“ (?) (II, 6.) „*Żywo-obecny* Boże-człowieku“ (II, 50); „jakieś *pół-zmarcia*, *pół-ożycia*“ (I, 95); albo wreszcie jak ten oto ustęp, który się Wielkopolanom podobał nawet i spotykaliśmy go w cytatach wielu pisarzy: „W Poznańskiem jednak, ach! w tém Poznańskiém, w tém naszém Polsko-giermańsko-Arysto-demokratyczno-pańsko-Filozoficzno-kapłańskiém, Są ludzie, więc są i literaty“ (I, 82).

Wreszcie, żebyśmy wyczerpali wszystkie wadliwości stylu B-go, nadmieniamy w końcu, że nadużywał zbytecznie licencyi poetyckich w budowie rymów; usprawiedliwić go chyba można i wówczas, i dawniéj panującym pod tym względem przesądem, od którego nie wolni byli nawet lepsi poeci. Berwiński z najzupełniejszą świadomością wynaturza prawa języka, kiedy np. mówi: „Spojrzał, raz jeszcze rozważył *ściślij*“, dla tego tylko, że miał to być rym do wyrazu: „*myśli*“; „Będę, czém będę tém pewniéj, im *pręcéj*“, jako rym do słowa „*więcéj*“. „Czarów miłości nie *wysał*“ (wyssał) do wyrazu „*wypisał*“. „Najczęściéj jakaś *garderobianna*“, rym do słowa „*panna*“. „Śmiejcie się, tańczcie, *szalajcie*“ rym do „*pamiętajcie*“. „Ja suchemi spoglądam *oczema*“, jako rym do wyrazu „*niema*“ i bardzo wiele innych.

Pomimo tych ujemnych stron rymowania, tak niemile wpadających do ucha, wersyfikacya B-go wogólności jest staranna, chociaż niejednolita, niedość urozmaicona i mało muzykalna. Nie korzystał on ze śpiewności wiersza J. B. Zaleskiego i bardzo rzadko układał wiersz w lepsze, wykończone zwrotki. Te ostatnie wyjątkowo się tylko przytrafiają, i to najczęściéj są pospolite czterowierszowe zwrotki, rzadziéj sześciowierszowe. Wiersze zwrotkowe

układał chętniéj w kształcie miarowéj trochaicznéj budowy, innych zaś wzorów stałego wiersza tonicznego (miarowego) nie spotykamy wcale, co nie przeszkadzało mu jednak zastósować piękną rytmiczność wiersza, jak np. w ustępie: „Na wysokości Tatrów.“ Jedynym wyjątkiem jest prześliczny zwrotkowy układ wiersza, pod tyt. „Marsz w przyszłość“, który się składa z trzech jedenasto-wierszowych zwrotek, z najdoskonalszą precyzyą wykończonych. Inne zaś utwory zwykle układał w wierszu sylabicznym, w którym ośmio- i dziesięcio-zgłoskowe wiersze rzadko się spotykają, częściéj trzynasto-zgłoskowe ze zwykłą średniówką po siódméj zgłosce; ale główną charakterystyką jego wersyfikacyi jest wiersz jedenasto-zgłoskowy, ze stale zachowywaną średniówką po piątéj zgłosce. W nim też układał najlepsze swoje wiersze, jak: *Pogrobowiec*, *Mysza Wieża, Wawel i Kraków, Mogiła Kościuszki*, *Bohaterom dni naszych, Jawnogrzesznica*, *Ostatnia spowiedź, O! córo Ewy! Ostatni Romeo, Błogosławieństwo* i *Parabaza*.

Przechodzimy teraz do ozdobności językowych w poetycznych utworach Berwińskiego; tutaj dodatnich stron znajdziemy więcéj, niż wadliwości stylu, o których dotąd była mowa. Zanim wszakże rozwiniemy właściwości jego stylu, należy nam określić stanowisko, jakie zajmuje nasz poeta w szeregu innych, wyższych przedstawicieli twórczości poetycznéj w literaturze naszéj, co tém bardziéj zrobić potrzebujemy, że najniesłuszniéj nazywano go naśladowcą tych właśnie poetów, których naśladować i nie chciał, i nie umiał nawet. Na poparcie sądu naszego będziemy szukali dowodów faktycznych, t. j. w języku, w zwrotach mowy, które same jedne istotę rzeczy wykazać są zdolne, bo nie ulegają jakimś dowolnym, fantazyjnym hipotezom i twierdzeniom gołosłownym.

Już od czasów uczonych szkoły Aleksandryjskiéj, którzy ostatecznie ustalili redakcyą Iliady, zgodzono się powszechnie, a i dziś nawet wszyscy na to się zgadzają, że miarą piękności języka poetycznego—jest **porównanie**. Niebezpieczna to jednak dla niewprawnych stylistów ozdobność mowy, bo z wyżyn poezyi łatwo zniżyć się może do poziomu pospolitości i zamiast uroku piękna, ironiczny uśmiech lub przynajmniéj niesmak estetyczny obudzi. Porównań tedy szczęśliwie używać mogą tylko wielcy mistrze słowa, niepozbawieni szerokiéj wiedzy i głębokiego uczucia, którzy do szczytności drogą prostoty zdążać umieją; bo porównania, głównie ze względu narzędzia językowego, którém się posługują (t. j. za pośrednictwem spójników porównawczych), muszą być przedewszystkiém *jasne*, choćby najniespodziewańsze, najdalsze robił w nich zestawie-

nia poeta, a przy odpowiednich warunkach muszą być *obrazowe* i wtedy tylko mogą być istotnie *piękne*. Nic przeto dziwnego, że w estetyce języka naszego mistrzem porównań jest *Mickiewicz*.

Ściągniętém porównaniem jest **metafora**. Ma ona nieco z własności porównań, t. j. posługuje do obrazowości języka, ale nie ma téj, co zwykłe porównanie, prostoty, dostępności, a zarazem potęgi estetycznéj; trzeba już pewnego wytężenia myśli, pewnéj, a nie każdemu dostępnéj, analizy estetycznéj, żeby znaczenie i wartość metafory ocenić. Zwykły czytelnik na jakąś subtelność metaforyczną powié tylko, że zwrot ten „podoba mi się"; ale *co* mu się w tym zwrocie podoba, jakie jest źródło téj piękności, jakie i dlaczego obudza uczucie? — odpowié na te pytania ten tylko, kto zwykł się zastanawiać nad istotą piękna językowego; czyli, jedném słowém, z natury swojéj metafora jest mniéj dostępna dla ogółu czytelników; a to tém bardziéj, że lubi ona niekiedy osłaniać się tak eteryczną gazą estetycznych zwrotów języka, że nawet i badawczy umysł estetyka nie całą wartość subtelniejszéj metafory ocenić zdoła; tak np. zrozumiawszy i oceniwszy myśl w niéj zawartą, niedość wyjaśni stopień i cechę wartości estetycznéj i odwrotnie. Autorowie takich wyższych metafor lubują się niekiedy w tych subtelnościach i chętnie, że tak powiem, na sposób niewieści, kokietują czytelnika, jakby się pytali: czy do twarzy im w téj estetycznéj draperyi? A sprawiają one wrażenie nie szczytności, nie tragiczności, ale raczéj rzewności, błogości, serdecznéj sympatyi, wskutek tych niby niesymetrycznie i nie rozmyślnie rzuconych drobiazków estetycznych, niby owéj subtelnéj ornamentyki fantastycznych linii, wyrzeźbionych na kolumnach maurytańskiéj Alhambry. Tym to maurytańskim rzeźbiarzem naszego języka jest *Słowacki*, którego idealnéj doskonałości metafory nie mają sobie równych w całéj literaturze naszéj. Lubi on właśnie, jak niewiasta wdziękiem metafor swoich kokietować czytelnika i nieco kunsztownie pozować, by pożądany sprawić efekt: oryginalność pomysłu jego w ustawieniu tych metafor jest tego rodzaju, że czytelnik nietylko na samo piękno słowa, na bieg myśli, ale i na twórcę tych myśli, na poetę mimowolnie zwraca uwagę. W tym razie posługuje się Słowacki pewnym odcieniem metafor, tak zwanym epitetem ozdobnym, np.: „I stanął (smutek) *czarny*, wielki między nami" (Ojciec Zadżumionych). „Ty (Boże) będziesz widział moje *białe* kości, W straż nieoddane kolumnowym czołom" (Smutno mi, Boże). „Z dziecinnego piasku na księgach Swedenborga budowali gmachy, Pełne *głosów anielskich*, *szaleństwa i blasku*" (Godzina myśli). „Tam uśpionemu (dziecięciu) wiatr rozwiewał włosy, A myśli rosły *wielkie*, *ciemne*, *tajemnicze*" (tamże). Ale

i w zwykłych omówieniach metaforycznych Słowacki jest mistrzem niedosiężonym.

Wreszcie, szereg metafor, logicznie i estetycznie z sobą spojonych, a jednolity ciąg myśli wyrażających — to *alegorya*. Korzysta ona z własności zarówno porównania, jak i z metafory, a więc napozór ma niby wyższość przed obu poprzedniemi tropami. I tak jest wistocie; lecz alegorya ma zarazem i swoje ujemne strony, od których nie są wolni nawet najlepsi jéj przedstawiciele. Może ona wyrażać najzawilsze, najgłębsze pomysły filozoficzne, nie rozmijając się z istotą poezyi: to niezaprzeczona prawda; ale zarazem, chcąc być poetyczną, bardzo łatwo staje się niedostępną, niezrozumiałą często dla samego jéj twórcy. Taka jest alegorya u głównego jéj przedstawiciela — u Z. Krasińskiego.

Cała zasobność estetyki stylu i cała nieskończona rozmaitość wszelkich ozdobności, jak w ognisku, zbiega się w trzech powyżéj wspomnianych kształtach.

Ku któremuż z nich zbliża się styl poetyczny Berwińskiego? Mówiono przecie, że naśladował Słowackiego i Krasińskiego? Czy to prawda?

Powiedzieliśmy już słówko o tém mniemaném naśladownictwie Słowackiego pod względem treści (1), teraz wyjaśnijmy je pod względem formy, wespół z tą ogólną uwagą, że jeżeli ma być naśladownictwo, to w poezyi ono się objawiać musi zarówno pod względem treści, jak pod względem formy, bo jedno bez drugiego obejść się nie może.

---

(1) Tutaj dodajemy jeszcze, że do bardzo dalekich analogii zaliczyć należy porównywanie Agamemnona z „Don Juanem“ i „Ubogich w duchu“ z Beniowskim. Don Juan tyle ma wspólnictwa z „Grobem“, że tu i tam kwestye wielkich zagadnień narodowych i wielkiego bohaterstwa są potrącane. Ale jakże nieskończenie odmienne jest ustawienie téj myśli i jak odmienne akcesorya poetyczne! Dr. J. robi zawiele zaszczytu Berwińskiemu, a raczéj jego Don Juanowi, bo, w istocie, ten domorosły skandalik wierszowany, stanowiący oś, dokoła któréj kręci się cała fabuła, nie spodziewał się znaleść na wyżynach, na których gieniusz Słowackiego stanął i snuł dalekie reminiscencye rzeczy krajowych w zestawieniu z przebrzmiałą potęgą bohaterskich Greków. Wreszcie sam nastrój psychiczny obu poetów, jakże tu nieskończenie odmienny! Berwiński w swojéj rozpasanéj muzie, pełzającéj tą razą po nizinach społecznych, jest tylko trywialnym narratorem rzeczy arcypłaskich i powszednich, i dlatego téż satyra w téj opowieści użyta sprawia przykre wrażenie. Słowacki zaś wobec wielkich zagadnień dziejowych Hellady, najszczytniejszą potęgą uczucia poetyckiego opromieniony, wyniośle mówi o sobie:

„Głęboko jestem spokojny i cichy,
Tu, w tym przybytku sławy, zbrodni, pychy!“

Prędzéj już Beniowskiego zestawiać było można z Don Juanem, jeśliby zestawiać należało, boć przecie Berwiński zamiast kopii polskiéj miał na zawołanie oryginał samegoż Byrona, co już w samym tytule zaznacza.

Wypisujemy tu dla porównania niektóre Berwińskiego **metafory** i pokrewne z niemi metonimiczne i synegdochiczne zwroty:

„Marzę i tęsknię i mleczną drogę snów mych rozwieszam po niebie (I. 11). Tyś *skałą* pozostała, do któréj ma *dusza łańcuchem przeznaczenia* na wieki *przykuta* (I. 50). W modlitwie zamiast modłów poniosę do nieba (prośbę), Ażeby *sęp pamięci*, krwią moją zbroczony, *Na głazie twego serca* zaostrzał swe szpony (I, 50). Nie *anioł wdzięków*, lecz sam Bóg miłości, W tobie, o piękna, między nami gości (I, 44); *Wulkan czasu tryśnie* łzami (II, 24); I znowu wyjdzie z niéj zbawienie nasze I biodra *mieczem Chrobrego opasze* (II, 36); Czlek *troski* życia do *snu poukładał* (II, 24); Swietne *dyadema stu wież i gmachów* na swe *skronie wkładasz* (II, 44); Kto nie wierzy, niechaj zapyta *karku*, Na którym stała *noga Dawidowa* (II, 7); A wszedłszy do niéj (do chatki Piasta) *w poświęcenia bieli* (II, 36); Dość, żem nie jednę *perlę Kleopatry*, Z niejednéj *czaszy wychylił* (I, 8); *Wycierpieć* muszę *brzemię mąk Prometeusza* (I, 50); Gdybym panem mógł zostać tworzenia *I nowy Deukalijon* mógł wskrzeszać z kamienia (I, 52)“ i t. d.

Nikt bez wątpienia zaprzeczyć nie może, że tropy te są istotnie piękne, a niektórych z nich nie powstydziliby się używać i pierwszorzędni mistrze poezyi; ale jakże wielce odmienne są one od metafor Słowackiego! jakże mało w nich tych subtelności, o których była mowa wyżéj! Dla przekonania się o téj prawdzie słów, niech czytelnik raczy przejrzéć chociażby jeden poemat „W Szwajcaryi“, bo dla braku miejsca zestawień tych robić tu nie mogę. Co do mnie, powiem tylko, że pracowicie przestudyowałem styl Berwińskiego i na jednę tylko natrafiłem metaforę, która jest natury Słowackiego:

„I *zębem trwogi* jak pies zaczął szczekać,
„I z przerażenia drżał i chciał uciekać.“

Co przypomina takie wyrażenie Słowackiego:

---

Również niespodziewaném jest zdanie, że „Ubodzy w duchu“ mają być naśladownictwem Beniowskiego (Pieśni V). Cóż tam jest wspólnego z wierszem naszego poety? Może obraz Sawy? może jego moraly dawane Swentynie i jéj odpowiedź Sawie, tak charakterystyczna i tak jedyna w swoim rodzaju? Może owa świetna apostrofa do Boga na tle obrazu Ukrainy? Może owo sławne w dziejach naszéj poezyi *professio fidei* Słowackiego, zaniepokojonego laurami Mickiewicza? Nic podobnego w „Ubogich“ nie spotykamy! Rzucił on tu jeden z tych swoich znanych ironicznych pocisków antireligijnych, jakich wiele i w innych ustępach spotykamy. Robi tu ostateczny niby rozbrat z religią i jéj przedstawicielami, t. j. kapłanami, których nazywa „dyplomatami niebieskiego dworu“ i w poetyczném uniesieniu beatyfikuje swój „rydwan namiętności“, na którym wprost do nieba ulecieć obiecuje. Słowacki zaś tego ostatecznego rozbratu z Bogiem nie zrobił właśnie: „Wierzę, mówi on, że ludy płyną jak łańcuch żórawi w postęp; że z kości rodzą się rycerze... Wierzę w to wszystko—ha! i jeszcze w Boga!“ I tego „Boga“ w dziwnie pięknych i poetycznych konturach obrazuje! A na końcu téj szczytnéj apostrofy dodaje: „Widzę, że nie jest On tylko robaków Bogiem — i tego stworzenia, co pełza; On lubi huczny lot olbrzymich ptaków... Przed nim *upadam na twarz*: On jest Bogiem.“ Berwiński przy mniejszéj sile polotu poetycznego i mniejszéj potędze uczucia, jednak nietylko nie *„upada na twarz“*, ale ironizuje tych, co *„uderzają czołem przy świątyni progu.“*

„Tak bezrozumniem dufał w szał junaczy,
„Żem myślał niebo zwalić *pychy rogiem.*"

Może ktoś uważniejszy ode mnie naliczyłby jeszcze kilkanaście takich zwrotów, — ale to pewna, że niewiele więcéj, i to przypadkowych. Jest-że to naśladownictwo?

Toż samo powiedzieć należy o drugim używańszym tropie u Słowackiego—o *ironii*, która brzmi zawsze chętnie w tonach łagodnych i nigdy do namiętnych rzutów szału i przekleństw nie sięga; wówczas gdy Berwiński temi ostatniemi przeważnie ciskał w oczy współrodakom swoim. Zresztą, o ironii, jako najgłówniejszéj ozdobności stylu Berwińskiego, wypadnie na zastanowić się osobno.

A Krasiński? może on przynajmniéj był pierwowzorem dla Berwińskiego?

Subtelna finezya alegoryi Krasińskiego i demokratyczne wybuchy namiętności Berwińskiego—to światło i cienie, to przeciwległe bieguny, które tylko się odtrącać muszą wzajemnie. Berwiński w szaty alegoryczne myśli swéj zawijać nie umiał: jak dziecko otwarty, zbytkiem szczerości chyba grzeszył, — i tam nawet był otwartym *(Don Juan)*, gdzie odrobina wstrzemięźliwości słowa nie zaszkodziłaby mu wcale. Krasiński — szlachcic, żarliwy katolik-ortodoks; Berwiński—poetyczny bezbożnik, co wyszydzał wszelkie świętości, urągał pielgrzymom częstochowskim, komentował po swojemu tajemnicę Trójcy św. i dowodził, że ona jest tylko wiekuistą zagadką; rozwijał teoryą hamletowskiego zwątpienia, a za całą ortodoksyą podawał poetyczny obraz namiętności swojéj, na któréj skrzydłach obiecywał ulecieć wprost do nieba....

Takie jest *podobieństwo* ich etyki i dogmatyki.

Niemniéj rażące przeciwieństwo widzimy i w poglądach społecznych. Krasiński chce „szlachcić naród cały, a nie szlachtę zdzierać z chwały"; Berwiński ma podobieństwo do Dyonizyosa z Syrakuzy, który zdzierał złotolity płaszcz z posągu Jowisza, dowodząc, że jest zaciężki na lato, a zachłodny na zimę,—tak Berwiński zdzierał uroczyste kontusze z Jowiszów szlacheckich i do obnażonych, zamiast dymu kadzideł, do którego przywykli, przemawiał gorzkim sarkazmem, dowodząc, że przejedzą i przepiją resztki dóbr dziedzicznych. Krasiński, z wielkiém poczuciem dumy pańskiéj, wołał: „W mojéj duszy jest pogarda, co ma także swe panieństwo, A gdy gardzi, nadto harda, by zamienić się w przekleństwo." Berwiński zaś, pozujący na Pankracego, przekleństwami właśnie, najzjadliwszą goryczą słowa strącał z Okopów św. Trójcy wszystkich hr. Henryków. Więc i tu zamiast podobieństwa same jedynie sprzeczności widzimy.

A jednak przypomnijmy sobie, że nie prowadzimy tu polemiki, chodzi nam jedynie o bezstronne ocenienie stanowiska Berwińskiego w literaturze naszéj. Otóż, nie zapominamy dodać, że i w „Listach z narodowéj pielgrzymki" pozostały dowody, że pilnie studyował Krasińskiego, i w samym stylu późniejszéj jego twórczości pozostały ślady lekkiego wpływu Zygmunta na naszego poetę. O neologizmach, na wzór Krasińskiego urobionych, mówiliśmy wyżéj; obok tego zrzadka spotykamy zwroty i obrazy, przypominające ustępy z pism Krasińskiego. Nap. w tomiku II, str. 43, ustęp wiersza *Wawel i Kraków* pod wpływem „Przedświtu" pisany, tam mianowicie, gdzie Berwiński mówi o tych, „co przebudzeni z cichych snów grobowych" marzyli o szczęściu kraju w snach mogiły; toż samo na str. 135 tomiku II widoczne jest podobieństwo do pierwowzoru Zygmunta. Znajdzie się i wiele innych w podobny sposób pokrewnych ustępów; a pomimo to wszystko, przyznać trzeba, że ze względów wspomnianych wyżéj zasadniczych przeciwieństw, poeta nasz w kompozycyi utworów swoich i w sposobie ich wypowiadania całkiem odmienną od Krasińskiego poszedł drogą.

Zupełnie inaczéj rzecz się ma z naśladownictwem Mickiewicza: tutaj już nie przemijające, nie chwilowe, jak Krasińskiego, czujemy wpływy, ale tak różnorodne i tak trwałe, że Mickiewicz jedynym był istotnym pierwowzorem jego twórczości, co stałą cechę pierwszych zwłaszcza utworów jego stanowi.

Zaczyna Berwiński od tego, że wprost przepisuje wiersze Mickiewicza: „Lecz nie przysięgać — to moja rada, Bo kto przysięgę naruszy, Ach! biada jemu za życia, biada! I biada jego złéj duszy" (I, 71). Następnie w „Majówce" zapożycza już tylko rymów Adama: „Przestań w bluszcze i bławaty Stroić twe knieje—*rozłogi*; Jemu wawrzyny i kwiaty, Nam tylko ciernie i *głogi*" (II, 106). Z kolei bierze zwroty pojedyncze z rozmaitych utworów Mickiewicza: „Przecina życie jeduém ostrzem stali, Woli *utonąć w zapomnienia fali*" (II, 66)—z Konrada; „Na skrzydłach pieśni stęsknioną poniosę, Pomiędzy puszcze palm zielonowłose" (I, 54)—z Farysa; „I wszyscy ci podli Na widok blasku téj kosy struchleli, Ten z trwogi bluźni, a *tamten się modli*" (II, 66)—z Burzy. Mickiewicz mówi: „Kochanko moja! na co nam rozmowa", a Berwiński: „Co miłości po słowach?... miłość stygnie w słowie" (I, 20). Podobnież cały piękny wiersz *Na wysokości Tatrów* w sposobie traktowania przedmiotu, w żywości biegu myśli i stylu (w użyciu hyperbol) przypomina „Farysa". Naśladownictwo to idzie daléj jeszcze, bo w ustępach skądinąd najpiękniejszych, w których, jakby się spodziewać należało, dojrzał już talent, a więc i styl jego, pomimowiednie może dla samego

poety wyskakiwały z pod pióra bądź ozdobności stylowe Mickiewicza, bądź ulubione jego wyrazy pojedyncze. Np:

„Ja widzę cię...
„W całym cnot majestacie, w całym wdzięków blasku,
„Promieniejącą i jasną, jak w świętych obrazku (I. 17).

U Mickiewicza zaś: „Świeci się, jak korona na świętych obrazku."

Albo powtarza ulubione słówko Mickiewicza „gadać":

„I gdym tam przeszłość z tajemnic spowiadał, „Tu mi duch czasu do serca *zagadał*" (II, 128). „Stary Wawel jęknął i tak gadał (II, 44). „Zdawna przywykły z duchem czasu *gadać*" (II, 115).

W ozdobnościach stylowych widzimy ten sam proces rozwijania się: z początku modeluje się na wzór swego mistrza, a potém sam już sięga szczytu wytworności w tych właśnie przenośniach i postaciach mowy, w których głównie celował Mickiewicz jako liryk: w porównaniach, hyperbolach, w gradacyach, antytezach i rozmaitych odcieniach repetycyi.

Notujemy tu niektóre z nich do sprawdzenia.

**Porównania**: Lica, jak koral, rzucony w mléko, A piersi jak wodne lillje (I, 34;); Pieśni me to są kwiaty na zatrutéj niwie (I, 28); Raz dźwięk pieśni mojéj Był jak w puszczy pielgrzymom cichy szmer oazy (I, 48); Stróż-anioł, czuwający nad cichém marzeniem, Osłaniał je jak palma białych skrzydeł cieniem (I, 48); Pieśń podniesiona natchnieniem i czuciem (...) przebiegła po duszy, jak burza po morzu (I, 48); (Dusza) drżałaby przestrachem, jak drży ranna zorza, kiedy z czystego nieba spojrzy w otchłań morza (I, 28); (...) zawodzą tańce, jakby im zaklęty Róg Oberona załaskotał w pięty" (II, 10); A co za młodzież!... chłop w chłopa, jak dęby, Szumiące jeszcze przy świata powodzi (II, 10), Więc On, co dotąd jak Salamander W ogniu swych własnych żądz płonął, Teraz jak nowy polski Leander, W traw Helesponcie utonął (I, 97); I zimny, niemy, martwy, jak trup w grobie, Zdał się na losy (II, 63); Błyszczy złotostrojna głowa matrony, jak kwiat słonecznika (II, 4); Świat wtedy w jakiejś niemej drżał rozterce, Jak gdyby Bogu z żalu drżało serce; Ja cię widzę, mojemu niewidzialną oku, W całéj twojéj piękności i w całym uroku, W całym cnót majestacie, w całym wdzięków blasku, Promieniejącą i jasną, jak w świętych obrazku (I, 17).

Spotykamy wreszcie u Berwińskiego i szérsze porównania, zwane w niektórych estetykach **podobieństwami**:

„Ty zwiędniesz, a ja będę jak śpiewak szalony, Co chciał jednym akordem swą duszę upoić; I uderzy po strónach i wraz pękły stróny; Dźwięk rozbrzmiał, lecz niesforne zostało mu echo, I harfa, któréj nigdy nie zdoła nastroić" (I, 15). „Czemuż, jak dąb wyniosły, dumny wniebowzbiciem, Chciałem się mierzyć z dzikich namiętności wyciem? Zmierzyłem się: trzasł piorun, dąb ogniem żądz spłonął, ugasić go nie zdołał; zachwiał się i runął" (I, 15). „Pierś moja jest jak wulkan, w którym śpią sny wieszcze, Jak wulkan, w którym Stwórca przed stworzeniem jeszcze Iskrę życia i gwiazdę przeznaczenia rzucił. Wulkan wieki przedrzymał, a gdy się ocucił, Żarem uczuć odetchnął i ogniem natchnienia" (Tygodnik literacki. 1840. N. 50).

**Hyperbole**: „Myślą moją huragan—a modlitwą burza (II, 97); „Ja groby zaklnę—a na to zaklęcie przeszłość stu mogił przełamie pieczęcie, Od wieków zgasłe otworzy powieki, Ażeby w pieśni żyć na wieków wieki" (I, 55); „Ja król—na tronie mych ojczy-

stych gór, Świetny, królewski otoczył mię dwór! W dole murawa, przetykana w kwiaty, U stóp mych strumień czołga się i szepce, I wiatr mi niesie mych dolin kadzidła" (II, 101) „Młodzież, co gdyby świat wzięła na zręby, I opasała go ducha łańcuchem, Świat ten naprzekor przesądom i Stwórcy Nowym na wieczność popchnęłaby ruchem" (II, 10). „Zechceli przyszłość macierzystą zbadać, Niebu się przed nią każę wyspowiadać" (I, 55). „Tak mąż, którego niańczyły Tytany, A kołysały wód morskich bałwany, Tak mąż ten wielki, gdy twą piękność zoczył, Skały przesadził i morza przekroczył" (II, 46).

**Antytezy** czyli przeciwstawienia są tak rozmaite, że wszystkie ich ważniejsze odcienie się znajdują, tj. *a)* antytezy właściwe, *b)* antymetathesis i *c)* antyteton. Np.

*a*) Tyle *łez* w *śmiechu* i we łzach szyderstwa (II, 17). „Bo na klasycznych kształcony wzorach, Nad wszystko cenię porządek, I *światło* nawet w *ciemnych* kolorach, I nawet w *bredniach—rozsądek*" (I, 74); „Wiek *udręczeń — wesela* jedna krótka chwilka, Kilka gorzkich *uśmiechów*—i *łez* gorzkich kilka, Długie lata *mozolu*—krótki sen na jawie, O miłości, ojczyznie, o szczęściu, o sławie: Oto życie człowieka" (Tyg. lit. 1840). „A chwile lecą, godziny płyną, I choć chwil szczęścia nie liczym, Choć dla kochanków *wieczność—godziną*, *Chwila*—wiecznością, czas—niczém" (I, 89).

*b*) Bóg wam pomagaj! Bo nim czas *rozwiąże* Wasze *związane* języki, Nim z pieluch królem wyjdzie stary książe..." (II, 22). „Widzę perły twych ząbków i ócz twych korale, Tak *wymowne* w *milczeniu*—w *wymowie—milczące*" (I, 18). „Dworzec był chędogi, Choć *niewielki*, lecz wsparty na *wielkich* stał cnotach" (II, 132).

*c*) Ja mistrz i stwórca pieśni, com miał na rozkazy Najpiękniejsze uczucia, najczulsze wyrazy; Ja *król dźwięków* — dziś *żebrak* w *laurowéj koronie*, O jedno słowo proszę"... (I, 49).

Postaci, zwanéj **congeries** (nagromadzenie, skupienie) bardzo liczne spotykamy wzory, ale nie będziemy tu ich wymieniali, bo niezmiernie rzadko stanowią one u B-go, równie jak i u Pola np. istotną ozdobność poetycznego stylu, z twórczego natchnienia płynącą,—częściéj są raczéj pracowitém tylko stylizowaniem, jak się o tém przekonywamy z ustępu najpatetyczniejszego, zamieszczonego na końcu drugiego tomika, gdzie ostatnie 27 wierszy stanowi jednę tę postać (T. II, 135 i 136). Natomiast, wywiązujące się z nagromadzeń poetyczne lub krasomówskie odcienie, zwane *repetitio* (powtórzenie) lub *gradatio* (stopniowanie) do najwykwintniejszych jego ozdób stylistycznych należą.

*Powtórzeń* spotykamy rozmaite odcienie, tj. tak zwane: *a) anafory* (na początku zdań powtarzające się wyrazy), *b) symploke* (na początku i na końcu zdań); *c) epizeuxis* (w ciągu kilkakrotnie jeden po drugim wyrazie), *d) polisyndeton* (powtarzanie tych samych spójników), *e) annominatio* (powtarzanie wyrazów z tegoż samego źródłosłowu. Np.

*a*) Oko twe... Miłość w twém oku się żarzy, Miłość na czole zadumaném marzy, Miłość ust twoich bawi się uśmiechem, Miłość muzyką gra w twojéj rozmowie, Miłość w milczeniu, miłość w każdém słowie, A ty powiadasz, że miłość jest grzechem" (I, 44), „Znam was, lecz czemuż nie poznałem wcześniéj, Nim myśl w krainę ułudzeń, wybiegła.

Nim w sercu wielkie nadzieje zażegła, Nim zapragnąłem, o czém wam się nie śni, Nim powitałem, z czém się muszą rozstać... Byłbym, ach! byłbym szczęśliwym mógł zostać“ (II, 30).

*b*) „A jeśli *błądzi*, Znasz ty drogi jego, po których *błądzi*“ (II, 64). „*Patrzy* przez chwilę i *slucha*, *Słucha* przez chwilę i *patrzy*... i naraz...“ (I, 97) „A jeśli dla nich (dla mogił) łzą zroszę powieki, to łzą dla *wieków* wylaną *na wieki*“ (II, 30) (1). „Wtedy ty (stolica) sama jedna, niezachwiana, Z cnotą świętego dochowałaś stadła; *Dumna* i *wielka* na ciosy tarana Aniś zadrżała, ani trwogą zbladła, Jak puszcz królowa, gdy w obronie płodu, Uledz niezdolna, choć poledz gotowa: Stałaś w obronie całego narodu, Stałaś ogromna i *dumna* i *wielka*, Nadzieja nasza i obroncielka, *Wielka i dumna*! wtedy ci przystało, Potęgi twojéj odziewać się chwałą (II, 46). „Ach! czy widzicie!... Oto tam śmierć blada, *Śmierć* z kosą leci! *Śmierć* na wlnowajców, Na bratobójców, przekupniów krwi, zdrajców! *Śmierć* leci z kosą, *śmierć* z kosą, *śmierć* z kosą leci—i już pod jéj cięciem, Fale was czasu daléj nie uniosą, Was, obarczonych stu wieków przeklęciem“ (II, 66).

*c*) Marzyć! i *o czém*? *O czém* marzyć w grobie!“ (II, 24). „A teraz znowu, zasiadłszy na wiecach (lud), *Chce* sobie *radzić*... *radzić chce*... i o czém? (II, 69). „*Znam* was, o *znam was*! *Was* dumnych i świetnych synów przeszłości, Po ojcach bezdzietnych (II, 30).

*d*) I zwyciężyli synowie rozpusty, I lekkomyślna płochéj zgrai noga Strąciła z krzyżów niewiernych sług Boga, I powstał zgłębi wielki krzyk: oszusty! I potonęli, a krzyże ofiarne Płynęły daléj samotne i czarne“ (II, 62).

*e*) Rolnik w pokoju, a w polu obożny (naród) *Gościom gościnny*, ale *groźnym groźny*“ (II, 97) „Znasz ty drogi mleczne, któremi chodzą przed tron *Przedwiecznego*, Pytać o jego wyroki *przedwieczne*“ (II, 64).

**Stopniowania**: „*Pięknaś*, jak anioł! zdumiony świat woła, *Piękniejszaś* nawet, wołam, od anioła; Nie anioł wdzięków, lecz sam Bóg miłości, W tobie, o piękna, między nami gości“ (I, 44). „Dla czegoż, kiedy świat nas na wieki już dzieli, Gdy Bóg wysłuchać nie chciał, ludzie nie umieli; Czemuż pamięć na moje posłuszna rozkazy, Że choćbym *po sto razy* i *po tysiąc* razy Na jednę chwilę westchnął, potęsknił za tobą, *Sto* cię i *tysiąc* razy w tejże widzę chwili, I wtedy pieszczotami rozmawiamy z sobą, Jak niegdyś pieszczotami z sobąśmy mówili (I, 17). Gdyby choć *gałąź* krucha, Gdyby choć *listek* z ojczystego lasku, Gdyby choć jedna *ziemi stopa* sucha, Gdyby choć jedna *garstka*, jedno *ziarnko* piasku; Gdyby się spotkać z skałą zimną, twardą, Gdyby się o nią rozbić—i strzaskane serce wyrwawszy, przez otwartą ranę, Niebu czy piekłu cisnąć je z pogardą; Gdyby raz umrzeć... (II, 54).

Ta sucha statystyka zwrotów ozdobnych wymowniéj, jakbym sądził, nad wszelkie analizy teoretyczne przekonać może czytelnika, gdzie istotne źródło natchnień Berwińskiego: Mickiewicz w téj czy innéj szacie stylistycznéj służył za ideał, ku któremu wznosił się młody poeta,—i dodajmy: naśladowca niekiedy godnym był swojego mistrza! Zresztą, wdzięk jego stylu nie ogranicza się na tych kilku kształtach, któreśmy wymienili: umie on grać na wszystkich stronach swojéj lutni—od rzewności do gwałtownego wybuchu potępień i przekleństw, na wszystkie stopnie drgnienia serca młodzieńczego, znajduje odpowiednią formę w swoim stylu: Raz jest

(1) ... „I myślę, że sen taki nigdy się *nie prześni!* Że się nigdy *nie prześni*! I cóż się *nie prześni*, kiedyś ty mi się *prześnił*, śnie mój rzeczywisty“ (I, 18).

lakonicznym, treściwym, wstrzemięźliwym; drugi raz jak lawa ognista nieustającym potokiem leją się słowa. Raz asydentycznie wiążą się zdania, drugi raz obfitość polisyndetycznych połączeń zdań przeważa w stylu. A kiedy go namiętność nie ogarnia całego, kiedy łagodniejszym tonem rozwagi, a przynajmniéj spokoju uczucia swe i myśli wypowiada, lubi nawet takie drobiazgi stylowe (które napozór nic wspólnego nie mają z jego patosem i gwałtownością poetyczną), jak *inwersye* (anastrofy), w tym oto np. rodzaju:

„To mówiąc biegła (dama) ku niemu przez salę, Jak rybka wierzchnia kiedy muska fale“ (zm. kiedy wierzchnie muska fale) (II, 11). „I taką z sobą wojnę rozpoczęli, Jak z tłustém bydło Faraona chude (II, 62).

Znajdą się i inne równie artystyczne zwroty językowe wielkiego wdzięku, jak np. w tomiku pierwszym postać, zwaną *correctio* (poprawienie się), a w drugim szczególnie piękne są jego *apostrofy*, głównie może dlatego, że na ponurém tle pesymistycznéem zarysowane, stanowią pełne uroku jaśniejsze, a raczéj rzewniejsze obrazy uczuć.

Jako wzór piérwszéj ozdobności przytaczam taki ustęp:

... „I zamiarów dziś tysiąc na jutro układa, Będzie śmielszy—przysięga—wszystko wypowiada. Będzie prosił, a jeśli prośba nie pomoże, Powie, że w świat odejdzie, popłynie za morze,—Że, ot! na morzu, z smutku, z rozpaczy utonie!... A ona? ona wtedy skłoni się i spłonie, I *powie*.. nie... *niepowie; ona nic nie powie*: Co miłości po słowach? miłość stygnie w słowie! (I, 20).

**Apostrofy**: „O miasto smutku! stare, osiwiałe, Tak dumnie wielkie, tak nikczemnie małe! O miasto smutku—ty świata stolico, Dawnéj, strawionéj wspaniałości syta, Dzisiaj żebrząca królów połowica, Król-żebrak ciebie dzisiaj wita!“ (II, 44) „Prochu Hamleta! wstań i świadcz o sobie! Prochu Hamleta! mów, co ci się śniło, Pod tylu wieków milczącą mogiłą!...“ (II, 124). „Adamowy synie! I tyś robaczkiem, któremu przypadło, Przeżuć na drzewie wiedzy choć liść jeden! Ale nie tobie przeznaczony Eden! Patrzaj—sto wieków z drzewa tego jadło, Patrzaj—dziś z niego miljony jedzą,—Zapytaj, który z nich syt prawdą i wiedzą“ (II, 125).

Oczywiście, że u Berwińskiego te tylko spotykamy ozdobności stylowe, które przeważnie właściwe są poezyi lirycznéj; nic więc dziwnego, że nie spotykamy takich zwrotów, które plastykę natury lub czynów ludzkich spokojnie i obrazowo rysować umieją. Ale zato w niewielkim stosunkowo zbiorku utworów poetycznych B-go widzimy wszystkie odcienie uczuć i namiętności ludzkich, w najwykwintniejszym kształcie wypowiedziane.

Do najważniejszych zaś zwrotów estetycznych, głównie charakteryzujących stanowisko jego w szeregu naszych poetów szkoły romantycznéj, należy *ironia*. Skupił on w swéj twórczości najdrobniejsze jej odcienie, jakie tylko zna specyalna estetyka poetyczna. A mianowicie spotykamy u Berwińskiego następujące gatunki: *a*) *eufemismus*—jestto najłagodniejszy zwrot ironiczny, do żartu zbliżają-

cy się, w którym rzeczy niemiłe, złośliwe, przykre nawet, tak są subtelnie osłonięte, że niezawsze zrozumiałe są przez tego, do kogo są skierowane; *b) asteismus* jestto taki odcień, również jak i poprzedni, łagodnéj ironii, w któréj figuruje pochwała, pochlebstwo, lub przynajmniéj lekkie jéj napomknienie; a w istocie, uważniéj w sposób wypowiedzenia téj myśli zagłębiwszy się, dostrzeżemy wyraźniéj nagany i potępienia; *c) anti-fraza* (contre-verité) jest takim gatunkiem ironii, w którym myślześrodkowuje się na wyrazach, a te ostatnie należy odwrotnie tłómaczyć; *d) mimesis*—jestto ironiczne przekręcanie cudzych myśli; *e) diasirmus*—to gatunek ironii złośliwéj, pogardliwéj i wreszcie; *f) sarkazm* — jestto ironia okrutna, straszna, w któréj z całą potęgą napadamy na przeciwnika,—a ostatnim jéj patetycznym wyrazem może być uważane *przekleństwo*.

Wypisujemy tu niektóre wzory tych postaci w porządku, jaki tu wymieniliśmy, tj. od łagodniejszych przechodząc ku silniejszym.

*a)* **Eufemismus**: „W ten czas, dalibóg, żem bardziéj kochał, Niż Mars, gdy w zdradne wpadł sieci, I głębiéj wzdychał i głośniéj szlochał, Niż wszyscy nasi poeci“ (I, 64). „Czego żądasz?... Ach! tylko pamiątki, imienia! I prawda: czegoż więcéj żądać od pielgrzyma, który nic, nic innego na tym świecie niéma, Prócz serca nieznanego nikomu, nikomu... Prócz pieśni, które nosi od domu do domu“ (I, 27). (Kochanek gryzie pióro, szukając formy do wypowiedzenia uczuć swoich i napisawszy „O ty! która... zatrzymuje się): „A gdy się wstrzymał, duma i myśli, A gdy się dobrze namyślił, Spojrzał, raz jeszcze rozważył ściśléj, I co napisał... przekreślił“ (I, 101). „Choćbym był zaczął nieromantycznie, A śpiewał nie po eolsku, Skończyłem jednak patryotycznie: Bo... nie skończyłem“ (I. 87). *b)* **Asteismus**: „Piękna to postać, cudowna postać! Lecz dosyć wiedzieć ci tyle, Że biada temu, ktoby chciał zostać w jéj sercu jednę choć chwilę (I, 32). — *c)* **Mimesis**. Jedna się tylko mała spotyka pomiędzy niemi (Świtezianką a Żeglarzem) różnica, Że on: zamiast *malin z koszyka*, *Koszyk* mu dała zwodnica“ (I, 38). — *d)* **Anti-fraza**: *Cierpliwość* i *pokora*—prawda wielka, święta, Cierpliwość i pokora przebija niebiosa, Więc *cierpliwi*, *pokorni* zdajcie się na losy, Albo na wolę Bożą“ (II, 36). — *e)* **Diasirmus**: „W pacierzu, zamiast prośby powszedniego chleba, W modlitwie zamiast modłów poniosę do nieba: Ażeby sęp pamięci, krwią twoją zbroczony, Na głazie serca twego zaostrzał swe szpony“ (I, 50). „I jam stał na zrębie owéj przeszłości, I w ciemne jéj głębie myśl przewodniczkę bez wahaniam cisnął; Lecz choć stu mędrców trupamim ją tuczył, Z cierpień méj piersi więcéjm się nauczył, Bo pełném sercem nad światem zawisnął“ (II, 127). „Ktoś znał i rozumiał, co to jest nędza i ciężar niedoli, Jeśliś ksiąg martwych porzucił nie umiał, Dla starców, dzieci, i niemców, i moli, Mędrcze umarłych! pozostań w pokoju szczęsny—śród tylu, tylu nieszczęśliwych!“ (II, 128). „Dziś w pełni życia i w całéj potędze opuszczam walkę, bo któż sił nie straci, Gdy widzi marność i hańbę, i nędzę, I podłą gnusność swéj rodzonéj braci“ (II, 129). „Widziałem nieraz, jak syn pogrobowy już nie rozumiał ojców swoich mowy“ (II, 7). — *f)* **Najwyższy sarkazm**: „Znam was Feniksów, wzrosłych na popiele Zgliszczów ojczystych! znam was przyjaciele Młodości mojéj, was, w których się chowa, Godność i duma narodowa; Znam was, pełniących trudny obowiązek Mistrzów balowych, rycerzy podwiązek! Znam was i gardzę, lecz tak wam i gardzę, Że każde słowo i wszystkie gorycze, któremi plunąć mógłbym wam w oblicze, Że... wolę raczéj przymrzeć na méj wardze...“ (II, 130). „Synku! Nie bój się, nie bój! Twój ojciec dziedzicem Tylu tysięcy dusz i tylu włosek, Że nam nie spadnie z głowy, jeden włosek; Bo jeśli

wszystkich swoich spędzi chłopów, A każdy weźmie choć po parę snopów, To takie dla nas uścielą tu tamy, Że ich piekielne nie poruszą bramy! — Nie bój się, dziecię, gdy zabraknie słupów — O! wierz mi, wierz mi! on nie pozazdrości Ostatniéj duszy z ostatniéj swéj włości I każe kilka tysięcy wbić trupów...“ (II, 62). „Precz, podła tłuszczo, co żyjesz okruchem Ze stołu pana! nie tobie być sędzią Nad niebosiężnym wielkich ludzi duchem! Albożty drobną twoich myśli ślędzią Zbieżysz obszary, które on przebiega? Albożty zimnym doświadczenia wzrokiem Dojrzysz za ciemnym przeszłości obłokiem Tych gwiazd przeznaczeń, które on postrzega?“ (II, 63). „Dziś straszno spojrzéć w dzieje tego ludu: Tyle tam światła w dalekim dni zmierzchu. I tyle cnoty w głębiach, a na wierzchu Tyle występków, podłości i brudu,—Tylu nikczemnych, że choćbym był zdolny Skreślić ich obraz i podać nauki, Któreby wiedziéć miały późne wnuki.... Nie chcę, bo pierwéj poruszyćby trzeba Najgłębszą otchłań najgłębszego piekła, Wycieńczyć litość i cierpliwość nieba, Zliczyć łzę każdą, co z ócz ofiar ciekła; Wskazać krwią braci kupczącego brata, Matkę, gdy blada i śmiertelnie sina, Konając u stóp wyrodnego syna, Przepowiadała bliski koniec świata!...“ (II, 8).

Czytając te Jowiszowe pociski, może nie jednemu czytelnikowi przyjdzie do głowy: dla czego w tych bolesnych superlatywach krąży muza Berwińskiego? Dla czego ta ironia jego nie stała się tak wyrozumiałą i pobłażliwą dla ludzi, jaką była w końcu ironia mistrza jego — Mickiewicza, z angielska dziś pospolicie humorem zwana? Leżało to przedewszystkiém w temperamencie jego poetyckim, a wreszcie może dlatego, że Berwiński dopiéro przechodził fazę młodzieńczego ognia i gwałtownych wybuchów namiętnéj duszy,—a nie dano mu było dojść do epoki *spokoju epickiego* i epickiego, panować nad sobą umiejącego humoru.

## IV.

Skupiamy rozproszone nasze uwagi krytyczne.

W przebiegu życia jego nadmieniliśmy, że natura hojnie go uposażyła darami umysłu i serca, których jednak ani wychowanie domowe, ani szkoła Leszczyńska, ani późniejsze dorywcze studya, nie rozwinęły prawidłowo: niestałość, brak wytrwałości, zamiast być sprostowanemi, wybujały w nim owszem z latami i zwichnęły przyrodzone zdolności tak dalece, że niedość systematycznie idzie sama nauka gimnazyalna, a uniwersyteckie studya stają się wprost problematyczne; co umiał przeto, zawdzięczał tylko późniejszemu bezplanowemu czytaniu. Kształcenie strony etycznéj i religijnéj, prostowanie źle skierowanéj woli jeszcze w mniéj korzystnych niż nauka przedstawia się warunkach: decydującą tu rolę grało przypadkowe towarzystwo, a głównie panujące naówczas skrajne prądy społeczne i literackie. Stąd wypływały wadliwości charakteru, w gruncie najczystszego, najzacniejszego,—stąd zawczesne, bez należytego przygotowania, oddanie się twórczości literackiéj.

A w téj jego twórczości ten szczególny spostrzegamy objaw, że nie robi powolnego a ciągłego postępu,— ale owszem muza jego odrazu wybujała, zalety zaś, przynajmniéj niektórych utworów późniejszych, bywały niekiedy słabsze od wcześniejszych (stósuje się to również i do obrabiania powiastek ludowych).

Jako w poecie lirycznym widzimy w nim odtworzenie tych idealnych cech romantyzmu, jakie powszechnie naówczas panowały; a lubo z natury był realistą, człowiekiem szczerym, prostym, idealizm jednak romantyczny tak dalece nań oddziałał, że idąc torem Mickiewicza, wpadał nawet w jasnowidzenia i przepowiednie,— a nawiasem mówiąc, przepowiednie te niekiedy sprawdzały się zupełnie. Do nich np. należy ów wierszyk „Piosnka wygnańca“, który pisany około 1842 r., zarysował najprawdziwszy stan jego duszy i stanowisko społeczne w roku 1855, w czasie pobytu w Turcyi. Do takichże przepowiedni należy wymieniony w życiorysie wiersz do p. Idalii Krajewskiéj, oraz ostatni pożegnalny wiersz do siostry; ale bodaj najcharakterystyczniejszym objawem jego romantycznego proroctwa jest wiersz z roku 1840 p. t. „Moje sny — moje uczucia.“ Obrazując w nim wybuchowe objawy uczuć swoich, wypowiada poeta te słowa:

„I ujrzałem *samotną* gwiazdę mego przeznaczenia.“

I w istocie: pomimo gwarnego niekiedy otoczenia towarzyskiego „gwiazda przeznaczenia“ jego zawsze była *„samotna.“*

Widzieliśmy następnie, że skutkiem owoczesnych skrajnych prądów, z któremi się zrósł Berwiński, a w części może skutkiem osobistego usposobienia, obalił po kolei całą budowę zasad kościoła i tradycyi katolickiéj. Gdybyśmy jednak zadali sobie pytanie: czy też poeta stworzył sobie, choćby późniéj nieco, jaką nową wiarę? czy miał jakieś, jeżeli nie dogmatyczne, to przynajmniéj ogólnoetyczne zasady? Z pism jego nie widzimy tego wcale. Bo jego ukochania przeszłości naszéj, wielkiéj sławy przodków, w porównaniu z maleństwem ducha rodaków współczesnych, jego wszelkich demokratycznych wybuchów i polotów ku jakiemuś, którego sam określić nie umiał, przebudowaniu gmachu społecznego, z uwzględnieniem wielkości ludu i t. d., tego wszystkiego nie tylko dogmatyką, ale nawet świątnicą duchową nazwać nie można? Pozostaje więc chyba to, cośmy już z innego względu wymienili: „Raz wszedłszy, jak Eliasz, w rydwan namiętności, Chcę ogniem namiętności żywcem wejść do nieba.“ Jakie to „niebo“? któż odgadnie? I na co komu ta zagadka przydać się może! Dość wiedzieć, że ów „rydwan namiętności“ zastąpić miał całą dogmatykę. Starczyło mu to dopóty, dopóki te „namiętności“ gorzały w łonie; ale późniéj nieco,

choćby np. w Turcyi, jakieś by inne zasady moralne się przydały; ale, niestety! w starości nic już urosnąć nie mogło, czego się w młodości nie zasiało....

Co się tyczy charakterystyki jego twórczości lirycznéj, uderza nas wielkie *ubóstwo tematów* poetycznych. Oprócz dość urozmaiconych erotyk, dwie głównie kwestye są przez niego uwzględniane: w mniejszéj części żywioł narodowy, a natomiast cały umysł jego zaprzątają kwestye społeczne czy socyalne, z lekkiem zabarwieniem filozofią heglowską.

Kto bezwzględnie umiłował w poezyi spokojny świat ogniska rodzinnego, oraz religijny i społeczny konserwatyzm, tego razić będzie demokratyczny szał poety, który nie przebiera w środkach i kształtach swojéj satyry, który modli się do „obucha" i t. d. Ale rozważny krytyk, chcąc być sprawiedliwym, musi się zdobyć na pewną wyrozumiałość dla téj jego egzaltacyi poetyckiéj, nawet wtenczas, kiedy Berwiński obarcza pewne klasy społeczne nie tylko istotnemi, ale nawet takiemi przewinieniami, do których one się nie poczuwają: jego bowiem radykalizm jest tylko *doktrynerski*, jednostronnie zapatrzony na swój ideał—*wszechwładztwa ludowego*. Środki, do tego celu wiodące, brał Berwiński też same, co i cała plejada naszych romantyków; a jeśli w lirze jego, częściéj niż tkliwa lub rzewna, brzmiała strona ironii—to już było tylko wynikiem indywidualności jego.

Natomiast na tę raczéj anormalność zwrócić należy uwagę, że Berwiński, zapalony wielbiciel ludu, bezgranicznie dla jego szczęścia poświęcający się, nie umie wydobyć z liry swojéj *ani jednego tonu melodyi ludowéj,* ani jednéj zwrotki ducha twórczości ludowéj odsłonić mogącéj. Znać we wszystkiém to, cośmy powiedzieli, że jest doktrynerem, co umié tylko teroryzować, a nie potrafi podsłuchać tętna serca chłopskiego, nie umié wcale językiem ludu przemówić, choćby tak np., jak przemawiali Lenartowicz lub Wasilewski. Jeden jedyny raz w „Mogile Kościuszki" wywiódł na scenę człowieka z ludu „z stem kółek w pasie, za pasem z siekierą", ale w tym oto kunsztownym i górnolotnym stylu każe mu deklamować o najwyższych zagadnieniach narodowych:

„I jakiś chłop stary, Schylony pracą, z białym jak śnieg włosem, Rzekł mu (poecie): „Bóg z tobą, człeku dobréj wiary! Gdzie jesteś, pytasz? noga twoja depce Grób bohatera, ale wierzaj, bracie, Że ty tu stoisz przy świata kolebce: Z niéj wyjdą nowi ludzie i postacie! Ale straszliwe tylu czasów wały, Co się śmiertelném czechłem dla was stały, To spowijaki nasze i pieluszki, A to jest oto—mogiła Kościuszki."

Natomiast zwykłą widownią wierszowanych jego utworów są obrazy życia téj właśnie klasy społeczności, którą najzawzięciéj

wyszydza, a jednak śród niéj tylko porusza się jego myśl poetyczna, nigdy zagroda wiejska, ale wprost salon. On, co wziął na się trudną rolę apostoła ludowego, nawet w najsilniejszym objawie swojéj ironii, w Parabazie, za widownią opowiadanych wypadków obiera zawsze tenże salon, bo, jakeśmy widzieli, rzecz dzieje się na balu karnawałowym wielkopolskiego wielkiego świata. Wszakże demokratyczny ten doktryner, krążący chętnie w salonach, to przynajmniéj ma dodatniego, że nigdy nie przywdziewa szaty aktorskiéj: cokolwiek mówi, mówi z dobrą wiarą i z takiém żywém poczuciem posłannictwa swego, że ta jego *prawda uczuć* stanowi wybitną stronę talentu i szczególny powab tam nawet, gdzie widzimy wyraźną przesadę lub bluźnierstwo poetyczne.

Chcąc określić stosunek oryginalnéj jego twórczości do naśladownictwa, trzeba miéć na względzie, cośmy wymienili wyżéj. A mianowicie: z pisarzy obcych odczuwamy w jego pismach wpływ Lamartine'a, Byrona, nieco Goethego, a przedewszystkiém Shakespeare'a. Z pośród innych utworów Shakespeare'a najwydatniejsze stanowisko zajmuje Hamlet, z którego liczne cytaty, za *motto* służyć mające, wypisywał w swoich *silva'ch rerum* i wogóle pilnie studyował. Być więc może, że w najwrażliwszéj epoce życia do duszy jego zapadło owo Hamletowskie cierpienie, owo niezadowolenie z otaczającego świata, na tle wiekuistego zwątpienia osnute, co przy ówczesnym nastroju romantycznym, przy panującym bajronizmie literackim rzucić mogło do duszy jego one zarody powątpiewania, a następnie krytycyzmu, obalającego trwałość dotychczasowych podwalin społecznych. Ale Hamlet, lubo subtelny znawca sztuki i niepospolicie uczony, przedewszystkiém jest marzycielem, niezdolnym do czynu i do poświęcenia się dla idei; dla tego téż Berwiński, gdy nań wionęły nieco późniéj, zaprzątające świat owoczesny prądy rewolucyjne, wyrzekał się wszelkiego powinowactwa z marzycielstwem hamletowskiém i dowodził, że „pełném sercem nad światem zawisnął", że wziął w opiekę „nieszczęśliwych" ludzi tego świata, czyli innemi słowy, chciał być czynném zaprzeczeniem tego, co umiłował w pierwszych chwilach rozwijającego się uczucia. A jednak w życiorysie jego widzieliśmy, że stało się wprost przeciwnie: bo niemoc czynu i marzycielstwo jałowe, z inném tylko, nie hamletowskiém oświetleniem, ale raczéj bajronowskiém, towarzyszyło mu przez całe życie.

Wreszcie powinniśmy tu nadmienić, że w dziale poezyi, nazwanym „Księga życia i śmierci" widoczny jest także i wpływ poezyi włoskiéj. Owoczesne Włochy stanowiły, jako wiadomo laboratoryum wszystkich owych stowarzyszeń, konspiracyi i wszelkich

knowań rewolucyjno-patryotycznych, których tak bezwzględnym wielbicielem był Berwiński. Nic przeto dziwnego, że z lubością musiał zaglądać do owych umiłowanych przez się robót rewolucyjnych wogólności, a przedewszystkiém, do poetów włoskich, tę stronę doraźnego patryotyzmu odsłaniających. Wiadomo zaś, że około tegoż czasu, kiedy się rozpoczynała twórczość poetyczna B-go, obok wielu innych poetów, stało się głośném imię Leopardi'ego, którego sławnym wierszem „All' Italia", zachwycali się nietylko patryoci włoscy, ale i wszyscy entuzyaści polityczni, a wreszcie wszyscy estetycznie wykształceni ludzie, gdyż wiersz ten jest cudnie piękny. Otóż, jak mniemam, był on znany i naszemu poecie, najwyraźniéj bowiem odczuwamy zawartość jego w takich utworach jak: *Mysza wieża*, *Wawel i Kraków*, *Marsz w przyszłość*. Liryczny, rzewny nastrój pierwszéj połowy tego wiersza brzmi zupełnie w tym tonie, co dwa pierwsze ustępy B-go: taż sama zaduma rzewna nad minioną wielkością, ten sam głos serdeczny miłującego patryoty; a co się tyczy wiersza „Mysza Wieża", to nawet poeta wielkopolski wprost też same powtarza myśli, tylko nieco je rozszerza, Leopardi mówi:

„O patria mia! vedo le mura, e gli archi,
E le colonna, e i simulacri, e l'erme
Torri degli avi nostri,
Ma la *gloria* non vedo;
Non vedo il *lauro* e il ferro ond'eran carchi
I nostri padri antichi!" itd. (1)

Berwiński zaś tak mówi:

„O ziemio moja! ty, coś dawniéj była Kolebką wolnych, dziś wolnych mogiła! Ja syn pośmiertnéj twéj grobowéj chwały, Pytam się ciebie—i gdzież się podziały Dni twoje wielkie—gdzie ręka, co wskaże, Świetności twojéj zwalone ołtarze? (...) Z tylu potęgi, męstwa i świetności, Z tylu dzieł twoich, z tylu zwycięstw blasku, Czyż tylko w polu nie pomszczone kości, I krew zakrzepła została na plasku? A z twoich stolic i grodów, i gmachów, Czyż to schronienie żałoby i strachów, Czyż to jedyny pomnik twojéj chwały?"

Widzimy, że myśl zasadnicza jest taż sama w obu ustępach, a różni się tyle tylko, ile się różni fizyonomia ziemi i dziejowe zabytki włoskie od polskich.

Drugą natomiast część tego wzniosłego wiersza Leopardiego, kiedy on, zrozpaczony widokiem niemocy, upadku dawnéj potęgi i gnusności swoich rodaków, w zapale patryotycznym głosi, że on sam jeden za wszystkich walczyć będzie i woła „L'armi, l'armi: io solo Combatterò, procumberò sol io!" przypominamy też myśl „Marsza w przyszłość", w którym nasz poeta również zabiera się do

(1) Opere di Giacomo Leopardi, wydania Ranierego, wyd. IV, Florencya 1856 t. I, str. 33 i dal.

walki. Obraz wszakże tych przygotowań do bojów B-go o tyle jest niższy i mniéj poetyczny od obrazu Leopardiego, o ile „obuch“ naszego poety mniéj ma żywiołów poetycznych od „l'armi“ Leopardiego; zamiłowany bowiem, jak wiadomo, w pięknościach świata klasycznego, poeta włoski miał tu na myśli jakiś „gladius“ rzymski; czyli innemi słowy: Leopardi w swém narzędziu upoetyzował walkę narodową, gdy Berwiński... tylko socyalną.

Z pisarzy krajowych, jakeśmy to w rozbiorze wyżéj wymienionym wykazać starali się, na B-go przemijający zaledwo mieli wpływ Krasiński i Słowacki, a jednego Mickiewicza istotnym był naśladowcą od najpiérwszych chwil twórczości swojéj, od piérwszych próbek poetycznych, od czasu rozkwitu talentu swego. Na czém się ostatecznie to jego naśladownictwo zatrzymało, albo raczéj: w jakim stopniu naśladowca pierwotny zbliżył się do swego pierwowzoru, za najlepszą wskazówkę posłużyć może porównanie dwu ustępów, pod tym samym napisem zawartych, tj. „Błogosławieństwo“ Mickiewicza i Berwińskiego. Sam tytuł wiersza daje do myślenia, że B. u Mickiewicza pierwotną myśl zapożyczył; ale jakże daleko odbiega układ wielkopolskiego poety od pierwowzoru swego. Kiedy Petrarka, a z nim Mickiewicz roztkliwia się tylko szczegółami wspomnień swojéj kochanki, téj chwili i tego miejsca, w którém „uczucia“ natchnęła, błogosławi piérwsze objawy miłosnego światła, co opromieniło duszę poety, a następnie piérwszą pieśń, tém uczuciem wywołaną; to B-ski nietyle tkliwym, jak raczéj dumnym jest w swoich miłosnych wspomnieniach. Mówi wprawdzie on, równie jak i poeta włoski o wdziękach, o blasku oka „o którym się ludziom nie śni na téj ziemi“, ale to tylko preludium stanowi do owéj cudnéj melodyi poetycznéj, którą wyśpiewuje w drugiéj części wiersza; przepowiadając swojéj ukochanéj, że będzie „szczęśliwą“, roztacza takie oślniewające blaski liryzmu poetycznege, że dorównywa najwyższym mistrzom lirycznym i stanowczo może być zaliczony do *pierwszorzędnych liryków erotycznych* polskich po Mickiewiczu.

W poezyi społecznéj i politycznéj mniejsza jego zasługa: lubo i tam pięknością formy i wielką siłą uczucia celuje, ale zbolałe to uczucie jednostronną zapalnością się odznacza, tak gwałtowne, a nie zawsze usprawiedliwione ciska gromy satyryczne, że te wszystkie wybuchy przy braku wyższych ideałów etycznych, przesytem i jakiémś cierpkiém uczuciem przepełniają serce czytelnika, gdyż widzi on tu jedynie same *cienie,* same karykatury: zło, obłudę, służalstwo, wyuzdania wszelkie itd.,—ale nie widzi *światła*, nie widzi lepszych, szlachetniejszych celów, bo same negacye ugrupował poeta,

a przynajmniéj ideały swoje wypowiada zbyt ogólnikowo, półsłówkami. Cały obraz życia Berwińskiego starałem się tak przedstawić, by on mógł wyjaśnić tę stronę duszy poety; a kto bez uprzedzenia i te nawet półsłówka czytać będzie, ten i w nich znajdzie prawdziwe piękno estetyczne, bo łatwo dostrzeże szlachetne źródło téj egzaltacyi poetycznéj i rubasznie-demokratycznych pocisków. Gdy poeta mówi:

„Ja wolę raczéj stać się biczem bożym,
I smagać śpiących, i dręczyć, i chłostać,
Byle im do *krwi serdecznéj* się dostać“;

to ta „krew serdeczna“ dla nieuprzedzonego polaka aż nadto dostateczném będzie kryteryum do oceny wartości i do zrozumienia źródła jego satyry.

Zaprawdę! błogosławione są owe spokojne i szczęśliwe czasy i szczęśliwi ludzie, których bytu nie zamącały żadne burze polityczne, ani społeczne; chodząc po ich „*wirydarzach*“ literackich, dość było napawać się wonią fijołków poetycznych i zbierać „*kwiatki rymów duchownych*“. Ale skoro nikt nie zaprzeczy, że dzieje nasze późniejszych czasów mają podobieństwo do palącego skwaru pustyni afrykańskiéj,—nic przeto dziwnego, że w tych warunkach naszéj gleby poetycznéj i politycznéj zrodzić się musiała afrykańska *agawa*, która wiele lat rosła i wsiąkała w siebie z dalekich obszarów soki żywotne, nim w chwili rozkwitu ogłaszającym hukiem wystrzeliła... Berwiński jest to naszą agawą, bo on, choć młody, wsiąknął w siebie wieloletnie bóle narodowe, i gorycze, i zawody, i bezskuteczne poświęcenia się jednych, i wyzyski drugich, i ostateczne cierpienie niewinnego ogółu, wchłonął to wszystko w siebie, a odczuwszy boleśnie, w chwili dojrzenia talentu wybuchnął hukiem i jękiem piorunującéj satyry... i zniknął z horyzontu literackiego.

Nie zapominajmy tedy, że on jest kością kości naszéj, że życie i pisma jego powinne być dla nas przestrogą tylko, a nikomu nie służy prawo ferowania bezwzględnego wyroku potępienia.

*A. Bądzkiewicz.*





# POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

## VI. POWIEŚĆ SENSACYJNA.

Książka sprzedana w 200,000 egzemplarzach jest zawsze osobliwém zjawiskiem, nawet jeżeli ta książka wyszła na świat w Anglii i jest powieścią z rodzaju sensacyjnego. Ale jeżeli, w dodatku, nosi ona na okładce imię nieznane, imię młodego i początkującego autora, tedy osobliwość graniczy z cudownością. Tego zaś cudu doświadczył na sobie w roku zeszłym Hugh Conway, autor małéj, w jednym tomie i trzystu stronach zamkniętéj powieści p. t. „*Called Back.*“ Tytuł nie da się przetłómaczyć, treść zaś utworu przedstawia się jak następuje.

*Gilbert Vaughan*, bohater powieści, ślepy na oba oczy, jest świadkiem morderstwa popełnionego wśród okoliczności osobliwie dramatycznych. W rok późniéj odzyskuje on wzrok, a jednocześnie *zyskuje* świadomość najdrobniejszych *niewidzianych* przez się szczegółów okropnéj sceny, która się odegrała w jego obecności. Jakim sposobem? Za pomocą jakowegoś tajemniczego z lunatyzmem czy hipnotyzmem, czy innym równie zagadkowym *yzmem* wiążącego się wewnętrznego widzenia. Hugh Conway nie wyjaśnia zagadki — czego mu za złe brać nie można — a tylko wprowadza w grę, dramatyzuje je po swojemu, należące do aktualności doświadczenia Cumberlanda, Donatego i doktora Charcot. *Gilbert Vaughan* jest nerwopatą w stanie ciągłéj halucynacyi, ale zdrowym na umyśle skądinąd, zdającym sobie sprawę ze swych wrażeń i posługującym się niemi dla oddziaływania na umysł młodéj osoby, która pozbawioną została zmysłów, w skutku tegoż samego krwawego, wstęp do powieści stanowiącego dramatu. Powieść, jak nadmieniłem, rozeszła się w 200,000 egzemplarzy.

Powodzenie to, jakkolwiek zdumiewające, mniéj było zagadkowém od samego zjawiska, wprowadzonego na scenę przez Conway'a. Było ono symptomatem; zdradzało rozpowszechnienie się śród angielskiéj publiczności zaprzątnień, wywołanych ostatniemi wycieczkami nauki i szarlataneryi na pole chorobliwych a przynajmniéj ekscentrycznych zboczeń organizmu umysłowego; odpowiadało zaś ogólniejszemu jeszcze przejawowi w moralnym nastroju i tendencyach tejże publiczności, bardzo powszechnemu, mianowicie nakłonieniu się goniących za aktualnością i za nowemi wrażeniami umysłów do nadzwyczajności wogóle i tajemniczości i zagadkowych problematów.

Dla współzawodników atoli Conway'a na polu powieściopisarstwa, tryumf jego stał się nadto wskazówką, hasłem, programem. Sto piór rzuciło się odrazu w wytkniętym przezeń kierunku; sto wyobraźni poszło o lepszą w wynalezieniu czegoś nadzwyczajniejszego jeszcze; i powieść sensacyjna oblekła nową formę, razem z kapeluszami i turniurami pilnujących się mody elegantek.

Stevenson Green zjawił się pierwszy z „Przypadkiem doktora Genkils i pana Hyde." *Doktór Genkils* i *p. Hyde* są jedną i tą samą osobą, czyli raczéj imiona *Genkils* i *Hyde* należą do jednéj i téj saméj osoby, która mieni się dwoistą i działa w pełném poczuciu téj dwoistości, rozszczepiającéj ją niejako na dwie różne od siebie temperamentem i całym moralnym ustrojem i fizycznie nawet rozdzielone istoty. — Zagadkowość tego „przypadku" nie podlega wątpliwości. Bodaj czy nie sięga oną nawet aż do mistyfikacyi. Oryginalność zdać się może wątpliwszą—zwłaszcza czytelnikom oswojonym z fantastycznemi pomysłami Hoffmanna, Edgara Poë i samego Lewis'a (w „Mnichu"). Ale czy jest co nowego pod słońcem? Toć samo rozbudzenie się ciekawości publicznéj w tym kierunku nie jest nowością. Jak Conway i Stewenson od Edgara Poë i Hoffmanna, tak Cumberland i Donato wywodzą się od Mesmera i starszych jeszcze poprzedników, ściągających niegdyś tłumy do swych kół magicznych, zaczarowanych zwierciadeł i magnetyzujących szaflików. Stevenson nie doczekał się stu wydań swéj książki, ale sprzedał sporo egzemplarzy, tak wiele, że niepoślednia ich liczba dostała się razem ze swoją mistyfikującą zdrowe, a drażniąca chore umysły zawartością do sąsiedniego kraju. Wczoraj spotkałem tu, w Paryżu, gdzie piszę, osobę, którą znam skądinąd jako mniéj więcéj rozsądnie się zachowującą w powszedniém życiu, którą każdy ze stołecznych rejentów uznałby za zdolną do prawnych działań wszelakich, a która zapewniała mię, że ma przyjemność znać i spotykać często inną osobę, młodą panienkę, posiadającą przymiot *rozdwajania się*.

I widziała ją rozdwojoną, na własne oczy, i gotowa przysiądz na to. (Przymiot ten osobliwy uchodzi zresztą za kalectwo w oczach obdarzonéj nim pacyentki; ale ma ona sobie objawioném, nie pamiętam jaką drogą, że pozbędzie się go, skoro wyjdzie za mąż. Jest to pocieszającą okolicznością, bo w saméj rzeczy położenie przyszłego małżonka mogłoby inaczéj przedstawiać pewne kłopotliwe strony. Chodzi o to tylko, czy się trafi ten małżonek).

Notabene, osoba, od któréj mam te szczegóły, nie czytała książki Stevensona, ani téj, świeżo tutaj w Paryżu samym wydanéj, w któréj mój przyjaciel p. Mouton *(Mérinos)*, znany humorysta i mistyfikator, uczynił się naśladowcą angielskiego powieściopisarza („Chimère“). Pomysł tego ostatniego przefiltrował się już przez drukowaną bibułę do przechodzącéj z ust do ust legendy i wędruje daléj tą drogą.

Za Stevensonem podążył Blackmore, znany zapewne czytelnikom przynajmniéj z imienia, profesyonalny sensacyonista, który tym razem jednak dał się wyprzedzić, i nie przekroczywszy dotąd cieśniny Kaletańskiéj, w saméj ojczyźnie swojéj tylko zbiera skromniejsze laury — co stanowi tém dotkliwszą dla niego przygodę, że jego bohater, *Tommy Upmore*, jest *fruwającym* bohaterem, posiadającym znowu przymiot czy kalectwo mimowolnego podnoszenia się od ziemi w powietrzne sfery. Prawda, że nowy ten zagadkowy fenomen jest tu raczéj alegoryą i pretekstem do satyrycznych oględzin społeczeństwa z powietrznéj wysokości, i że alegorya jest dość zimną, pretekst dziecinnym, wyobraźnia zaś czytelników, do których zwraca się Blackmore, żąda prawdziwéj nie zaś alegorycznéj fantastyczności, fantastyczności na seryo.

Zrozumiał to doskonale stary mistrz w tym zawodzie, znający jak nikt swoje rzemiosło, Wilkie Collins. A że, w dodatku, nie rzemieślnik to tylko ale i artysta prawdziwy, choć w rodzaju najmniéj artystycznym ze wszystkich, przeto rachując się z modą, nie zapomniał o sztuce i napisał „Heart and Science“ (Serce i Nauka). Bohaterem jego, fantastycznym jak należy, jest doktór, jeden z pierwszych w Londynie, który od lat kilku usunął się od praktyki i zamknął się w podziemném laboratoryum, zazdrośnie strzeżoném przed wszystkiemi oczami. Nikt nie wié, co on tam robi. Nikt odgadywać się nie ośmiela. Czasem tylko z podziemia odzywają się głuche jęki; raz zaś niespodzianie zjawiający się i na progu tajemniczéj pracowni zatrzymany nieznajomy zobaczył krew na rękach zagadkowego odludka. W ciągu powieści, stopniowo, jak sztuka każe, zagadka się rozjaśnia. Podziemne laboratoryum jest wiwisekcyjnym amfiteatrem, w którym wielki specyalista oddaje się zabronionym

przez prawo angielskie poszukiwaniom. Książka Wilkie Collins'a jest zarazem obroną tego prawa przeciwko nowoczesnym uroszczeniom miejscowych fakultetów medycznych i obroną uczuciowéj strony życia przeciwko nauce. Niegodziwy wiwisektor zostaje uprzedzonym ostatecznie w poszukiwaném przez się odkryciu przez młodego kolegę, który wyśledza poszukiwaną obustronnie tajemnicę pewnéj choroby umysłowéj, bez wiwisekcyi, pielęgnując po prostu i uzdrawiając młodą osobę, którą kocha i z którą się żeni — bo naturalnie jest romans w powieści Collins'a i romans ze szczęśliwém zakończeniem, jak każe zawsze sztuka, — sztuka, przynajmniéj, jak ją pojmuje, praktykuje i praktykować będzie do grobowéj deski sędziwy powieściopisarz.

Ale dzięki wiwisekcyi i jéj zagadkom, chorobie umysłowéj, z którą walczą obaj zapaśnicy i jéj tajemniczym przejawom, jest także w „*Heart and Science*“ modny pierwiastek, w takiéj dozie jakiéj trzeba. Collins pisze trochę powieści, tak jak doktorzy, których wprowadza na scenę, piszą recepty. I nie bez pewnéj naiwności, odsłania w przedmowach, któremi częstować lubi swych czytelników, sekret swych kombinacyi, manipulacyi i miskulancyi wielorakich. Ale bądź co bądź, przyznać mu to trzeba, kombinuje, manipuluje i miesza swoje ingredyencye nie źle — ze znakomitą przynajmniéj znajomością umysłowych organizmów, którym przeznacza te elaboraty. Można zastosować do niego to, co nieboszczyk Vilmessant, założyciel paryzkiego „Figara“, mówił o sobie, że jest wielu takich, którzy wiedzą lepiéj od niego jak się dziennik *pisze,* ale nikt nie wié lepiéj jak się dziennik *czyta.*

Collins wié lepiéj od kogokolwiek jak się czytają jego powieści i kto je czyta. Wié, że wiwisekcya np. ze swemi okropnościami jest przedmiotem częstych rozmyślań pośród sentymentalnych cór Albionu, ale wié i o tém, że na sto z pomiędzy nich, 99 rzuciło by jego książkę z obrzydzeniem, gdyby znalazł się w niéj jakowy drastyczny obraz tychże okrucieństw, taki jakiego skreślenie Zola czy nawet Daudet, we Francyi, poczytał by za konieczność, za ową „*scène à faire*“, o któréj mówi zawsze pierwszy ze spółczesnych krytyków miejscowych Sarcey. Nie zaniedbuje téż sędziwy pisarz udzielenia na wstępie uspakajającego w tym względzie zapewnienia. Laboratoryum wiwisekcyjne da się widzieć w jego powieści, ale z zamkniętémi szczelnie drzwiami. Niczyje oko nie zajrzy do wnętrza. Natomiast za naukową ścisłość wprowadzonych na scenę problematów i dokładność użytych technicznych wyrażeń, ręczy autor całym swym majątkiem. Rękopis był w rękach jednego z pierwszych doktorów Londyńskich przed oddaniem go pod prasę.

Przewertował też autor sporo słowników medycznych, specyalnych publikacyj, i t. d. Gdyby go naciśnięto, postarałby się o dyplom fakultetu...

Do téj saméj jednak co Hugh Conway fortuny nie dobił się także czcigodny dziekan sensacyonistów. Prawda że spotkał się z morderczą konkurencyą. Toć sama Mrs Oliphant, wystąpiła niespodzianie pośród zdumionych współzawodników ze wspomnianym już poprzednio „Synem czarownicy" *(The wizard's son)*, — tak jest; wstyd mi trochę za nią i za siebie, ze względu na to co powiedziałem wyżéj o jéj talencie, ale ten a nie inny tytuł przeczytałem na okładce. Czego zaś doczytałem się w środku, z tego niewiem czy potrafię zdać sprawę. Można było spodziewać się zresztą, że wyobraźnia (i tak nie nadto bujna) szanownéj autorki opuści ją w tym przypadku. Tylko znowu przypuszczać było można, że przyrodzony rozsądek i zmysł artystyczny ustrzegą ją przed pewnemi zboczeniami. Ale kiedy się raz wkroczy w sferę fantazyi.... Dość że syn czarownicy, czarownik sam, dokazuje dziwnych rzeczy na rozkazy pani Oliphant. Jest tam także niejaka „*Oona*", (zapewne krewna „*Uny*", królowéj czarownic Spencera), eteryczna istota, uosabiająca cnotę i nawracająca na dobrą drogę pewnego zbłąkanego młodzieńca.... Czytelnik skwituje mnie z reszty.

Widać zresztą pełno moralnych i filozoficznych tendencyj u téj *Oony* i w jéj otoczeniu, i tą stroną swoją wiąże się utwór pani Oliphant z innym jeszcze kierunkiem, obranym przez wyobraźnie rozpędzone w gonitwie za ideałem sensacyjnéj kreacyi — i 200,000 egzemplarzy. Fantastyczność jest szerokiém polem, a w liczbie rozmaitych *yzmów*, cieszących się w téj chwili przywilejem aktualności z tamtéj strony cieśniny, mistycyzm filozoficzno-religijny trzyma niepoślednie miejsce. Społeczeństwo angielskie przedstawia za dni naszych osobliwy widok moralnego organizmu, przesiąkłego religijnością, z „monadą religijną głęboko wszczepioną przez protestantyzm", podług wyrażenia francuskiego krytyka, ale któremu za ciasno nawet w luźniejszéj formie chrystyanizmu wytworzonéj przez wiek XVI, i który pasuje się przeto sam z sobą, miota się rozpaczliwie i szuka ucieczki w rozmaitych postronnych, mniéj lub więcéj ekscentrycznych formach religijnych.

O wyeksploatowanie téj to sytuacyi pokusiła się z kolei cała plejada *sensacyonistów*. Pierwszym u mety stanął Sinnet ze swoją „Karmą". Natrafił Sinnet, gdzieś między Londynem a Edymburgiem, na gromadę ludzi zwących się między sobą *neo-pytagorejczykami*, a wyznających religijno-filozoficzną doktrynę, stanowiącą kompromis między pytagoreizmem i budyzmem; przydzielił im, z własnego

natchnienia i własnéj woli, wielką kapłankę, *Karmę*, i obmyśloną przez siebie samego (gwoli większéj tajemniczości, zapewne) nazwę *okkultystów*, i zrobił z tego wszystkiego powieść. Szczęśliwymi ludźmi są ci *neopytagorejczycy* czy *okkultyści*; posiadają dar cudotwórstwa oraz przewidywanie przyszłości i możność wyzwalania się z więzów cielesnych dla odwiedzania sąsiednich planet i rozmawiania z tamecznymi mieszkańcami. O ile jednak nie przebywają na księżycu, (gdzie panuje podobno wielkie rozprzężenie obyczajów), muszą zachowywać się przykładnie, od tego bowiem zawisł los ich w przyszłém życiu, czyli w nowém wcieleniu ich duszy. Ma się rozumiéć bowiem migracya dusz stanowi zasadniczy dogmat téj religii. Bohater, a przynajmniéj jeden z głównych bohaterów powieści, stwierdza własnym przykładem tę dogmatyczną prawdę, jest on bowiem byłym, pięknym jak Apollo oficerem rzymskim,—w dawniejszém wcieleniu,—który pod imieniem Flaccusa dokonał strasznych spustoszeń pomiędzy matronami staréj Romy i dla tego pokutuje obecnie w mniéj powabnym kształcie Kambrydzkiego doktora...

Pewna liczba krytyków domyśliła się satyry w tym obrazie. Osobiście, nie wiem, czego się domyślać. Autor nie zdradził swoich rzeczywistych intencyi; wątpliwość zaś względem nich jest możliwą, bo oto obok Sinnet'a i jego „Karmy“ zjawia się Laurenty Oliphant ze swoją „Altiora Peto“, o którym to panu Oliphant słyszę, że wierzy jak w zbawienie swojéj duszy w tę *Altiorę Peto*, (co za imię dla kapłanki!) i w jéj ewangelią. Prawda, że ewangelia ta jest powabną. *Altiora Peto*, która zbadała wszystkie tajniki czułego uczucia wstrząsającego sercami ludzkości, głosi zasadę *wolnego kochania*, jako prowadzącą do *jedności* i do *spełnienia w jedności*, będącego terminusowym punktem naszych przeznaczeń. Trzeba tylko znaleść *duszę siostrę*. *Altiora Peto* szuka jéj dla siebie, (*prima charitas ab ego*), i znajduje ją w osobie młodego *Keith Heteringa*. „Połączywszy dusze nasze, mówi ona do niego, jesteśmy w równéj chęci oddania w ofierze duszy naszéj ludzkości całéj. Zaliż nie więcéj to niż wszystko, co może kościół i co mogą księża“? Oczywiście, odpowiada młody *Keith Hetering*, który ma duszę na zbyciu, i nawraca się natychmiast.

Ależ to szaleństwo! powie kto. Być może. Nie potrafię miéć zdania w tym względzie, chyba na tyle, że w materyi religijnéj szaleństwem nazywa się w ogóle, o ile miarkować mogę,—religia sąsiada. Nie potrzebuję zresztą miéć zdania tutaj. Jestem sprawozdawcą tylko. Bądź co bądź zaś, szalone czy nie, wszystko to pisze się, i co ważniejsza, *czyta* się. Szalone czy nie, wszystko to odpowiada pewnym prądom nurtującym dowodnie i jawnie tamtejsze społe-

czeństwo. Że może być coś chorobliwego w tych prądach, przyjąłem na wstępie. Ale istnieją one tam i pojawiają się we wszystkich kierunkach, we wszystkich sferach życia umysłowego. W sferze artystycznéj np. *pre-rafaelizm*, hołdujący sobie od lat kilku całą plejadę malarzy i rzeźbiarzy tamecznych, należy do téj saméj kategoryi zjawisk, ze swoją fanatyczną formułą, zamykającą piękno w odgrzebanéj, odległéj, przejściowéj i nowoczesnym instynktom najprzeciwniejszéj formie. I bądź-co-bądź, cała szkoła wyszła z tego chorobliwego prądu! I nie tylko prąd ten istnieje, ale rozwija się, przetwarza się i rozdwaja się, co jest najpewniejszém znamieniem względnéj przynajmniéj żywotności. Z *pre-rafaelizmu* wyszedł przed niedawnym czasem w téj saméj sferze *estetyzm*, religia *ideału subiektywnego*, piękna *bez formy*, uczuć i wrażeń rafinowanych do nieskończoności, ale bez *tworzenia*. Miss Rhoda Broughton w *Second Thoughts*, Vernon Lee w *Miss Brown* wyzyskali na rzecz powieściowego tematu i to zjawisko także, tak dziwne pośród najpraktyczniejszego i najwięcéj twórczego ze wszystkich ludów spółczesnych.

Ograniczam się i tu do pobieżnych wskazówek; i tym zaś wypada, abym położył koniec. Wytknąłem i starałem się uwydatnić główny kierunek spółczesnéj *sensacyjnéj powieści*. Wyszukiwać wszystkich jéj dróg nie mogę; nie dobiłbym się do mety. Może narażę sobie jednego i drugiego czytelnika, jedną i drugą czytelniczkę, którym zda się, że skrzywdziłem tego lub owego autora, tę lub ową autorkę w tym rozdziale—np. pana Crawforda, albo pannę Braddon. Ale dla czego szanowna sensacyonistka nie dopisała modnéj sensacyjności tym razem? Nie wiem o żadnym cudotwórcy, czy magnetyzerze jéj własnego pomysłu. P. Crawford wprowadził przynajmniéj na scenę w „*Mr Isaacs*“ indyjskiego czarodzieja....

Zdaje mi się zresztą, że wspomniałem o Miss Braddon w rozdziale poprzednim. Tak jest, powiedziałem dużo nawet o jéj „*Ishmael'u*.“ A mam téż przed sobą na biurku i inne jéj powieści z ostatniego roku, czy z ostatniego miesiąca: *Phantom fortune*, *Wyllard's Weird*; co jeszcze? cały stos! I miałem nawet zamiar zapoznania się z zawartością tego stosu. Cóż, kiedy nie mogłem. Próbowałem od jednego końca, próbowałem od drugiego, i nie mogłem. Spróbuję jeszcze kiedyś i wtedy dodam jeden rozdział jeszcze do niniejszych szkiców. — Byle miss Braddon nie dopisała tymczasem zbyt wielkiéj liczby tomów! Na teraz muszę dać folgę sobie i czytelnikowi.

---

Skończyłem moje zadanie. Może powinienem był wspomnieć o jednym jeszcze rodzaju, dla którego szukam napróżno polskiego

nazwiska, a który pod angielskiém swojém nazwiskiem—*sport-novel*, cieszy się pośród swoich niepoślednią wziętością. Przyznam zresztą chętnie, że kiedy się niema nic lepszego do roboty, wychodzące pod tą firmą na świat płody wyobraźni stanowią dość przyjemne towarzystwo. Ośmielę się nawet dodać, że Oktawiusz Feuillet musiał, podług moich prywatnych domysłów, spędzić sporo czasu w tém towarzystwie — zwłaszcza przed napisaniem „*Julii de Trecoeur*"; a panna La Ramée (Ouida), dopóki nie zamieszkała we Florencyi, obcowała z niém często, z wszelką pewnością. Widać tam nieprawdopodobnie śmiałe i zręczne amazonki, jeżdżące na nieprawdopodobnych koniach. Widać sportsmanów, którzy nie zdejmują czerwonego fraka nawet na noc. I dużo, niezmiernie dużo *flirtu*. Whyte Melville jest pisarzem celującym w tym rodzaju, a „*Kate Coventry*" jest arcydziełem Melville'a. Może powinienem był rozpisać się dłużéj o Melville'u. Ale coś mi atrament zasechł w kałamarzu i pióro nie dopisuje. (Fatalna sprawa z temi gęsiemi piórami!). Zrobię lepiéj: odeślę ciekawego czytelnika do *Revue des deux Mondes* (zeszyt z d. 15-go maja 1874). Rodzaj o którym mowa znalazł tam należyte uwzględnienie w osobnéj monografii i Whyte Melville także.

*K. Waliszewski.*





PRZYPISYWANA A. MICKIEWICZOWI

# „KARYLLA"

## I ŹRÓDŁO JÉJ.

---

### I.

Piąta nowela czwartego dnia czyli trzydziestapiąta w porządku stu powiastek, które „Decamerone" Boccaccia zawiera, opiewa jak następuje (w przekładzie polskim Władysława Ordona):

W Męssynie żyli trzej bracia, młodzi kupcy, po śmierci ojca swego, który z San Gemignano pochodził, znacznego majątku dziedzice.

Mieli oni jednę siostrę, imieniem *Lizabeta*, któréj pomimo że piękna, młoda i pełnoletnia była, z niewiadomego powodu za mąż nie wydawali! W jednym z kantorów do nich należących, służył młody Pizańczyk, imieniem *Lorenzo*, zajmujący się pieczą i prowadzeniem wszystkich ich interesów, dorodnéj postaci i miłych obyczajów człowiek. Lizabeta, mając go ciągle na oczach, gwałtowną do niego zapłonęła miłością. Lorenzo spostrzegłszy to, rzucił na bok wszystkie dotychczasowe miłostki swoje i zwrócił się także ku niéj, skąd wynikło, że przy wzajemnéj skłonności w krótkim czasie porozumieli się z sobą i zaspakajali nawzajem najgorętsze pragnienia swoje.

Nie umieli jednakże przy tych zobopólnych rozkoszach i schadzkach ostrożności zachować. To też najstarszy brat Lizabety, sam niepostrzeżony, spostrzegł ją, gdy pewnéj nocy wkradała się do pokoju Lorenza. Jal kolwiek bolesném mu było to odkrycie będąc jednak roztropnym młodzieńcem, nie zrobił na razie najmniejszego hałasu, ale wpośród tysiącá krzyżujących się planów i myśli doczekał ranka. Gdy zaś zaświtało, wezwał pozostałych braci i opowiedział im co téj nocy widział. Po długiéj i dojrzałéj rozwadze wszyscy trzej postanowili dla ustrzeżenia siebie i siostry od hańby całą tę rzecz milczeniem pokryć i nie pokazać po sobie, że cośkolwiek widzieli lub odkryli, a tymczasem szukać dogodnéj sposobności do uwolnienia się od tego wstydu w domu, nim groźniejszym się stanie, po cichutku, bez niebezpieczeństwa i szkody.

Wierni temu postanowieniu gawędzili i żartowali z Lorenzem jak zwyczajnie, a wypatrzywszy sposobną chwilę, pod pozorem przechadzki wyprowadzili go za miasto, Przybywszy zaś na odosobnione i samotne miejsce, skorzystali z okazyi, zamordowali go nim się spostrzegł, co mu grozi, i w tajemnicy zagrzebali jego ciało.

Za powrotem zaś do Messyny rozgłosili, że Lorenzo wysłany został przez nich w interesach handlowych, co nie wzbudziło niczyjego podejrzenia, wiadomo bowiem było wszystkim, że go do tego często używali! Gdy jednak Lorenzo nie wracał i nie wracał, Lizabeta przejęta boleścią z powodu tak długiej nieobecności jego, często i drobnostkowo o niego się wypytywała. Otóż pewnego dnia, na podobne i natarczywsze jeszcze niż zwyczajnie jéj pytania, jeden z braci odrzekł:

„Co to ma znaczyć? Co ty masz z Lorenzem do czynienia, że tak się o niego wypytujesz? Jeżeli raz jeszcze słówko piśniesz o tém, to ci tak odpowiemy, jak na to zasłużyłaś“.

Odpowiedź ta przygnębiła i strapiła nad miarę dziewczynę. Smutno jéj było i trwożliwie, a sama nie wiedziała dlaczego. Nie dowiadywała się już więcéj, ale nocami często przywoływała kochanka, pełna tęsknoty, błagała go, aby przybywał i żaliła się wśród rzewnych łez na jego tak długą nieobecność.

I tak w ciągłém oczekiwaniu i bezustannym smutku przebyła czas pewien. Nareszcie pewnéj nocy, w któréj szczególnie długo go opłakiwała i znużona we łzach zasnęła, pojawił się przed nią we śnie Lorenzo, blady i ze skrzywioném z bólu obliczem, w potarganych i zabłoconych szatach, i zdawało się jéj, że tak do niéj przemawia:

„Ach, Lizabeto! przywołujesz mię bez ustanku, trapisz się tak długo nieobecnością moją i obwiniasz mnie za to wśród łez nieutulonych. Wiedz jednak, że ja powrócić nie mogę, w dniu bowiem, kiedyśmy się po raz ostatni widzieli, zamordowali mnie bracia twoi“.

Poczém wskazał jéj jeszcze miejsce, gdzie go zagrzebano, powtórzył, że go już więcéj ani wołać ani oczekiwać nie powinna, i zniknął. Dziewczę ocknęło się i gorzko płakać poczęło, święcie wierząc temu sennemu widzeniu.

Na drugi dzień nie miała wprawdzie odwagi zmusić do wyznania braci swoich, postanowiła jednak udać się na wskazane miejsce dla przekonania się, czy co we śnie widziała, prawdą było. Uzyskawszy tedy pozwolenie na przechadzkę za miasto, w towarzystwie pewnéj dziewczyny, która dawniej w domu ich służyła i wszystkie jéj tajemnice znała, udaje się na owe miejsce i, gdzie pod liściami najpulchniejszą ziemię znalazła, kopać zaczyna. Niedługo pracować było trzeba.

Ledwie kilka chwil minęło, natrafiła na całe jeszcze, nie tknięte zepsuciem ciało swego kochanka i aż nadto dowodnie prawdziwość snu swego poznała.

Niewymownie tém odkryciem przejęta, czuła jednak, że w tém miejscu łzom swoim zupełnéj swobody dać nie może. Chętnie byłaby całe ciało zabrała z sobą, aby je uczciwie pogrzebać. Ale to było niemożliwą rzeczą. Poprzestała więc tylko na odcięciu, jak najzręczniej umiała, głowy od tułowiu, za pośrednictwem noża pożyczonego w okolicy przez służącą, oddała głowę zawiniętą w chustę towarzyszce swojéj do niesienia, i pokrywszy resztę drogich szczątków nanowo ziemią, powróciła niepostrzeżona od nikogo do domu. Tutaj przybywszy, zamknęła się z ukochaną głową w swoim pokoju i nad nią schylona okrywała ją tysiącem pocałunków i oblewała ją tak hojnemi łzami, że te ją całkiem obmyły. Następnie w schludną chustę ją zawinąwszy, włożyła w piękne naczynie z rodzaju owych, w których majeranek i wasylki hodują, przysypała ziemią, i zasadziła nad tém wszystkiém kilka pięknych szczepów salernitańskiego wasylka. Podlewała zaś tę roślinę tylko pomarańczową lub różaną wodą albo własnemi łzami.

Przy tém siadywała zwykle koło tego wazonu, zawierającego w sobie cząstkę ukochanego jéj Lorenza, i z niezmierną tęsknicą całemi godzinami weń się wpatrywała. Po pewnym zaś czasie takiego wpatrywania się, chyliła się nadeń i zaczynała płakać tak obficie a płakała tak długo, że całe naczynie i kwiat łzami swojemi zraszała. Przez co, a także przez długą i troskliwą pieczę i przez żyzność, któréj ukryta głowa Lorenza ziemi użyczyła, wyrosła owa roślina najcudowniéj i nieporównaną woń rozsiewała.

Ale obyczaje te i obejście się Lizabety z wazonem zauważyli w krótce sąsiedzi. Słysząc więc braci dziwujących się, że piękność siostry ich z dnia na dzień marnieje i oczy wyglądają jak zagasłe, rzekli do nich:

„Zauważaliśmy że ona codziennie tak a tak postępuje“.

Bracia usłyszawszy to i przeświadczywszy się o prawdzie doniesienia sami, strofować ją za postępowanie podobne zaczęli; a gdy to nic nie pomagało, potajemnie wazon jéj zabrali. Lizabeta spostrzegłszy swoję stratę, długo i natarczywie o zwrot wazonu się dopominała; gdy zaś prośby jéj i nalegania pozostały bez skutku, wśród ciągłych skarg i jęków rozniemogła się nareszcie, wciąż tylko o wazon swój wołając.

Bracia dziwili się nie pomało téj upartéj żądzy i wpadli wreszcie na myśl poszukania co w tém naczyniu tak szczególnego być może. Wyrzucili więc ziemię z niego i znaleźli chustę a w niéj głowę, niecałkiem jeszcze strawioną, tak że z kędzierzawych włosów na niéj, że do Lorenza należała, poznali. Strwożeni tym widokiem i przewidując, że zbrodnia ich jawną stać się może, nie mówiąc ani słowa nikomu, po urządzeniu interesów swoich opuścili skrycie Messynę i do Neapolu się przenieśli.

Dziewczę zaś, nie ustając w płaczu i dopominając się o swój wazon, wśród łez i jęków umarło.

Taki to był koniec smutnych dziejów téj miłości. Z czasem zdarzenie to stało się głośném i ułożono nawet pieśń z niego, dotąd jeszcze powszechnie śpiewaną, która się zaczyna od słów:

*O jakiż to chrześcijanin srogi*
*Porwał mi kwiat ukochany?*

Tak opiewa nowella Boccaccia; streszczenie zaś jéj (Boccaccio zamiast tytułów podaje streszczenia, które tłumacz pominął), brzmi jak następuje:

*I fratelli de Lisabetta uccidon l'amante di lei: egli l'apparisce in sogno e mostrale dove sia sotterrato. Ella occultamente disotterra la testa e mettela in un testo di bassilico e quivi su piagnendo ogni di per una grande ora; i fratelli gliele tolgono, ed ella sene muor de dolore poco appresso.*

## II.

Wiadomo powszechnie, że Boccaccio treść swego *Decamerone* czerpał z wielu bardzo źródeł, których dziś ogół nie zna i za któremi tylko uczony specyalista poszukuje. Wykwintna forma, genialny styl, z równą łatwością, swobodą i wdziękiem lgnący tak do tragicznych jak do komicznych sytuacyj, wyrugowały ciężkie, rubaszne, rozwlekłe opowiadania dawniejsze. *Decamerone* stał się wzorem nowego stylu, a czytany, tłumaczony, rozchwytywany wszędzie, obfitą krynicą, istną hipokreną, z którego poeci wszystkich narodów, pierwszorzędni geniusze, chluba ludzkości, natchnienie czerpali.

Przemiany jakich utwór pierwotny doznaje, przechodząc na własność obcą, mogą być bardzo rozmaite. Może się zmienić forma: np. utwór dramatyczny przybrać formę powieściową itp.; może się zmienić treść: zmiana dotyczy jakiegoś drobnego szcze-

gółu, lecz też staje się tak znaczną, że zaledwie jakiś szczegół pozostał nietknięty, a między témi krańcami istnieje bardzo długi szereg to drobniejszych to bardziéj istotnych przeobrażeń.

Przypominamy te sposoby postępowania literackiego, gdyż sprawa łączy się ściśle z tematem niniejszéj rozprawki. Kto zna treść „Karylli“, powiastki przypisywanéj A. Mickiewiczowi, a przeczyta wyżpodaną powiastkę Boccaccia, tego uderzy niezawodnie podobieństwo obu utworów. Przeczytawszy samo streszczenie historyi o Lizabecie, w którym główna osnowa jasno uwydatniać się musi, zawoła: Wszak to Karylla!... Lecz zestawmy dokładnie co obu opowiadaniom jest wspólne!

Rodzina kochanki jest zamożna, kochanek jest ubogi, a kochanka ośmiela go. Kochanka pozostaje pod władzą trzech braci, którzy niechętném okiem śledzą stosunek miłosny i postanawiają kochanka sprzątnąć. Kryją nienawiść przed swą ofiarą i podstępem i zdradą pozbawiają ją życia i zakopują zwłoki. Nikt nie wie o popełnionéj zbrodni, na powtarzające się pytania siostry odpowiadają mordercy wymówkami. Kochanka srogą tęsknotą dręczona, obfitemi łzami opłakuje i przywołuje kochanka, który się we śnie zjawia, w okropnym stanie jak go zamordowano, opowiada o zbrodni i miejsce wskazuje, gdzie zwłoki leżą. Kochanka udaje się na wskazane miejsce, kopie gdzie ziemię świeżo naruszoną spostrzega, znajduje zwłoki, głowę odcina, nanowo resztę zwłok zasypuje a głowę ze sobą do domu zabiera. Tam chowa ją do wazonu, pokrywa ziemią i kwiat zasadza; nikomu nie wyjawia, że wié o zbrodni i że głowę zamordowanego w wazonie ukrywa. Kwiat rozwija się jak najpiękniej, lecz właścicielka jego więdnie, oczy jéj gasną. Niezwykłe przywiązanie do wazonu budzi podejrzenie; bracia zabierają wazon, tłuką go, z przerażeniem poznają głowę i drżą na myśl, że zbrodnia na jaw wyjść może. Kochanka nie przestaje upominać się o wazon i płakać, a nareszcie umiera. Pamięć zdarzenia zachowała się w piosence ludowéj, któréj początkiem tak jedno jak drugie opowiadanie się kończy.

## III.

Podawszy dotąd główne rysy, które nowelce Boccaccia i „Karylli“ są wspólne, zastanowić się też wypada nad różnicami, jakie pomiędzy obu opowiadaniami zachodzą, Otóż najpierw zmieniona jest scena, na któréj dzieje nieszczęśliwéj miłości się odgrywają. Włochy zamieniły się na Litwę, a to pociągnąć musiało za sobą

nietylko zmianę imion Lorenzo i Lizabeta, ale ważniejszą, tyczącą się stosunków społecznych, wśród których bohaterowie się obracają. Dla kupców i ich kantorzystów nie było miejsca na Litwie, tu istnieć mogli chyba wojacy, ziemianie, pasterze. Ta zamierzchła, nierozjaśniona, z poza mgły nader uroczo i romantycznie wyglądająca, ścisłą datą nieoznaczona chwila z dziejów Litwy, to tło ojczyste, na które autor dzieje nieszczęśliwéj miłości przeniósł, pociągało go żywo ku sobie i rozbudziło jego wyobraźnię. Na krajobrazie, nad którym malarz pracuje, przestrzeń wolna pomiędzy bardziéj oddalonemi od siebie drzewami da się nowemi drzewami zapełnić, jedna osoba więcéj da się umieścić, a ogólny charakter obrazu się nie zmieni: podobnie przedstawia się postępowanie autora „Karylli“ z historyą o Lizabecie.

O przemianie włoskich kupców na litewskich ziemian, wojaków, pasterzy już wspomnieliśmy. Poniekąd z tą przemianą wiąże się inna: mianowicie pojęcie miłości Lizabety i Lorenza u Boccaccia było trochę zbyt — włoskie dla Litwinów, a to tak dla owych wymarzonych w powieści, jak dla ich potomków, którzy „Tygodnik Wileński“ prenumerowali. Wplótł téż autor „Karylli“ do opowiadania Boccaccia wiele szczegółów, które obecnie razem zbierzemy. Otóż do autora „Karylli“ należą: propozycya najstarszego brata, aby Karylla innemu rękę oddała; zakaz widywania się z kochankiem a potém pozorne braci z nim pojednanie; polowanie w celu dokonania zbrodni; szczegóły o owcach, psie i chatce Saria (wypływające z charakteru pasterskiego, który mu autor nadał); okoliczność, że Karylla *w miejscu schadzek z kochankiem* zasypia, *we śnie wstaje i daléj idzie* a na miejscu, gdzie zbrodnię popełniono, się budzi; że głowę odcina *w obłąkaniu*. Braciom, których imion Włoch nie wymienia, nadał nasz autor nazwy (wprawdzie nie litewskie, ale téż nie włoskie), przedstawił téż obszerniéj ich naradę, w któréj dwaj głos zabiérają, ale ich nie indywidualizował. Dodał postać ojca, prawdziwy typ sielankowy, i tym sposobem zapewnił sobie prawo własności do początku powiastki. Swoją drogą tak ów sielankowy starzec, jak téż ów pastérz-kochanek, należą do repertoaru szablonowéj poezyi o Filonach i Amaryllach. Autor polski pominął zupełnie służącą-powiernicę, przez co rzecz, którą w tylu innych względach skomplikował, w tym bardziéj uprościł. Otóż służąca Lizabety tylko raz występuje, aby pójść po nóż i głowę do domu zanieść; w organiczną całość powieści ta postać nie wchodzi. Autor „Karylli“ obszedł się téż bez téj pomocy; nóż jest zakopany tuż koło trupa, a Karylli wracającéj do domu bracia nie postrzegają, gdyż wtedy w domu ich niéma. Dobrze świadczy o zmyśle

estetycznym polskiego autora, że czyn, odrazę budzący, żadną miarą niedający się pogodzić z charakterem czułéj kochanki, t. j. odcięcie głowy, przedstawia jako skutek obłąkania; nóż pod ręką leżący sam rozdrażnionemu umysłowi bardzo łatwo myśl nasuwa którą Karylla powzięła. Jakże nienaturalném i wstrętném wygląda wobec tego postępowanie Lizabety, która po nóż posyła, głowę odcina i służącéj do miasta zanieść ją każe! Karylla zaś sama ukochaną głowę do domu zanosi, nie myśląc o niczém innéni, nie myśląc o tém, że bracia ją spostrzedz mogą, bo cały jéj umysł jednym tylko przedmiotem zajęty.

W tonie opowiadania okazuje „Karylla" wyższy stopień sentymentalizmu, a treść jéj wkracza bardziéj w dziedzinę niepowszedniości niż w historyi o Lizabecie. I tak już samo tło bajeczno-sielankowe ze wszystkiémi następstwami, które pociąga za sobą, różni się bardzo od zwyczajnego, jaki mamy w historyi Boccaccia; daléj zawiera „Karylla" takie nadzwyczajne zjawiska, jakich u Boccaccia niema, mianowicie wędrówkę śpiącéj Karylli po górach i dolinach i obłąkanie jéj.

Chociaż „Karylla" ma większą objętość a opowiadanie w niéj toczy się znacznie powolniéj niż w historyi o Lizabecie, jednak koniec autor polski przyśpieszył a względnie skrócił, przyczém zmienił rzecz o tyle, że bracia sami postrzegają przywiązanie siostry do wazonu (co naturalniejsze aniżeli doniesienia sąsiadów u Boccaccia) i że nie uciekają, poznawszy co wazon zawiera.

Nakoniec podnosimy jednę jeszcze bardzo ważną różnicę „Karylli" od opowiadania Boccaccia. O naturze, o krajobrazie, który Włoch zupełnie pomija, nie zapomina nigdzie autor polski; wprawdzie opisów nie podaje, ale znajdzie się tam zawsze jakiś szczegół w tym kierunku, a razem wszystkie wytwarzają w duszy czytelnika pewne wyobrażenie o charakterze miejscowości i przyrody, wśród któréj się rzecz odbywa.

## IV.

„Karylla" uchodziła dotąd za utwór oryginalny, którego autorstwo przypisywano Mickiewiczowi; toteż w nowszych wydaniach Mickiewicza znajdujemy pomiędzy pismami poety wszędzie także „Karyllę".

Czy mógł Mickiewicz w czasie, kiedy „Karylla" powstała, znać Boccaccia? Pozytywnego świadectwa, że go znał wtedy, nie mamy. Ale wiemy, że Mickiewicz w ciągu studyów uniwersyteckich zajmował się językiem włoskim. Ponieważ nauka języka za-

zwyczaj nie odbywa się bez czytania wzorowych autorów, a Boccaccio jest klasycznym twórcą prozy włoskiéj, bardzo łatwo przypuścić można, że wyjątki z „Decamerone“, a właśnie w tak przyzwoitym tonie trzymane jak historya o Lizabecie, używane były przy nauce. Zresztą Mickiewicz, który już wcześnie we wszystkich prawie literaturach znał co wielkie i wybitne, jak to widoczna we współczesnéj „Karylli“ rozprawie o „Jagiellonidzie“, czy mógł nie znać Boccaccia, który nietylko dla włoskiéj, ale dla literatury powszechnéj ma znaczenie ogromne!

Z przekładem „Decamerona“ na język francuski (polski nie istniał wtedy), spotkać się nie było trudno, gdyż Boccaccio, z powodu wolnéj treści i drastycznego stylu przeważnéj części swych powiastek, liczył i liczy bardzo wielu wielbicieli, którym o literacką wartość jego nie chodzi wcale. Korzystać z „Decamerona“ mógł tedy każdy, niekoniecznie tylko znający język włoski. Uwagi powyższe o Mickiewiczu rzuciliśmy tylko mimochodem, gdyż kwestyą, kto napisał „Karyllę“, na uboczu pozostawiamy.

Historyą o Lizabecie poeta niemiecki XVI stulecia, Hans Sachs, obrobił w formie dramatycznéj; wziął ją z Boccaccia. Że autor „Karylli“, ktokolwiek był nim, nie z Hansa Sachsa czerpał, na to dowodu, zdaje się, nie trzeba; zresztą w owych czasach nie istniały wcale podręczne wydania Hansa Sachsa. Gdyby zaś zachodziła wątpliwość, czy z Boccaccia rzecz wziętą została, to uchyla ją zakończenie „Karylli“ stanowczo. Tak w „Karylli“ jak u Boccaccia kończy się opowiadanie jednakowo, mianowicie zdaniem, że jeszcze lud o zdarzeniu śpiewa, i podaniem początku pieśni ludowéj. Mimochodem wspominając, jest to jedyna powiastka w całym „Decamerone“, która się w taki sposób kończy; zważywszy zaś wszystko, cośmy powyżéj o podobieństwie obu utworów powiedzieli, trudno przypuścić, jakoby to sam przypadek zrządził, że obie powiastki zupełnie podobnemi zdaniami się kończą.

Autor polski potrzebował tylko początek pieśni włoskiéj zastąpić początkiem pieśni litewskiéj; trudność, że treść pieśni nie odpowiadałaby treści opowiadania, ominąć mógł w ten sposób, że sam wiersz jeden ułożył i jako początek pieśni litewskiéj podał. W taki sposób powstał wiersz:

„Karylla piękna, narskich łąk królowa“ (1)—

a ogół czytelników wierzył zapewne, że pieśń taka istnieje.

---

(1) Tom szósty Roczników Warszawskiego Towarzystwa przyjaciół nauk (Warszawa 1810) zawierał między innemi obszerną rozprawę o narodzie i języku litewskim. „Pomiędzy próbkami“ języka litewskiego autor rozprawy podał pieśń litewską wraz z tłómaczeniem polskiém, rozpoczynającą się od słów:

Poeta usposobiony sentymentalnie, znalazł w powiastce Boccaccia bardzo sympatyczny temat, jaki też ówczesnej publiczności do gustu przypadał. Pochwycił go żywo, puścił wodze wyobraźni, przeniósł go na ziemię ojczystą, ozdobił w rysy nowe, ubrał w rymy żale Karylli. Rzecz wyszła bezimiennie (któż zresztą byłby się odważył wymienić zakazane imię sprosnego Boccaccia!)—więc autor polski sumieniu swemu nic zarzucać nie potrzebował.

---

Wanda piękna, wszystkich łąk królowa. Treść téj piosenki nie ma nic wspólnego z tematem Karylli. Widocznie na wzór zacytowanego początku pieśni litewskiéj utworzony został wiersz, rzekomo rozpoczynający nieistniejącą pieśń gminną o Karylli. (Imię Karylla przypomina słowo litewskie oznaczające królowę).

Lwów, w czerwcu 1887 r.

*Dr. A. Zipper.*

Baliński autor.





# WSPOMNIENIE
# O KAROLU KURPIŃSKIM
## na 100-letni jego jubileusz 1885 roku.

---

Poezya i nauka, malarstwo, sztuka dramatyczna i muzyka najobszerniéj pojęta, najsilniéj rozkwitają u nas na schyłku przeszłego i w biegu obecnego stulecia. W chwili, gdy świadkowie ubiegającéj doby kończą w melancholii, jak Naruszewicz, Kniaźnin, Rejtan, lub jedzą gorzki chléb więzień w Ołomuńcu, jak Kołłątaj, wówczas, na schyłku istnienia politycznego, powstaje teatr samodzielny. Buda koczowniczego komedyanta (jak wówczas mówiono), Bogusławskiego krąży ze swemi sztukami, wszędzie rozumianemi, ze Lwowa, Lublina i Krakowa austryackiego, do pruskiéj Warszawy i Poznania, do rosyjskiego Wilna..... Melpomena, Euterpe i Terpsychora, wbrew łacińskiemu przysłowiu, że milkną Muzy, gdzie Bellona przemawia, właśnie z jéj zamętu wypłynęły, jak arka z wód pierwotnego potopu. Z jednéj téż strony Bogusławskiego, trójca pierwszych kompozytorów operowych: Kamiński, Stefani, Elsner; z drugiéj trójca zasiewców nowych idei: biskup Krasicki, Andrzéj Zamojski b. podkanclerzy, legionista Godebski Ksawery — błyszczą jak siedmiofarbna tęcza na ciemném niebie potopu.... Karol Kurpiński urodzeniem, w części wychowaniem, sięga poprzedniego okresu. Chociaż wogóle znać na nim tchnienie nowszych już czasów, głównie jest on łącznikiem między okresem zamkniętym już dziejów a rozpoczynającym się. Wierny tradycyi swych poprzedników, opiera ledwo rozkwitłą z dzieciństwa operę naszą na gruncie rodzinnego języka, z przyczyn, które tak wyjaśnia (1):

---

(1) Wspomnienia Karola Kurpińskiego s podróży 1823 (rękopis 2-zeszytowy, formy książkowéj, str. 116 i 140) zesz. I str. 49 i nast. z racyi *Tankreda* w Paryżu 28 kwiet.

„Opera włoska jest tylko dla jednéj klasy ludzi, t. j. dla pierwszego tonu. Od bardzo dawnego czasu, aż dotąd, gdzie tylko utrzymywano włoskie opery, lud na nich nie chciał bywać i nie bywa, bo nie rozumié języka. Nie mogą więc inne narody poprzestać na saméj włoskiéj operze. *Niech biorą od Włochów wzory, ale niech je naturalizują* do opery narodowéj, która *miwowolnie przez własny język oddzielne rysy miéć musi. I gdyby jéj nie było, nie byłoby może i śpiców narodowych*, a co gorsza byłby w narodzie zatamowany przystęp do upowszechnienia coraz wyższego smaku muzykalnego, jaki już jest we Francyi, w Niemczech i samo z siebie we Włoszech, co narodowym śpiewają językiem. Zaczynają to już postrzegać nawet Anglicy. Najmylniejsze (bowiem) rozumowanie jest, że narodowcy jedynie przez nawyknienie do włoskiego śpiewu, potrafią wydoskonalić własną operę. Nie, nigdy, choćby przy największych kosztach. Kompozytorowie jedynie są w stanie wznieść ją i utwierdzić, zastanawiając się nad *naturą swego języka* i stosując do niego *właściwą* mu melodyą (1). Inaczéj koszt ten zdawałby się być łożonym w celu sprawienia przyjemności jednéj tylko klasie narodu, od czego nas Boże uchowaj. Na poparcie mego twierdzenia (pisze Kurpiński) przytaczam tu utrzymywaną od dawnych czasów włoską operę w Dreźnie, na któréj lud nie bywa, a która nietylko w niczém niepoprawiła opery niemieckiéj, ale jéj owszem ciągle przeszkadzała. Teraz ją dopiéro poparł kompozytor Weber. Również w Wiedniu, gdzie dopiéro od czasu Mozarta nabrała znaczenia w całéj Europie. Toż samo działo się w Paryżu, gdzie dopiéro kompozytorowie oper francuskich upowszechnili gust do muzyki w całym narodzie. *Powtarzam, naśladujmy ile można piękną giętkość* śpiewu włoskiego, ale rysunkiem jego niech będą *wyrazy naszego języka.* Śpiewajmy pięknie ale dla całego narodu.“

Myśli te, będące tylko ze swéj strony wprowadzeniem w czyn zadań teatru, jak go pojmował Bogusławski, i gwoli czemu stworzył szkołę dramatyczną, jednocześnie oddając w ręce rządu swój teatr, wyjaśniają i całą zasługę Bogusławskiego, że przez uczynienie teatru instytucyą, niezależną w istnieniu od kaprysów i zmiennych gustów publiki, dał mu możność kształcenia i kierowania w wyższe i zdrowe szlaki sztuki tych gustów. Myśli te są zasługą i Kurpińskiego, który całą swą działalność kompozytorską i pedagogiczną

---

(1) Stosowanie rytmu wyrazów do muzyki, podobno jest Kudlicza zasługą i odkryciem w 1811 zrobionóm, pod wpływem tekstu *Don Giovanniego* Mozarta. Przekłady Kruszyńskiego od 1817 są epoką, ale wprowadzenie rymów męskich do libret, oraz wypowiedzenie zasady i praktykowanie stanowcze jest własnością Kurpińskiego.

w tym kierunku wytężył, a tu działalność ostatnia nie ściąga się właściwie do kształcenia profesyjnego. Kurpiński nie uczył grać na fortepianie, który zresztą go nie obchodził. On uczył muzyki wogóle, uczył ją wykonywać na scenie, jéj wykonywaniem uczył słuchaczów.

Pod kierunkiem Kurpińskiego powstali nietylko śpiewacy, orkiestra, ale nauczył się słuchać muzyki i ogół. Napisał Kurpiński pierwsze podręczniki do nauki fortepianu i harmonii, a w tym razie może więcéj waży fakt niż jego wartość. Podręczniki należą tylko do bibliografii, ale wpływ pedagogiczny Kurpińskiego musiał być potężny, skoro ostatnie jego drgnienia należą do najświetniejszych okresów naszéj muzyki dramatycznéj. Między Kamińskim a Moniuszką przeskok jest tak wielki, odległość tak znaczna, że tylko działalność Kurpińskiego je tłómaczy.

Dziś zresztą przeglądając utwory jego, czytając jego zdania— nie możemy zawsze i wszędzie dzisiejszéj miary do nich przykładać, bo choć to był kompozytor, pedagog muzyczny, przecie zawsze był to tylko misyonarz prawie nieznanéj prawdy, głosiciel wiary mało jeszcze mającéj wyznawców. Wielekroć na nim samym znać, że to nowicyusz..... Dziś wprawdzie co do kompozytorów i pedagogów stosunki się polepszają, a ogłada muzykalna na ogóle jest widoczną. Przecie wiedzy i zamiłowania głębszego w muzyce nie ma tak rozwiniętych jeszcze, by wolno nam było, czy to ze stanowiska wiedzy specyalistów, czy ogłady mas, sądzić surowo Kurpińskiego.

Tych kilka słów uważaliśmy za potrzebne tu wtrącić, by powstrzymać zawczesną ironią przy niektórych opiniach naszego muzyka.

Przechodząc teraz do krótkiéj jego biografii, moglibyśmy w niéj znaleść wiele punktów stycznych z żywotami sławnych mistrzów zagranicznych. Przedewszystkiém Kurpiński jest pierwszym z muzyków, którego tak wielka spotkała odznaka, że na jego cześć wybito medal 1819 r. i wręczono z dokumentem, poświadczonym przez najznakomitsze z różnych względów osobistości. Syn organisty wiejskiego i sam organista zrazu, odbiera pochwały żony owczesnego namiestnika królewskiego, księżnéj Zajączkowéj, ministra oświaty Stanisława Potockiego, Juliana Ursyna Niemcewicza, towarzysza Kościuszki, autora „Śpiewów historycznych." Ze względu, że uprzedzenia społeczne i różnice stanowe dopiéro się wówczas łamały, i że im wbrew, tylko muzyką w kraju rycerskim Kurpiński zyskał taką odznakę publiczną — tego dość akcentować nigdy nie można. Tém mniéj o tém zapominać się godzi, że najprzód ogół, mimo dyalogów, sztuki dramatycznéj nie umiał cenić z punktu wi-

dzenia estetycznego, gdyż dyalog w XVII i XVIII w. był tylko uscenizowanym niezgrabnie panegirykiem, był tylko umizgiem żaków do sakwy, piwnicy i śpiżarni szlachcica lub pana, dla którego dyalog „wyprawiano“.

Nie dla jednego szlachcica z czasów Kurpińskiego była jego opera takim dyalogiem.

Powtóre, muzyka była wprawdzie ciągłą towarzyszką ziemianina dawnego, ale stosunek muzyka do niego wyrażał się stosunkiem sługi do pana, bandurzysty do rycerza.

Na każdym dworze, najpóźniéj od XVI wieku, utrzymywano kapele i ten zwyczaj przetrwał do czasów Kurpińskiego (1). Do każdéj kapeli kształcono dworskim kosztem zdolnych muzyków, i nieszczędzono sutych nawet wydatków. Wszakże zdanie z tych czasów dochowane potwierdza tylko powyższy nasz aforyzm o poniżeniu społeczném takich kapelistów. Mianowicie snać długą praktyką było wdrożone przekonanie, że „każdy muzyk, którego da pan ćwiczyć, ma sobie pana i dobrodzieja swego za tyrana i łatwo szuka sposobności i usiłuje uniknąć wzroku swego pana“ (2). To poczucie niewdzięczności ze strony muzyków nie ulżywało ich podrzędnéj roli, w Polsce.

Potrzeba téż było tak wyjątkowych okoliczności, jakie towarzyszyły schyłkowi XVIII w., więc przełomu w politycznych i społecznych warunkach całego ogółu, by muzyk mógł się podnieść ze sfery, względnie wyższéj niż kamerdynerska, Hajdna u książąt Esterhazych lub Mozarta u Schwarzenbergów, w każdym jednak razie służebnéj, w jakiéj i nasz Kurpiński się znajdował.

Przyszedł na świat 1785 r. we wsi wielkopolskiéj Włoszakowice, Sułkowskich, któréj miłe podobieństwo znalazł w Sceaux pod Paryżem (3). W téj porze, jako głośnych kompozytorów w Wielkopolsce, podają następnych jak Braun, Wański, Zejdler, Marcin Kurpiński. Ten ostatni zdaje się być ojcem naszego Karola; był zaś organistą we Włoszakowicach u księcia Sułkowskiego, a żonaty z Wańską córką lub siostrą zapewne Wańskiego, wyżéj cytowanego, przelał na syna, podwójną z obu linij skłonność do muzyki.

Źródła piszą o Kurpińskim, że wcześnie okazywał chęć do grania na instrumentach i w tém ojciec miał mu być pomocnym.

---

(1) Za jego jeszcze czasów słynęły kapele hetmana w. k. Klemensa Branickiego, pisarza w. k. Mielżyńskiego, ks. Franc. Sułkowskiego i w. in. (Łukasza Gołębiowskiego *Gry i zabawy* 1830).

(2) Zbiór Pamiętników Platera II, str. 170.

(3) Wspomnienia I, str. 109, 10 lipca „bardziéj mnie zachwycały, żem je znalazł podobnemi do miejsca mego urodzenia“.

On sam, we wspomnieniach z podróży 1823 pisze z Bolonii (1). „Pastuszek wygrywający przy bydełku na piszczałce różne improwizowane kawałki, zbytecznêm podobieństwem przypomniał mi rzewliwie mój pastuszy wiek.“ Podobny z tego względu do Salwatora Rosy († 1673) muzyka, satyryka, malarza i pastuszka, Kurpiński tak szybko rozwijał się, jak najwięksi mistrze. Nie wiemy, czy w pięciu latach jak Hajdn wodził w takt smykiem po dziecinnych skrzypcach, lub czy jak Mozart w ośmiu napisał koncert, wedle zasad sztuki ale nad możność palców i ręki. To pewna, że mając lat dwanaście, uprosił sobie u ojca pozwolenie pracy samodzielnéj w zajęciu organistowskiém (2). Wyższéj, szkolnéj edukacyi nie pobierał, ile się zdaje.

Gdy ksiądz Karol Wański, brat matki, był proboszczem w Sarnowie, znalazło się w miejscowéj farze miejsce dla młodocianego organisty.

Niewiadomo nam, czy istniejąca we Włoszakowicach kapela dworska księcia Sułkowskiego wpłynęła co technicznie na Karola. Może zaznajomiła go z różnemi dziełami muzycznemi. W Sarnowie miał możność pracowania i technicznie, gdyż to miasto, jak Poznań, Wschowa, Święciechów, Leszno i Rawicz, miały swoje kapele, renomowane (po ówczesnych pismach), niewiadomo, o ile słusznie, z wykonywania pięknéj muzyki.

Oczywiście, muzyki te miejskie i wiejskie, złożone z amatorów, zajętych pługiem lub rzemiosłem zazwyczaj, a tylko w dnie świąteczne stwardniałą ręką i ochrypłém gardłem chwalących Pana Boga, ani mogły zadowolnić delikatniejszego smaku, ani téż przyczynić się do jego wykształcenia w Kurpińskim. Na szczęście dlań, przyjechali do swego brata ks. Karola w odwiedziny, bracia Jan i Roch Wańscy.

Obaj z ks. Karolem, synowie zapewne owego Wańskiego na równi z Marcinem Kurpińskim wymienionego, odziedziczyli po ojcu zdolności muzyczne. Jan (ur. 1762), skrzypek głośny, i kompozytor wielostronny, używał wielkiéj sławy, przez lat trzydzieści w Wielkopolsce ze mszy, utworów do tańca, i oper nawet. Roch, wiolonczelista niepośledni, był członkiem nadwornéj kapeli Feliksa Polanowskiego z Maszkowa, którego Gołębiowski Łukasz wymienia w liczbie słynących z osobistego upodobania i talentu w muzyce, jak książęta Ludwik i Michał Radziwiłłowie, Lubomirski Kazimierz, Komorowski, Leduchowski (hrabia, mąż Truskolawskiéj).

---

(1) Wspomnienia II, str. 24, 10 września.

(2) Jeśli się uczył klawikordu, to on go wogóle (183) „mało interesował“ (II, str. 9) w konserwatoryum paryskiem.

Gra wujów odkryła nowe horyzonty skromnemu organiście, obudziła nowe pragnienia, wniosła w duszę nowe ideały. Po dwu latach pobytu w Sarnowie, jedzie młody Karol z wujem Rochem do Maszkowa, gdzie dostaje miejsce sekundaryusza w kwartecie smyczkowym.

Pod ową porę, zwłaszcza w Galicyi, muzyka kameralna powszechne sobie wyrobiła uznanie. Nie było domu, gdzieby kwartetów nie grywano. We Lwowie, nieraz w kilkunastu razem domach, można ich było słuchać. Tu pod opieką amatora skrzypka Krenesa, urzędnika gubernium, pierwsze kroki stawiał głośny solista z czasem, a wtedy kwartecista Lipiński Karol.

Pobyt w Maszkowie ośmioletni (1800—1808) obznajomił Kurpińskiego praktycznie czy to z muzyką kwartetową, czy z partycyami większych utworów zbiorowych. Polanowski brał go z sobą często na opery mistrzów włoskich i niemieckich, grywane we Lwowie, ułatwił mu nabycie partytur Hajdnowego *Stworzenia Świata* i Mozartowego *Don Giovanni*. Było to niedosyć dla objaśnienia wszystkich tajemnic wiedzy muzycznéj. O tyle wszakże z niemi się zapoznał, że między 1802 i 1803 u Czackich, przy domowéj reprezentacyi *Cyrulika Sewilskiego* Paesiella, Kurpiński mógł dyrygować miejscową kapelą, w zastępstwie właściwego kapelmajstra.

Śmierć Polanowskiego i wuja zmusiły Kurpińskiego przenieść się na metra fortepianu do baronostwa Rastawieckich, a w dwa lata poźniéj przybywszy do Warszawy, gdzie Bogusławski stworzył teatr i operę, zyskał do niego protekcyą basisty Jana Nep. Szczurowskiego, na wakującą posadę drugiego dyrygenta orkiestry, obok Elsnera.

Nowe obowiązki, objęte z 1 lipca 1810 r., obcinały jeszcze skrzydła kompozytorskiemu natchnieniu naszego Karola, choć Szczurowski i na to w swém zaleceniu kładł nacisk. „Już to ja nie żądam rzekł (do Karola Bogusławski), byś pan był Paerem albo Cimarozą. Przyjmuję go na dyrektora opery. Obowiązkiem pana będzie uczyć śpiewakow, czuwać nad chórami, a dopiero łącznie z orkiestrą prowadzić ogół w najściślejszym porządku.“

Chwila tego przemówienia, jak i ono samo, w życiu osobistém i muzycznem Kurpińskiego jest zbyt ważna, byśmy na nią nie zwrócili pilniejszéj uwagi. Już w styczniu 1810 r. podany przez Bogusławskiego projekt oddania teatru narodowego, w ręce rządu i ustanowienie we wrześniu t. s. r. Dyrekcyi rządowéj teatru z prezesem J. U. Niemcewiczem na czele, był dla projektodawcy obroną teatru w jego stosunkach z publicznością, jak on się sam wyraża w swoich „Dziejach teatru narodowego“ (1). Przypuszczając tylko, że to była

(1) Dzieła dramatyczne W. Bogusławskiego (1821) IV, 209.

obrona finansowa, musimy dodać jednakże, że obok tego, stanowisko, zyskane odtąd przez teatr, jako instytucyi rządowéj, musiało być innêm społecznie, niż dotąd, póki było antrepryzą prywatną. Sami członkowie trupy i orkiestry rządowéj mogli śmieléj podnosić głowę, przez samą wyższość swéj dzisiejszéj władzy zwierzchniczéj nad dawniejszą, która zawsze względem nich zachowywała się na podobieństwo pana ze dworu do dworskiéj kapeli.

Stawiamy to przypuszczenie na zasadzie pewnego ustępu z dziennika podróży samego Kurpińskiego, odbytéj 1823 r. za granicę. Są to mianowicie wyrażenia, cechujące *esprit assez frondeur*, a chyba źródła ich szukać należy w przykrościach moralnych, jakie spotykały wówczas artystów dramatycznych i muzycznych od stanów wyższych, choćby przychylnych..... z pańska.

Oto rzeczony ustęp, pod dniem 25 czerwca 1823 skreślony (1) przy opisie „przedmieścia zwanego faubourg St. Germain. Ta część Paryża (pisze Kurpiński), z drugiéj strony rzeki, całkiem już inaczéj wygląda. Zdaje się być jakimś prowincyonalnêm miastem. Już tam nie ma téj uprzejmości, tego ruchu, bogactwa, przemysłu, światła... Oh przepraszam. Co do światła, przecież tam jest Instytut królewski czterech Akademii, Pałac Sprawiedliwości, szkoła prawa, szkoła lekarska i inne szkoły. Przecież tu oddawna w tamtéj stronie znajduje się Pays latin (dzielnica studentów) a kiedy *latin* to już musi być *bardzo światły* (2). Dodajmy do tego, że tam zwykły mieszkać najbogatsze i (poprawiono „najjaśniéj") Jaśnie oświecone familije. *Otóż to może właśnie dla tego, w téj części Paryża lud mniéj jest światły, że tam są Jaśnie oświecone i familie i Towarzystwa. Familie siedzą pozamykane i tylko otwierają drzwi dla równych sobie. Uczeni dulczą nad książkami i jak wiadomo mało do powszechnéj światowości należą*".

W tym docinku do wysoko urodzonych i do towarzystw uczonych chyba trzeba szukać echa własnych doświadczeń.... Toż samo demokratyczne znaczenie ma ten ustęp (3). „Roztkliwiło mię wyobrażenie mulicy w płaskorzeźbie, która miała wozić wszystek materyał na ten ogromny pałac (Pitti). Zdawało mi się, że słuszna jest, aby wszelka osobliwość wynagrodzoną była jakowąś pamiątką, choćby nawet po zwierzęciu".

Słowa Bogusławskiego, że nie chce mieć w Kurpińskim ani Paera, ani Cymarozy, daje średnią miarę owoczesnych ideałów mu-

(1) Wspomnienia I, str. 99. — (2) II, 87 przy oglądaniu papirusów z Pompei w Neapolu „16 paźdz. traktat o muzyce, który z greckiego przełożono na język łaciński; na nieszczęście nie rozumiem ani pierwszego ani drugiego z tych języków." — (3) II, str. 28, 16 paźdz. we Florencyi.

zycznych, choć niepodobna zataić, że Bogusławski idący za wskazówkami smaku ogólnego, obok tamtych, a nawet wyżéj tamtych umiał ocenić Mozarta tytułem „sławny“, a co do Paera, miarą jego wielkości był jego urząd kapelmistrza króla Saskiego, a księcia warszawskiego. Stosunki więc polityczne wchodziły tu nieco w grę.

Spójrzmy z kolei na zakres idei i ideałów muzycznych Kurpińskiego w pamiętnym tym dlań 1810 r., kiedy wszedł do teatru Bogusławskiego.

To co jeszcze 1823 roku Kurpiński w swym dzienniku podróży notuje z swych pojęć muzycznych, może dać nam przybliżony obraz tego, co w tym względzie myślał trzynaście lat wcześniéj, co było prawdopodobnie strawą jego wieku młodzieńczego.

Tak np. w Dreźnie na Wielkanoc grają „kompozycyą starego Haasego, byłego niegdy tutejszego kapelmistrza królewskiego, który już dawno nie żyje. Stare to jest, ale gruntowne, wspaniałe, i jak w owym wieku bardzo piękne“ (1). Nazajutrz (2) słucha Kurpiński „mszy kompozycyi Naumana, także kapelmistrza królewskiego. Chociaż i ten kompozytor (uważa Kurpiński) już blisko od dwunastu lat jak nie żyje, jednakże w swych dziełach bardzo jest świeższym od Haasego. Mianowicie *Agnus Dei* i spokojne *Dona nobis* jest z rzędu rzadkich piękności. A jakie fugi; zwłaszcza ta, co kończy *Gloria*, jest tyle piękną, ile gruntownie wypracowaną.“ Pierwszego kwietnia słucha mszy Snutera, kapelmajstra zmarłego lat 8 temu. „Styl téj mszy świeższy jest od dwóch poprzednich (pisze Kurpiński i dodaje charakterystycznie). Jaka to jest rozkosz słyszéć raz poraz taką gradacyą gustu“ (3).

— O Morlachim, dyrektorze opery włoskiéj w Dreźnie (4), używa przydomka „znakomity kompozytor“, na którego oratoryum czy kantatę „długo i z wielką niecierpliwością oczekiwane“, „przecież“ się dostaje (5). Wartość téj kantaty ma niespodziewany probierz u Kurpińskiego, bo mówi, że jéj kompozytor jest „włoskim Beethowenem“ (6). „Wiele uczuć, wiele fantazyi, wiele uczonéj harmonii, a prawie wszędzie wiele energii, mało jest miejsc słabych i nietrafnych, ale są.“

Porównanie to z Bethowenem, i nieszczęśliwe i konwencyonalne tylko, kiedy bowiem przychodzi Kurpińskiemu mówić o téj wielkiéj sławie i dziełach, czyni to z widocznym chłodem. Tak np. po pochwałach Haasemu oddawanych, jakże brzmi frazes: „w W. Piątek (28 kwietnia) słyszałem (w Dreźnie) kantatę Beethowena

---

(1) Wspomnienia: 30 marca 1823, zeszyt I, str. 21. — (2) str. 23. — (3) str. 25. — (4) str. 11. — (5) str. 18. — (6) str. 19.

piękną ale *także* długą", jak Wejnlicha, „jednego z małych kompozytorów" (1). Przy oddawaniu wizyt, znajdujemy także uderzającą różnicę. Jest u Spohra (2) ale i u Guhra, niefortunnego rywala w *Westalce* Spontiniego (3), wizytuje Cherubiniego i chce go całować w łokieć (4), daremnie wizytuje Hummla.... Z pierwszymi rozmawia o ich utworach, z Cherubinim o muzyce w Polsce, przyczém o jego sztukach tamże przedstawianych wspomina. Gdy przychodzi pora na Wiedeń, Kurpiński chce odwiedzić Salierego, Wejgla, i tylko przeszkody odeń niezależne nie dozwalają mu. „Beethowen kompletnie jest głuchy (pisze za to K.) i tylko piśmiennie z nim konwersować można, a że nie miałem do niego *żadnego interesu*, nasza konwersacya byłaby śmieszna" (5).

Ta cytata, lepiéj od wszystkich omówień, określa stosunek Kurpińskiego do Beethowena, jaskrawo wskazując, że nie mieli z sobą co mówić, aczkolwiek Kurpiński cenił Haasego! Stosunek do Mozarta inaczéj się od początku zarysował. Pierwsza głośna opera, którą Kurpiński napisał, *Pałac Lucypera* 1811 tak wyraźne nosi cechy wpływów *don Giovanniego*, że Karasowski, przyznając je (6), sili się zarazem i na usprawiedliwienie i na dobycie nowéj stąd pochwały dla Kurpińskiego. Że jako poczynający, musiał kogoś naśladować, jestto oczywista, i niepotrzebnie autor *Rysu Opery* konieczność tę przytacza. Wszakże przytém nie należało popaść w zbytek pochwał, twierdząc zarazem, że „jaskrawe przeciwieństwo kolorytu" w podobnych sytuacyach, wykazane przez Mozarta i Kurpińskiego, zdarzyć się może tylko „w partyturach wielkich mistrzów".

Musimy zaprotestować przeciw takiemu nadmiarowi pochwał, który kompozytora początkującego, naśladującego, zwie odrazu wielkim; przez ten tytuł wynaturza stosunek, nic zresztą nieubliżający Kurpińskiemu, i nie pozwala wyjaśnić go należycie przez zachwyt nieopatrzny.

Dziennik podróży, odbytéj 1823 r., i tym razem przynosi nam cenne objaśnienia. Jest tam wypowiedziane credo muzyczne Kurpińskiego, dające klucz do całéj jego kompozytorskiéj działalności.

Mówiąc o Mozarcie, z racyi jego opery *Clemenza di Tito* (7) wypowiedział zarazem swe zdanie o Rossinim, i wyjaśnił do reszty swą niechęć do zbyt głębokiéj muzyki.

---

(1) Wspomnienia zesz. I, str. 14, 15. — (2) str. 38—39, „człek szczery, bez komplimentów." — (3) str. 41. — (4) str. 73. — (5) II, str. 135. — (6) Rys hist. opery str. 290, 296. — (7) II, str, 136.

„Szkoda (mówi on o rzeczonéj operze Mozarta) że ta wysokiego smaku opera nie jest cała w recytatywach (1). Wśród nich nieocenione jéj piękności, nieporównanie świetniejszym jaśniałyby wdziękiem..... Tego rodzaju kompozycye Mozarta, obok dzisiejszych tworów niemieckich, mogą się zarównać do czystéj i wspaniałéj architektury dawnych Rzymian, obok zagmatwanéj gotczyzny, zjawionéj w ostatnich wiekach Cesarzów rzymskich. Ich romantyczny smak oby przynajmniéj starano się uprzyjemnić tyle, ile w budowli kościoła św. Marka w Wenecyi. Rossini zdaje się trzymać téj drogi i dla tego się powszechnie podoba, mimo przeciw niemu krzyku wszystkich *akordowych mędrków*. Bądźmy poprawniejsi i gruntowniejsi jak on, ale nie pogardzajmy jego prostotą, jego smakiem, jego wdziękiem a *nadewszystko jego jasnością stylu*. Któż u licha z rozsądnych pisze sztukę teatralną stylem zawiłym? Po co produkować się głębokim swoim rozumem? Przecież publiczność nie jest zbiorem samych filozofów ani uczonych! Prawda nie w ciemnych mieści się labiryntach, lecz prostemi ścieżkami świat przebiega. Odpowie mi kto, że poznanie prawdy jest bez końca, że właśnie w najskrytszych ciemnościach trzeba szukać nowych jéj zalet. Przyznaję: ale szukajmy jéj skrycie dopóty, dopóki jéj nie uczynimy jasną, i wtedy dopiéro pokażmy ją światu (2). Długo ludy dla swego porządku nadawały sobie nieudolne prawa, zanim przyszedł jeden, który po prostu powiedział: co tobie niemiło, nie czyń drugiemu. Chciałżeby kto z zdrowemi zmysłami znudzony tą prostotą, przyodziać tysiącami głębokich i zawiłych rozumowań? Można się odświeżyć, rozwinąć, upięknić ale zawsze w prostych i zrozumiałych wyrazach. To, co niektórzy zarzucają Rossiniemu, że odświeża dawne tylko wspomnienia, jest może najgłówniejszą jego zaletą. *Rozwijajmy raz uznane prawdy*, w miejscu *pedantycznego* wyszukiwania corazto nowych, a pewno zajdziemy daléj. Tak czynił Mozart, przez co jego dzieła będą wzorowemi dla najpóźniejszych pokoleń".

Oto zdanie o *Euryjancie* Webera, którego poznał osobiście i uszczypliwie z fizyczności opisał, łaskawszy będąc na Spohra. „Sztuka bez sensu (3) a muzyka *za nadto mądra*; same nieprzewidziane zwroty akordów". A oto zdanie o *Freischützu* tegoż

---

(1) Wspom. II, str. 81, Czerwca 5, o *Nozze di Figaro* Mozarta „szkoda, że to piękne dzieło jest pisane dla samych basów i samych dyszkantów. Niema żadnego tenora, któryby wiązał te dwie ostateczności." — (2) Co następuje, Kurpiński potém przekreślił aż do „wyrazach". — (3) II, str. 131, 23 Listopada, Wiedeń.

autora (1) w tym samym duchu co powyższe, jeno że wymotywowane szerzéj.

„Muzyka ma wiele zalet, jednakże znać, że jéj twórca nie wychował się pod czystym błękitem nieba włoskiego. Głos ludzki, który z natury naszych zmysłów, zawsze powinien panować wśród harmonii instrumentów, w stylu pana Weber za mało ma wolności. Krzyki téj Rpltéj, chociaż prowadzone według przepisu praw, szkodzą zawsze jego pożądanéj giętkości. Na nieudolne głosy dobry to jest sposób, lecz dla biegłego i czystego dźwięku śpiewaka podobny skład rzeczy jest ciasném i ciemném więzieniem. Dla tego to włoskim operystom trudno się pogodzić z muzyką niemiecką. Włoskie klima nie potrzebuje bogatéj odzieży z północy. Okryta niemi Wenus Medyceuszów lub Kanowy straciłaby wszystkie swe wdzięki. Niech nas Apollo Belwederski od tego zachowa! Może z téjże przyczyny Spontyni a nawet Cherubini byli zmuszeni opuścić ojczyste klima południowe“.

Widać stąd, jak Kurpiński niechętny jest Weberowi, Beethowenowi, pociągnięty jasnością faktury i melodyjnością Mozarta a głównie Rossiniego (2), aczkolwiek żałuje nowatorstw Mozarta. Auberowi i innym przymawia ilekroć „zagważdają“ melodyę ruladami (3.) à la Rossini. Za „zagważdanie“ gani téż Spontiniego (4). Co ciekawsza, że wierny swéj zasadzie odpowiedniości między muzyką a słowami, dziś do systemu przez Wagnera podniesionéj, Kurpiński nawet Rossiniemu, za ideał niemal postawionemu, wyrzuca w *Mojżeszu* „styl nieprzyzwoity podobnemu przedmiotowi“, to się znaczy za świecki. Domaganie się zamiany *Clemenza di Tito* Mozartowego na ciągłe recytatywa, wtrącanie ich do *Gazzy Ladry* Rossiniego wskazują w Kurpińskim też same zachcianki wagnerystowskie.

Odkąd objął kierunek chórów i orkiestry w 1810, Kurpiński do 1823, dzielił zarząd operą z Elsnerem, i mimo trudnych warunków nie zalegał ani w tworzeniu, ani w wystawie oper. W ciągu 1811 wystawił trzy swoje: *Dwie Chatki*, pierwszą, 2 razy tylko graną, *Pałac Lucypera*, grany 31 razy, melodramat *Oblężenie Gdańska*, w 1812 *Marcinowa w Seraju*, 1813 *Szarlatana* i *Łaskę Imperatora*, z tytułu podobną do Mozartowéj. W 1814 dał melodramat *Agar na puszczy* i operę *Jadwigę*, w 1815 *Aleksandra* i *Apellesa*,

(1) Wspom. str. 133, 25 Listopada. — (2) *Kopciuszek* Rossiniego str. 107. „Śliczna to muzyka. jakże piękne i lekkie motywa znajdują się w niej“. Aktów II, str. 105. — (3) II, str. 5, Paryż 29 lipca w ocenie opery Aubera „zagwazdana ruladami à la Rossini“ (*Leicester*) str. 9, „ruladami w guście Rossiniego“ — (4) str. 68. —

*Nagrodę*, 1816 *Małą szkołę ojców*, *Nowe krakowiaki*. *Dziadka*, *Hero i Leandra* (melodr.), 1817 *Jana Kochanowskiego*, (słowa J. U. Niemcewicza), *Baterya o jednym żołnierzu* (melodr.). W 1818 *Czaromysł*, 1819 *Zamek na Czorsztynie*, *Zbigniew*, 1820 *Kalmora*, 1821 *Cień ks. Józefa Poniatowskiego czyli wprowadzenie jego na pola elizejskie*, *Leśniczy w puszczy Kozienickiéj*. Razem 22 oper lub melodramatów w ciągu lat 10, zupełnie tak swego czasu zobowiązali się Mozart i Spontini kontraktem dostarczać dwie oper co roku.

Tu jeszcze trzeba dodać, że opera Reicha, *Safo*, co do treści „mizerna“, co do muzyki „pełna uczonéj harmonii“, ale „bez duszy i rozmaitości“ (1), przeszkodziła Kurpińskiemu i Józefowi Minasowiczowi napisać przed 1823 operę pod tym samym tytułem.

W r. 1823 wysłano Kurpińskiego do Wiednia, Drezna, Paryża, Medyolanu, Rzymu, Neapolu, celem zapoznania się z urządzeniem teatrów zagranicznych.

W dzienniku podróży zapisuje sobie rozkład i stosunek orkiestr zagranicznych (2), często różny od warszawskiéj. Badając wykonanie, zawsze porównywa z polskiém, i niezawsze na korzyść obczyzny sąd wypada. Tak np. Kudlicz, Żółkowski, Zdanowicz lepsi są i zabawniejsi od Fereola z *Opera comique;* w Paryżu pani Pradher nie grała lepiéj od Aszpergerowéj. Ale dodaje: „gdyby u nas wszystkie role tak dokładnie umiane były jak tutaj, (zbijając do kupy jedno w drugie), nasze wystawienie byłoby *równe Paryskiemu. W orkiestrze tylko* znalazła by się może różnica“ (3). O drezdeńskiéj mówi, że warszawska przy lepszém umieniu roli (zarzut to stały) byłaby może wyżéj, wyjąwszy buffa Benincazy, który jednak przypominał mu nieboszczyka Żółkowskiego (4). Medyolańska w *la Scala* go zgorszyła rozmową na parterze, śpiewem „piąte przez dziesiąte bez ekspresyi, bez odcieniowań, bez gry, słowem bez

---

(1) Paryż 12 Maja I, str. 63. — (2) I, str. 17. Drezno włoska przy scenie kontrabasy i wiolonczele — w drugiéj linii fortepian, w 3-ciéj maestro di capella, 4-téj kontrabas, wiolonczelle („czytają z partytury“) — krzesła. Na prawo 1, 2, wiole; pierwszy sekundaryjusz solo; przy krzesłach 1-o „violino solo dyrektor orkiestry“. Z boku w poprzecz Violino, 1-o 12 i 33, V. 2-do 12 i 34. Na lewo w poprzecz od sceny do krzeseł 2 Flauti, 2 Oboje, 2 Clarinetti, 2 Fagoty, 2 Waltornie, 2 Trąby i Puzon, kotły, tułumbas. W Wiedniu II, str. 135 notuje, że skład orkiestry mało co większy od warszawskiéj — 6 primi Viol. 6 sec. i po 4 alti, contrabassi i celi. Paryskie w ogóle chwali — jako wyższe dokładnością, liczbą i talentami (I, 79—80) „Eh, gdybym to ja mógł dorwać się kiedy takiéj orkiestry Sacré Dieu; iskry by się sypały“. — (3) str. 62, wystawa Westalki, str. 81—82: „Osoby w małych rolach, co tylko donoszą o pewnych wypadkach, kubek w kubek tak się mylą jak u nas. Wyglądają též czasem z zakulis, jak u nas. W orkiestrze nie jeden się wyrwie, część dekoracyi czasem się zahacza. I tunie są bogi tylko ludzie. Jednakże to wszystko już jest przepędzone przez doskonalszy alembik, i w każdym wydziale widać zawsze wielką gorliwość, bo *publiczność jest bardzo pobłażającą*.“ — (4) I, str. 31.

sensu" (1), a choć przychylniejszy potém sąd wydał, zawsze wyżéj postawił włoską operę i publiczność w Paryżu niż w Medyolanie (2). We Florencyi, opera *Degli Immobili* zwana, lubo zyskuje odeń pochwały, „jednakże już to nie jest skład opery medyolańskiéj" (3). Co do neapolitańskiego *San Carlo*, to orkiestrę paryską stawi wyżéj; co do śpiewów mówi: „najlepiéj była oddaną ze wszystkich Westalek (Spontiniego), które dotąd słyszałem (4). W Teatrze *del Fondo* tenorzysta Rubini „z tych wszystkich, których dotąd słyszał, najbardziéj się podobał" (5), „słowem medyolańskie teatra nie mogą się równać ani liczbą ani znakomitością neapolitańskich talentów" (6). „Po operach neapolitańskich, chyba przez grzeczność tylko można smakować w operze rzymskiéj" (7). A cały swój pogląd zamyka słowami: „Do tego stopnia w kompozycyach włoskich doszło zepsucie, jakby w jakim zdemoralizowanym kraju, gdzie naród niedba czyli publiczny mówca prawdę mówi lub nie, aby tylko prawił gładko, kwiecisto, czasem szumnie i z ogniem".

W ogóle zatém Kurpiński nie przywiózł o polskiéj sztuce dramatycznéj z zagranicy złego wyobrażenia. Przekonał się téż, że wszędzie bierze Rossini górę. To téż po 1823 r. ten kompozytor coraz częściéj jest grany w Warszawie i *Cecylią Piaseczyńską* Kurpiński pisze w jego duchu 1829, choć 1826 zjawia się téż *Freischütz* Webera, 1827 *Dama Biała* Boieldieugo, Aubera *Mularz i Ślusarz* 1829, *Niema z Portici*, *Fra Diavolo* 1830 i 1831. Meyerber znany już z 1821 roku, zjawia się z *Robertem Dyabłem* 1837, a z wystawieniem t. s. r. opery Rossiniego *Włoszka w Algierze*, Kurpiński święci najwyższy swój tryumf pedagogiczny.

Wszystkie role *Włoszki* były wykonane przez jego uczniów.

Mianowicie 1835 objął Kurpiński zarząd szkoły śpiewu, utworzonéj przez prezesa dyrekcyi Rautenstraucha na miejsce zwiniętego w 1830 r. konserwatoryum. 1835 r. w klasie Kurpińskiego było 9-ciu uczni: Kapliński, Ludwika Rivoli, Daszkiewiczówna, Rywacka, Dobrski Julian, uczeń konserwatoryum od 1824, a grający od 1832, Lanckoroński, Moszyński (tenorzy), Makowski i Żółkowski (basy). 1836 prócz Rywackiéj, Rivoli, Lanckorońskiego, Markowskiéj, przybyły dwie Turowskie Marya i Józefa, i German tenor. 1837 Aloizy Stolpe i Gładysz, 1839 Ter. Damse, 1840 Kornelia Pion, Matuszyńska.

Jeżeli sięgniemy myślą do 1858 r., do *Halki* Moniuszki, to znajdziemy w jéj głównych podporach egzekucyjnych uczni Kurpiń-

(1) II, str. 20 il Barbiere di Seviglia Rossiniego. — (2) II, str 22. — (3) str. 26.— (4) str. 80. — (5) str. 82. — (6) str. 83. — (7) str. 104—5 Mercandantego *Elisa e Claudio*: „muzyka jest imitacya Rosiniego bez osiągnięcia jego niewymuszonéj lekkości... w ogólności cała muzyka jest bez charakteru, bez właściwéj deklamacyi, słowem głupio piękna

skiego: Rivoli i Dobrskiego. Gdyby tylko to było jego dziełem, gdyby tradycye jego egzekucyi scenicznéj,—zarówno o śpiew, deklamacyą, grę, orkiestrę dbałą—jedyną było puściną po Kurpińskim, już godzien byłby pomnika w naszéj wdzięczności, w dziejach naszéj muzyki, które téż pierwszy, w pierwszém piśmie u nas muzyczném *Tygodniku muzycznym* (1820—21) zaczyna kreślić.

Pracę swoją w teatrze skończył Kurpiński 1840, przełożywszy libreto do *Konia śpiżowego* Aubera i *Lunatyczki* Belliniego.

Doznał téż nagród rządowych. Za *Pałac Lucypera* przełożony dla opery drezdeńskiéj 1811 r. dostał pierścień brylantowy od księcia warszawskiego. Był późniéj kapelmistrzem cesarza i króla Mikołaja I, na którego koronacyi kierował orkiestrą, a w jéj liczbie Paganinim. Koronę swych polonezów: „Witaj królu polskiéj ziemi“ poświęcił pierwszemu królowi kongresowemu, cesarzowi Aleksandrowi I, za co był wynagrodzony pierścieniem.

W 1857 r., 28 stycznia, dawni uczniowie Kurpińskiego wyprawili mu serenadę z kwartetu Studzińskiego, składając mu tém hołd od pamiętających jego zasługi. 4go września t. s. r. rozstał się z tym światem.

W rok późniéj uczczono zmarłego grobowcem, ze składek publicznych wystawionym, za inicyatywą Józefa Sikorskiego, na Powązkach.—Medal wybity na cześć jego 1819 nosił nadpis: „za piękne twory harmonii rodacy.“

W dziejach naszéj opery Karolowi Kurpińskiemu wzniosły pomnik niespożyty, a może prawdziwszy: jego działalność dyrektorska i nauczycielska, które téż dochowały się w tradycyi jego dawnych podwładnych. Tradycya to piękna, najpiękniejsza, jaką człowiek może pozostawić po sobie: uczył, uczył dobrze, i dobrych uczni zostawił, był siewcą dobrych myśli i te tak bujnie rozkwitły, że Kurpiński, jak dobry robotnik mógł spocząć pod drzewem prac własnych, pod laurowym wieńcem *Halki*, Rivoli i Dobrskiego.

Kurpiński podają sobie ręce z Moniuszką, a do téj pary na muzycznym naszym Parnasie śpieszą coraz liczniejsi wybrańcy. Gdy zaś z tą pokaźną grupą kompozytorów naszych, złączemy wspaniały orszak wykonawców sztuki dramatycznéj, roznoszących sławę imienia naszéj ziemi, po obu półkulach, jak za czasów Pułaskiego, wówczas z dumą możemy złożyć Karolowi Kurpińskiemu ten wieniec imion głośnych. Świadczą one wymownie, że duch twórczy wciąż się porusza i do działania podnieca; że kierunek wskazany przez Bogusławskiego i przez Kurpińskiego wynagradza inne, mniéj wydajne, świadczy o zagasłych.

*Ernest Sulimczyk Swieżawski.*



# ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
## I WRAŻENIA LITERACKIE.

---

Dzieje literatury powszechnéj z ilustracyami. Tom II. 2 cz. Warszawa 1887. Nakład i druk S. Lewentala.

Opracowanie historyi literatury powszechnéj, stojące na wysokości obecnego poziomu nauki na zachodzie, oddawna było bardzo pożądaném. Dzieje literatury naszéj w pewnéj zależności od zachodniéj zostające, nie mogą być w żadnym razie przedstawione bez uwzględnienia tego lub owego prądu zachodnio-europejskiego.

Pomijając konieczność dobrego opracowania historyi literatury powszechnéj, w celach pedagogicznych zaznaczymy naglącą potrzebę takiéj książki informacyjnéj, z któréj by można było dowiedzieć się o ważniejszych zjawiskach literackich i znaleść bezstronną a naukową ocenę. Wydawca „Biblioteki najcelniejszych utworów literatury europejskiéj", mając przeważnie informacyjny wzgląd na celu, rozpoczął w roku 1880 wydawnictwo historyi literatury powszechnéj, powierzywszy opracowanie poszczególnych działów różnym osobom. Redakcya, pozostawiając zupełną swobodę swoim współpracownikom w układzie przedmiotu i traktowaniu rzeczy, przedstawiła im swoje zapatrywania na zadanie i cele historyi literatury i pragnęła, ażeby autorowie mieli je na widoku. O ile współpracownicy I-go tomu uwzględnili cele redakcyi, czytelnik może się dowiedzieć z recenzyi p. E. Grabowskiego (*Ateneum*, 1882, Październik).

Drugi tom przedstawia się bardzo poważnie (1). Już rozpatrując liczby stronic można dostrzedz, że nie wszystkie działy równo-

---

(1) 1177 stron na 8 ksiąg: ks. I opracowana przez p. Radlińskiego,— II. VI i VII przez p. Edwarda Grabowskiego,— III, IV i V przez p. J. A. Święcickiego,— VIII przez p. Bronisława Grabowskiego.

miernie zostały opracowane. Lubo trudno przesądzać, jaka jest bezwzględna wartość literatur, nie ulega wszakże wątpliwości, że dla czytelników polskich, nie posiadających żadnego dobrego podręcznika historyi literatur słowiańskich, opracowanie dziejów piśmiennictwa pobratymczych ludów jest bez porównania ważniejszém od literatury perskiéj lub japońskiéj. W dziele, które mamy przed sobą, literatura serbska, chorwacka, czeska i ruska obejmują 154 str., a literatura perska 142 (perska, japońska, arabska—razem 324 str.). Nierównomierność w opracowaniu składanych części, zależna może ze stanowiska autorów, wystąpi wyraźniéj, jeżeli się bliżéj przypatrzymy opracowanym działom.

Początki ery chrześciańskiéj przedstawia nam p. I. Radliński. Podnosi on rolę, odegraną w historyi pierwotnego chrześciaństwa przez żydów i greków. Czytelnikom *Ateneum* znany jest spokojny, przedmiotowy sposób traktowania rzeczy p. Radlińskiego. Część jego pracy w II-m tomie dziejów literatury powszechnéj (o ewangeliach) jest streszczeniem obszerniejszego artykułu, drukowanego w *Ateneum* 1882 r. Wogóle autor idzie za Renanem, nie posuwając się jednak nigdy do potrącenia kwestyi drażliwych. Mówiąc o pierwszych wiekach Chrystyanizmu, o kształtowaniu się zasad nowéj nauki, o walce pomiędzy umierającym pogaństwem i pionierami nowéj wiary, p. R. powinien byłby się udać do historyi sztuki, do katakumb. Tu, nie gdzie indziéj, można dojrzéć, jak długo jeszcze żyła pogańska symbolika, jak dla uzmysłowienia swoich idei chrześcianin-artysta nie znajdował innych form nad rzymskie, klasyczne (np. Chrystus najczęściéj w postaci Orfeusza jest przedstawiony). Wprawdzie widzimy u p. R. na str. 104 „napisy grobowe na katakumbach“, nie znajdujemy jednak w tekście żadnego wyjaśnienia. Wogóle ilustracye, nie liczne w całém dziele, nie należą do szczęśliwych pomysłów i zjawiają się bez związku z tekstem, jak gdyby przypadkiem tu zawędrowały.

Jakkolwiek nieuwzględnienie zabytków pierwotnéj sztuki chrześciańskiéj nie pozwala nam dokładnie zrozumiéć procesu przekształcania się ludzkości w początku nowéj ery — literatura polemiczna i apologetyczna nie potrafi nam tego procesu wyjaśnić — zupełnie przedmiotowy sposób przedstawiania rzeczy, znajomość źródeł, umiejętność poważnego i przystępnego zawiłych nawet kwestyi traktowania, czynią pracę p. R. nie tylko popularną ale i naukową.

Panu Edwardowi Grabowskiemu dostał się najobszerniejszy dział i bodaj najtrudniejszy. Cała średniowieczna literatura zachodniéj Europy została przezeń opracowaną. Od pierwszych wieków

ery chrześciańskiéj do Chaucer'a i Villon'a przebiegamy za autorem dziesięciowiekowy okres.

Wobec masy materyału, wielu zawikłanych kwestyi czysto literackiéj natury, winniśmy zwrócić uwagę czytelnika na umiejętny układ i systematyczne opracowanie dziejów literatury w tym dziale.

Z pobieżnego przeglądu treści (1) widzimy jak szeroki zakres nadał autor swojéj pracy, ile trudności miał do zwalczenia dla należytego uporządkowania materyału przy zupełnym prawie braku odnośnych prac polskich. Autor wprawdzie nie wyczerpuje nigdzie kwestyi—nie jest to celem wydawnictwa,— ale też nigdzie nie zbywa czytelnika komunałem, nie przedstawia w świetle fałszywém lub tendencyjném. Układowi w zasadzie trudno coś zarzucić, opracowanie wszędzie równomierne; autor nie podnosi tego lub owego utworu z ujmą dla drugiego, owszem i liryka kościelna, i jałowa bizantyjska literatura, i Dante i Boccacio, i dramat średniowieczny przedstawione są *„sine ira et studio“*, z powagą zupełnie naukową. Czytelnika nie przygnębia nawał faktów drobnych, biograficznych szczegółów etc. etc., czém najczęściéj grzeszą opracowania zarysów historyi nawet u poważnych pisarzy niemieckich,—przeciwnie, fakta u p. E. Grabowskiego zostają w związku organicznym z charakterystyką, dążności ideałów stanu zmysłowego, które autor na początku każdego rozdziału uwzględnia, przyczém nie omija żadnego ważnego utworu lub osobistości. Naszém zdaniem, wypadałoby nieco więcéj uwagi niektórym pisarzom i dziełom poświęcić (np. historykowi Villehardouin'owi i Dantemu), a także historyi sztuki; nie myślimy wszakże robić z tego zarzutu p. E. G. Innego cokolwiek jesteśmy zdania o stronie informacyjnéj pracy p. E. G. Strony téj w żaden sposób ignorować nie można; uwzględnia ją i autor do

---

(1) P. E. Grabowski zaczyna od poezyi chrześciańskiéj na gruncie klasycznym, charakteryzuje stosunek nowéj wiary do dawnéj, akcentując asymilowanie pogańskich elementów przez adeptów nowéj wiary. Przechodząc do chrześciańskiéj literatury wschodu i zachodu, p. G. mówi o liryce na zachodzie i o duchownéj liryce Greków. Rozdział ten, jak i inne o bizantynizmie, na szczególną zasługuje uwagę nie tylko ze względu na to, że dotychczas nie mamy prac z téj dziedziny, ale że i wogóle mało o niéj pisano. Literatura kościoła wojującego, skreślona żywo i zajmująco, przenosi nas do zabytków poezyi germańsko-pogańskiéj, autor zaznajamia ze wszystkiemi zabytkami staro-niemieckiéj poezyi. Pan G. uważa XI wiek za dobę przejściową, po za którą rozpoczyna się nowy okres, oprócz krucyat znamionuje go feudalizm—walka wasala z suzerenem — zatargi pomiędzy władzą świecką a duchowną. Następnie autor mówi o charakterze chrześciańsko-kościelnéj literatury, na gruncie barbarzyńskim, o epice religijno-bohaterskiéj, o epice romantyczno-rycerskiéj, o poezyi lirycznéj, o czasach przewagi mieszczańskiéj, o satyrze i dydaktyce, dramacie średniowiecznym, wreszcie, o końcu wieków średnich i początku odrodzenia.

pewnego stopnia. Mało, o ile sądzić możemy, mówi o języku utworów literackich i omija zupełnie charakterystykę germańskich narzeczy; wobec zupełnego u nas braku studyów odnośnych, takie informacye są niezbędne.

Charakterystyka języków romańskich bardzo pobieżnie przez autora skreślona; nie trudno byłoby jednak znaleść w niemieckiéj literaturze cały szereg prac wyczerpujących tę kwestyą. Nie myślimy stawiać postulatu, żeby czytelnik w dziele, jakiém jest powyższe, miał znaleść obszerne bibliograficzne wiadomości; sądzimy wszakże, że dla niego byłoby pożądaném wiedzieć przynajmniéj o polskich pracach, które są bardzo nieliczne; pan Ed. Grabowski nie wspomina tych prac, jakkolwiek niektóre z nich na uwagę zasługują.

Mówiąc o Walterze z Akwitanii, p. Grabowski powinien by podać do wiadomości czytelnika artykuły: 1) Szajnochy (w *Szkicach* w 1876 r., t. 14); 2) dr. Karłowicza (*Ateneum*, 1881) i 3) prof. Nehringa (*Ateneum*, 1883). O epopei rycerskiéj pisał p. Jeske-Choiński (broszura: *Epopeja rycerska Niemców*, 1884); p. Karłowicz poświęcił artykuł kilku nowym pracom o Parcivalu i Gralu (najnowsze badanie, 1883 r., *Ateneum*). Zestawienie wszystkiego co u nas pisano o Dantem znajdzie czytelnik w artykule p. Bogusławskiego: „Dante w Polsce“ (*Niwa* 1884). Istnieje, jeśli się nie mylę, przekład „Vita nuova.“ — Kościołowi średniowiecznemu poświęcił parę artykułów hr. Dzieduszycki. Te usterki nie dotyczą wskazanych wyżéj zalet poważnéj pracy p. Edwarda Grabowskiego, sumiennie i gruntownie napisanéj.

Pan J. A. Święcicki opracował historyą arabskiéj, perskiéj i japońskiéj literatury do najnowszéj doby. Dla p. Ś. historya literatury ma bardzo obszerny zakres. Mówi nam autor o położeniu geograficzném, o klimacie, warunkach bytu, o języku, religii, chronologii, historyi politycznéj, o wychowaniu, sztukach pięknych, nauce, przemyśle.

Historya piśmiennictwa stanowi pewną część tego całokształtu. Mówiąc o literaturach ludów mało nam znanych, p. Św. uważa za stosowne rozwój piśmiennictwa w związku z całém życiem społeczeństwa przedstawić. Takie zapatrywanie autora—zdaje się, żeśmy je należycie zrozumieli — posiada poważne „*raison d'être*“, można wszakże nie zgadzać się z autorem co do konieczności umieszczania w zarysie dziejów literatury dosyć obfitych wiadomości o medycynie, chemii, historyi naturalnéj, astronomii i t. d. Są to rzeczy bez wątpienia bardzo pouczające, nie należy jednak zapominać, że historya literatury ma swoje *specyalne* zadanie, *swoję* metodę, i że

dzieła medyczne i matematyczne, chociażby i rymowane, mogą być w takich, jak u pana Ś. rozmiarach, uwzględnione w historyi cywilizacyi lub kultury, nie zaś w historyi literatury. Praca pana Święcickiego skreślona według najlepszych dzieł francuskich, niemieckich i angielskich, pod względem formalnym nie pozostawia nic do życzenia.

W końcu drugiéj części p. Bronisław Grabowski daje nam zarys historyi piśmiennictw słowiańskich: serbskiego, chorwackiego, czeskiego i ruskiego do XVI wieku. Powiedziałem „zarys" dlatego, że na 154 str. autor musiał być bardzo zwięzłym, i „piśmiennictw", bo autor zupełnie słusznie wyklucza ze swego przeglądu twórczość ludową.

„Literatura ludowa — mówi autor str. 1033 — jaką nam przedstawiają dzisiejsze zbiory, jest produktem długiego pasma stuleci, w którém nauka starannie odszukuje śladów zamierzchłéj przeszłości, ale prastaréj podstawy oddzielić nie zdoła od tego, co do niéj z postępem czasu przylgnęło." Widzimy tu bardzo szczęśliwy pomysł.

Możemy tylko żałować, że autor tak mało kart poświęcił dziejom literatur słowiańskich, a to dla przyczyn, które niżéj podamy. Poprzestaje on nawet niekiedy li na cytowaniu tytułu dzieła lub imienia autora, jakkolwiek to do wyjątków zaliczyć można. Jako przykład służyć może charakterystyka Hilaryona i Żydiaty (str. 1155), albo na str. 1097 następujący ustęp: „Sześć pieśni drobniejszych" (1), „Bukiet" (Kytice), „Jagody", „I Róża", „Kukułka", „Zasmucona", „Dziewczę i Skowronek" obracają się koło uczuć miłosnych. Tonem swym i prostotą przypominają one pieśni ludowe." O statutach polickim i winodolskim i uchwałach kapituły seńskiéj niewiele mówi autor, przyznając, że „wszystkie te pomniki stanowią bogatą kopalnię szczegółów lingwistycznych i obyczajowych."

Praca p. Br. Grab. mimo to nie jest kompilacyą; autor dobrze obznajomiony ze wszystkiemi zdobyczami świata naukowego słowiańskiego, posiada wielki takt krytyczny, oceniając tę lub ową teoryą i odrzucając tendencyjne lub nienaukowe zdania.

Postaramy się poprzeć nasze zdanie przykładem. Mówiąc o „Słowie o pułku Igora", p. Gr. daje nam wyjątki w przekładzie, dokonanym z oryginału, według układu prof. Potebni, który pomiędzy wszystkimi badaczami tego pomnika celuje najwytrawniejszą krytyką lingwistyczną i bezstronnością.

---

(1) Z rękopismu królodworskiego.

Z pomiędzy badań o działalności św. Sawy, brata króla Stefana, (str. 1061) p. Br. Grab. zatrzymuje się na przypuszczeniu prof. Jagića jako najwięcéj zgodném ze źródłami, odrzucając inne wrzekomo tendencyjne. W kwestyi autentyczności rękopismu Królodworskiego i Zielonogórskiego p. G. poprzestaje na skreśleniu długiéj historyi sporów o autentyczność rękopismów, nie przechylając się stanowczo na żadną stronę, jakkolwiek przyznaje, że „atak przeciwko autentyczności jest teraz bardzo silnym, opiera się na szeregu zarzutów lingwistycznych i zestawień stylistycznych z poezyą czeską początku XIX wieku“ (1603).

Parę słów jeszcze o przekładach podawanych przez autorów zbiorowéj pracy, o któréj mówiliśmy. Znajdujemy je w obfitości u pana Święcickiego podostatkiem u pp. Edw. Grabowskiego i Radlińskiego, najmniéj daje pan Br. Grabowski. Przekłady p. Św. z tłómaczeń francuskich, niemieckich lub angielskich dokonane, są bardzo piękne, najczęściéj w szacie rymowanéj. Nie mniéj poważne posiadają zalety tłómaczenia innych autorów.

Reasumując wszystko, cośmy powiedzieli, możemy słowem zupełnego uznania powitać tę zbiorową pracę, która, pomimo usterek, na długie lata pozostanie bardzo użyteczną dla każdego, kogo *dzieje literatury powszechnéj*, a więc i ojczystéj żywo obchodzić mogą.

*L. Szepielewicz.*

---

Prace filologiczne wydawane przez Jana Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom II, zeszyt I, 1887.

Zeszyt I tomu II wychodzącéj już od r. 1885 tak pożytecznéj w dziedzinie lingwistyki publikacyi, stanowi ważny przyczynek do objaśnienia form konjugacyjnych, które według nowszych zdobyczy naukowych starali się nam przedstawić pp. Kalina (Przyczynek do historyi konjugacyi słowiańskiéj), Kryński (o aoryście w języku polskim) i Polivka (czas przyszły w języku starosłowiańskim).

Z tych pierwszy p. Kalina, ustanowieniem nowego podziału słów na pierwiastkowe i tematowe, zamierza usunąć dotychczasowe konjugacye *spójkowe* (1) i *bezpójkowe* (2) tudzież wywód form słownych od tematów: 1) czasu teraźn. i 2) od sposobu bezokolicznego. Pierwiastek jest jednakim, powiada autor, dla imion i słów, bo jedne i drugie powstają dopiero z tematu, tworzonego od pierwiast-

---

(1) Np. starosłow. ber-ą, ber-*e*-szi, ber-*e*-tь (biorę itd.).

(2) Starosł. wěmь zam. wěm-mь od wěd-mь (porówn. sanskr. vêd-mi), wěsi, wěstь (wiem, wiesz, wie).

ku zapomocą odpowiedniego przyrostka, np. od *da* (ozn. dawcę, dać, dar) tworzy się da + tr (dawca). W pierwiastku jest jeno albo przedmiot albo podmiot, gdy w temacie podmiot i orzeczenie. Z zamarciem poczucia wyrazowego w pierwiastku, język uciekł się do odróżniania tematów zapomocą pewnéj przemiany dźwiękowéj, co szczególniéj w greczyźnie widoczne, gdzie w tematach imiennych panuje dźwięk *o* (np. foro-s), w słownych zaś *e* (féromen); podobnież w starosł. съборъ (porów. polsk. zbór) a *сберą* (porówn. polsk. biorę zam. bierę). Potrzeba odróżnienia pojęć wytworzyła zmianę zewnętrzną tematu; np. pierw. *ber* daje tematy w postaci *bero*, *bere*; cz. teraźn. *berą*, *bereszi*; rozk. *berēta* z *bero-ita* itp., albo w postaci *bra*; aoryst *bra-h-ъ*, imiesł. cz. przeszł. *brał*. Tak więc *o*, *e*, w *bero, bere* nie jest spójką, jak dotychczas mniemano, lecz częścią tematu. Nie tylko pierwiastki i tematy, ale i przyrostki mają być spólne kategoryom słownym i imiennym. I tak: przyrostek *s* będący w sanskr. i w innych językach aryjskich cechą nomin. sing. (sanskr. dā—s = dawca) łączy się także z tematem aorystu osoby 2 (á-dā-s i dā-s = dałeś); podobnież akuzatywne *m* w singl. (dā-m) odpowiada takiemuż przyrostkowi *m* w osobie 1 singl. mediam praesentis: içe (opanuję). Szkoda, że autor poprzestał tylko na porównaniu formacyi słownych z nominativem, accusativem i dativem, pominąwszy inne przyp. sanskr. jak: genitivus i podobny mu ablativus, tudzież locativus w l. poj. podw. i mnog. Ciekawém byłoby zestawienie fleksyi nomin. plur. *as* tudzież wêdycznego *asas* z końcówką plur. *mas*, powstałego ze ściągnięcia wêdycznego *masi*, zendz. *mahi*. Autor przywodząc praaryjskie *mes*, zgodnie z hipotezą Brugmanna, nie wykazuje dość jasno stosunku, jaki zachodzi między oném praaryjskiém *e* (w mes) a sanskryck. wêdyczn. i zendzk. *a* (w mas, masi, mahi).

W ciągu dalszym rozprawy autor mówi o tak zwanych jerach miękkich w końcówce osoby 1 l. poj. słowa *jesmь*, wywodząc je od formy prasłowiańskiéj *jesmi*, gdzie *i* końcówkowe wymieniło się w starosłow. na ь. Hipotezę swoję p. K. udawadnia niektóremi szczątkami pomienionéj formy, znajdującemi się w pomnikach, narzeczach i gwarach słowiańskich, np. staroruskiém *jesmi*, *jesti* (z roku 1073), staroczesk. *jesti*, huculsk. *smi* itp.

Nie przeczymy, że starosł. *ą* niezawsze powstaje z *am*; jednakże radzibyśmy byli, gdyby autor w przykładach swoich zawsze ścisłość w zestawieniu faktów językowych zachowywał, co lubo często przez p. K. przestrzeganém bywa, wszakże porównywając starosł. *pątь* (droga) z łacińsk. *pons*, greckiém *pátos*, przepuścił sanskr. *patin* (droga), gdzie *an*, występujące w acc. singul. (pánthânam) i w nomin. plur. (panthanas), nie licując z formami greck. i łac., wymaga należytego objaśnienia.

Praca p. Kryńskiego (o aoryście w języku polskim) przedstawia właściwe sobie zalety, przejawiające się w faktyczności materyału, jądro wszelkiéj argumentacyi stanowiącéj i w prostocie tudzież treściwości saméj formy. Dzięki p. K- dowiedzieć się może zwykły czytelnik niespecyalista, że formy czasu przeszłego zwane aorystami (wynidzie, oblecze, postawi), które już w języku naszym zamilkły, zastąpione zostały cz. ter. słów dokonanych (obaczę, odpowie), co szczególniéj w pomnikach od XV st. aż po wiek spółczesny często się objawia. W zestawieniu tego wszystkiego autor mówi: „Na zasadzie powyższych faktów, przychodzimy do wniosku, że czynność przeszła chwilowa, oddawana w staropols. właściwemi formami aorystu, po dziś dzień wyraża się temiż formami tylko w osobie 3-ciéj l. p. i to nie we wszystkich słowach; w innych zaś osobach funkcyą aorystu przeniesiono do formy teraźn.—przyczém różnica między jedną a drugą kategoryą form (tj. 3 osobę l. p. z jednéj, a pozostałemi osobami z drugiéj strony) dzisiaj nie jest odczuwana".

Zadaniem pracy p. Jerz. Polivki (cz. przyszły w języku starosłowieńskim) jest objaśnienie cz. przyszłego, którego forma niezłożona istniała jeszcze w dobie języków litewsko-słowiańskich, następnie po rozdzieleniu się tych rodzin, coraz bardziéj wymierać poczęła, pozostawiwszy ślady w formach odkrytych przez Szafarzyka (1) tj. *byszę*, *byszeszi* et (porówn. futurum sanskr. na sjâmi, sjasi, sjati, greckie doryckie siō, sō, lit. su) i imiesł. *byszązt*, r. ż. *byszązti*, r. n. *byszązte*. P. Polivka formy te pogmatwał, nazwawszy je imiesłowami.

Dokończenie szkicu gram. ś. p. Hanusza zawiera deklinacyą opartą na nauce: Delbrücka, Paula, Sieversa, Withneya, G. Meyera, Brugmana, Stolza, Leskiena itd. tj. prac wyszłych od r. 1875 do 1887. Zgasły przedwcześnie autor uwzględnił tutaj sanskryt, greczyznę i słowiańszczyznę, posiłkując się w miarę potrzeby: zendem, łaciną, litewszczyzną, germańszczyzną, celtyckim i ormiańskim.

P. J. Łoś (o samogł. długich w języku polsk.) utrzymuje, że brak znaków wyróżniających samogłoski długie od krótkich w XIV st. nie dowodzi jeszcze, żeby w pomnikach z onego czasu nie istniał iloczas, który dopiero w XIII począł znikać wieku.

P. P. Malinowski L. (zabytki jęz. polsk. w rękop. nr. 2503 bibl. uniwers. jagiel.), Karłowicz J. (Łacińsko-polski słowniczek roślinny) Bystroń Jan (Wokabularz łac. pols. z połowy XVI w.), Leciejewski J. (Trzy zabytki słowiańskie w Dubrowniku) przywodzą nam rzadkie formy językowe, przedstawione w sposób ściśle przedmiotowy.

---

(1) Czasopis czesk. M. 1847 XXI.

Z tych ostatni p. Leciejewski, zwiedzając Dubrownik, odkrył najdawniejszy słowniczek łacińsko-ruski (bez daty), chorwacki Vranczica z 2 połowy XVI st. i rękopism głagolicki, nienależący jednak do rzadkości, bo napisany w r. 1761.

Ciekawe są trzy artykuły p. L. Malinowskiego: 1) Studya nad etymologią ludową (c. d.), 2) Kilka wyrazów polskich z litewskiego przyswojonych i 3) Mleziwo-młodziwo.

Dział rozbiorów i sprawozdań opracowali: J. Hanusz J. Bystroń, J. Karłowicz i Ad. Ant. Kryński.

Wiadomości bibliograficzne stanowią pożądany wielce dla wydawnictwa tego nabytek.

*Justyn Feliks Gajsler.*

---

= *Klin.* **Moi kochani rodacy**. *Warszawa 1888 (str. 103).* Autor „Szkiców“, o których na tém miejscu dwukrotnie pisaliśmy, w téj nowéj pracy zamierzył, jak wyraźnie zapowiada na str. 11, przedstawić ujemną tylko stronę naszego charakteru narodowego, nie czując się na siłach, by sprostać zadaniu skreślenia zarazem i dodatniéj. Jednakże obok poczucia téj względnéj niemocy, kierował się on jeszcze w takiém pojęciu zadania swego przekonaniem, „że ci, którzy ganią, choćby nawet i przesadnie czasami, zawsze więcéj korzyści przynoszą ganionym od tych, którzy im pochlebiają, lub kryją ich ułomności.“ Wystawienie więc obrazu wad, spólnych całemu społeczeństwu naszemu, miało na celu ich zmniejszenie lub uleczenie z nich; wzywa też do usiłowań w tym kierunku Klin (str. 38, 103) ale posłuszny znowuż swemu sceptycznemu usposobieniu, poczytuje w końcu dążenie to za bezskuteczne, mówiąc: „jakim się jest, takim się być musi“ (str. 94). Stwierdza tym sposobem sam przez się (lubo mimowoli) jednę z cech znamiennych, które w umysłowości naszéj dopatrzył, a mianowicie brak ścisłéj konsekwencyi w rozumowaniu; lecz równocześnie nadaje wywodom swoim zabarwienie uczuciowe, które świadcząc o braniu przez autora żywego udziału w smutkach i klęskach spowodowanych wadami ogólnemi, czyni ich ujawnienie mniéj dotkliwém dla czytelników. Gdyby autor całkowitą posiadał świadomość tego stosunku pomiędzy własnym umysłem a opracowywanym przez siebie przedmiotem; gdyby przytém rozważył naszą skłonność wynoszenia się ponad ogół i uważania go za zupełnie niedojrzały w porównaniu z tą uprzywilejowaną przez siebie samę jednostką, która sąd o narodzie wydaje: to sprawiedliwiéj, jaśniéj i wszechstronniéj przedstawiłby ujemną stronę charakteru polskiego, nie byłby zapewne wygłosił kilku zdań pesymizmem lub jakimś

wstrętem do narodu tchnących (str. 51. 63, 84 i parę innych), a wogólności nie okazałby się tak pochopnym do wydawania sądów krańcowo niepochlebnych. Pierwszą najogólniejszą cechą charakteru Polaków przedstawia autor jako wynik warunków klimatycznych, których cechą ma być nadzwyczajna, gdzieindziéj niewidziana zmienność, fantastyczność. Odbiciem właśnie téj zmienności ma być chwiejność duchowa, nie lubiąca żadnéj ostateczności, dążąca do pewnéj miary, ale nie mogąca nigdy jéj osiągnąć. Nie wypowiadając tu zgody na trafność spostrzeżenia co do klimatu, przyznajemy charakterystyce ducha całkowite uzasadnienie, popierając je znanym a i przez autora zaznaczonym faktem naszéj porywczości, łatwego zapalania się i równie łatwego stygnienia, niewytrwałości— obok braku fanatyzmu, ascetyzmu i tragiczności, czyli innemi słowy obok braku objawów świadczących o zdolności posuwania się w usposobieniach i zamiłowaniach do szczytu. Logiczna wynikliwość wymagałaby zapewne, ażeby z téj cechy zasadniczéj wyprowadzić albo wszystkie inne albo przynajmniéj znaczną ich grupę; Klin jednak nie robi tego; ale wynajduje drugą „zasadę“ charakteru Polaków, widząc ją w zmysłowości. I tu musimy autorowi przypomnieć, że podziela zarzucaną ogółowi wadę nieścisłości wyrażenia. Każdy bowiem naród, bez wyjątku najmniejszego, ma zasadę swego charakteru w zmysłowości, która jest charakterystyką ludzi wogóle (w przeciwstawieniu dajmy na to do aniołów), nie zaś któregokolwiek narodu w szczególności. W charakterystyce narodów idzie właściwie o znaczenie *stopnia* uduchownienia, do jakiego doszedł w ciągu wiekowego rozwoju, zmysłowości nikt nigdy na świecie się nie pozbędzie, ale od zwierzęcych jéj objawów może dojść do uduchownionych, idealnie ludzkich. Tego rozróżnienia nie miał na myśli autor i dlatego pozbawił wywody swoje gruntownéj podstawy; uwagi jego mogą być roztrząsane luźnie, uznane za słuszne lub nie, ale nie mogą mieć pretensyi do ścisłości metodycznéj, lubo się autor o tę właśnie zaletę starał. Według niego, zmysłowość owa, mająca jakoby charakteryzować nasz naród, jest źródłem trzech „kardynalnych wad narodowych“: *pożądliwości*, *drażliwości* i *lenistwa*. Tak sformułowana charakterystyka wad mało może pouczyć o istotnym charakterze naszym, gdyż pożądliwość, drażliwość i lenistwo to znowuż cechy ogólnie ludzkie, odnajdujące się u wszystkich narodów; ważném i ciekawém byłoby właśnie i tutaj wykazanie *stopnia* rozwinięcia tych wad oraz ich *gatunkowości*, czy to w porównaniu naszego narodu z innemi czy też w zestawieniu ich z przymiotami dodatniemi. Autor przypomina sobie nieraz, że ta lub owa wada wspólna jest nam z innemi narodami, wyrzeka się jednak

wszelkich porównań, gdyż chodzi mu o samo wytknięcie zdrożności naszych więcéj, niż o określenie ich ściśle naukowe. To też nie w wyliczeniu stron ujemnych naszego charakteru, ale w opisie ich objawów poszczególe mieści się wartość jego spostrzeżeń i wywodów. Z pożądliwości wyprowadza autor takie wady jak: jurność, obżarstwo i opilstwo, nieuczciwość, nieekonomiczność i bezmyślną zazdrość. Z drażliwości zaś: popędliwość, gniewliwość i samowolę. Z lenistwa wreszcie dwa szeregi wad: nieuctwo i lekkomyślność, z których pierwsze rodzi: przewagę wyobraźni, nieścisłość rozumowania, pochopność sądu i brak krytycyzmu powodujący: przesadę, zarozumiałość i łatwowierność—a druga: brak samodzielności, próżność i niedbalstwo. Najlepiéj opracowany jest dział mówiący o lenistwie (str. 49—93), gdyż najwięcéj tu nagromadził autor uwag rzeczywiście charateryzujących naszę umysłowość w odróżnieniu jéj od umysłowości innych narodów; drobnych wprawdzie ale trafnych spostrzeżeń znaczna tu ilość, jakkolwiek nie obeszło się i bez paradoksów lub sądów nieusprawiedliwionych (str. 67 o religii, 75 o żydach, 76, 77 o samodzielném rozumowaniu u Polaków, 83 o filozofii negligencyi). W końcu mówi Klin o cesze charakteru, któréj nie uważa ani za dobrą ani za złą, ale jako przyczyniającą się do oznaczenia właściwego usposobienia naszego narodu, uznał za potrzebne wzmiankować, to jest o *bierności*, powodującéj brak wielkich przedsiębiorczych planów, brak uzdolnienia do snucia czystéj teoryi, lichą skłonność chłonięcia w sobie innych narodowości. I téj charakterystyce musimy przyznać trafność, lubo nie zgodzilibyśmy się na zbyt jaskrawe tu i owdzie wyrażenia, któremi autor ją odznaczył, tak np. niepodobna przyznać wraz z autorem, że w literaturze polskiéj same są „przekłady i ścisłe naśladownictwo“ (str. 98) i że pod względem umysłowych odkryć niczém się szczególnie wybitném Polacy nie odznaczyli (str. 97), boć chyba Klin nie odmawia Kopernikowi nazwy Polaka. Z powyższego przeglądu możemy nabrać pojęcia o wartości broszury Klina; mieści ona dużo trafnych spostrzeżeń pomieszanych z wybrykami złego humoru i jednostronnego patrzenia na sprawy ogólne; ma przeważnie charakter publicystyczny, widniejący nawet w przykładowém ilustrowaniu wywodów (str. 62); może pobudzić do zastanowienia się nad rzeczami ważnemi, nasuwając ku rozmyślaniu doń dużo materyału. Autor bardzo ostro karcący niedbalstwo o język ojczysty, starał się usilnie o unikanie wady zarzucanéj innym, ale się błędów ustrzedz nie zdołał. Liczymy do nich rozmyślne pos ugiwanie się nie używaną w języku naszym formą liczebnika *dwiech* na rodzaj żeński, liczymy daléj fałszywą składnię imiesłowową: „z natury będąc miękliwego serca,

wzrusza nas każda niedola", (str. 81) z czegoby wypadało, że niedola jest miękliwego serca, gdy autor chciał powiedzieć, że my tą właściwością się odznaczamy; niepodobna téż uważać za poprawny biernika przy słowach z przeczeniem: „naród (zam. narodu) nie można mierzyć" (str. 68). Zła forma gramatyczna: „Indyaninami" (str. 84) jest zapewne omyłką tylko pióra lub druku.

= **Rewizya tekstu pierwszéj części „Dziadów" A. Mickiewicza** *podług autografu. Podał Józef Kallenbach.* (*Kraków, 1887, str. 22 w 4-ce*). Kiedy przed 27 laty po raz pierwszy z rękopismów pozostałych po naszym wieszczu wydrukowano w Paryżu ułamki części pierwszéj „Dziadów", znana już była i praktykowana krytyczna metoda wydawnicza, lecz ówcześni wydawcy fragmentu, Julian Klaczko i Eustachy Januszkiewicz nie krępowali się nią wcale i dość swobodnie postąpili ze znalezionym manuskryptem, tak, że nie tylko usuwali widoczne błędy pióra, co było rzeczą naturalną, ale także wyrazy i wyrażenia, jeżeli im się wydawały niestosownemi, kiedy nie potrafili wyczytać istotnie niewyraźnego, bo z wielką szybkością kreślonego pisma, pozwalali sobie improwizować i przypuszczenia własne podawać za tekst autora. Obecnie p. Kallenbach dostawszy autograf owych fragmentów, podjął pracę wykazania odstępstw i zmian, jakich dopuścili się wydawcy, oraz wydrukowania rękopismu, tak jak się on przedstawia badaczowi rzeczywiście. W kilku miejscach nie udało się autorowi odczytać słów niewyraźnych lub poplamionych, ale wogóle wykonał pracę ową pilnie i starannie, lubo niezawsze ściśle, że dla przykładu przytoczę tylko ustępy ze str. 7, w których podaje wiersze z wydań w ten sposób, że mogłoby się wydawać, iż ich wcale w rękopiśmie nie ma. („Kto wspominasz dawne chwile" itd. „Hola słychać śpiewanie" itd.), gdy tymczasem one wybrane zostały przez pierwszych wydawców z pomiędzy dwu lub więcéj odmianek istniejących w rękopiśmie, który jak i inne dowodzi, że Mickiewicz *opracowywał* swe wiersze. Wynikiem zestawień porobionych przez p. K. będzie możność prostowania tekstu pierwszéj części „Dziadów" w poszczególnych wyrażeniach (*lękliwym* zam. szczęśliwym, *ogarami na piękne* polować widoki, zam. *Oczami na jesienne* p. w. itp., oraz to przekonanie, że całkowicie poprawnego brzmienia jéj ustalić się nigdy nie uda, gdyż w kilku miejscach albo niepodobna wyczytać pisma, albo też znajdują się takie wyrażenia, których zrozumieć nie można („cukierki przybrane s podłogi s salonu, olśnić marnych (?) twoje lica, po umarłey pieśniach"). Takich odmianek tekstu, któreby wpłynąć mogły na inne niż dotychczas pojmowanie pomysłów poety, badanie nie wykryło, a te szczegóły, które przy końcu swéj pracy podnosi, są małoznaczące

lub polegają na niedokładném uprzytomnieniu sobie chwili dziejowéj, w któréj pierwsza część „Dziadów“ była pisana, oraz innych utworów Mickiewicza. Dopisek przy chórze młodzieńców: „ob. Romantyczność“ nie znaczy, zdaniem naszém, jakoby autor nowym swoim utworem chciał daléj prowadzić walkę przeciwko pojęciom nieprzyjaciołom poezyi romantycznéj, lecz poprostu miał na celu przypomnienie czytelnikom obrazu Karusi, którą młodzieńcy z chóru tego upominają, ażeby porzuciwszy próżne żale, zwróciła się do rzeczywistości. Schemat metryczny obok pieśni myśliwca, z takim naciskiem podniesiony przez autora, nie był czémś szczególném i wyjątkowém w czasie bardzo silnego zajęcia się kwestyą metryczności języka polskiego. (Elsner, Królikowski, Brodziński), w czasie kiedy Zaleski przy dumie o Wacławie r. 1819 w *Dzienniku Wileńskim* (II, 525) również „miarę wiersza“ umieścił. Zaznaczenie prawéj i lewéj strony teatru w utworze wieszcza dowodzi tylko tego, co dowodzenia nie potrzebuje, że autor chciał wyrazić swe pomysły w formie dramatycznéj, i nie może być wcale uważane za wymowniejszy protest przeciw przypuszczeniom krytyków, jakoby obraz uroczystości Dziadów był tylko dekoracyą bez głębszego związku z dziejami miłosnemi poety—nad słowa Gustawa w IV części, ujmujące się za tą uroczystością... krytycy wiedzą, że wiersz nasz chciał złączyć obraz obrzędów ludowych z dziejami własnego serca, boć to nie ulega żadnéj wątpliwości, ale utrzymują, że w istniejących częściach Dziadów połączenie to nie zostało artystycznie przeprowadzoném—i w tém jest jądro kwestyi.

= **Korwin (Wincenty Chełmiński). Z życia, nowelle i satyry.** (*Warszawa. Druk braci Jeżyńskich 1887, str. 192 + II*). — Wspomnienie o tym zbiorku prozy i poezyi będzie zarazem i nekrologiczną wzmianką zmarłym młodo, w 37-ym roku życia, w Wilnie na początku września r. b. pisarzu, który od lat piętnastu brał udział w piśmiennictwie bieżącém, choć się nie zdołał dobić nie tylko sławy, ale i rozgłosu nawet. Urodzony i wykształcony na Litwie, dał się po raz pierwszy poznać drukowaną w Warszawie r. 1873 szczuplutką (str. 69) wiązanką wierszy p. t. „Listki opadłe“; drugą ich seryą (str. 80) wydał r. 1877 w Wilnie. Zajmował się następnie urządzeniem księgarni p. Elizy Orzeszkowéj w Wilnie i pomocą przy prowadzeniu wydawnictw książkowych przez nią podjętych. Sam przytém ogłaszał broszury humorystyczne. Gdy księgarnia i wydawnictwo zostały zamknięte, Chełmiński przeniósł się do Warszawy i tu był spółpracownikiem kilku czasopism. Jakby przeczuwając zgon przedwczesny, zgromadził rozproszone utwory swoje i wydał je p. n.:

„Z życia.“ Ze zbioru tego można ocenić i szlachetne, uczuciowe usposobienie pisarza i rodzaj jego uzdolnienia. Miękkie, serdeczne tony grały w duszy, ale smutki, zawody i cierpienia zamąciły ich czystość, a nawet przemieniły je w zgrzyt sarkastyczny. Sam on trafnie zauważył:

Każdy z nas gwiazdkę ma w życiu;
Ufne wyciąga doń dłonie;
Jak świętość czci ją w ukryciu,
Póki wiatr chłodny nie wionie.

Ten wiatr chłodny na wrażliwéj duszy to sprawił, że gdy łez już nie stało, z własnych boleści nauczyła się szydzić. Ale w głębi pozostała miłość ludzi, cześć dla ideału gorąca, pełna uniesień, i szyderstwa Korwina, jak u prawdziwego humorysty płynęły z poczucia bólu, że zarówno światu jak i jemu samemu trudno się utrzymać na wyżynie owego ideału. Najczęściéj opiewa zawody własne, mianowicie w miłości; dużo wylał łez w ukryciu, wiele doznał rozczarowań i zwątpień, a mało doświadczył tego, „co świat opromienia“; to téż łza humorysty przebija się ciągle poprzez uśmiechy ironii. Wytykając wady ludziom: próżność, egoizm, obłudę, fałsz, boleje nad niemi serdecznie i dlatego groty jego nie ranią głęboko, ale wzruszyć mogą. Pomysłowością obfitą nie odznaczał się; stąd nawet w tym małym zbiorku daje się uczuć jednostajność, brak wielostronnego poglądu na rozmaite życia objawy, ale nie ma stronniczości; humorysta nie przywiązuje się do jednéj klasy lub warstwy, ale wytyka wady ze wszystkich sfer: czy plutokratycznej, czy literackiej, chłoszcząc w pierwszéj samolubstwo, nieczułość na cierpienia bliźnich, a w drugiéj zmienność przekonań dla grosza. Niektóre wiersze są bardzo udatne (w „Strofach oderwanych“ IV, VIII, „Z księgi pamiątek“ IV, V, „Etiudy“ II, III), bo wydobyły się z pełni serca, odtwarzając uczucia rzeczywiście doznane; ale są także zbyt nacechowane pochodzeniem okolicznościowém, a wypowiedziane gwarą brukową warszawską, pochodzące głównie z głowy lub uogólnienia pojedyńczego wypadku — i te niezbyt szczęśliwie się złożyły. Obrazków prozą pisanych jest zaledwie kilka; najlepsze z nich dwa: „Daniło“ i „Zbyteczny.“ W „Danile“ opowiedział poeta co do głównego motywu wypadek podobny do osnowy ślicznéj noweli Felicyana „Zdaleka i zblizka,“ ale w szczegółach podał kilka rysów znakomicie z natury schwyconych (mianowicie realistycznie skreślona krótka historya miłości Daniły do Paraski, oraz wrażenie, jakie zrobiło na powracającym z wojska Danile opowiadanie arendarza, że Paraska wzięła jego brata dlatego, żeby gospodarstwo nie niszczało, i że rokrocznie daje na nabożeństwo za spokój duszy Da-

niły, którego uważała za umarłego). W szkicu p. n. „Zbyteczny“ opowiedział dzieje biuralisty, który mając nadzieję blizkiego wysłużenia emerytury, marzył o szczęściu, jakiego dozna, gdy już będzie zupełnie swobodny, gdy żona jego odpocznie sobie, a on będzie miał niekiedy leguminę dobrą i drugi kufelek piwa,— tymczasem po wysłużeniu upragnionéj emerytury, nudzi się biedak, zachodzi do biura, gdzie go z początku przyjmują z poważaniem, a potém dają uczuć, że jest zbytecznym; żona umiera, a on szukać musi pociechy w kufelku. Ton starannie ukrywanéj rzewności dodaje tym utworom wiele powabu, gdy czysto satyryczne („Żałoba,“ ,,Kabała,“ ,,Przedostatnie posługi“) mniéj posiadają artystycznego wdzięku i realnéj prawdy.





# KRONIKA MIESIĘCZNA.

Prawo mechaniczne w zjawiskach społecznych. — Dwa ruchy na dwu odwrotnych krańcach: socyaliści i „Niwa“—„Głos“ i „Rola“.—Dalekowidząca przenikliwość p. Kamiennego, z powodu kwestyonaryusza „Gazety Świątecznéj“. — Jakich nadziei i pożądań chłopskich boi się „Rola“? — Konieczne konsekwencye pytań p. Kamiennego. — Litania wad włościańskich, spisana przez p. Buckiewicza w 4-ch numerach „Roli“. — Jedyna chłopska dewiza.—Czy w społeczeństwie mogą istnieć wady bez przymiotów? — Tępienie pożytecznéj idealizacyi. — Oskarżenie p. Buckiewicza, jako smutna zapowiedź wojny i rozprzężenia. — Pretensya do wydawniczego monopolu i próba przestraszenia „młodego literata“.

Nie wiem, czyś słyszał, czytelniku, że w mechanice istnieje takie prawo, wyprowadzone na podstawie dokładnych badań i ścisłego rozumowania i stwierdzone, o ile się dało, doświadczeniem: gdyby jakakolwiek istota żyjąca, człowiek np., usuniętą została z pod wpływu wszelkich sił zewnętrznych, takich, jak dajmy na to przyciąganie ziemi, to nie byłaby w możności poruszenia z miejsca własnego środka ciężkości. Wszelki ruch z jednéj strony ciała wywołałby natychmiast odpowiedni ruch z drugiéj. Gdyby człowiek, pozostający w takich warunkach, wyciągnął rękę lewą, w téj chwili *musiałby koniecznie* toż samo zrobić z prawą, lub też przechylić głowę, albo wysunąć nogę prawą, takie, słowem, poruszenie wykonać, że punkt, będący środkiem ciężkości, pozostałby na miejscu.

Przypatrując się zjawiskom społecznym, wydawać się nieraz może, że w życiu narodów obowiązuje téż ustawa podobna. Ile razy wykonany zostanie jakiś znaczniejszy ruch na lewo, tyle razy inna część żywiołów rzuca się sama i usiłuje porwać za sobą całość na prawo, w ten sposób środek ledwie się cokolwiek posunie; a nawet, sądząc z jednego jakiegoś momentu dziejowego, nie znając ruchu wieków całych, przypuszczalibyśmy zapewne, że nigdy miejsca nie zmienia. Pomimo takiéj względnéj nieruchomości „środka“, zjawiska tego rodzaju, ruchy podobne, mają znaczenie

doniosłe. Będąc zapewne jedną z form postępu, tém niemniéj jednak wytwarzają one skutki wcale nie pożądane. Społeczeństwo przez nie rozciąga się niejako, pojęcia, uczucia, działalność, stają się rozmaitsze, ale téż rozpraszają się, tracą łączność i konieczną koordynacyą. Spójnia i skupienie sił, tak niezbędne w zbiorowém życiu, słabną, ustępując miejsca innym pierwiastkom, wywołującym niejednokrotnie rozkład.

Społeczeństwo nasze przed kilkunastu, czy może mniéj laty, wykonało na dwu swoich krańcach dwa odwrotne ruchy. Z jednéj strony wystąpili prorocy i działacze socyalistyczni, z drugiéj wynurzyły się zachcianki obecnych i „nieobecnych“ karmazynów do moralnego i faktycznego przewodnictwa. Poczęły się ukazywać broszury, dziś zapomniane, a głoszące hasła, których przeszłość — najbliższa przynajmniéj — nie znała, o zawładnięciu steru świata przez czarne ręce roboczych tłumów. A jednocześnie wylęgły się „Niwa“ i „Słowo“, poświęcone interesom klasy, która znowu w wypieszczone i białe swe dłonie usiłuje ująć sprawy całego społeczeństwa. W historyi prasy warszawskiéj taka wyraźna tendencya była również obcém dotąd zjawiskiem, szczególniéj nieznaném w latach bezpośrednio je poprzedzających.

Obecnie powtarza się toż samo, ale się kalejdoskop obrócił: skala mniejsza i kształty zmienione. Nie chodzi już o czyn, ale o teoryą, nietyle może o zmianę rzeczywistą, ile o uczucia, nawet nie o dokładnie sformułowaną doktrynę, ale o ogólną zasadę.

„Głos“, przed rokiem, wyraziwszy pogardę dla strupieszałéj, zgniłéj, niecnéj, bankrutującéj cywilizacyi klas uprzywilejowanych całego zachodu, oświadczywszy, że nasz tysiącoletni dorobek społeczny nie wart grosza, czy może nawet złamanego szeląga, podniósł jednocześnie istnienie innéj, zdrowéj, pięknéj, silnéj, a zupełnie odrębnéj cywilizacyi ludu, niezarażonego trądem zepsucia, jaśniejącego cnotami, niby brylant na słońcu. Przez rok cały piosenka ta—o ile nie zawiodła konsekwencya—powtarzała się nieustannie.

Ruch odwrotny nie dał na siebie czekać. Tym razem najokazalsze grzyby reakcyi wyrosły na szpaltach „Roli“. „Głos“ żądał podporządkowania interesów społeczeństwa całego interesom ludu, „Rola“ domaga się jakgdyby zupełnego zaniedbania pracy nad umysłowym rozwojem tego ostatniego. „Głos“ podniósł chłopa do ideału, w „Roli“ p. Buckiewicz spycha go na samo dno upadku, zwyrodnienia, występku.

Niegdyś zwracaliśmy uwagę na teorye „Głosu“, teraz przypatrzmy się bliżéj noworostom przeciwnego krańca.

W 337 numerze tegorocznéj „Gazety Świątecznéj“ znajduje się artykuł, zatytułowany: „Jak się żywimy? (Prośba do czytelników)“, gdzie po bardzo umiejętnym wstępie, tłómaczącym rolę pokarmów w życiu, znajduje się kwestyonaryusz, wypełnienie którego dałoby nam dokładnie poznać, jak się odżywia lud. Żałujemy mocno, żeśmy w swoim czasie nie mogli bliżéj zapoznać czytelników. z tym kwestyonaryuszem. Był ułożony z jedną-jedyną myślą, z jedną tendencyą: otrzymania jak najdokładniejszych danych o rzeczy, o którą chodziło. Najlepszém świadectwem bezstronności, przedmiotowości jego, było uznanie jednoczesne „Głosu“ i „Niwy“. „Pisarz Gazèty Świątecznéj“, zachęcając czytelników swoich do dawania odpowiedzi, powiada: „Jeśli zrobicie to, może być z tego pożytek nietylko dla nas, ale i dla Was i dla ogółu całego“. A daléj: „w całych okolicach po części przez biedę, ale po części i ze zwyczaju, a często przez niewiadomość, naród nędznie marnieje. Do czegóżby to z czasem przyszło, gdyby tak miało iść daléj! Oj, trzeba radzić na to! A pierwsza rada — to oświecenie ludzi w téj rzeczy, żeby wiedzieli i przekonali się, czego w ich jadle brakuje, co w ich zwyczaju żywienia się zmienić należy. Nieraz téż jedna okolica od drugiéj mogłaby się nauczyć, co w gospodarstwie zaprowadzić można, lub téż, jak tę, czy ową strawę przyrządzać, żeby bez powiększenia kosztu stała się zdrowsza i posilniejsza. Ale takie okolice leżą daleko jedna od drugiéj, więc nie mogą pouczać się nawzajem. Otóż my z gazetą naszą pragniemy dopomódz ludziom i w oświecaniu się w téj sprawie i w pouczaniu się wzajemném“, Takie są racye, w imię których ludzie dobréj woli wezwani byli do wypełnienia kwestyonaryusza. Czy jest w tém cokolwiekbądź zdrożnego? czy można stąd wyciągnąć zarzut jakichś antyspołecznych tendencyj, czy wpływów? czy może komu przyjść na myśl, że to jest igranie z ogniem? A tymczasem p. Kamienny w „Roli“ zarzuca z tego powodu p. Prószyńskiemu ni mniéj ni więcéj, tylko — „demagogią“! Po otwartém wyśmianiu kwestyonaryuszów wogóle, p. Kamienny razi kwestyonaryusz „Gazety Świątecznéj“ ukrytą ironią i naiwną niby niewiadomością: „Jako tak wielce czujnego pedagoga ludu, ośmielam się p. Prószyńskiego najnieśmieléj zapytać: czy ogłaszanie tego rodzaju „kwestyonaryuszów“ w „organach ludowych“ jest rzeczą dość *pedagogiczną?* Czy nie jest to przypadkiem mimowolna prowokacya w kierunku „podporządkowania“? Czy tego rodzaju zapytania, jak naprzykład: „po ile morgów mają bogatsi, a po ile biedniejsi“ — albo: „Gospodarze, co mają *mniéj ziemi*, a także chałupnicy i komornicy, czy *tak samo często* jedzą mleko, sery, mięso, groch, bób i fasolę?“ — czy pytania, powtarzam, takie, chociażby

w najlepszéj ogłaszane intencyi, nie zostaną czasem, przy pomocy zwłaszcza usłużnych pokątnych opiekunów i „doradców“ ludu, wytłómaczone fałszywie i opacznie? Czy przypadkiem w tych najskłonniejszych do obałamucenia w tym kierunku umysłach, pytania kwestyonaryuszowe, pochodzące „od tych tam jakichś panów z *Warsiawy*“, nie rozbudzą raczéj, zamiast chęci do oświecania się w kierunku hygieniczno-fizyologiczno-zdrowotno-kulinarnym, jakichś nowych pożądań i nadziei? Ja nic nie wiem i nic nie przesądzam. Pytam tylko, a pytać przecież wolno, choćby z tego tylko jednego praktycznego względu, że ostrożności w sprawie „oświaty mas“ nigdy, ale to nigdy, nie może być zawiele“.

P. Kamienny w swoich pytaniach zachodzi bardzo daleko. Gdyby ludzie, przystępujący do jakiejkolwiek pracy, tak daleko sięgali w przewidywaniach swoich, gdyby tak luźno wiązali przypuszczalne skutki z przypuszczalnemi przyczynami; gdyby starali się uuiknąć wypowiedzenia każdego słowa, które złe duchy jakieś (chociażby tylko publicyści warszawscy) mogą na wspak obrócić — toby nikt nigdy nic nie zrobił, niktby nigdy ust chyba otwierać nie powinien. Każde potrącenie tak skomplikowanych zjawisk, jak życie ludzkie, wywołuje różne skutki, odbija się wielorako; może więc zdarzyć się wypadek, że pomiędzy różnemi korzyściami i wpływami kwestyonaryusza znajdą się i złe; ale kto na nie tylko zwraca uwagę, kto chce, aby z nimi wyłącznie się liczono, temu widocznie cała sprawa miłą nie jest i niechęć pozoruje tylko przyzwoitemi przyczynami. Dobry i pożądany skutek kwestyonaryusza, którego „Rola“ jakgdyby domyślać się nawet nie chciała, nie dał długo na siebie czekać. W każdym numerze „Gazety Świątecznéj“ czytamy o odpowiedziach nadsyłanych przez jéj czytelników, o fałszywem zaś tłómaczeniu pytań dotąd mowy nawet nie ma.

Co to znaczyć mają „nowe pożądania i nadzieje“? Jakież to były stare pożądania i nadzieje, które tak niemiłe wspomnienia budzą w p. Kamiennym? Jakich to aspiracyj są echa i co właściwie wyrażać mają?

Poznanie dokładne, na faktach, nie zaś przypuszczeniach i uczuciach oparte, bytu każdéj części ludności, a więc i ludu, jest nietylko potrzebą, ale i koniecznością. Wspomina o tém i „Rola“ w tym że samym numerze, w artykule p. Buckiewicza, o którym niżéj mówić będziemy. A jakże je poznawać mamy, jeżeli kwestyonaryusze nie prowadzą do celu i są niebezpieczne? Czy należy jeździć i osobiście poznawać życie ludu? Tak robią uczniowie Le Pley'a we Francyi. Przypuściwszy nawet (co jest niemożliwe), że oni ni-

gdy żadnych pytań nie zadają, to przecie zapominać nie należy, że Wisłę od Sekwanny dzieli wiele mil i żywcem do nas tamtejsza procedura przenieść się chyba nie da. Wątpliwém jest, czy u nas taki badacz stosunków mógłby długo przebywać w jednéj wiosce, jak również, czy udałoby mu się przejść do następnych. Żywa przytém osoba, budząca zdziwienie niezupełnie wytłómaczoną racyą pobytu, więcéjby przecież poruszyła umysły i pchnęła do niebezpiecznych rozmyślań, a więc i do owych budzących w oponencie grozę nadziei, niż zapisana kartka. Skąd przytém wziąć ludzi do takiéj pracy? A tymczasem konieczność poznania ludu istniéć nie przestaje, mówią o niéj najwięcéj właśnie ludzie, lękający się drzémiących w chłopie pożądań, zarzucając idealizującym demokratom brak wiadomości faktycznych. Trzeba się uciekać do zadawania pytań, a w takim razie mniéj niebezpieczne jest pisane, niż ustne, które nietylko mogłoby być opacznie zrozumiane i fałszywie pojęte, ale ulegałoby przekręcaniu, przechodząc z ust do ust. Jakaż więc jest racya niewinnych pytań p. Kamiennego? Podobnie uzasadnionych wątpliwości wtedyby się tylko uniknęło, gdyby nikt nic nie robił.

Ostatnie zdanie przytoczonego z „Roli“ ustępu również prowadzi do wniosku, że każdy dbający o lud powinien zaniechać pracy, bo, nie wiedząc o tém, pożar może rozniecać, *„ostrożności w sprawie „oświaty mas“ nigdy, ale to nigdy nie może być za wiele“*. Najwyższa ostrożność, która właśnie jest pożądaną, da się osiągnąć wtedy, gdy żaden pług nie potrąci zależałego pola. Przenikając tak daleko wyobraźnią i w tym kierunku, co „Rola“, dojdziemy do wniosku, że ten, co nauczy chłopa czytać, popełnia występek lekkomyślności, boć przez to daje możność poznania treści książek, z których tyle traktuje o bycie ludu, mówi o biednych i bogatych, o głodnych i zamożnych, a więc podnieca nadzieje występne i pragnienia zgubne.

Drugi grzybek reakcyjny, również na szpaltach „Roli“ wyrosły, odmienny ma nieco charakter i nie począł się w łonie saméj redakcyi. Uwagi, czy pytania p. Kamiennego, powstałe przygodnie z powodu sprawy bieżącéj, aczkolwiek fatalne w swych konsekwencyach, mogły się wymknąć autorowi przy pośpiechu publicystycznéj roboty bez należytego zastanowienia i obmyślenia. Chociaż więc świadczą o ogólnym nastroju myśli i usposobień autora, nie spadają nań całém brzemieniem możliwych wniosków. Co innego p. Buckiewicz, który w czterech aż numerach (34—37, p. t „Z bytu włościan“) drukował charakterystykę chłopa polskiego.

Nie jest on, o ile sądzić można z różnych ustępów artykułu, etnografem, ani literatem z powołania, choć piórem włada biegle,

iecz wziął się do kałamarza, powodowany w części miłością i poczuciem potrzeby prawdy, w części zirytowany rażącą nieznajomością stosunków włościańskich p.p. publicystów i powieściopisarzy, z pomiędzy których wyróżnia szczególniéj Prusa.

Podobne wystąpienie z własnego popędu musiało być zapewne dobrze obmyślane, dokładnie rozważone i stanowi niewątpliwie wyraz zupełnie skrystalizowanych, wypróbowanych już w życiu zasad. Dziennikarzowi zdarzyć się może to i owo napisać,—kto z wewnętrznego popędu zabiera głos, aby oświecić współobywateli, tego wewnętrznéj istoty musiało coś mocno i długo dolegać.

P. Buckiewicz widzi w rozwoju moralnym chłopa wielki przełom na gorsze z chwilą uwłaszczenia, co, jak widzimy, odpowiada pewnemu przełomowi w poglądach części prasy konserwatywnéj, a zapewne ma niejaki związek także z niejasnemi aspiracyami „Roli“, wyrażonemi przez obawę „nowych pożądań i nowych nadziei“. „Współczesny chłop uwłaszczony — mówi p. Buckiewicz — a dawny kmiotek — to dwa światy zupełnie różne i niepodobne do siebie“. Następuje potém wyliczanie różnych właściwości włościanina, z których każdéj poświęcony został mniejszy lub większy ustęp; my ograniczamy się na suchém wyliczeniu jedynie, zachowując porządek autora: chłop jest obojętny na sprawy krajowe, nie dba o żadne ulepszenia, o żaden postęp, nawet o poprawę bytu własnego; jest niezdolny do zbiorowego życia; brak mu zupełnie sumienia; rujnuje majątki ziemskie większe, robiąc szkody godne wandalów; cechuje go żądza bezprawia i chciwość, samolubstwo, pobłażanie dla występków i zbrodni, dzikość obyczajów, nieludzkość dla zwierząt domowych, łakomstwo, bezbożność nawet; jest zuchwały i butny, gdy ma siłę za sobą, obłudny, fałszywy, pokorny, służalczy, gdy tego potrzebuje; pogardza on własnym stanem, własném nazwiskiem i sukmaną, nie zna szacunku ani dla wieku, ani dla stanowiska. „Lenistwo, lenistwo—woła daléj autor—przerażające i w skutkach opłakane, jest jedną z najbardziéj charakterystycznych cech i właściwości dzisiejszego gminu, który, jak widzieliśmy, potrafi żyć w dostatku nawet bez wszelkiego trudu. Środkiem raczéj łupem, służącym do zaspokojenia jego potrzeb materyalnych jest najpierw mienie dziedzica, po które sięga dniem i nocą bez świadków, podczas gdy mniéj odważni, a i młodsi nawet, zapuszczają brody, przywdziewają łachmany i daléj w nieznane okolice „po kweście“ bądź pod pretekstem biednych i niezdolnych do pracy, bądź téż pogorzelców. I musi to być rzemiosło zyskowne, skoro mienie tych improwizowanych żebraków sięga nieraz kilku tysięcy rubli gotowego grosza!“ P. Buckiewicz utrzymuje, iż bluźni

ten, kto twierdzi, że współczesny włościanin znosi kiedykolwiek klęskę głodową, że cierpi niedostatek z powodu braku pożywienia lub braku zarobku. Jeżeli chłop żywi się źle i niedostatecznie, to wynika to —według autora—nie z biédy wcale, ale raczéj z owego powszechnego i głęboko zakorzenionego nałogu chciwości, z niepomiernéj żądzy szybkiego wzbogacenia się. „Miéć chłopski rozum—powiada p. Buckiewicz—to znaczy posiadać tę siłę argumentów, środków i sposobów, przy pomocy których zakamieniały chłopski upór można by przełamać, a zadanie to, przy dzisiejszym stanie rzeczy nielada. Nie mówiąc już nic o groźbie, żadna prośba, wszelkie, bodajby najbardziéj jasne i dowodne przedstawienie rzeczy, wszelkie wreszcie rozbudzenie poczucia wstydu i godności własnéj, — wszystko to łamie się i rozbija o skałę tego przedziwnego uporu współczesnego kmiotka, który zna *jedną* tylko dewizę, i téj stale się trzyma: *„pana wolno kraść, niszczyć i spalić go wolno.*"“

P. Buckiewicz nie wynalazł ani jednéj nowéj czarnéj strony charakteru ludzkiego, wszystkie znane były od dawna i każdy miał sposobność stykania się z niemi we własném otoczeniu, w jakiéjkolwiek bądź sferze przebywał. Żaden niemal charakter jednostki wolnym nie jest od zarodków tych wszelkich szpetności, że plenią się zaś one w każdéj warstwie społecznéj — to wątpliwości ulegać nie może. Jeżeli więc weźmiemy pod skalpel charakter sfery ludzi o zaniedbaném wychowaniu, a przez ciężką rzeczywistość wystawionych na twardą walkę z życiem i silne pokusy, bez żadnych niemal uszlachetniających wpływów, to naturalnie znajdziemy w takiéj zbiorowości wszystkie te wady, o których pisząc, p. Buckiewicz sądzi, że Amerykę, zakrywaną przez demagogów, odkrywa. Czy jednak wyliczyć wszystkie słabości natury ludzkiéj, spotykane wszędzie wśród ludzi, to znaczy dać charakterystykę chłopa polskiego, to znaczy wyrzec ostatnie słowo w kwestyi społecznéj, to znaczy rozstrzygnąć sprawę i zamknąć gębę publicystom, przemawiającym w imię ogólnych potrzeb?

Jesteśmy gotowi iść bardzo daleko za p. Buckiewiczem i uznać za słuszne — na co zapewne nie wielu się zgodzi, — że nazywanie chłopów Kosików — Kosińskiemi, Skowronów — Skowrońskiemi, a „panów na folwarku“ Olszewskich, Rybackich — Olszakami, Rybakami stanowi fakt, kwalifikujący się do rubryki zjawisk ujemnych. Jestto prawdopodobnie świadectwo upadku poważania klasy bardziéj wykształconéj i wyżéj stojącéj pod względem uobyczajenia, klasy, która, gdyby zachowała swój wpływ moralny, mogła by dobroczynnie oddziaływać na lud. Ale uznanie za złe tego, co pan Buckiewicz za złe uważa, nie prowadzi jeszcze do

przyjęcia za charakterystykę chłopa litanii wad, ułomności i występków ludzkich, które właśnie dla tego, że są ludzkie, wśród ludzi, a więc i wśród chłopów odszukać się dadzą.

Życie zbiorowe musi mieć jakieś spójnie, jakiś cement, inaczéj społeczeństwo rozpaść by się musiało; takim cementem są cnoty, są dodatnie właściwości charakteru; wady są czynnikami rozkładu. To jest jedna z najelementarniejszych prawd nauki społecznéj i dowodzenia chyba nie potrzebuje. Jakże by teraz istnieć mogła zbiorowość, gdyby najliczniejsza jéj część, fundament niejako, składała się z idealnie czarnych charakterów, z mistrzów występku, z łajdaków z pod ciemnéj gwiazdy. Muszą być jakieś cnoty, jakieś zaczątki chociaż moralności, jakieś czynniki umożliwiające życie społeczne, które bądź co bądź wczoraj istniało, dziś się kołace, a i jutro nie grozi ruiną. Przepomnienie w charakterystyce tych pierwiastków, warunkujących istnienie, stanowi najwyższy błąd, jaki można było w tym kierunku popełnić.

O ile my tu, w Warszawie, możemy wiedzieć, chłopi nasi nie wyrzucają swoich niezdolnych do pracy rodziców do lasu na pożarcie wilkom, co robią dzicy niektórych krajów, istnieje więc wśród nich rodzina, budzi poszanowanie, poczucie wdzięczności, istnieje autorytet społeczny. Nie słychać także, aby wszyscy po bocznych drogach jeździli z rewolwerami, a zabójstw tak wiele nie ma; a więc chyba rabowanie „panów“ nie jest jedynym środkiem do życia chłopów; co by zresztą chłopi rabowali, gdyby przedtém sami nie wytworzyli pewnéj ilości bogactw; przecie inne warstwy przyjmują pośredni tylko, choć zresztą bardzo ważny udział w produkcyi rolnéj. Tymczasem z ciemnego malowidła p. Buckiewicza wynika, iż chłopi to pasorzyty i nic więcéj. Daléj, pewna ilość chłopów żyje z żebractwa: toć przecie ktoś, jacyś inni chłopi muszą im dawać, a więc zaraz mamy cnotę miłosierdzia, przymiot współczucia. Nie ulega wątpliwości, że chłopi wypasają łąki i owies dworski, że wycinają drzewo w lasach: .czy jednak można stąd dojść do wniosku, że *jedyną* zasadą w życiu chłopa jest: „pana wc no kraść, niszczyć i spalić go wolno“. Żołądków włościańskich do jedzenia jest dużo, rąk do kradzenia również, gdyby więc chłopi wzdychali jedynie do złodziejstwa, to żaden obywatel żyć by nie miał z czego, a tymczasem, kiedy w Gdańsku za pszenicę drogo płacili, dobrze im się wszystkim działo. Trzebaby było chyba armii całéj dla upilnowania snopków na polach rozległych, albo stogów licznych, kwartały całe pozostawianych na łące, albo kartofli w dołach: tymczasem nie ma zwyczaju stawiania jakiéjkolwiek straży, a jednak wyjątkowo tylko właściciel traci jakąś część tych zebranych już owoców swéj pracy.

Co tu może bronić własności, jeżeli nie poczucie moralne, nie wyrobione wiekami społeczne obyczaje chłopa. Takich nieuniknionych dodatnich właściwości można by wyprowadzić bardzo wiele z teoryi samej, nie schodząc nawet na grunt.

P. Buckiewicz jest obywatelem, mieszka na wsi i zapewne miewa niejednokrotnie zajścia z chłopami, stąd do rozdrażnienia i do zgubienia miary, do przesady już prosta droga. Każdy w takich warunkach popełni błąd, oceniając otoczenie swoje, jeżeli z sądu nie wyruguje subiektywnych złudzeń i uprzedzeń. P. Buckiewicz tego ani myślał zrobić. Dla niego chłop z jego okolicy, to chłop Polski całej, jak długa i szeroka. Stąd błędy bijące w oczy. Pan Buckiewicz widział chłopów, co nie chcą prenumerować „Gazety Świątecznej“, a więc powiada, że chłop zawsze i wszędzie stroni od oświaty, że na książkę i na pismo nigdy grosza nie wyda. A tymczasem wiadomém jest w sposób, nie ulegający zakwestyonowaniu, z danych faktycznych, nie z jakichś zaściankowych wrażeń, że jest wielu chłopów nie żałujących grosza na „Gazetę“.

P. Buckiewicz miał zamiar sprostować błędne mniemania współobywateli, a tymczasem uraczył tylko czytelników „Roli“, octem i żółcią, wyssaną z osobistych swoich stosunków, a taki pokarm nikomu korzyści nie przyniesie.

Ale gdybyśmy się nawet zgodzili zupełnie na twierdzenie artykułu „Z bytu włościan“, i gdybyśmy się przekonali, że on same prawdy tylko zawiera, to i wtedy pożytecznym i pożądanym nazwać by go nie można było. Zastanówmy się tylko, czy pewne idealizowanie chłopa, naturalnie nieprzekraczające granicy jakiejś, otaczanie go sympatyą, czy nawet kult niejaki dla ludu nie ma swoich dobrych stron, nie przynosi korzyści ogółowi, nie da się usprawiedliwić społecznie?

Historya i socyologia znają takie objawy uczuć, ludzkość je hodowała i rozwijała z pożytkiem nieraz, gdy chodziło o ochronę słabszego. Średnie wieki np. przekazały nam cześć dla kobiety. Racyonalista niewidzący koło siebie nic, a snujący tylko z głowy matematyczne formuły logiki, nie potrafi nieraz znaleźć uzasadnienia dla galanteryi, uprzejmości, szacunku, jakich świat cywilizowany wymaga od mężczyzny względem kobiety. Ktoś inny nazwie to zabytkiem zapleśniałéj przeszłości, który ubliża obu połowom rodu ludzkiego. A tymczasem tylko wytworzenie takiego stosunku jedynie mogło osłonić słabszą fizycznie wychowawczynię moralną człowieczeństwa od brutalnéj przemoc, i nadużyć ze strony silniejszego mężczyzny.

Tak samo mniej więcéj rzecz się ma z ludem. Bierze on ogromny udział w wytwarzaniu bogactw, praca jego zapewnia byt materyalny całemu społeczeństwu, a więc i warstwom wykształconym. Tymczasem w zarządzie, w administrowaniu temi bogactwami lud nie tylko udziału brać nie może, gdyż go do tego jego zajęcia, a dziś i wykształcenie nie usposabiają, ale nawet kontrolować wytworzonego przez siebie grosza nie jest wstanie. Tylko siła moralna może go zasłaniać od krzywd. Nie jedyną, ale w każdym razie jedną z sił, działających w tym kierunku, jest właśnie owa idealizacya chłopa, jest ten sentymentalizm społeczny, który, nie mając może jakiegoś faktycznego, absolutnego usprawiedliwienia, tém nie mniéj spełnia ważną rolę. Dzięki jemu z warstw inteligentnych występują trybunowie ludu, niepozwalający wziąć góry interesom jednéj klasy, którzy czuwają nad zaspokojeniem potrzeb ludu, czego on sam zrobić nigdy nie może. Zanik tego prądu niewątpliwie przyczynił by się do wzrostu samolubstwa warstw rządzących, wyrodziła by nie jedną krzywdę, wywołał niezadowolenia, a więc w dalszym ciągu i szkodliwe wstrząśnienia społeczne. Gdyby p. Buckiewicz znalazł za pośrednictwem takiego artykułu liczniejszych wyznawców swéj wiary, to najpierwszym skutkiem jego tryumfu byłoby osłabienie energii pracy nad ludem, który im jest dalszy od ideału, tém więcéj jej potrzebuje. Naturalnie idealizacya chłopa nie powinna przekraczać pewnéj granicy, przechodzić w manią, zagłuszającą należyty sąd o sprawach społecznych. To swoją drogą.

Roztrząsnąwszy treść i wewnętrzną wartość artykułu „Z bytu włościan“, zwrócimy teraz uwagę, czém jest ten fakt w naszém życiu, w szeregu innych zjawisk. Jest to wystąpienie człowieka jednéj warstwy z namiętnym sądem i potępieniem przeciwko całéj innéj warstwie, stojącéj na przeciwnéj szali, których równowaga stanowi o spokoju społecznym. Bywały zatargi między dworem i chatą; obie strony ocierając się o siebie w codziennych, drobnych sprawach, nie musiały się bardzo kochać i adorować, ale to był szereg zajść osobistych. Wystąpienie zaś p. Buckiewicza jest jakby hasłem walki klas, zjawiającéj się nie jako żywiołowa smutna konieczność, ale uświęconéj przez teoryą, przez rozumowanie, podjętéj w imię godziwych bo moralnych powodów.

Walkę klas, popędy egoizmu od lat wielu uważają za czynnik cywilizacyjny socyaliści. Klasy konserwujące dobro społeczne, a więc zachowawcze z samego stanowiska swego, protestowały przeciwko takiemu pojmowaniu historyi i życia. Pan Buckiewicz postawił pierwszy krok do innéj taktyki. W donkiszoteryi socyalistów i ujmowaniu się za słabymi jest strona dodatnia, tło przynaj-

mniéj stanowi szlachetne współczucie, chęć ulżenia nieszczęściom. Przyjęcie i popieranie walki klasowéj przez warstwy uprzywilejowane, będzie wyrazem samolubstwa, świadectwem upadku uczuć obywatelskich, rozkładem społecznym. Plany socyalistów więcéj irytują niż szkodzą. Gdyby się klasa cała, żyjąca praktycznie, rzuciła do walki—skutki łatwo byłoby przewidzieć.

Choćbyśmy nawet głos p. Buckiewicza uważali za odosobniony—lubo tak nie jest — to i w takim razie byłby on groźném zjawiskiem, jako pierwsze zarysowanie się fundamentu samego życia naszego zbiorowego. Złe pleni się szybko, rozdrażnienie nagromadza wiele szkodliwych popędów, które długo powstrzymuje, hamuje, łagodzi opinia. Gdy raz tama zostanie przerwana i pierwszy śmiałek pokaże drogę, wszystko rwącym potokiem występuje z dotychczasowego łożyska. Dla tego fakt artykułu p. Buckiewicza zapisujemy do kroniki jako objaw społeczny bardzo smutny i groźny.—

Pewne zjawiska czysto psychicznéj natury wywołują w nas niejednokrotnie wrażenia form fizycznych. Mówimy o dowcipie kolczastym, o obejściu gładkiém. W numerze 257 „Kuryera Codziennego“ wydrukowaną została pretensya, tak doskonale kulista, że powszedni rozsądek czytelnika wciążześlizgiwać się musi po powierzchni i w żaden sposób dostać się nie jest w stanie, do środka, wyrozumieć należycie o co właściwie chodzi i jakie racye usprawiedliwiały ją, przed logiką samego autora nawet. Oto brzmienie téj pretensyi (pozostawiamy punktacyą oryginału):

„We wczorajszém numerze *Kuryera* wyczytałem wiadomość, iż jakiś młody pracownik pióra, ma zamiar na wzór wydawnictw amerykańskich, rozpocząć u nas wydawnictwo „Biblioteki dla samouków.“

„Ponieważ pomysł ten jest moim i już w październiku r. z. w piśmie redagowaném przezemnie był ogłoszony, ponieważ daléj, posiadam już do tego wydawnictwa potrzebne materyały, a mianowicie: gramatykę polską A. Dygasińskiego, do połowy doprowadzoną historyę polską, a także zamówioną historyę literatury, oraz pedagogikę w zakresie dla samouków, przeto zdaje mi się, że objaśnienie to wystarczy dla ochronienia mnie od współzawodnictwa, które nie wiem czy zgadzało by się z prostemi prawidłami etyki literackiéj i wydawniczéj.“

Przeczytawszy zwięźle a stanowczo wypowiedzianą pretensyą, czytelnik spodziewa się ujrzeć nazwisko znanego, doświadczonego pedagoga, który część życia strawił w pracy nad przysłużeniem się krajowi, i oto teraz, zaskoczony nagle, obawiając się, aby praca jego w niwecz nie poszła, traci równowagę ducha i występuje z tak za-

bawną pretensyą. Tymczasem zamiast tego, widzimy nazwisko p. M. Wołowskiego, autora kilku uciesznych fars, paru pospolicie efektownych powiastek, redaktora „Kolców“, b. redaktora „Głosu“, który nigdy nic pedagogicznego nie napisał i nauczycielstwem się nie trudni. Czego u Boga Ojca chce p. Wołowski? Monopolu na wydawnictwo biblioteki dla samouków na wzór takich wydawnictw amerykańskich, gdyż jest to jego pomysł? Patenty wyłączności kupują sobie wynalazcy, to jest zrozumiałe: ktoś lat wiele pracy, wiedzy i talentu włożył w jakiś pomysł, słusznie, że państwa nie pozwalają korzystać zeń bez ceremonii pierwszemu lepszemu spekulantowi. „Pomysł“ jednak wydawnictwa *na wzór amerykański* w żaden sposób do téj kategoryi zaliczyć się nie da. Kiedy Edisson wynalazł telefon, setki techników rzuciło się do konstruowania nowych przyrządów tego rodzaju, i ani „proste prawidła etyki“, ani prawa obowiązujące uczynić im tego nie przeszkadzały, a zdrowy rozsądek potępił by wszelkie zakazy i przeszkody, jako krępujące rozwój, i które by kazały korzystać nie z możliwie najlepszego, ale z *pierwszego* wynalazku. Nie wolno przywłaszczać sobie nie telefonu, ale telefonu Edissona, ten zaś *młody literat* nie ma chyba zamiaru robić plagiatu ani z gramatyki p. Dygasińskiego, ani z doprowadzonéj do połowy historyi.

Czytamy nieraz ostrzeżenia literatów, a w Niemczech nawet uczonych, iż przedsiębiorą taką a taką pracę, ale to ma na celu uchronienie innych od zawodu; tych zaś, którzy by ostrzeżenia nie posłuchali, nikt nigdy do odpowiedzialności nie pociągał, ani od przedsięwzięcia nie odstraszał groźbami wykroczeń przeciwko etyce. P. Wołowski zapewne liczy, że opinia publiczna stanie w obronie jego praw wydawniczych, inaczéj by listu pewnie nie pisał. Skąd taka nadzieja? dla czegoż społeczeństwo ma obdarzać p. Wołowskiego lub kogokolwiekbądź innego z góry jakiémś zaufaniem i przyjmować to jedynie, co on da, kiedy może kto inny zrobił by to lepiéj; niech dla wszystkich będzie pole otwarte. Nikt takich gwarancyi dać nie może, aby mu oczyszczać drogę od wszelkiego współzawodnictwa. Zresztą, czyż sam p. Wołowski może być pewny, że nic mu nie stanie na drodze do uskutecznienia zamiaru, czemuż społeczeństwo ma w takim razie tracić wszystko.

Pomijamy tu nawet kwestyą, u nas wcale nierozstrzyganą, czy szereg podręczników — co, sądząc z zapowiedzi, ma być wydane— powinien nosić miano „Biblioteki dla samouków“, czy może się czém różnić Arytmetyka lub Historya dla samouków od innych książek elementarnych, czy nareszcie sfinksowe brzmienie „pedagogiki w zakresie dla samouków“ nie kwestyonuje kompetencyi p. Wołow-

skiego w téj sferze, biorąc rzeczy absolutnie nawet, a cóż dopiéro mówić w stosunku do istniejących w naszém społeczeństwie sił pedagogicznych, których usiłowaniom, gdyby się zjawiły, stawała by na przeszkodzie pretensya redaktora „Kolców.“

Osobistość „młodego literata“ i jego zamiary nie są nam znane, tém niemniéj żałowalibyśmy bardzo mocno, gdyby list p. Wołowskiego wywarł wpływ na niego i osiągnął zamierzony przez autora skutek. Zdaje nam się, że opinia publiczna zapobiedz powinna tego rodzaju odstraszaniom. Gdyby się podobne dziwolągi przyjęły, każdy wydawca ogłosiłby gdzieś, że ma zamiar coś wydać i w imię „prostych zasad etyki“ zdobywał by monopol. Nasza literatura potrzebuje zachęty, potrzebuje jak największéj ilości sił i wydawców, i pracowników, a nie panoszenia się jakichś urojonych pretensyi do wyłaczności.

*Ludwik Straszewicz.*



Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

# NOWE KSIĄŻKI

## nadesłane do redakcyi „Ateneum“

*w ciągu m. Września 1887 r.*

---

1. **Mechanika**. Przez *J. Łubieńskiego*, Inżyniera. Zeszyt 4, tomu I-go, Warsz. nakład „Gazety Rzemieślniczej“, 1887, 8-o, od str. 145 do 192 (z drzeworytami w tekście).
2. **Stacya oceny nasion** przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie. Sprawozdanie z czynności od dnia 1-go Lipca r 1886 do dnia 1 Lipca r. 1887. Napisał *Dr. A. Sempołowski* kierownik stacyi. Warsz. 1887, 8-o. str. 26.
3. *Dr. Esperanto.* **Język międzynarodowy.** Przedmowa i podręcznik kompletny (por Pol,o,j). Warsz. 1887. 8-o i tablica (Cena k. 15).
4. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego, Władysława Walewskiego.* Zeszyt 93. Tom VIII. Warsz. 1887, 8-o (od str. 641 do 720).
5. **Materyały do dziejów farmacyi** w dawnej Pols:e zebrali ze źródeł niedrukowanych *Ernest Sulimczyk Swieżawski* i *Kazimierz Wenda.* Część III. Warsz. 1887, 4 o, str. 118.
6. *Ch. Seignobos.* **Historya cywilizacyi**. Przełożył z najnowszego wydania francuzkiego *Adolf Dygasiński* (z 200 drzeworytami w tekście). Zeszyt I. Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 8-o, str. 160 (Przedpłata na całość złożoną z 5 zeszytów, wynosi wraz z przesyłką pocztową rs. 5)
7. *Henryk Heine.* **Atta Troll**. Sen nocy letniej. Przełożyła z oryginału niemieckiego *Marya Konopnicka.* (Biblioteka „Życia“, Arcydzieła poezyi wszechświatowej). Warsz. 1887, str. 99.
8. **O chirurgicznem leczeniu suchot krtani i ich wyleczalności.** Na podstawie badań mikroskopowych i klinicznych skreślił *D-r Teodor Hering* ordynator szpitala S-go Rocha. (z 2 tablicami litografowanemi i 1 chromolitograficzną). Warsz, 1887, str. 116.
9. **Początki ekonomii analitycznej** czyli teoryi robót w ogólności. Przez *Zygmunta Rewkowskiego* inżyniera komunikacyj. Warsz. 1887, 4-o, str. VIII + 55 + 16, (Cena kop. 75).
10. **Jak mogą wyglądać przyszłe halle** w Warszawie. Przez *Stefana Szyllera* (Odbitka z „Przeglądu Technicznego“ z 1-ą tablicą rysunków). Warsz. 1887, 8 o, str. 24.
11. **Ziemowit** książe Mazowiecki. Dramat w pięciu aktach, na tle historycznem osnuty przez *Józefa Łabuńskiego.* Warsz. (u Teod. Paprockiego i S-ki) 1887, 8-o, str. 110.
12. **Ogródek dziecięcy** i jego twórca Fryderyk Froebel (Odbitka z „Przeglądu Pedagogicznego“). Warsz. u. T. Paprockiego i S-ki, 1887, str. 17.
13. **Sprawozdanie** zarządu Warsz. Towarzystwa oczyszczania i sprzedaży spirytusu za czas od (3) 15 Stycznia 1887 roku do (18) 30 Czerwca 1887 r. Warsz 4-o, str. 13.
14. **Studyja nad pontyfikatem Piusa IV.** I. Wybór Piusa IV. Napisał *Dr. Bronisław Dembiński.* Krak. 1886, 8-o. str. 115.

# ATENEUM

## PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

**wychodzi w roku 1887 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.**

---

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

## Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

**Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie** (tylko w Warszawie) **Rs.** 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

**DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.**

---

Дозволено Цензурою, Варшава 20 Сентября 1887 г.